



TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom I.

Ostatnia miłość.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Swiat Nr. 39.

1884.

<http://rcin.org.pl>

ELIZA PRZESZKOWA.

OSTATNIA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ.

INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-830 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 39.

1884.



Дозволено цензурою.

Варшава 26 Декабря 1883 года.

STEFANII Z TOŁŁOCZKÓW

ZUKOWEJ.

Niegdyś, w najwcześniejszej młodości mojej latach, częste i długie chwile przepędzałam z tobą. Pamiętasz pewnie, jak nieraz, wśród zieleni cienistej ogrodów, albo w cichych ścianach naszych wiejskich domów, godziny schodziły nam na serdecznych, a pełnych treści pogadankach.

Dziś szeroka przestrzeń nas dzieli — a ja dla ciebie na zawsze najserdeczniejszą zachowałam przyjaźń. W dowód więc serdecznej mojej o tobie pamięci, pozwól, abym na pierwszej kartce pisania tego, połączyła dwa imiona nasze.

Eliza Orzeszkowa.

„Malheur hélas! — à celui qui n'aura aimé que les formes, le corps et les apparences—Tachez d'aimer les âmes“.

Victor Hugo (Les Misérables).

I.

Koleje żelazne, — urocze to słowo! — Magiczny wyraz, zamykający w sobie, dbałą o dobrobyt materialny i umysłowy wzrost ludzkości, myśl XIX-go wieku. Przestrzenie znikają — narody, rozrzucone po różnych krańcach ziemi, łączą się węzłem wzajemnego poznania się i wspólności spraw; ludzie pracujący nad dobrobytem, z szybkością błyskawiczną, rozsełają po świecie płody swojego przemysłu, a podróżnicy liczni, spragnieni wszechstronnej w różnych sferach rozwijającej się wiedzy, w krótkim przeciągu czasu, mogą stanąć między murami wspaniałych stolic, i u stóp gór niebotycznych — spojrzeć na olbrzymie szyby wód morskich, lub słuchać huku; z jakim śnieżne odłamy z Alpejskich szczytów spadają w otchłanie. A do wszystkich tych celów służy owa

kometa czarna, żelazna, z grubym i długim warkoczem dymu, wijącym się po-za nią w kłębach szarych; owa kometa, której ciałem żelazo, duchem para; którą w prostocie swojej lud nasz nazwał zrazu *mocą szatańską*, a my nazywamy siłą i czynnikiem cywilizacji — lokomotywa. Poważni mędrzy i młodzi ludzie, rwący się do życia i użycia; fabrykanci, przemysłowcy, naturaliści i ekonomiści; pracownicy ludzkości, którym zawsze pilno i brak czasu; próżnujący lordowie wszelkich krajów, z rękami w kieszeniach i znudzoną twarzą, szukający środków zapełnienia niezajętej niczem egzystencji; nerwowe panie, potrzebujące wód wzmacniających, i poważne matki, pragnące, aby ich synowie moralnie i umysłowo wzrosli wobec widoku wszystkiego, co ziemia najmędrszego i najpiękniejszego posiada — wszyscy i wszyscy chórem śpiewają cześć tej poważnej pani, której silny duch, błyskawiczną szybkość nadaje żelaznemu ciału; która ostrym, przeciągłym swoim świstem woła do ludzi: pójdźcie ku mnie, a po nad przestrzenie uniosę was ku cudom dalekim; postawię was u źródła światła, wiedzy, wszelkich prac i wszelkich radości ludzkich; z godziny uczynię wam chwilę; nieprzebytą rozległość w maluczką przestrzeń zamienię. — A za to wszystko dajcie mi tylko... trochę węgla i wody — dla wytwarzania silnego we mnie ducha!... I wszyscy śpiesznie na wezwanie to przybywają, z wdzięcznością składają miłą dań królowej

dziewiętnastego wieku. Chyba tylko jaki w tłumie zabłąkany poeta, cicho westchnie za błogosławionym dla eterycznych dusz czasem, w którym nie świstały lokomotywy, ale... szumiały lasy dziewicze i pastusze grały fujarki; w którym, zamiast podróżować, uczyć się, badać naturę i społeczność, dziewice na zielonych, rodzinnych łąkach pasły owieczki, a młodzieńcy pletli na skronie kochanek wieńce różane. Ach!... pięknie to było... Ale prozaiczne dusze dzisiejszych czasów, głuche są na westchnienia spóźnionych naśladowców Arkadyjskich pasterzy, i wołają w objęciu pary przenosić się z miejsca na miejsce w pogoni za wiedzą, bogactwami i użyciem, niż doić krówki, lub wic girlandy „z róż, lilii i tymianku“.

Wszakże ani Buckle, wyżej nad wszystko ceniący wynalazki rozumu ludzkiego; ani Stuart Mill, ów głęboki badacz źródeł dobrobytu; ani żaden angielski przemysłowiec, biorący za dewizę: „czas to pieniądz“, nie pojmuje tak żywo wszystkich usług, jakie ludzkości oddają koleje żelazne, i nie tak gorąco pragnie ich najszerzego rozwoju — jak biedny wędrowiec po krainach, do których nie zawitało jeszcze to dzieło cywilizacji. Kiedy wśród bagnistych grobel oś łamie się i zatrzymuje najspieszniejszą podróż; kiedy po piaskach suchych, głębokich, koła wloką się powoli, a nieszczęsne konie, jak na arabskiej pustyni schylają głowy, postępują z ciężkością, i okrywają się pianą z wysilenia; z piersi podróżnego wyskakuje

wówczas westchnienie znudzenia i niecierpliwości, a usta jego szepcą modlitwę do przemysłu, wołając błagalnie: przybądź o lokomotywo!

Nad Tamizą, Sekwaną, Elbą, a nawet i nad Wisłą, oddawna już rozlegał się świst pary; mieszkańcy owych szczęśliwych krain oddawna już, jak podniebne ptaki, szybko przebywali przestrzenie — gdy ziemię, położone nad pięknymi brzegami Niemna, wzdychały jeszcze do korzystania z cudu zwanego lokomotywą. Na szerokich tamtejszych drogach, w upały letnie, wlokły się zwolna po piaskach ciężkie karety, zaprzężone mnóstwem koni; koła wozów i bryk skrzypiały i jęczały niby w piekle dusze potępionych. A gdy przyszła jesień dżdżysta i słotna, to powozy grzęzły w rozmięklej ziemi, konie zapadały w głębokie kałuże, a podróżny, osadzony nieraz w środku drogi nieprzepartą siłą błota, widział się zmuszonym do wezwania wołów, aby go z ciężkiej wydzwignęły toni.

Przed kilkoma laty, ktoby chciał ujrzeć w maluczkim zarysie arabską pustynią, dośoby mu było przebyć wśród lata drogę, wiodącą z nadniemeńskiego miasta Grodna, do mineralnych wód w D***. Sześciomilowa ledwie to była przestrzeń, ale przebycie jej podróżnemu wiekiem mogło się zdawać; szeroka, żółta od głębokiego piasku droga, ciągnęła się równo, monotonnie, między rzadkimi zaroślami karłowatej sośniny.

Gdzie niegdzie tylko dwór jakiś, lub szara grupa chat wioskowych, rzucona w przestrzeni, ubarwiała smutną jednostajność; czasem zamiast niskich krzaków, ustrajał drogę smukły, czysty i rzadki lasek — powiał na chwilę wonią i chłodem, i znikał, oddając znów podróznego w opiekę jałowych piasków, tworzących niekiedy wzgórze, a nawet dość wysokie góry — przy wspinaniu się na które jeszcze ciężiej było koniom, jeszcze smutniej i nudniej podróznemu.

Smutną tę jednak, nudną i ciężką drogę, każdego lata mnóstwo przebywało powozów większych i mniejszych, bogatszych i uboższych. Tłumy podróżników z najodleglejszych stron przybywających, wlokły się niecierpliwie po piaszczystej przestrzeni, dążąc do sławnej siłą uzdrawiającą miejscowości.

Miejscowości posiadające mineralne wody, zrazu bywają zwykle sanitarnemi tylko zakładami; dążą do nich chorzy po największe, jak powiadają niektórzy, dobro — po zdrowie. Wkrótce chorzy ludzie, w jednem miejscu zebrani, poczuwszy, że poczynają odzyskiwać swe „największe dobro“, zaczynają się bawić, to jest zbierać się w towarzystwa, tańczyć, razem jeździć i chodzić, kochać się, żenić i wychodzić za mąż. Powoli sława uzdrawiających wód rozchodzi się razem ze sławą tych przeróżnych zabaw. Kiedy mogą się bawić chorzy, dlaczegóż-by i zdrowi bawić się nie mieli? Więc i ci, którym w żadnej chorobie nigdy twarz nie zbladła, dalej w drogę do wód mine-

ralnych! aby zobaczyć kogoś i ukazać się samym, po-
tańczyć i pospacerować — a może... nuż zdarzy się
dobra szansa!... ożenić się, lub wyjść za mąż! I oto
z Północy i Południa, z Zachodu i Wschodu, ciągną
taborzy podróźnych chorych i zdrowych. Zanadto oty-
li i zanadto chudzi; ze słabemi płucami i z reumaty-
zmem w nogach; gorączkowo pragnący użycia i lim-
fatycznie życiem znudzeni; ze zbyt pełną kieszenią
i z ich melancholiczną próżnią — wszyscy jadą do
wód mineralnych — a ich zbawcze źródła, przeróżne-
mi środkami, leczą te wszystkie choroby zdrowych
i chorych. Niestety! jednej tylko nie leczą: płonno-
ści mózgu!... A gdy tak co roku liczne tłumy poczną
u źródeł wód mineralnych leczyć się i bawić, to i umy-
sły poważne zaciekawią się niekiedy tym objawem
społecznego życia, i zapragną zajrzeć w lekką na po-
zór falę ludzi, w której głębi jednak, jak w głębi każ-
dego społecznego stosunku, leżą bóle i miłości,
i w motylkowe formy ubrane gorzkie, lub poważne
prawdy. Więc po-za falangą goniących za fizycznem
zdrowiem, lub lekką zabawą, zjawiają się myślicie-
le — badacze serc ludzkich i fenomenów społecz-
nych; po-za tymi jeszcze przybywają kapłani sztuki,
poeci, aby licznie zebranyim ludziom sypać pod nogi
perły piękności, i z gorących tchnień, wiejących zwy-
kle od tłumów, czerpać natchnienie do nowych arcy-
dzieł. Z tych wszystkich żywiołów złożone towarzy-
stwa u wód mineralnych, wrą życiem różnowzorem —

i jak wszędzie między ludźmi, tak i w nich przy wpatrzeniu się bliżkiem, dojrzysz chorobę i zdrowie, mądrość i głupotę, radość i rozpacz.

Nie inna musiała być historia wód w D***, więc choć droga do nich ciężka była i nudna, piaszczysta, monotonna i męcząca — toć przecie przez lato całe snuło się po niej pełno podróżnych.

Na kilka lat przed pierwszym zjawieniem się lokomotywy nad brzegami Niemna — w roku 1856 — 58 (fakt nie historyczny więc i data niepewna), podczas pięknego pogodnego zachodu czerwcowego słońca, drogą, wiodącą z Grodna do D*** szybko, mimo piasku, jechała niewielka karetka, zaprzężona sześcioma dzielnymi końmi. Gruba warstwa kurzu, pokrywająca powóz, znudzona twarz stangreta, i zaspane oczy dziarskiego chłopaka, siedzącego na koźle, okazywały dowodnie, że podróżujący przybywali z daleka; konie jednak rosłe i silne, szybko biegły, mimo piasku, w który grzęzły ich kopyta i, przy każdym żywszym poruszeniu, wesoło złożonemi kółkami pięknych szorów brzękały.

Słońce szeroką, purpurową tarczą coraz bardziej się zniżało, kryjąc się za wązki pas fioletowych chmur; po czystém, błękitném niebie, gdzieś pływały zwolna białe obłoki; wierzchołki niskiej sosniny, ozłoczone nieco niknącemi promieniami, powoli i cicho kołysały się pod powiewem wietrzyka, który ledwie śmiał oddychać w uroczystą ciszę nadchodzą-

cego wieczoru. Konie zwolniły biegu, kareta wjechała na wysoką piaszczystą górę, z której szczytu widać było w oddali rysujące się grupami szarych domów miejsce, do którego powóz zdążał, i po-za którym wyglądał płynący Niemen, jak błękitna, szeroka wstęga.

Jedna z szyb karety, zasuniętych dla niewpuszczania w głąb' kurzu, podnoszącego się niekiedy kłębamii, zwolna się osunęła — i przez okno powozu wyjrzała, otoczona czarnemi warkoczami, twarz kobiety; dwoje ciemnych i myślących jēj oczu pobiegło w przestrzeń, i spoczęło na dalekim krańcu widnokręgu. W głębi powozu siedział młody mężczyzna. Na twarzy jego nie było wyrazu zmudzenia, towarzyszącego zwykle podróżującym po długich i trudnych drogach; owszem, jaśniała ona światłem, które, płynąc z myślącej głębi człowieka, rozświeca jego oblicze w najbardziej nawet jałowych i na pozór obranych zupełnie z interesu chwilach jego życia. Po niejakim czasie, kobieta odwróciła spojrzenie od roztaczającego się przed jēj okiem obrazu i, zwracając się do towarzysza podróży, rzekła :

— Wiedz, Henryku, że im dłużej jadę z tobą, tém mniej żałuję, że ci się dała namówić do opuszczenia mego cichego zakątka i zwiedzenia tēj okolicy. Natura wszędzie jest piękna, a widok rozlicznych jēj piękności, ściera z serca ślady przebytych bólów— i nie tylko moralne, ale i fizyczne wzmacnia siły.

— Mam nadzieję — odpowiedział młody człowiek — że tutejsze wody uzupełnią dobry wpływ, jaki sama już podróż wywarła na twoje zdrowie, o które zaczynałem się bardzo obawiać. Zresztą, wiész o tém, Regino, że dla istoty dojrzałej już, a egoistycznie niezamkniętej w sobie, zetknięcie się z ludźmi jest korzystne pod wieloma względami, a nawet przyjemne. Spodziewam się więc, że w miejscu, gdzie się zwykle zbierają najróżnorodniejsze żywoły społeczne, czas zejdzie ci pożytecznie i miło — a może téż...

— Może téż co? — spytała kobieta wahającego się z dokończeniem swojej myśli towarzysza.

— Wiész dobrze, Regino — mówił on dalej, patrząc na nią braterskim, serdecznym wzrokiem — jak dobrze pragnę twojego szczęścia, i pojdziesz, com chciał powiedzieć, gdy przypomnisz sobie nie jednokrotne, a poufne moje z tobą rozmowy.

Kobieta milczała przez chwilę; aż ujęła rękę brata i, patrząc na niego ze słodyczą, ale i powagą, dodała :

— Ty Henryku, jesteś jedynym i najlepszym moim przyjacielem; nigdy więc nie ukrywała przed tobą, że istnienie, jakie prowadzę, nie wystarcza mi — że, pomimo wszelkich wysiłków rozumu i woli, otaczająca mnie pustka, ciężko mi się nieraz czuć daje. Ale, znając tę terażniejszość moją, znasz zarazem Henryku, i smutną moją przeszłość. Wiész, jak przy

pięrcwszém wychyleniu się na świat, serce skrwawiło mi się boleśnie; wiész — dodała z gorzkim uśmiechem — że nad głową moją cięży miano nienawistne światu, rzucające na kobietę cienie podejrzeń i nagany ogólnej. Zresztą nie jestem szesnasto - letniém dzieckiem — ale dojrzałą i choć młodą latami, lecz doświadczoną nieszczęściem kobietą; i dlatego więcéj wierzę w skuteczność wód tutejszych na moje zdrowie, niż w możność spełnienia się planików, jakieś ty, braciszku, wysnuł dla mnie w swojej pocziwéj i mądréj myśli.

Rozśmiała się wesoło piękna kobieta — położyła rękę na ramieniu brata i, patrząc mu w oczy, rzekła figlarnie :

— Ale tobie, tobie Henryku, grozi niebezpieczeństwo znalezienia jakiegóś pięknej niespodzianki.

Rozśmiał się młody człowiek i odpowiedział:

— Wy, kobiety, co innego, a my co innego. Co dla was całą treścią życia, to dla nas tylko ozdobą jego. Co dla was celem, to nam pomocą; co was tworzy i przetwarza — to nas tylko uzupełnia.

— Ale przyznaj, mój drogi — przerwała mu ze śmiechem Regina— że ktoby nas słyszał tak rozprawiających, przy zbliżaniu się do miejsca licznego zjazdu u wód mineralnych, wziąłby ciebie za karyerowicza, szukającego bogatego maryażu, a mnie za kobietę, chcącą wydać się za mąż i w pogoni za dozgonnym przyjacielem. Co za śmieszna myśl!

Rozśmiał się i Henryk.

— Jesteśmy zbyt wyżsi nad pobudki, do podobnych posądzeń dające prawo — rzekł — abyśmy dla uniknięcia ich mieli krępować nasze czynności i słowa. Mogę ja spotkać mój ideał... możesz i ty komu stać się ideałem.

— Dobrze, dobrze, braciszku — wesoło odrzekła Regina — buduj sobie zamki na lodzie i osadzaj mię w nich twoją żywą wyobraźnią. Obawiam się tylko, aby one nie runęły tak, jak niegdyś moje w Różannie.

Gdy wymawiała ostatnie wyrazy, brwi jej lekko się zsunęły i swobodny uśmiech, z jakim przed chwilą mówiła, zamienił się w gorzki i smutny. Twarz Henryka lekko się też zachmurzyła.

— Po co wspominać przeszłość, Regino? — rzekł.

— A jakże jej zapomnieć? — odpowiedziała. — Ona leży na sercu, myśl obecną uciska i grozi przyszłości. Wpiła się w moje życie i... gdy na chwilę, zda się, zapomnę o niej, staje przedemną z całym smutkiem swoich obrazów i mówi do mnie językiem umarłych dla miłości i nadziei... językiem rozpaczony, jakim przemawiała do mnie w najmłodszych moich latach. O gdybym i mogła tę przeszłość zapomnieć, każda znajoma twarz spotkana przypomni mi ją — przypomni mi ją każde nazwanie mnie po nazwisku. Bo powiedz sam, Henryku, jak ja się nazywam?

— Dla każdego rozumnego i zanego człowieka,

nazywasz się zacną i rozumną kobietą... bo głupcy tylko, lub nieuczciwi rzucają kamienie na pozory zlego, nie zbadawszy wprzód, w jaką pierś uderzą ich pociski.

Gdy Henryk, poważnie a serdecznie patrząc na siostrę, mówił te słowa, karetą wjechała w niebrukowaną, piaszczystą i szeroką ulicę w D***, szybko minęła rzędy szarych, po większej części niskich domów i zatoczyła się w niewielki, czysty dziedziniec przed ganek niewielkiego też, ale ładnej powierzchowności, domu.

Mieszkanie było już snąc zamówione, bo młodzi ludzie wysiedli z powozu i weszli do domu, a stangret, z pomocą zręcznego Ukraińca, począł odprzęgać parskające i podzwaniające szorami konie. Na odgłos przybywającego powozu z oficyn, okalających dziedziniec, wyszło kilku mężczyzn z cygarami w ustach. Zmrok już zapadał; karetą więc, ludzie i konie rysowały się przed nimi w oddali, jak niewyraźna grupa. Zamienili kilka słów ze sobą i zbliżyli się ku powozowi. Piękna karetą, cenne konie i szory, i dziarska, ze smakiem choć z prostotą ubrana, służba, zdwoiły ciekawość przybyłych przyglądać się im panów. Jeden z młodych ludzi zbliżył się do furmana i spytał.

— Bądź łaskaw, mój kochany, powiedz, kto to przyjechał?

— Pan Henryk Tarnowski z siostrą — odpowie-

dział służący, zajęty zdejmowaniem szorów z koni. Młodzi ludzie spojrzeli po sobie.

— A z kąd przyjechał pan Tarnowski? — spytał znów jeden z nich.

— Z pod Kijowa — odpowiedział chłopak w kozackim ubraniu.

Ciekawi szepnęli do siebie kilka francuzkich słów i, raz jeszcze spojrzawszy na karetę i konie, zapytali znowu.

— A bogaty wasz pan? co?

— Tysiąc dusz ma — podnosząc hardo głowę, odpowiedział kozaczek — i pieniędzy huk!...

— Ho! ho! — zawołał jeden z młodych ludzi — Ukraiński magnat! a siostrzyczka? co? ça doit être une magnifique jeune personne!

— Ha, ha, ha — rozśmiał się drugi. — Może jakie straszydło!

— Straszydło! bredzisz Fryciu! alboż to możliwe. Kiedy brat ma tysiąc dusz, toż i ona posazek nielada mieć musi.

— Mon Dieu! ale może mężatka!

— Mais, mon cher, tu es desespérant avec tes *može*.

„Może straszydło! może mężatka!“ Jakbyś chciał, żeby żadnej dobrej partyi u wód tutejszych nie było!

— Cóż znowu, Bryniu — odrzekł urażony Frycio — sam przecież jestem w rozpacz, że się w tym roku tutaj same tylko tałałajstwo i hołota zjechały...

Gdyby nie hrabina X., nie było-by gdzie przyjemnie czasu przepędzić. Dieu donne, aby to było coś porządnego, ci państwo nowo przybyli!

I, zbliżając się znowu do kozaczka, zapytał:

— A panienka ładna? co?

— Jaka panienka? — zapytał Ukrainiec, podnosząc na twarz pytającego czarne błyszczące oczy.

— A no, siostra twójgo pana?

— Siostra pana Tarnowskiego nazywa się pani Regina Różyńska.

Na dwułkciową długość wyciągnęły się twarze młodych ludzi; spojrzeli po sobie, kiwając żałośnie głowami.— Ale, o genialna myśli! błysnęła iskra nadziei i jeden z nich zapytał znowu:

— Czemuż pani Różyńska z bratem podróżuje, nie z mężem! — czy wdowa może? co?

— Nie, nie wdowa — odpowiedział zniecierpliwiony już ciągłymi pytaniami kozaczek.

— Więc mężatka? — mówił nalegającym tonem młody człowiek, chcąc się dobrać do stanowczego określenia pozycyi towarzyskiej pani Różyńskiej.

— Nie, nie mężatka — odrzekł opryskliwie, całkiem już rozgniewany i zniecierpliwiony chłopak, a ująwszy za uzdy parę koni, zwrócił się z niemi ku stajni, za prowadzącym tam inną parę furmanem.

Młodzi ludzie, pozostawieni tak około karety, parsknęli śmiechem.

— Nie panna, nie wdowa, nie mężatka! więc któż

u licha! Wiecie, moi drodzy, que ça prète à l'equivoque — mówił, śmiejąc się Frycio.

— To jakaś zajmująca Ukrainka! słowo hono-
ru — zawołał Brynio — ciekawym ją zobaczyć!

— Dyabelnie zajmująca — rzekł Odzio — jeżeli
już nie ożenić się, to choć podurzyć będzie mo-
żna.

— Jeżeli ładna! — wtrącił Brynio.

— Oj te Ukrainki — wszystkie ładne! — rzekł
Frycio.

— Albożeś ty, Fryciu, był w tamtych stronach?

— A byłem tam kiedyś u hrabiny S., mojej cio-
tki; i nawet te dwa nazwiska, Tarnowskich i Różyń-
skich, kręcą mi się po głowie. Możem ja kiedy i wi-
dział tego pana Tarnowskiego.

— Ja znów na Wołyniu, lat temu z dziewięć, zna-
łem Alfreda Różyńskiego — rzekł Odzio. — Tęgi to
był chłopiec: konie miał przepyszne! pamiętam,
żem z nim jeździł na wyścigi wobec licznego towarzy-
stwa... a w sztosika grał dyabelnie! Bywało, jak
założy banczek, to aż miło! A bogaty był jak Kre-
zus! Majątek jego nazywał się Różanna — śliczny
pałacyk nad jeziorem.

— Może to jęj mąż — przerwał Frycio.

— Przecież słyszałeś, że nie mężatka! — zawołał
ze śmiechem Brynio!

— No, może rozwódka! — protestującym głosem
rzekł Frycio

— Brawo, Fryciu, brawo! — zawołali dwaj inni — jesteś genialny chłopiec; najpewniej, że to musi być rozwódka!

— Już to, jeżeli to ten Alfred Różyński, którego ja znam, jest jej mężem, to chyba by waryatką była, gdyby się z nim rozwiodła. Piękny panie chłopiec i bogaty! czegoż więc trzeba?

— Masz rację, Odziu — rzekł z miną wyroczeni Frycio — ale ja znam kobiety! to są czasem dziwnie kapryśne stworzenia.

— Oj to prawda — mówił, wzdychając Brynio — nie darmo Mickiewicz powiedział: Kobięto! puchu marny!

— Literat z naszego Brynia — rzekł, śmiejąc się na całe gardło Odzio — no, a jak dalej!

— A dyabli go tam wiedzą, jak dalej! — odpowiedział zderutowany młodzieniec.

Tak rozmawiając, chodzili po dziedzińcu, paląc cygara i spoglądając ku gankowi domu, azali się kto na nim nie zjawi, pan czy pani. Tymczasem wieczór zapadł zupełny; na dziedzińcu całkiem zciemniało, a okna nie oświecały się wcale z téj strony.

— Pójdźmy przejść się z drugiejj strony domu, pod balkon; może ją zobaczymy! — zaproponował jeden z młodych ludzi.

A z drugiejj strony domu, przepyszny roztaczał się widok. Ogród zielony, gęsto poprzecinany gładkimi, żwirzem usypanymi ścieżkami, pokrywał całą spa-

dzistość wysokiej góry, na której stał dom i rozciągał się daleko na prawo. Po za nim, pod górą, z szumem biegła wązka wstęga wartkiej Rotniczanki i, w tysiącznych skrętach, z hukiem po kamieniach spadając u skraju ogrodu i góry, łączyła się z szerokim, poważnym Niemnem, który, z lewej strony domu, płynąc cicho i spokojnie, tworzył razem z Rotniczanką przezroczy trójkąt, obejmujący ramionami gęste grupy ogrodowej zieleni, z pomiędzy której lśniło kilka białych domków i wieżyczka kościelna; uboga, ale smukła i krzyżem lśniąca, strzelała ku niebu. Po za Rotniczanką i po za Niemnem, szerokim kobiercem stały się łąki zielone, gdzieniegdzie niską zarosłe sośniną. W dzień na łąkach tych żółciały i białały trzody liczne; wieczorem biegło od nich echo wiejskiej piosenki, lub smętny odgłos dalekiej trąbki pastuszej.

Dom, w którym zamieszkał pan Tarnowski i jego siostra, stał na wysokim podmurowaniu i miał balkon, wznoszący się po nad jedną ze zwirowanych ulic ogrodu. Na tę ulicę weszli trzej młodzi ludzie, rozciekawieni przybyciem nowych gości. Wieczór był dość ciemny, ale oświetlony nieco mnóstwem gwiazd, jaśniejących na pogodnym niebie. Rotniczanka szumiała i huczała, jakby kłócąc się z poważnym Niemnem, który cicho, spokojnie przyjmował ją w swoje ramiona i płynął dalej majestatycznie, szeroko błyszcząc przegładającymi się w jego gładkich falach

gwiazdami i w dali, w dali niknąc wśród białej mgły, która, jakby morze, rozlała się po nadbrzeżnych ławkach. Pomiedzy ogrodową zielenią, drżącymi światłkami błyskały okna białych domków; od strony jednego z nich, echo niesło dźwięki dalekiej, fortepianowej muzyki. Wyzwany może przez nią słowik, gdzieś po za kościołkiem, próbował dobywać ostatnich tonów ze zmęczonego wiosenném śpiewaniem gardziółka.

Ale nie na gwiazdy i nie na mgłę daleką patrzyli młodzi ludzie; wzrok ich podniósł się wprawdzie w górę, lecz nie ku niebu.

Na wysokim balkonie, ręką o balustradę wsparta, stała kobieta; rysów jęj twarzy dojrzeć nie mogli, ale białosc jęj lśniła na tle ciemném, z oczu, wpatrzonych w przestrzeń, tryskał blask żywy i postać jęj smukła, zgrabna, czarną objęta suknią, wyraźnie rysowała się na białém tle ściany, przy której stała. Młodzi ludzie cicho przeszli pod balkonem, usiedli na ławeczce naprzeciw, wśród klombów zieleni, i patrzyli. Wkrótce, w otwartych na balkon drzwiach oświetlonego pokoju, stanął rosły mężczyzna.

— Przeziębisz się, Regino! — rzekł do kobiety.

— Nie, ciepło jest — odpowiedziała — chodź, Henryku, zobacz, co za prześliczny widok.

A gdy brat zbliżył się do nięj, dodała :

— Czy wiesz, że, ile razy widzę piękną wodę, za-

raz mi na myśli staje Różanna i jój prześliczne jezioro! A ilem ja przecierpiała, patrząc na jego fale...

— Znów smutne myśli, siostró! — z lekką wymówką rzekł Henryk.

— O tak, bracie — odpowiedziała Regina — smutne są moje myśli, i każda poważnie myśląca kobieta, której los przyniesie podobną mojej dolę, smutną być musi. Przy świetle gwiazd myślę o moich dziecięcych latach, tak jasnych i złotych, jak one i, patrząc na przezrocze fale wody, widzę młodzieńcze moje chwile przezrocze i czyste. I taka, jaką jestem dziś, przyrównywan się do tój płaczącej brzozy, która — patrz, tu blisko balkonu naszego — złamane gałązki w Niemnie zatapia. Tak, Henryku — dodała, opierając się na ramieniu brata, — smutna jest dusza moja, aż do śmierci.

— Aż do odrodzenia! — szepnął brat, wprowadzając ją do pokoju.

Prawie całej rozmowy tój nie słyszeli młodzi ludzie, bo wypowiedziana była cicho, szeptem niemal; zaledwie kilka oderwanych słów doszło ich uszu. Ale wkrótce, po zniknięciu brata i siostry, usłyszeli dźwięk jakiegoś instrumentu i towarzyszący mu głos kobiecego śpiewu.

Podeszli znowu pod balkon i, przez otwarte drzwi do oświetlonego lampą pokoju, zobaczyli pana Tarnowskiego, siedzącego i grającego na teorbanie, instrumencie, używanym często przez mieszkańców jego

stron rodzinnych. Za nim, z podniesioną nieco głową, stała jego siostra, a z ust jej wychodziła tęskna nuta.

Smutne i zgrabne postacie dwojga młodych ludzi i twarze ich podobne do siebie, tak piękną stanowiły grupę, brzmienie prostego instrumentu, tak pięknie zlewało się ze smutnym, a dźwięcznym śpiewem kobiecym; że, weseli, niezmiernie lekkich usposobień młodzi ludzie, stanęli jednak w pełnym skupieniu i szacunku milczenia. Obraz, który mieli przed sobą, uderzył ich nieopisanym urokiem.

Dopiero, gdy znikły dźwięki, zamknęły się drzwi, wychodzące na balkon i światła w oknach zagasać poczęły, lwy towarzystwa miejscowego cicho odeszli z pod balkonu. Dwaj z nich udzielali sobie uwag co do piękności nowoprzybyłej, którą bardzo wysoko stawiali i głosu jej, który się im prześliczny zdawał. Jeden tylko Frycio nic nie mówił; milczał i zdawał się być zamysłony, co bardzo rzadko mu się zdarzało.

— O czémże tak myślisz, Fryciu? — spytali go towarzysze, wchodząc razem z nim do mieszkania.

— Myślę — odpowiedział — że bodaj czy, przed kilku laty, nie spotkałem tego pana Tarnowskiego w towarzystwach na Ukrainie. Nie mogłem mu się dobrze przypatrzeć zdaleka, ale zdaje mi się, że go sobie przypominam.

— Przypominaj sobie, przypominaj — odpowie-

dzieli Brynio i Odzio — i jutro bez ceremonii przypisz się do znajomości. Potém i nas zaznajomisz z tym panem Tarnowskim, bo siostrzyczka, dalibóg niczego, a tysiąc dusz... to piękna rekomendacya, ma foi!... Jutro rano trzeba o nowém zjawisku opowiedzieć hrabinie. Bonsoir mon cher!

II.

Salon hrabiny X. w D*** stanowił centrum tamiecznego arystokratycznego świata. Wszystko co tylko miało pretensją do wysokiego rodu, znacznego majątku, *dystygowanėj manierey*, zbierało się w nim i uderzało czołem przed domowém jego bóstwem. Sądząc po ilości osób, zapełniających zawsze mieszkanie hrabiny i według znakomitości, jaką sobie same te wszystkie osoby przyznawały, można-by myśleć, że owém bóstwem domowém była jaka młoda, piękna kobieta, która, choćby nie posiadając wysokich wewnętrznych zalet, mogła-by zachwycać oczy i pociągać serca powabem słodkiėj rozmowy i wdziękami postaci. Nie tak wszakże było. Hrabina X. miała sześćdziesiąt lat, jak Francuzi mówią „bien sonnées“; i choć resztki dawnych jēj wdzięków nieźle wyglądały jeszcze przy bogatych, dekolowanych sukniach, i pod grubą warstwą przeróżnych bielideł i rózu, toć przecie nie zupełnie była Dyaną de Poitiers. I gdyby Henryk II-gi, ów wielbiciel sześćdziesięcio-letniėj

piękności, powstał z grobu, pewnieby się w nią nie rozkochał.

Co do dobroci, hrabina miała wielki jój zapas, rozmieniony na drobną, zdawkową monetę światowej grzeczności; tą monetą płaciła wszystkie swoje względem bliźniego długi, warując sobie, że za każde uprzejme *bonjour* powiedziane jednemu, będzie miała prawo drugiego ukąsić; że, za wszystkie powitania i lodowo-grzeczne uściśnienia ręki, jakie rozda na każdym ze swoich balów, ludzie winni jój będą oddać dziesięć razy więcej kornych ukłonów i pochlebnych słów. Gdy się więc na taką monetę rozmieniła dobroć hrabiny, zabrakło prawdziwego jój złota; sypała zatem pani hrabina wkoło ludziom większe i mniejsze miedziaki, bardzo nieraz ciężące tym, którzy niemi napełniali sobie kieszenie, lecz niemniej miłe bo... pochodzące od hrabiny.

Z rozumem téj pani rzecz się miała tak samo. Cały jego kapitał rozprysnął się na drobniuchne sumki, zasilające ją biegłą francuzczyzną, umiejętnością przyjmowania gości, zręcznością w pokrywaniu zmarszczek na twarzy i smakiem w urządzaniu kosztownych toalet. Ktoby zaś wszystkie te sumki podkreślił i dodał, znalazł-by.... jedno wielkie zero, bo najniezawodniejszy z matematycznych pewników jest ten, że: zero a zero, będzie zawsze zero.

Cóż więc nadawało hrabinie tak wielkie w towarzystwie znaczenie? co ją stawiało na zaszczytném

w każdym razie stanowisku, zbierania około siebie mnóstwa ludzi, i takich jeszcze, którzy o sobie wielce wysokie mieli wyobrażenie? Sekret cały leżał w tém, że hrabina X. była *prawdziwą* arystokratką z rodu; że ród swój i swojego zmarłego męża, mogła z akompaniamentem szeregu tytułów wywieść od przedhistorycznych czasów. Gdyby miała syna, śmiało-by mogła powtórzyć za Geldhabem, że: na dół i do góry zostanie magnatką, bo potomkowi swojemu, oprócz świętego imienia, zostawiła-by jeszcze ogromne, milionowe dobra. Lecz losy tak hojne dla niej zkaąd inąd, nie dały jęj nazwiska matki. Nie zbyt sarkaała na tę krzywdę hrabina; ale, nie mając dziedzica, postanowiła użyć swego bogactwa jak można najmilęj. W częstych i długich podróżach królowała w niejednej stolicy; drobną monetę swojej dobroci i swego rozumu biła w najróżniejszych mennicach świata; wszakże nie pogardzała całkiem i rodzinną stroną, i niekiedy, jak dumna Junona, zstępująca z Olimpu na padół płaczu, raczyła stawić swoje arystokratyczną stopę na piaszczystym gruncie miejscowości, w której rzecz niniejszém opowiadana się działa. Tu drzwi jęj salonów otwierały się na oścież dla wszystkiego, co lśniło tytułem lub wielkim majątkiem; trochę się przymykały, ale jednak pozostawały otwarte dla tych, których czoła opromieniała aureola osobistych lecz głośnych zasług, za wpływem stugębnęj sławy, rozcho-
dząca się szeroko; tacy potrzebni tam byli, jako coś

modnego i razem niepospolitego. Po-za nimi wchodziły jeszcze kobiety, bez tytułu, bez majątku i bez sławy, ale z paszportem wielkiej piękności; te znowu potrzebne tam były jako kwiaty dla ozdoby salonu, w czasie balu lub paradnego obiadu. Po-za temi ostatniemi drzwi się już najzupełniej zamykały. Dla cichéj zasługi, użytecznej, najzaszczytniejszêj choćby pracy; dla kobiecego wdzięku, płynącego nie z klasycznej piękności form ale z pięknej duszy, salony hrabiny były zamknięte. Wszakże przez szparkę jaką lub dziurkę od klucza, wciskały się jeszcze do nich owe nowożytnie nadworne błazny wielkich panów. którzy póty liżą ręce, skaczą i zaglądną w oczy, póki ich pan nie pogłaszcze; póki nie pozwoli im usiąść na kanapie lub fotelu i nie postawi przed nimi talerza z przysmakami choćby u nóg swoich... na ziemi — boć zawsze to będzie na parkecie.

Hrabina mieszkała w jednym z największych miejscowych domów, stojącym wśród ogrodu, na który wychodził balkon pana Tarnowskiego i pani Różyńskiej.

Przed szerokim, wspartym o lekką kolumnadę gankiem wielkiej pani, stały się klomby kwiatowe, a po-za niemi w różne strony biegły ogrodowe ulice, ocienione starami drzewami, lub tylko strojne w kwiaty, jak w różnobarwne ramy. Między gestemi krzewami róż i jaśminów, albo pod cieniem rozłożystych drzew stały śnieżne ławeczki i, na tle gładkich tra-

wników, rysowały się słupy rozmaitych huśtawek i karuzelów.

Szeroki i piękny ten ogród otwierał się codziennie dla każdego, kto chciał użyć przechadzki, a hrabina, nie ruszając się ze swego ganku, widziała przesuwające się wszystkie postacie przybyłe do D*** i, jak biegły generał na rewii wojsk, umiała w tym przeglądzie publiczności rozpoznawać stopień, wartość i zasługi każdego, kto mijał oplecione bluszczem ściany jej domu.

Nazajutrz, po przybyciu p. Tarnowskiego i jego siostry do D***, około 11-tój zrana, hrabina, wpołleżąc w głębokim fotelu i trzymając nogi na aksamitnej poduszce, piła kawę, a przed nią na marmurowym stoliczku stał bogaty, srebrny przybór. Ranny jej szlafroczek, z białego przezroczystego muślinu, zrobiony *à la vierge*, odkrywał całą jej szyję i część piersi, i pstrzył się mnóstwem niebieskich kokardek. Na uczernionych i wysoko piętrzących się włosach miała leciuchny, koronkowy czepeczek — *bonnet volante*, z ogromnym pufem niebieskich wstążek nad czołem. Twarz jej blada, pulchna, z małemi, nieco złośliwie błyszczącemi oczkami, i z podbródkiem, zaokrąglającym jej oblicze, dobrze odpowiadała wszystkim kształtom postaci niskiej, pulchnej, okrągłej. W leciuchnym dziewczym swoim stroju, rozparta na aksamitnych poduszkach fotelu — pulchną też, białą i połyskującą brylantami rączką, sześćdziesięcioletnia

piękność podnosiła do wydatnych ust łyżeczkę ze wschodnim napojem, a szaremi oczkami bystre rzucała spojrzenie w różne strony ogrodu. Obok niej siedziały dwie młode i piękne kobiety, także w rannych ale w spacerowych strojach; snadź przechadzały się już po ogrodzie i weszły na ganek świątyni, aby oddać poranny pokłon miejscowemu bóstwu.

— *Figurez-vous, comtesse* — mówiła jedna — jakie mam zmartwienie! Dotąd nie przysłano mi z Warszawy sukni, o której mówiłam hrabinie wczoraj; niewiem jaką będę miała toaletę na jutrzejszym pikniku.

— *Mon Dieu, ma chère Mme Isabelle* — odrzekła hrabina — nie jesteśmy niestety ani we Francyi, ani nawet w Niemczech, gdzie koleje żelazne przywożą wszystko na zawołanie. Tu ażeby mieć coś z Warszawy, tydzień cały czekać trzeba; takie-to trzeba znieść przykrości, gdy się mieszka dans un pays barbare.

— A propos kolei żelaznych! — ozwała się żywo druga kobieta — czy hrabina wie, że do wód tutejszych przybyło kilku inżynierów, którzy mają wytknąć linią kolei żelaznej, mającej się budować między Wilnem i Warszawą.

— *Mon Dieu, Mme Clementine*, — odpowiedziało bóstwo — co to mię może obchodzić? *Grâce à Dieu*, mieszkam w tym kraju bardzo rzadko, więc kwestya kolei tutejszych mało mię zajmuje. Co zaś do inży-

nierów, to pewnie tacy ludzie *du métier* kółka naszego nie powiększą.

— Widziałam wczoraj jednego z nich u marszałkowej Z. — mówiła pani Izabella. — Zdaje się, że go marszałkowa dobrze przyjmuje.

— Mon Dieu — to tak łatwo! — pisnęła hrabina. — Ta biedna marszałkowa lubi robić melanż w swoim towarzystwie.

— Wszakże — mówiła znowu pani Izabella — nie mam jej wcale za złe, że przyjmuje u siebie tego pana, którego widziałam wczoraj; niemłody-to już człowiek, ale manierę ma irreprochable, a nawet w całej powierzchowności *quelque chose d'extrêmement distingué*.

— J akże się nazywa ten pan inżynier? — spytała pani Klementyna.

— Rawicki, je crois, i Stefan par dessus le marché.

— Stefan Rawicki — zawołała hrabina, a siwe jej oczki błysnęły; — *mais mon Dieu*, trzeba, aby on był u mnie! ja go chcę mieć u siebie koniecznie!

— Hrabina zna tego pana Rawickiego? — spytały zdziwione kobiety.

— *Mais si!* bywał u mnie w Paryżu. Bo tam, *mesdames*, każdy dystyngowany salon musi przyjmować każdą większą wziętość literacką i naukową, bez względu na ród i majątek. Zdemokratyzowali się

Francuzi, i to jedno możnaby zarzucić à ce beau pays de France. Ale mieszkając w jakim kraju, trzeba bongré, malgré, zastosować się do zwyczajów, pour bien tenir son rang w świecie. Przyjmuje więc zwykle w Paryżu wszystko, co tylko ma imię, et Mr. Rawicki miał tam une grande renommée. Prezentował mi go pan Jules Simon, napisał podobno jakieś dzieło o swojém *rzemiośle*, co go postawiło w dobrych stosunkach ze wszystkimi sommités paryżkiemi. A oprócz tego, c'est un bel homme.

— Mais comtesse — rzekła pani Klementyna — on już podobno nie piérszszj młodości, jak mi powiadano.

— Mon Dieu, to nic nie ma do rzeczy — odrzekła hrabina; — il je ne sais quoi co się podoba.

Gdy to mówiła wszedł na ganek pan Frycio Wiwiórski. Właściwie nosił on imię Franciszek; ale w dowód przyjaźni i koleżeństwa, towarzysze ochrzczili go mianem Frycia. Średniego wzrostu, mocno zaokrąglonj figury, z twarzą téż okrągłą jak księżyc w pełni, rumianą i zdobną czarnym zaostrzonym wąsikiem, pan Frycio nie wyglądał już całkiem na młodego człowieka. Owszem tusza jego, postać i łysina, starannie wprawdzie pokrywana, lecz zdradzająca się przy każdym silniejszym powiewie wiatru, lub podskoku w polce tremblante, wymownie pisały ponad jego lekko zaróżowaném czołem cyfrę lat czterdziestu. Z obrzydzeniem jednak odrzucał od siebie

Frycio myśl o tój nieszczęsnej w jego rozumie cyfrze, i, wszelkimi wysileniami sztuki i dobrego humoru, w postać swoją i oblicze wlewał młodzieńcze cechy. Z figurą, wygiętą nieco na przód dla zasłonięcia jój zbytecznej okrągłości, z nieodstępném szkiełkiem w pulchnój i pieszczonój ręce, pan Wiewiórski pozował na arystokratę. Nie pojmował on życia inaczej jak w *swojem* kółku, to jest między utytułowanymi i majątnymi; a choć sam nie posiadał tytułu, miał zato znaczny majątek i, po matce odziedziczone, liczne a *zaszczytne* stosunki. To tóż w tём *swojem* kółku pan Wiewiórski miał pozór najszczęśliwszego z ludzi. Na okrągłej i rumianej jego twarzy wiekuiście rozlewał się wyraz słodkiej szczęśliwości, a usta jego układały się pod czarnym wąsikiem niby do ciągłego smakowania *wybornego*, jak najsmaczniejsza potrawa, życia. Z tego tóż układu ust wynikało, że, jak mówiono, własne wyrazy swoje wciągał w siebie i połykał, jakby wciąż się pojąc tym nektarem swoich myśli. Lecz niestety, jakże często mylą pozory! Pan Frycio Wiewiórski nie był zupełnie szczęśliwym, i uznał stanowczo, że nigdy nim nie będzie, póki mu nie zaświeci pochodnia hymenu.

Nie małe jednak w dojściu do tego upragnionego celu znajdował trudności. Mógłże wziąć żonę inną, jak ze *swojego* kółka? Maryaż z każdą choćby najpiękniejszą i najpiękniej ubraną kobietą (były to dwa przymiety najwyżej cenione w płci pięknej przez pa-

na Frycia), jeśli tylko stojącą po-za tém uprzywilejowaném kółkiem, groził mu strasydłem *mezaliansu*. Dotąd jednak piękne rączki hrabianek, księżniczek i dziedziczek dóbr, podawały panu Fryciowi, najestetyczniej wprawdzie uwite, ale zawsze grochowe wianeczki; był więc ciągle w oczekiwaniu, w nadziei, w poszukiwaniu, a tymczasem *bawił* modne piękności i studyował pilnie wszystkie artykuły kodexu kobiecój toalety. To téż był uznany za tak biegłego w téj nauce erudytę, iż nie jedna z najświetniejszych pań pytała go, wchodząc do salonu: — Mr. Wiewiórski, czy dobrze mi w dzisiejszém ubraniu? — A on, z twarzą rozjaśnioną bozką szczęśliwością, mówił: — Madame, radził-bym opuścić koronkę nieco niżej, et de retrousser un peu le bout de votre ruban.

— Il n'y a comme Mr. Wiewiórski pour les détails — mawiała złośliwa pani Izabella.

— Może pani potrzebuje załatwić jaki sprawunek — odpowiadał usłużny p. Frycio — je suis à vôtre service.

— Mais oui! kup mi pan w sklepie dwa łokcie niebieskiej wstążeczki, pas plus large que ça.

I pan Wiewiórski biegł do sklepów po dwa łokcie niebieskiej wstążeczki.

Razem z panem Wiewiórskim, na ganek hrabiny wszedł doktor K., średnich lat i szlachetnej postaci. Na ich widok hrabina poruszyła się w fotelu tak żywo, że aż bonnet volage zadrżał na jój głowie; a zwraca-

cając się ku przybywającym, zawołała piskliwym głosem :

— Messieurs, czy kto z panów zna pana Stefana Rawickiego, inżyniera?

— Ja znam go — odpowiedział doktor.

— Mon Dieu, cher docteur, wdzięczna ci będę, jeśli mi tu sprowadzisz tego pana; figurez vous, on wysoko był uważany w Paryżu!

Doktor uśmiechnął się nieco ironicznie.

— Taki człowiek, rzekł — jak pan Rawicki, — wszędzie i zawsze musi być dobrze uważanym. Przyjemnie było-by nam wszystkim spotykać go w domu pani hrabiny, ale wątpię, czy będę mógł spełnić jój żądanie.

— Mon Dieu! dla czegoż nie?

— Pan Rawicki jest człowiekiem pracy; przyjechał tu nie dla zabawy, ale dla obejrzenia gruntu, na którym budować się będzie kolój żelazna, i dla wytknięcia jój linii. Przyzwyczajony do poważnego zajęcia i zaniżowany w swoim zawodzie, ciągle prawie pracuje, a jedynemi jego znajomymi tutaj jesteśmy ja i pani marszałkowa Z. Nie wiem więc, czy będę mógł...

— Mais mon Dieu — z niezadowoleniem wycedziła hrabina — jeśli ten pan tak wysoko ceni swoje osobę, nie nalegam wcale; jednak, si la chose se peut, gdybyś go tu przyprowadził, doktorze, vous m'obligeriez infiniment.

W czasie téj rozmowy hrabiny z doktorem, Frycio robił uwagi obecnym paniom, nad pięknością ich toalet; gdy nareszcie zdołał oderwać oczy od koronek, zdobiących ich suknie i podniósł je na ogród, lekki wykrzyk z ust jego wyskoczył. Przyłożył szkiełko do oka, popatrzył i, żywo zwracając się do hrabiny, półgłosem wyszeptał:

— Veuillez voir Mme la comtesse, niech hrabina spojrzy na tych dwóch panów, wychodzących z alei i idących ku gankowi.

— Eh bien! qu'y a t-il? — zapiszczało bóstwo, przykładając lornetkę do oczu, co téż natychmiast uczyniły i dwie inne piękne panie, patrząc we wskazaną stronę.

— Jeden z idących — mówił Frycio — ten młody brunet, to jest od wczoraj przybyły do tutejszych wód, pan Henryk Tarnowski, un homme très comme il faut; ma tysiąc dusz i śliczną siostrę.

— A ten drugi, to właśnie ce Mr. Rawicki, którego spotkałem u pani Z. — rzekła pani Izabella, patrząc przez lornetkę w stronę nadchodzących.

Z ciemnej lipowej alei, na wążką dróżkę, ozłoconą słońcem i otoczoną kwiatami, wyszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był istotnie pan Tarnowski. Klasyczne jego kształty, pięknie rysowały się wśród otaczających je złotych promieni słońca; z pod okrągłego kapelusza, pokrywającego mu czoło, wymykały się gęste kędziory bardzo czarnych włosów. Obok

niego szedł człowiek słusznój i poważnój postaci, z wielką prostotą, ale z wielkim téż smakiem ubrany. Twarzy jego trudno było dojrzyć z pod kapelusza o szerokich brzegach; lecz w chodzie jego, w ruchach i w każdym z gościów żywych, a razem poważnych, jakie się przy rozmowie uwydatniały, było coś nieskończenie szlachetnego i ujmującego. Obadwaj idący rozmawiali żywo i z zajęciem; towarzysza pana Tarnowskiego trzymał w ręku małą laseczkę, którą kreślił niekiedy w powietrzu jakieś znaki, ukazując nią młodemu człowiekowi to północną, to południową stronę horyzontu.

Kiedy się znaleźli o kilka kroków od domu hrabiny, umilkli i, machinalnie spojrzawszy na siedzące na ganku towarzystwo, spotkali się z kilku wymierzonymi ku nim lornetkami. Po ustach obudwóch przebiegł szybki, ironiczny uśmiech. Pan Henryk zwrócił spojrzenie w inną stronę, a jego towarzysz lekko dotknął kapelusza, mijając hrabinę, która oddała mu zimno-grzeczny ukłon. Gdy się nieco oddalili, pani Izabella, lornetując ciągle odchodzących, rzekła z cicha do pani Klementyny :

— Mais il est extrêmement beau, ce Mr. Tarnowski.

— Et l'autre? — zapytała jój towarzyszka.

— Nie widziałam twarzy, ale co za wspaniała postawa! on dirait un prince.

Tymczasem pan Frycio szybko zbiegł z ganku

i pogonił za odchodzącymi. Po krótkiej chwili pan Tarnowski usłyszał za sobą wykrzyk :

— Que vois je! pan Tarnowski!

Obejrzał się pan Tarnowski, i ujrzał przed sobą okrągłą figurę, pełną niewymownej szczęśliwości, rumianą twarz pana Wiewiórskiego.

— Pan tutaj! — wołał dalej Frycio — cóż za szczęśliwa dla nas gwiazda sprowadza pana tutaj? Mam przyjemność przypomnieć się panu: Franciszek Wiewiórski! widywaliśmy się u ciotki mojej, hrabiny S.

— Prawdziwie, nie przypominam sobie — odrzekł Henryk, lekko dotykając wyciągniętą ku niemu pulchną rękę zainprowizowanego znajomego.

— O, nic dziwnego!... zapomina się niekiedy o mało znajomych; ale ja się panu przypomnę, koniecznie przypomnę. Odwiedzę pana, wprowadzimy pana w *nasze* kółko... Gdzie pan mieszka?

— W domu N. — odpowiedział młody człowiek, nie rozumiejąc tej niespodzianej uprzejmości.

— Dans un moment, będę panu służył — teraz nie zatrzymuję! — rzekł Frycio i, uściśnawszy raz jeszcze zimno podaną sobie dłoń Henryka, wrócił do lornetującego ciągle towarzystwa.

— Któż jest ten pan? — spytał towarzysz Tarnowskiego, gdy się Frycio oddalił.

— Że się nazywa Wiewiórski, powiedział mi to przed chwilą; więcej nic o nim nie wiem. Musiałem

go widywać w towarzystwach, tak jak się nieraz widuje obojętnych i niesympatycznych ludzi — mimochodem, nie zatrzymując w pamięci najlżejszego śladu tych znajomości.

— To prawda — rzekł z lekkim sarkazmem poważny mężczyzna — że są na świecie ludzie, których widok robi wrażenie okrągło narysowanego zera. Z którejkolwiek strony ich ujrzysz, zawsze zobaczysz zero, i jak o zerze wkrótce o nich zapomnisz.

— Powiedz-że mi, kochany Stefanie — mówił znów Henryk — jakie to jest towarzystwo, które tak zuchwale wystawiło przeciw nam baterią lornetek, i z którego łona, jak się zdaje, wyszedł ten śmieszny Wiewiórski? Kłaniałeś się tam komuś, bodaj tej pięknej umuślinowanej pani, zatopionej w fotelu; kto ona jest?

— Od kilku już dni bawię tutaj — odpowiedział pan Stefan — znam więc poniekąd wszystkie, cokolwiek wybitniejsze postacie tutejszej publiczności, nie osobiście wprawdzie, ale z widzenia i słyszenia. Owa pulchna, umuślinowana pani, jest hrabina X., jedna z nieszczęśliwych kobiet, które, spędziwszy młodość bez jakiegokolwiek poważniejszej myśli, ni pracy, nie umieją poszanować powagi starości, i ukazują się światu w arlekińskiej szacie pożyczanych od młodości gałganków. Poznałem ją w czasie ostatniej, długiej bytności mojej w Paryżu. Stolica Francyi, jak wiesz, poddana jest niezmiernie królowaniu mody;

a ponieważ hrabina robiła wszystko, co mogła, -aby salon jój był modnym i dopięła swego celu, poważni więc nawet i uczeni ludzie, przestępywali niekiedy jój progi. Z jednym z nich byłem u niej parę razy. Ale dziwnie przykre wrażenie robiła na mnie ta zbluźniona starość, tém bardziej, że sam nie jestem młodym i czuję, jak śmieszne jest wkładanie na siebie niestosownych pozorów.

— O, mój przyjacielu szanowny — zawołał z uśmiechem pan Henryk — nie mów téż o swoich latach! Kto tam wie ich cyfrę? a umysłem, postacią i zacnem ciepłem twego serca, młodszy jesteś od wielu młodych latami.

— Masz słuszość, Henryku, że lata nie pochyliły mię ku ziemi, nie ostudziły mego serca i nie osłabiły władz myślenia; fizycznie i moralnie jestem silny tak, jak nim byłem przed dwudziestoma laty. Wiem to jestem surowości mojego życia, ciągłemu hartowaniu się, pracom poważnym i oddalającym ode mnie burzliwe namiętności, a może w części i silnej, żywotnej naturze, którą czas z trudnością rozstraja.

Gdy to mówił pan Stefan, wchodzili właśnie dwaj idący na wschodki balkonu, i znaleźli się w niewielkim saloniku, mieszkania pana Tarnowskiego i jego siostry.

Kiedy pan Stefan Rawicki zdjął kapelusz i stanął w otwartych drzwiach balkonu, można było dostrzedz, że w istocie nie był już młodym. Dowodziły tego

lekką gładzię posrebrzoną i nieco przerzedzoną nad czołem, krótko przystrzyżone włosy; w brodzie też jego długiej, gęstej i ciemnej, przeglądały także srebrne promyki. Mimo jednak te oznaki długich lat przebytych, niepodobna było stanowczo orzec wieku pana Rawickiego. Wyraz twarzy jego i oczu był tak niepospolity, tak pełen blasku i siły że niepodobna było zaprzeczyć temu człowiekowi, jeśli nie wdzięku, to przynajmniej wiele z potęgi młodszemu wiekowi właściwej. Czoło jego wysokie, i zdające się tym wyższe jeszcze, że przerzedzonymi nieco włosami pokryte, zrysowane dwiema zmarszczkami, zsuwającymi nieco brwi, nie miało na sobie cech zmęczenia, lub gwałtownych przebytych burz, jakie noszą zwykle czoła ludzi, strudzonych długą życia wędrówką. Owszem, było ono pogodne, lekko tylko surowe i bardzo poważne; również surowe a poważne oczy patrzyły z zamysleniem i niekiedy błyskały żywym ogniem. Czoło to i oczy, nadawały-by nawet twarzy całej zanadto surową cechę, gdyby nie usta, oblane wyrazem prawdziwej, męskiej dobroci, która, przy uśmiechu i mówieniu, zmieniała się w ożywczy wyraz serdecznego ciepła i szczerości. Nie można było powiedzieć o nim: młody człowiek; ale ze spojrzenia, z uśmiechu, z postawy jego całej, tryskała silna, gorąca, choć poważna i surowa dusza; a cała powierzchowność tego człowieka pociągała rodzajem jakby magnetycznego wpły-

wu, jaki zwykle potężne natury rozlewają wokoło siebie.

— Witaj-że w progach moich, drogi przyjacielu! — rzekł pan Henryk Tarnowski, serdecznie ujmując dłoń pana Rawickiego — szczęśliwy jestem, że po tak długim niewidzeniu się, mogę znowu uściskać twoją zacną dłoń.

Pan Rawicki uściskał wzajemnie ręce młodego przyjaciela, i obaj usiedli w saloniku, w którym znaczne już było przejście umiejaczej wszystko okryć wdziękiem kobiety. Na stole, obok dużego bukietu kwiatów, leżała książka otwarta i stał srebrny koszycek z kobiecą robótką; gdzieindziej leżał niedbale rzucony kobiecy kapelusik, i obok niego rękawiczki, zdjęte z drobnój snadź ręki. Obrzucił wzrokiem pan Rawicki te wszystkie przedmioty, lekko uśmiechnął się i rzekł:

— Jak widzę, ożeniłeś się, Henryku.

Rozśmiał się głośno młody człowiek i zawołał:

— Zkądże ci przyszła ta myśl, mój drogi?

— Przypuszczam przecie, że nie wyszywasz sam jedwabiami na kanwie, i nie nosisz tego kapelusza, który tam leży.

Głośniej jeszcze rozśmiał się Henryk.

— Nie zwróciłem uwagi na te drobiazgi—rzekł— tak już do ich widoku przywykłem. W każdym razie nie należą one do mojej żony, ale do siostry. Przyjechałem tu z moją siostrą.

— Zapomniałem, że masz siostrę — odpowiedział pan Rawicki. — Mówiłeś mi kiedyś o tém. Starsza, czy młodsza od ciebie?

— Młodsza o lat kilka.

— Musi już być mężatką.

Na te słowa, uśmiech zniknął z ust pana Henryka, brwi mu się zsunęły i wyraźny smutek całą twarz zalał. Przez chwilę nic nie odpowiadał.

Spostrzegł tę zmianę wyrazu twarzy i to wahanie się, pan Stefan, i pożałował swego pytania. Na myśl mu przyszło, że może siostra Henryka była jedną z tych istot nieszczęśliwych, niedołączonych, ułomnych, lub odrażająco szpetnych, i wskazanych przez to na wieczne osamotnienie, że więc pytaniem swoim zranił serce dobrego i kochającego brata.

— Siostra moja — rzekł po chwili Henryk, zwołna i wyraźnie, jakby ważąc słowa swoje — wiele cierpiała, a we mnie jedyne ma przyjaciela i opiekuna.

Gdy domawiał tych wyrazów, otworzyły się naprzeciw siedzących drzwi i stanęła w nich pani Regina Różyńska. Po spoczynku, twarz jej bledszą jeszcze była, niż wczoraj — przezroczysta, bez śladu rumieńca, a tylko zarysowana siecią niebieskich żyłek. Czarna suknia otaczała ją ciężkimi i długimi fałdami, a jedyną jej ozdobą była żałobna wstęga, opasująca szczupły stan i spływająca do ziemi. Wraciała snadź z ogrodu, bo w ręku trzymała białą różę.

W poważny ten i surowy strój przybrana, powoli postąpiła kilka kroków. Obaj siedzący mężczyźni powstali, a pan Henryk, biorąc rękę siostry, rzekł :

— Przedstawiam ci, Regino, najlepszego mego przyjaciela, pana Stefana Rawickiego, o którym nieraz słyssałaś odemnie.

A zwracając się do Stefana, dodał :

— Moja siostra, Regina Różyńska.

Wzrok pana Stefana, z wyrazem lekkiego zdziwienia, spoczął na pięknej twarzy i postaci wchodzącej ; nie spodziewał się ujrzeć pięknej kobiety. Regina patrzyła téż na poważnego człowieka, z wyrazem żywego zajęcia.

— Istotnie — rzekła wreszcie, podając mu rękę — nazwisko pana nie jest mi obce. Brat mój mówił mi wiele o wszystkim, co winien panu i jak mu miło a korzystnie było mieć pana za towarzysza długich po Europie podróży. Szczerze się więc cieszę, poznając tak dobrego i zacnego przyjaciela Henryka.

Słowa te, powiedziane były z prostotą i wdziękiem, ale głos Reginy, szczególném swoim brzmieniem, uderzył pana Stefana. Nie był on srebrny, ani taki świeży i dzwięczny, jakim mówią młodziuchne, tylko co rozkwitające kobiety ; owszem, stłumiony nieco i, jakby powiedział muzyk, prawie altowy — a miał cechę dojrzałości, powagi i jakiegoś skupionego w sobie, wewnętrznego a spokojnego smutku. Skończyła mówić, a pan Stefan patrzył jeszcze na nią ba-

dawczém przeciąglém spojrzeniem, i oczy jego błysnęły kilka razy. A im dłużej patrzył, tém wyraźniej widział na czole młodej kobiety, odcień przebytych cierpień. Nie dający się opisać słowami, niepochwytny i dla zwyczajnego oka niedostrzeżony, bywa jednak na czołach ludzkich, ów znak ręką boleści wyryty, który spojrzeniu badacza mówi stanowczo: ten człowiek cierpiał! To blade i smętne piętno cierpień, dostrzegł pan Stefan na czole Reginy, i poczuł rodzaj współczucia, rodzaj magnetycznego pociągu do młodej kobiety, tak wczesnie naznaczonej smutnemi rysami życia. Nareszcie oderwał wzrok od białej i poważnej twarzy kobiecej, wypuścił jęj rękę, którą przez chwilę zatrzymał w swojej dłoni i odpowiedział:

— Tak pani, podróżowaliśmy długo z Henrykiem; razem czerpaliśmy ze źródeł cywilizacyi w pysznych stolicach Anglii i Francyi, razem drapaliśmy się na szczyty Alpejskich gór i Szkockich skał, i razem widywaliśmy straszne burze morskie. To téż szczerze rad byłem, ujrzawszy tu mego młodego przyjaciela, i błogosławię wypadkowi, który nas jednocześnie sprowadził do D***, a dzisiejszego ranka dał nam niespodzianie spotkać się w ogrodzie.

— Pan przybył tu dla zdrowia? — spytała Regina — czy dla...—Chciała dodać: zabawy — ale zawała się; bo zdawało się jęj niestosowném zwracać taki wyraz do poważnego i rozumnego człowieka.

— Nie pani — odrzekł p. Rawicki — jestem tu przysłany od kompanii, mającej budować kolej żelazną, jako inżynier, dla zbadania miejscowości i rozpoznania najwłaściwszego kierunku, jaki tej drodze nadać należy.

— Będziesz więc pan uczestniczył w bardzo ważnym i pięknym dziele; bo droga żelazna to ważny czynnik cywilizacji i bardzo go tutejszej stronie brakuje.

— Zapewne pani; spodziewam się, że praca moja przyniesie pożytek. To też tak oddany jej jestem, że bardzo mało osób z bawiących tutaj zdołał dotychczas poznać.

— Myśmy tu przybyli — odezwał się Henryk — częścią dla zdrowia Reginy, potrzebującego tutejszych wód, częścią dla zwiedzenia nieznanych nam obojgu dotąd tych stron. Ale że, jak wszędzie tak i tutaj, najciekawszym źródłem badań są ludzie, więc pragnęlibyśmy z tutejszym zapoznać się towarzystwem, żeby mieć pojęcie o obyczajach i cechach społeczności, zamieszkującej te strony. Że jednak nie mamy tu znajomych, to nie wiem, jak potrafiemy uczynić wybór stosunków.

— Według mojego zdania — odrzekł Stefan — dla ludzi takich jak państwo, nie mogących uleść złym wpływom i w zetknięciu się ze społecznością nie szukających samej tylko zabawy ale i nauki, wybór bardzo ścisły nie jest potrzebny. W kółkach rozumnych

i miłych, dobrze wam czas przechodzić będzie; w sferach próżności i społecznych karykatur, poznacie złą stronę towarzystwa, nauczycie się wyżej cenić, co istotnie dobre, i bezstronnie, ani nazbyt surowo, ani zbyt optymistycznie, zapatrywać się na to, co was otacza.

— Radzisz-że nam zbliżyć się do hrabiny X., Stefanie?

— Dlaczegoż-by nie? Nie radził-bym ci tego przed dziesięcioma laty, ale dziś, pewny jestem, że zło do ciebie, chcę mówić, do obojga państwa nie przylgnie. A ujrzycie tam państwo naturę ludzką z odwrotną jej strony. Zresztą, nie same śmieszne istoty zapełniają salony hrabiny; spotkacie tam państwo pewno wielu zacnych ludzi, pociągniętych także może pragnieniem zbliżenia się do różnych kółek tutejszego towarzystwa. U wód, nie bardzo można przebierać. Prawdziwie jednak, zacna i rozumna kobieta, którą polecić mogę znajomości pani -- dodał, zwracając się do Reginy — jest-to marszałkowa Z.; przybyła tu z dwiema wnuczkami, dla ratowania mocno zagrożonego zdrowia jednej z nich.

Kończąc te słowa i jakby dla zmienienia przedmiotu rozmowy, wziął kwiat róży, którą przed chwilą Regina położyła na stoliku.

— Co za wspaniały kwiat! — rzekł, patrząc w białe, delikatne, i jeszcze drżące pod drobnymi kroplami rosy, zwoje liści różanych.

— Lubisz zawsze kwiaty? — zapytał Henryk.

— Dwie tylko rzeczy w życiu zawsze kochałem namiętnie — odpowiedział inżynier, patrząc ciągle w różę: — naukę i kwiaty.

— A żywego jakiego kwiatu nigdyś namiętnie nie kochał? — rzekł ze swobodnym uśmiechem Henryk.

Uśmiech ten, wywołał na usta Stefana także uśmiech, ale, jakby smutny, jakby ironiczny, po którym zapytany odpowiedział:

— Czy wiesz, Henryku? że bodaj nigdy.

Mówiąc to — spotkał się ze wzrokiem Reginy; oczy kobiety, duże, ciemne, myślące, a jednak pełne ognia... istne oczy Ukrainki, z dziwnym wyrazem przywiązane były do jego twarzy. W spojrzeniu tém nie było ani cienia wabności, a jednak tryskało ono dziwną siłą, smutną jakąś, magnetyczną.

Pan Stefan położył na stole białą różę, a po przeczczem czole Reginy przemknął lekki rumieniec.

W téj chwili z trzaskiem otworzyły się drzwi i, ni-by piłka, wpadła do salonu okrągła figurka pana Wiewiórskiego. Jak z olbrzymiego klombu rezedy, jaśminu i róż, tak z jego wygiętéj naprzód i napuszonej postaci, wionęły fale rozlicznych woni; liliowe rękawiczki lwa nadniemeńskiego wyprzedzały jego postać, a na misternie zawiązanym krawacie, lśniła pyszna brylantowa szpilka.

— Jestem akuratywnym — wołał, wbiegając i jak-by smakując każdy z własnych wyrazów — zaledwem się wyrwał od hrabiny, tak mi pilno było odwiedzić

pana. I byłbym tu już wcześniej, gdyby nie to, że po drodze zatrzymał mię hrabia August W. On także pragnie zrobić pańską znajomość, monsieur Tarnowski, zapewne pan pozwoli wprowadzić go do swojego domu.

To mówiąc, po raz pierwszy spojrział na Reginę. Na widok słusznej i poważnej, a pięknej kobiety, okrągła twarz jego zajaśniała niewypowiedzianą, miodową słodyczą, usta roztworzyły się do niebiańskiego uśmiechu, oczki się zmrużyły. Zbliżając się do gospodyni domu, ukłonił się z całą gracyą, na jaką tylko dozwoliła tusza, której złożył w duchu, i wyrzekł pełnym dystynkcyi i prezencyi głosem :

— Madame! j'ai l'honneur de vous présenter mes hommages!...

Z nieukrywaną nawet ironią w uśmiechu i głosie, przedstawił Henryk siostrze i przyjacielowi nowego gościa, po czém rozpoczęła się rozmowa, w której tylko pan Stefan nie brał udziału. Usiadł on nieco zdaleka, machinalnie trzymał w ręku ujętą znów różę, i zdawał się być głęboko zamysłonym. Kiedy niekiedy tylko, poważne jego spojrzenie podnosiło się na twarz Reginy i spoczywało na niej długą chwilę, jakby w ryśach i w odblaskach téj twarzy, wyczytał duszę młodej kobiety.

Pan Frycio mówił wiele i żywo, wyginając się i pozując. Opowiadał o *swojem* kółku, znajdującem się obecnie u wód tamtejszych, a zdobnym w książęce i hrabiowskie mitry i w milionowe cyfry majątków.

— Dotychczas — mówił — z Ukrainy nie mieliśmy nikogo w *naszém* kółku. Vous serez Mme le premier astre, przybyłą vers nous z jasnego horyzontu pięknej Ukrainy.

Powiedziawszy to, zdziwił się sam genialnemu komplementowi, który mu przyszedł do głowy i, coraz bardziej ożywiając się, mówił dalej.

— Ale pani nie jest zupełną Ukrainką. Familia Różyńskich mieszka na Wołyniu. Słyszałem force louanges o panu Alfredzie Różyńskim. Serait-il votre cousin, albo może?...—Tu ułożył usta w najwdzięczniejszy wyraz uśmiechu, i dodał z cicha i z ukłona mi: — et peut-être votre epoux.

Gdy pan Frycio wymawiał imię Alfreda Różyńskiego, twarz Reginy nagle i bardzo zbladła, jakby nagłym ruchem krew z niej cała uciekła; poczem znów bladość, jak błyskawica, znikła pod gwałtownym rumieńcem, który pokrył czoło, lice i na ustach trysnął purpurą. Było to jedno mgnienie oka, gadatliwy gość nie dokończył jeszcze mówić, gdy młoda kobieta była znowu, jak zwykle, przezroczyście biała i spokojnie odrzekła:

— Tak, znam trochę Wołyń, mieszkałam tam czas jakiś.

Pan Wiewiórski nie zwrócił naturalnie uwagi na tę błyskawiczną grę twarzy kobiecej, ale dojrzało ją badawczo utkwione w lice Reginy oko pana Stefana.

Poważny, doświadczony człowiek, znał gorzkie tajemnice, kryjące się nieraz w sercach ludzkich; przez baczne przyglądanie się kolejom różnych istnień, doszedł do stopnia znajomości natury człowieczej, nie dopuszczającego zbytniego nad czémkolwiek podziwu. Jednak na widok tój nagłej bladości i gorącego rumieńca Reginy, w głowie mu drgnęła myśl: jakż jest przeszłość tój kobiety?

Po chwili obadwaj goście opuścili salonik pani Różyńskiej. Pan Wiewiórski, ściśle strzegący praw etykiety, wyszedł piérwój z tysiącem ukłonów i komplementów. Pan Stefan nieco później, zamyślony i poważny jak zwykle, ale serdeczny. Wychodząc podał rękę Reginie, i młoda kobieta uczuła na dłoni swojej uścisk ciepły, drgający sympatyą i współczuciem.

Po wyjściu Stefana, pani Różyńska usiadła zamyślona przy otwartych drzwiach balkonu i, milcząc, wpatrzyła się w ozłoconą promieñmi przestrzen ogrodu.

— O czém tak zamyśliłaś się, Regino? — spytał jój brat.

— Myślę, — odpowiedziała, podnosząc na niego oczy, niezwykle jakoś błyszczące, — że podobał mi się bardzo pan Rawicki. Poważna to i piękna musi być dusza.

— Jam ci to nieraz mówił, — z zapalem zawołał Henryk, — jaki to zacny człowiek! Możesz sobie

wyobrazić, z jaką radością zobaczyłem go dziś w ogrodzie i jak jestem rad, że miłe na tobie uczynił wrażenie. To, żeś umiała ocenić go i pojąć w krótkiej chwili, dowodzi, że nie lekko patrzysz na ludzi i że już pierwszy twój sąd o nich jest dojrzały. W oczach większej części kobiet, które znam, człowiek ten możeby nie znalazł nigdy uznania, bo może, — rzekł z uśmiechem, — nie patrzyły-by na niego ze względu na wiek jego.

— Wiek jego! — odrzekła Regina; — według mnie, kwestya lat jest zupełnie obojętną wobec pełni sił fizycznych i duchowych, które człowiek w jakiegokolwiek epoce życia posiada, bo one niekoniecznie od lat tego życia zależą. Dzieci tylko i ci, którzy dziećmi są doświadczeniem, dla tego, że go nabyć nie mogli, nie patrząc, zatém ludzie, nie znający usposobień człowieka, bawią się i łudzą bezzasadną rachubą lat, nie myśląc o tém, że, w skutek wpływów natury lub okoliczności, młody latami może być nieraz starszym, a wiekiem poważny, młodym fizycznie i moralnie. Co do mnie i te ostatnie przymioty niekoniecznie, nieostatecznie stanowią w moich oczach o wartości człowieka, bo obok nich potrzebna jest i dojrzałość. Człowiek, który już przebył znaczną część swojej ziemskiej drogi, ma nieskończenie większą wartość od tego, który dopiero żyć poczyna. Za tamtego istotą wewnętrzną, za siłą jego władz moralnych a nawet zmysłów, świadczą już czyny i dokonane pra-

ce, świadczą lata przebyte, t \acute{e} m lepiej, je \acute{s} li czysto i po \acute{z} ytecznie. O takim stanowczo ju \acute{z} wyrzec mo \acute{z} na kim jest i jakim zostanie, kiedy wchodzący dopiero na drogę \acute{z} ycia, ma tylko zarody dobrego, zawiązki, które, stosownie do jego natury i okoliczności, jakie spotka, rozwinać się mogą lub zwiększyć. O t \acute{e} m niema co i mówić, a nawet dziwię się nieco, znając cię, że mogłeś pomyśleć, ty właśnie, doskonale go znający, o wieku pana Rawickiego, o którym trudno myśleć, widząc jego szlachetną postać.

Mówiła to ze swobodą pełną szczerości; a pot \acute{e} m, jakby j \acute{e} y nagle jakaś myśl przyszła, ujęła rękę brata i rzekła żywo:

— Proszę cię, Henryku, nie mów mu nic o mojej przeszłości.

— Dla czego, Regino?

— Nie znam pojęć jego pod pewnemi względami, a nie chcę, aby ten człowiek źle o mnie myślał — odpowiedziała z lekkim smutkiem w głosie i dodała: — niech wprzódy pozna mię dobrze!

— O, moja droga, — rzekł Henryk, — w sercu Stefana są skarby istnie chrześcijańskiej pobłażliwości. Wi \acute{e} on dobrze, jakie losy rządzą ludźmi, jakie burze miotają nieraz sercami; i choć sam niedoświadcział ich pewnie w surow \acute{e} m i pracowit \acute{e} m swoim \acute{z} yciu, badał jednak ich potęgi bo \acute{z} e w istnieniach innych. Wiem wi \acute{e} c z pewnością, coby pomyślał o two-

jéj przeszłości; ale jeśli tak chcesz, to nic mu o niéj nie powiem.

Regina została sama ze skronią opartą o ścianę, przy którój siedziała, z rękoma złożonemi na kolanach, z oczyma, wpatrzonemi w błękitny pas Niemna.

Siedziała tak długo i myślała, i myślą opuściła miejsce, w którém była w owéj chwili, a przeniosła się do swego cichego, wiejskiego domu; i przypomniała sobie, jak nieraz, o zmroku albo przy świetle ognia, płonącego na kominku, słuchała długich opowiadań brata. Z opowiadań owych stanęły przed jéj myślą obrazy różne, w których p. Rawicki niepoślednie zajął miejsce.

I widziała wyobraźnią wrzący i tłumny Paryż, a w nim brata swego, z młodzieńczym porywem, z ognistą naturą, rzucającego się w wir pokus. W pełnym dymu i gwaru salonie francuzkiego markiza, brat jéj z rozpłomienioną twarzą rzucał na zielony stół pieniądze, a gdy ich zabrakło, drżącą ręką zdjął z palca pierścień, od matki pamiątkę, i jeszcze go rzucał na pastwę roznamiętnieniu. Przegrał wszystko i obsiadła go zgryzota. Nie pieniędzy żałował, bo był bogaty; ale poczuł, że czasu namarnował niemało, że marnował środki materyalne, z którychby zacny mógł uczynić użytek. W téj chwili życia swego zapoznał się Henryk z panem Rawickim, który podparł młodzieńca, gotowego prawie rzucić się pod szalone koło fortuny dla odzyskania tego, co stra-

cił, słowem rozzumnej przestrogi, i namówił do wyjazdu z sobą w Alpy, których czyste, górskie powietrze, zmyć miało zeń kurzawę nowożytnego Babilonu.

I widziała w swéj wyobraźni, łańcuchy niebotycznych gór. W powietrzu wiszą bryły granitów, co chwilę grożąc upadkiem; ze szczytów z głuchym łoskotem odłamy lodu spadają w otchłanie bezdenne; a wśród tych pełnych grozy i piękności odgłosów i widoków, dwaj ludzie pną się po ścianach skalistych i stają u szczytu. To brat jéj i poważny jego przyjaciel. Kiedy zmęczony młodzieniec usiada, by spocząć, inżynier schylony, bada pokłady ziemi, rozważa naturę gruntu, skał i kamieni; a potem, zbliżywszy się do jéj brata, przez mikroskopijne szkło ukazuje mu tysiące skamieniałych istot, składających ziemię, na której stoją, a których szczątki rozpoznać może tylko biegłe oko geologa.

I widziała dalej w swéj wyobraźni okręt, płynący po błękitnym Adryatyku. Wicher gwałtowny rwie żagle z jękiem i trzaskiem; fale morskie wzdymają się w potworne bałwany, niebo huczy grzmotem bez końca i piorunną strzela błyskawicą. Na okręcie popłoch i jęk rozpaczy. Dwaj tylko ludzie śmieli i niezbledli patrzą w twarz śmiertelnie walczącym żywiołom. To znowu brat jéj i jego przyjaciel. Henryk się nie lęka, bo i sam jest odważny i wzmacnia go męstwo towarzysza; ale w przedśmiertnej

chwili posyła myśl ku stronie rodzinnej, ku mogile rodziców i ku siostrze, którą dziecięciem pożegnał, a łza pożegnania i żalu za tém, czego już nie ujrzy, na oku mu błyszczy. W oku drugiego mężczyzny łzy niéma; pała ono ogniem; jakby pożyczonym od błyskawic, które ślą w świat pioruny. Walka żywiołów uroczystym twarz jego oblewa spokojem. „Henryku — mówi — po co ta łza w oku? Wszak jesteś człowiekiem! Nim pochłoną cię te wzburzone żywioły, do ostatniej chwili twego życia ty im panujesz, bo one bezmyślne a tyś naczynie myśli; one grożą a ty się nie lękasz; ich tchnienia umilkną, a twój duch połączony z duchem całej ludzkości nie umrze nigdy!“

I widziała jeszcze w swój wyobraźni, jak Rawicki wrócił z jej bratem znów do Paryża, przywożąc tam napisane w podróży znakomite dzieło, równie inżynierowi jak i geologowi zaszczyt przynoszące. Uczenni otoczyli go szacunkiem i uznali za brata swego w duchu, wiedzy i zasłudze; droga do zaszczytów naukowych otworzyła się przed nim, ofiarowano mu profesorską w Paryżu katedrę. Ale on, zamiast biedzić ku sławie, szukać powodzenia u obcych, często biegł myślą daleko od świetnej stolicy do kraju, w którym się rodził. Odrzucił więc zaszczyty.

Widziała to wszystko wyobraźnią Regina; bo nie-raz już przy opowiadaniach brata obrazy te tworzyły

się w jej umyśle, a dziś kiedy poznała pana Rawickiego, stanęły przed nią wyraźne a piękne.

A od tych obrazów może jej myśl przeniosła się we własną przeszłość tajemniczą dla wszystkich, dla niej jednej jasną i widomą, choć przeszłość ta zamglona była smutnym cieniem.

I może myślała o życiu rodzinném, rozgrzaném miłością ukochanego człowieka, rozświetloném promieniem, strzelającym od kolebki, z którejby płynął srebrny śmiech dziecięcia?

I może myślała o tém życiu ciepłym, serdeczném, którego nie miała, a ku któremu dusza jej rwała się przez załamane spojrzenie, przez usta drżące, przez piersi podniesione westchnieniem?

I może w końcu tych marzeń, wyobraźnia przyniosła jej znowu przed oczy postać człowieka stojącą na szczycie góry, przepaścią u stóp, chmurami u czoła otoczonej, lub na pokładzie zagrożonego okrętu spokojnym wzrokiem rozpatrującego swawolą rozszałałych żywiołów?

Czy Regina myślała o tém wszystkiém lub o czémkolwiek podobném? Ktoby wówczas patrzył na czoło jej, zrysowane lekko zmarszczką głębokiej myśli, na wzrok osnuty mgłą łyzy co się z pod serca sączyła, na pierś jej wznoszącą się co chwilę westchnieniem bezwiednio tłumioném, powtórzyłyby za angielskim powieściopisarzem:

„Wszystko to być może!“

Tegoż dnia hrabina X. wysłuchawszy opowiadania Frycia o wizycie, jaką oddał pani Różyńskiej i jak znalazł ją *dystygowaną*, piękną, a nadewszystko z wytwornym smakiem i elegancyą ubraną, rzekła do jednej z najulubieńszych swoich a otaczających ją ciągle młodych kobiet:

— Chère Mme Isabelle, mieszkaś w blizkiem sąsiedztwie tych państwa; faites-moi l'amitié oddać jutro wizytę pani Różyńskiej i powiedziéć jéj, że będę bardzo rada zobaczyć ją u siebie. Awans ten, de votre part, nie będzie niewłaściwy, jako uczyniony osobie przybyléj zdaleka i nie mającéj tu znajomych.

— Będę tam jutro, comtesse — odrzekła pani Izabella, którój przed oczyma stanęła piękna postać p. Tarnowskiego.

Tegoż samego dnia pan Stefan, w cichym pokoju swoim siedząc nad książką, ze zdziwieniem zobaczył, iż przyniósł ze sobą białą różę, którą Regina rano trzymała w ręku, i że kwiat ten w pół zwiędły leżał na jego biurku; a niemniej się téż zdziwił, gdy spostrzegł, że w uczone i poważne jego badania nad topograficzném położeniem i geologicznemi warunkami Nadniemeńskich okolic, wciskały się jakieś obce naukowym studyum, a dawno już przebrzmiałe i zapomniane w jego życiu myśli. Jakież to były my-

śli, które przeszkadzały spokojnej pracy pana Stefana?

Może w chwili, gdy rozważał rodzaje warstw ziemnych, składających okolice, którą badał, przyszły mu na pamięć rozmaite fazy własnej jego przeszłości; i widział jak dzień po dniu, rok po roku płynęło to minione istnienie jego spokojne, poważne i czyste, a przelamane trudności, i dokonane prace układały się w duszy jego stopniowo coraz wyżej, niby z górskich szczytów na dolinę potężnym tchmieniem zniszone warstwy dyamentów i złota.

Może z dumą i spokojem sprawiedliwego spoglądał on w tę swoją przeszłość, i w głąb' swojej duszy. Lecz nagle ujrzał, że do tej wspaniałej budowy brakowało czegoś; że na gruncie jego istnienia rosły silne dęby i kłosa, pożywne ziarno ziejące, ale nie kwitły kwiaty...

Może gdy się pochylił nad topograficzną kartą, badając zwroty rzeki, górzystość i spady szerokich pól, zdało mu się, że schylona po nad jego ramieniem, blisko jego twarzy, błysnęła biała twarz kobiety; a zdala, zdala, dosłyszał coś jakby srebrny śmiech dziecięcia, i dziecięciami wyszeptany ustami wyraz: Ojczy!

I może jeszcze, gdy wzrok jego, odrywając się od kart uczonych, trafem spotykał białą różę zżółkłą i tęskną, oczom myśli jego nasuwało się wspomnienie bladego czoła kobiety, na którym piękna dusza roz-

łała wyraz myśli poważnej, a los położył piętno wczesnie przebytych bólów?...

Czy o tém wszystkiém lub o czémś podobném myślał pan Stefan?

Ktoby wówczas widział jego czoło pogodne, jakby dumne, zalane spokojem, mogącym płynąć z czystej tylko i zacnej piersi, a przy tém jednak wzrok, błyskający ogniem głębokiego męskiego smutku, powtórzył-by za angielskim powieściopisarzem: „Wszystko to być może!“

III.

Nieco oddalony od najgwarniejszego w D*** miejsca, otoczony ogródkiem pełnym wonnych krzewów i barwnych kwiatów, nie wielki ale i niezbyt mały, z jasnymi oknami i gankiem na czterech słupach wspartym, stał dom w którym mieszkała pani marszałkowa Z. przybyła z dwiema wnuczkami. Jeżeli kiedy istniały w świecie dwie istoty, stanowiące sprzeczność w każdym, najlżejszym odcieniu zewnętrznej i wewnętrznej strony — to niezawodnie takimi były hrabina i pani Z. Obie jednego wieku, jednako wysoko urodzone i majątne, różniły się od siebie jak arlekinada od powagi, pozorna dystynkcyja salonowa od istotnej godności płynącej z wyższego nastroju ducha — jak chrześcijańska dobroć od miodowych uśmiezków zalotności, — jak mądrość i spokój poważny od głupoty i wykrzywiania się płaskiej natury. Zawsze czarno ubrana, w białym czepeczku, z pod którego wymykały się z prostotą lecz i starannością ułożone, gęste jeszcze pukle srebrnych włosów; ze ściągniętą bladą twarzą, słodkimi usty i dużymi błękitnymi

oczami, patrzącemi rozumnie i łagodnie, pani Z. była wspaniałym typem starych kobiet, które, przeszedłszy życie użytecznie i czysto, niejeden zapewne ból przetrwawszy, stają u końca ziemskiej drogi z jasnym umysłem, przebaczącącem sercem i pogodną twarzą. Była ona jedną z tych kobiet, z którymi wszystkim miło jest i dobrze: starym i młodym, mędrcom i prostaczkom, cnotliwym i pokalanym, przyniesioną nawałnicami życia, winą. Miękką, choć poważną, pełną światła i wiedzy, a jednak prosta i skromna; sama czysta jak kryształ, a przecież okiem przebaczenia i pobłażliwości patrząca na grzechy innych, łączyła w sobie cnoty ewangelicznej, chrześcijańskiej niewiasty, z odblaskiem umysłowego światła i wiedzy, zdobiącą kobiety dziewiętnastego wieku.

Wysokie towarzyskie i majątkowe położenie swoje, uważała pani Z. jako środek do wywierania na społeczność zbawczego wpływu dobroczynności i przykładu, nie zaś jako szczególny przywilej, dający prawo pomiatania innymi i królowania bez osobistych zasług, „par la grâce de Dieu“ nad resztą śmiertelnych. Rozum, cnotę, zasługę, ceniła wszędzie, gdzie je znalazła — czy obok mitry i milionów, czy przy skromnym nazwisku i ubóstwie. Treścią jej życia była nieograniczona, nieowarunkowana miłość ku ludziom, a dewizą szczytna ewangeliczna zasada: Duch technie, którądy chce, i nie to co ze krwi, ale to co z ducha pochodzi, jest Alfą i Omegą człowieczej wartości.

To też wszystko, co w D*** żyło, a posiadało wyższą wartość umysłową lub moralną, skupiało się koło marszałkowej. Salonik jej z wytwornym smakiem, lecz i z prostotą, cechującą ją w każdym względzie, ubrany, całkiem był niepodobny do lśniących przepychem i rozlicznemi cackami, salonów hrabiny. Był w nim dostatek, komfort, piękność; ale zarazem z duszy jego właścicielki tchnęła weń powaga i serdeczne jakieś ożywcze ciepło.

W tym to saloniku, z oknami otwartymi na pełen kwiatów i woni ogródek, w kilka dni po przybyciu do D*** pana Tarnowskiego i jego siostry, Regina Różyńska, dobrze już zaznajomiona z marszałkową, siedziała obok téj poważnej i słodkiej niewiasty, a naprzeciw dwóch tych kobiet, stał wsparty o róg kominika doktor K. Z ogródka, przez otwarte okna, dochodziły dźwięczne i świeże głosy dziewczęce, i wtórował im niekiedy dźwięczny też i świeży głos mężki; czasem wybuchy srebrnego, młodzieńczego śmiechu rozlegały się między klombami zieleni i kwiecica i płynęły do pokoju razem z falą woni i ciepłych powiewów.

— Czy dawno byłeś u hrabiny, Regino? — ozwała się do pani Różyńskiej marszałkowa Z. z poufałością, jaką niemłode już, a dobre kobiety lubią otaczać młodsze od siebie.

— Dotąd byłam tam raz tylko — odpowiedziała Regina. — W parę dni po moim przyjeździe oddała mi wizytę pani Izabella W. i w imieniu hrabiny naj-

usilniej zaprosiła do domu tej pani. Przedwczoraj więc, nie chcąc uchybić prawom grzeczności, odpowiedziałam bytnością moją na tak pośpieszne i usilne zaprosiny.

— Czy brat pani był także u hrabiny? — spytał doktor.

— Towarzyszył mi — odrzekła pani Różyńska.

— Jakże to szczęśliwie dla mnie! — zawołał mędyk. — Wiedząc, iż pan Tarnowski jest ścisłym przyjacielem pana Rawickiego, muszę prosić go, aby mię wyręczył w bardzo trudnej, zleconej mi przez hrabinę missyi. Ta królowa *naszego* kółka, jakby powiedział pan Frycio Wiewiórski, przywykła, aby wszystko słało się pod jej stopy, wolą jej pełniąc, mocno na mnie nalegała, abym wprowadził do jej domu naszego szanownego inżyniera. Znała go kiedyś w Paryżu, i rozgłos, jaki *tam* zrobił o sobie, zostawił na jej umyśle niezatarte wrażenie. Wątpię tylko, czy pan Rawicki da się namówić i o tej wątpliwości mojej mówiłem hrabinie; ale zalecała mi po kilka razy bym spełnił jej wolą, sądząc zapewne, że jako doktor będę miał wpływ na inżyniera. Rzemieślnik z rzemieślnikiem, to konfraternia: „ces gens du métier“ zwykle towarzyszą sobie.

Lekko uśmiechnęły się kobiety, a marszałkowa rzekła:

— Pan Rawicki jest jednym z tych rzadkich i szczególnych ludzi, którzy, tak w dobrém i powa-

zném, jak w złém i lekkim towarzystwie, umieją wszystkich otaczających natchnąć szacunkiem dla siebie i sympatyą. Nie dziwię się więc, widząc, że wysokie jego zalety uznają rozumni i zacni ludzie, że nawet i tacy, którzy go pojąć nie mogą, składają mu rodzaj jakby mimowolnego hołdu.

— Pochodzi to pani — odpowiedział doktor — z niezmiernej dobroci i prostoty pana Rawickiego. Dla podobnych sobie jest on serdecznym i otwartym, mimo całej swojej powagi, a nawet lekkiej surowości; z ludźmi niższymi od siebie, mimo poczucia swojej wyższości ma tę łatwość obejścia się, tę prostotę, a razem godność wysławienia, która ośmiela, zobowiązuje, pociąga. Przyjmuje ludzi takimi, jakimi ich spotyka, bez pychy i narzucania im swjej wyższości. Zato też jedna sobie wszystkie serca i umysły. W salonach zaś, takich np. jak hrabiny, podoba się nade wszystko, jego niezrównanej szlachetności układ, nadający mu cechę pewnej niewymuszonej i jakby wrodzonej elegancyi.

— Dawno znasz, pani, pana Rawickiego? — zapytała marszałkowa Reginę.

— Osobiście, od dni kilku ledwie, bo pierwszy raz zobaczyłam go dopiero, gdym tu przybyła; ale oddawna słyszałam o nim od Henryka, którego był on długo najlepszym przyjacielem. Tu zaś, właśnie w skutek téj jego dla mego brata przyjaźni, widuję

go codziennie i dosyć już chwil zeszło mi w jego mi-
łém towarzystwie.

— Co do mnie, znam pana Rawickiego od dwóch lat — mówiła marszałkowa — winnam mu nawet wdzięczność, za bardzo dobre i rozumne rady pod względem zasad, jakie przyjął w dokończeniu wychowania moich wnuczek. Rozmawiałam z nim często o tak żywo wzniesionej dziś kwestyi, położenia kobiet w społeczności; i zdaje mi się, że człowiek ten, obok innych wielostronnych swoich badań, nie zaniedbał też i studyów nad położeniem i usposobieniem kobiet. Zdania jego pod tym względem są niezmiernie trafne i oparte na bardzo praktycznych i rozumnych poglądach.

— Ciekawy jestem — rzekł doktor — czy też pan Rawicki był kiedy żonaty; bo jak teraz, wnoszę z pewnych słów jego, że jest wolnym od małżeńskich związków.

— Nie wiem nic w tym względzie — odpowiedziała marszałkowa — a chętnie-bym się dowiedziała, czy ten człowiek, do wszystkich cechujących go zalet, łączy i cnoty rodzinne.

— Gdzie pani poznała pana Rawickiego? — spytała Regina.

— W Dreźnie, przed dwoma laty, podczas podróży z memi wnuczkami. Z memi i z kilkoma jeszcze znajomymi zwiedzałam galerję Dreźnieńską obrazów. Przed jedném z arcydzieł, zobaczyłam stojącego

w głębokiém zamyśleniu pana Rawickiego. Postawa jego i wyraz twarzy, uderzyły mię; z pewnych cech powierzchowności, zdało mi się, że w nim poznaję rodaka. Spytałam o niego moich znajomych, z których jeden Zygmunt S., przyjaciel jego i niegdyś uniwersytecki podobno kolega, przedstawił mi go. Pamiętam, że przedpędziła z nim wówczas kilka niezmiernie miłych i korzystnych godzin. Z głęboką znajomością i żywém zamiłowaniem wskazywał mi wszystko, co najznakomitszego posiada galerja; i nim się dowiedziałam o jego rzeczywistym zawodzie, miałam go za malarza — tak dobrze zna wszystkie tajemnice malarstwa, i tak gorąca miłość dla sztuki cechowała jego, o niej, rozmowę. Sądzę nawet, że niezawodnie musi malować; lecz chociaż później często widywaliśmy się, podczas paru miesięcy, razem przepędzonych w Dreźnie, nie dowiedziałam się jednak o tém, czy w teorii tylko i w duszy, czy téż i w praktyce jest artystą.

Właśnie gdy słów tych domawiała, drzwi się otworzyły i wszedł pan Rawicki.

— Witamy, witamy pana — zawołała marszałkowa powstając i postępując kilka kroków ku nachodzącemu.

Powitał ją pan Rawicki z uprzejmém uszanowaniem, a podając rękę Reginie, przez chwilę zatrzymał wzrok na rozświeconej nagłym promieniem jej twarzy.

— W porę przychodzisz, szanowny panie — rzekła pani Z. — mówiliśmy właśnie o panu i mamy ochotę zadać mu parę pytań, choćbyśmy za niedyskretnych ująć mieli. Wiem jednak, że ciekawości nie weźmiesz za złe, swoim przyjaciołom.

Lekko uklonił się p. Stefan i odrzekł z uśmiechem:

— Rad będę w każdej mierze zadowolnić życzenia państwa.

— Naprzód więc, pytanie mniej ważne — mówiła marszałkowa. — Powiedz nam pan, czy malujesz sam, czy tylko teoretycznie znasz sztukę?

— Poświęcałem pewien czas studjom nad malarstwem — odrzekł inżynier — i zajmowałem się wiele teorią sztuki. Sam też maluję trochę, ale talent mój nie dorósł wysokości geniuszu — dodał z uśmiechem — i służy mi tylko do uprzyjemnienia chwil wolnych od specjalnej pracy.

— Pozwoli pani marszałkowa — rzekł doktor — abym drugie pytanie zadał sam panu Rawickiemu.

— I owszem, doktorze, bo nawet nie wiem prawdziwie, jakbym je sformułować potrafiła, tak bardzo wchodzi ono w obręb osobistych względów, w który wkraczać nigdy nie lubię.

— Chcemy więc zapytać ciebie, kapłanie cyfry i linii — mówił doktor w patetycznej postawie, stojąc przed inżynierem — czy, wysokimi zaletami swojego rozumu i serca, uszczęśliwiłeś kiedy jakąś śmiertelną istotę płci żeńskiej.

Zaśmiał się pan Stefan.

— To jest — rzekł — prostemi słowami mówiąc, pytasz mię kapłanie pigułki i mikstury, czy byłem kiedy żonaty?

— Właśnie — odrzekł z komiczną powagą, kłaniając się medyk.

— Nic prostszego nad to pytanie — mówił pan Rawicki — i łatwo mi pod tym względem zaspokoić ciekawość państwa. Byłem żonaty, ale tak to już dawno, że i świat i ja zapomnieliśmy o tém. Miałem dwadzieścia trzy lata, żeniąc się i po czterech latach straciłem żonę.

— To znaczy, że jesteś en etat de veuvage, jakby powiedziała hrabina — rzekł doktor i dodał żywo: — Genialna myśl, panie Stefanie! ponieważ jesteś wolnym od matrymonialnych związków, staraj się o pulchną rączkę hrabiny. Pójdzie za ciebie, ręczę, bo masz u niej wielkie łaski; a dobrana z was będzie para, słowo daję! — jak każda z tych, których jest tak wiele na świecie, a o których ludzie mówią: że dyabeł sto par butów zdarł, nim je skojarzył.

— Hojny jesteś, Eskulapie w rozdawaniu szczęścia ludziom — rzekł pan Stefan — wszakże ustępuję ci całą część mojego u hrabiny powodzenia.

— Kiedym się raz stała niedyskretną — ozwała się pani Z. — to już i dalej posunę się na tém obcém mi polu. Pozwól się zapytać, szanowny panie, dlaczego, tak wcześnie zostawszy wdowcem, nie ożeniłeś się

dotąd po raz drugi? Wszakże, według mojego ko-
bięcego zdania, rodzinne uczucia w niczem nie prze-
szkadzają życiu pracy, a mogą owszem ozdobić je
i rozlać pewną słodycz, na poświęcone czynom i nau-
ce istnienie.

— Zupełnie zgadzam się ze zdaniem pani co do
rodzinnych uczuć — odrzekł pan Stefan po chwili
milczenia — nietylko niemi nie gardzę i nie lekcewa-
żę ich, ale owszem, sądzę, iż one tylko istotne czło-
wiekowi mogą przynieść szczęście, które można śmiało
położyć obok wewnętrznego zadowolenia, jakie się
budzi w człowieku, spędzającym czas korzystnie dla
siebie i innych. Wszakże, dwa powody utrzymywa-
ły mię dotąd w domowém osamotnieniu. Pierw-
szym z nich było życie czynne, zajęte naukowemi
studyami i pracami przywiązanemi do mego zawodu;
drugim: wysokie pojęcie, jakie mam o małżeństwie
i o kobiecie, która-by w myśl moję mogła mi być
żoną.

— Zanadto może wymagający jesteś, szanowny
przyjacielu — żartobliwie rzekła marszałkowa.

— Zanadto rozumujesz, w rzeczach odnoszących
się tylko do uczucia — zarzucił doktor.

— Wymagającym — odpowiedział pan Stefan —
musi być każdy człowiek, który zna siebie, wie jakich
warunków bytu potrzebuje i do czego z natury swojej
i usposobień ma prawo. Co zaś do rozumowania,
nie mogę odłączyć go od uczucia; bo uczucie bez

przewodnictwa i światła rozumnego, wydaje mi się tylko instynktem; a ten, gdy zawładła nieograniczenie oświeconym człowiekiem, staje się poczuciem niegodnym jego udoskonalonej istoty. Nie zaprzeczam bynajmniej owym silnym, rzekłbym, bezwiednym, jakby magnetycznym pociągom, których silne szczególnie i dobrze uorganizowane natury doświadczać muszą w zbliżeniu się ku podobnym sobie. Wszakże, jestem przekonany, że pociąg taki, że taka bezwiedna atrakcja w stałe i piękne zmienia się uczucie wtedy tylko, jeżeli obok niej, stanie wysoki nastrój duchowy i w drugiej istocie, bratniego, spojonego pokrewieństwem myśli i porywów, dopatrzy ducha. W kwestyi małżeństwa szczególnie, sądzę, że taka wspólność duchowa musi koniecznie towarzyszyć bezwiednej sympatii dwojga ludzi, nie mających żyć z dnia na dzień tylko bezmyślnie, ale pragnących pięknego istnienia, w którym-by się łączyły wszystkie żywioły uczucia i myśli.

— Poniekąd masz pan słusność — odpowiedział doktor — ale, powiedz mi, czy podobny pogląd nie ostudza serca i nie przemienia uczucia w jakąś matematyczną, suchą formułę?

— Według mnie, bynajmniej — rzekł pan Stefan. — Nieraz w życiu zdarzało mi się widzieć ludzi, o których wszyscy mówili, że się kochają, i którzy sami tonęli w złudzeniach. Przypatrywałem się takim parom i często widziałem w ich spójni sam instynkt

tylko ślepy, samo uniesienie i szal — i nigdy pojąć takiej miłości nie mogłem. Miłość podobna daje zapewne kilka chwil upojenia; ale, budzący się z tego pięknego snu, człowiek znajduje się w życiu, jak zbłąkany wśród drogi wędrowiec; sam nie wie, gdzie zaszedł i którądy dalej iść trzeba. Sen piękny minął, została rzeczywistość, nieodpowiadająca wymaganiom człowieka; ztąd w słabych naturach żal, rzucanie się, rozpacz i upadek moralny; w silnych, utrata najpiękniejszej strony życia, i konieczność zamknięcia się tylko w jego połowie. Według mnie, jak wszystko na świecie, tak i miłość musi wiedzieć, z kąd pochodzi i dokąd dąży, a wtedy tylko może dać rękomią pewnego szczęścia i spokoju.

— Ważna to bardzo kwestya i bardzo żywotna — ozwała się marszałkowa. — Istotnie, sama z zadziwieniem nieraz widziałam, jak pary, łączące się z najgorętszej zda się miłości, po pewnym upływie czasu obojętnieją dla siebie i najnieszcześniejsze tworzą małżeństwa. Wielu jest nawet ludzi, którzy myślą, że najpiękniejsze w życiu chwile zawarte są w krótkiej epoce, między poznaniem się mężczyzny i kobiety, a ich odejściem od ołtarza. Potem w życiu rodzinnem, w blizkiem zetknięciu się z sobą, miłość Kochającej się wprzód pary musi koniecznie ostygnąć; szczęście oczekiwane spowszechnieć i zblednąć... a natomiast ma się zostać samo znudzenie, a niekiedy i niechęć ku sobie wzajemna. Mniemanie to poparte

jest przysłowiem bardzo oświeconego narodu, jakkolwiek błędnem mi się ono zdaje: małżeństwo jest grobem miłości.

— W istocie pani — rzekł pan Stefan — tysiące przykładów małżeństw znudzonych i przedstawiających smutny widok rodzinnego rozstroju, zdają się popierać tę fałszywą zasadę, jakby w żyjącym dowodzie pokazując światu, że małżeństwo jest grobem miłości. Ztąd ludzie widząc znudzenie sobą, niechęć wzajemną, a co najmniej zubożenie małżonków, osądzili, że inaczej być nie może i dla utrzymania węzłów rodzinnych, będących podwaliną społeczeństw, w miejsce wyrazu małżeńskiej miłości, ustanowili wyraz *małżeńskiego obowiązku*. Skute *obowiązkiem* pary, wloką się przez życie leniwo i nudnie, jak woły zaprzężone w jarzmo i biada temu, kto z pod tego jarzma buntowniczą zechce uchylić głowę. Taki porządek rzeczy wydaje się naturalnym, przestał razić i zwracać uwagę; a jeśli w smutnem istnieniu sprzężonych *tylko* obowiązkiem ludzi, odgrywają się dramaty boleści i moralnego konania, ciche one są, niedostrzeżone, stłumione i ukrywane najstaranniej przed oczyma ludzkości. Świat mówi, że tak, jak jest, być powinno; ale kto okiem badacza wpatrzy się w rodzinne nieszczęście, nie uzna za naturalny tego porządku rzeczy, i zechce źródła złego dopatrzeć.

— Źródło, źródło złego! — zawołał doktor —

ależ ja sędzę, że ono nie może zamknąć się w jedném ogólném orzeczeniu, bo wypływa z mnóstwa osobistych powodów i usposobień.

— Zapewne — odparł pan Stefan — skrzywione wychowanie, namiętności, powinność, nawet gwałtownie porywające niekiedy ludzi, wpływają znacznie na cierpienia nurtujące rodziny. Wszakże, zdaje mi się, że główném źródłem ich jest brak u łączących się w pary, wspólnój i jednoczącej myśli; brak wspólnej pracy i dążenia do jednych celów. Uczucie pierwsze, pełne szalu, po pewnym czasie blizkiego zetknięcia się, niezawodnie minąć musi; a gdy wyczerpie się upajająca czara, i po-za nią nic więcej niema, przychodzi znudzenie, rozdwoj, próżnia. Wówczas przybiega w pomoc obowiązek. Jedni poddają mu się i cierpią w milczeniu, tracąc wiele kwiatów życia i skarbów serca; inni, albo buntują się głośno i giną wśród potępienia ogółu, albo czołgają się w cieniach tajonych uczuć, oszukując świat i istotę z nimi związaną.

— Inaczéj jest z tymi — mówił daléj, coraz bardziej ożywiając się, pan Stefan — inaczéj jest z tymi, których życiu przyświeca myśl, którzy dłoń w dłoni pracują razem, do jednych dążąc celów. I tym zapewne mija z czasem szal gorących uniesień; ale zato zjawia się w ich sercach uczucie głębokiego przywiązania, słodkie a silne, okraszone wspólném zamiłowaniem jednych idei, rozjaśnione wspomnieniem

chwil uniesień i rozkoszy, i wzajemną za nie wdzięcznością. Miłość taka zmienia tylko postać — ale nie niknie i niemniej daje zadowolenia. Taką miłością połączone pary, nie potrzebują idei obowiązku, aby życie im wśród nieodłącznych odeń nawet trosk i trudów, płynęło w spokoju i zgodzie, z pożytkiem dla nich i dla innych. Z takich tylko par złożone małżeństwa, tworzyć mogą rodziny, będące podwaliną społeczności.

Przez cały ciąg tej rozmowy, Regina milczała; oczy miała spuszczone, jakby się całą istotą wsłuchiwała w głos mówiącego, niekiedy tylko podnosząc je na jego ożywioną wyrazem głębokiego przekonania twarz.

— Najzupełniej się zgadzam ze zdaniem pana Rawickiego. A państwo co o niem myślą? — ozwała się marszałkowa, zwrócona do Reginy i doktora.

— Takie przekonania nabywają się koniecznie w skutek dojrzałości i przypatrywania się różnym kolejom ludzkich losów — odrzekła pani Różyńska — to też i ja w zupełności je dzielę i cieszę się bardzo, iż zdanie moje zgadza się z sądem pani.

W tej chwili, marszałkowa z lekką niespokojnością spojrzała w okno.

— Doktorze — rzekła — pójdźmy do ogrodu, aby wywołać ztamtąd moje dziewczątka. Wandzia zanadto dziś chodzi, a to może źle na nią wpłynąć... nieprawdaż?

— Właśnie, w tej chwili chciałem pani tę samą zrobić uwagę — odrzekł doktor.

— Jakże się ma panna Wanda? — zapytał pan Stefan.

— Nie lepiej i nie gorzej — odpowiedziała pani Z. — Chodzi, biega nawet, mówi i śmieje się, bo słodkie-to z natury dziecko i fizyczna słabość nawet, nie wlewa najmniejszej goryczy do jej usposobień. Ale zawsze ta sama niepokojąca bladość twarzy, ten sam kaszel i ból piersi. Ciężkie to zmartwienie zesłał mi los, tę chorobę tego dziewczęcia — dodała ze smutkiem.

— Można się spodziewać, że młodość zwycięży chorobę — pocieszała Regina.

— Mam też tę nadzieję — odrzekła pani Z. — acz śmiertelna zdejmuję mię obawa, ile razy myślę, że matka jej, a moja biedna córka, zgasła młodo, podobnąż zabita słabością.

Łza błysnęła w oczach staruszki, a doktor, którego twarz przy rozmowie tej zasepiła się także — rzekł pośpiesznie:

— Po co się czarnym oddawać myślom? — Pójdźmy oto raczej, poprośmy pannę Wandę, aby zechciała wejść do pokoju i odpocząć.

I oboje wyszli do ogródka; Stefan i Regina zostali sami.

Regina powstała i stanęła przy otwartém oknie;

a Rawicki zbliżył się téż i naprzeciw niéj stanął w milczeniu.

W ogródku, między zielenią, błyskały jak obłoczki błękitne, sukienki dwóch przechadzających się panienek, a obok nich ukazywało się niekiedy z za krzewów czarne ubranie, towarzyszącego im mężczyzny.

Na klombach pod oknami, ozłoczone promieńmi słońca, błyskały barwne główki gwoździków, rezedy i stokroci, a woń od nich płynęła falami.

— I ja niemniej rad jestem — rzekł, po chwili milczenia pan Stefan, jakby odpowiadając na ostatnie słowa Reginy, powiedziane do niego — i ja niemniej rad jestem, żeśmy się z panią w poglądach na świat i życie zgodzili. Jedno tylko mię dziwi — i zatrzymał się, jakby mu trudno było myśl swoją dokończyć.

— Co pana dziwi? — spytała kobieta, podnosząc nań śmiały i pełen pytania wzrok.

— Dziwi mię — kończył pan Stefan — że pani, tak młodą będąc, nabrałaś tak dojrzałego o rzeczach sądu.

— Panie Rawicki — przerwała Regina — ja sądzę, że można stać się dojrzałą w młodych latach, tak, jak przebywszy długą drogę, można obok nabycia dojrzałości, zachować młodą siłę i nie zmartwić na to, co rozplómienia młodość.

— W istocie — odpowiedział pan Stefan — pani

jesteś połączeniem młodości i powagi, masz pani dwie największe potęgi i dwa najwyższe uroki.

— Życie, to wielki mistrz — krótko odrzekła kobieta.

Pan Stefan, długim, badawczym spojrzeniem, wpatrzył się w jej twarz, której, spuszczone i utkwione w kwiat trzymany w ręku, oczy nadawały wyraz smutnego zamyślenia.

— Pani musiałaś wiele cierpieć — rzekł wreszcie, po dłuższej chwili milczenia, głosem, który mu z głębi piersi, jakby stłumiony wzruszeniem, wychodził.

— Wiele — odpowiedziała kobieta i wzrok na niego podniosła.

I patrzyli na siebie przez chwilę, tym spojrzeniem niemym, a jednak wymownym, przez które dusza jednej istoty, wyczytuje duszę drugiej, spojrzeniem, którym oczy kobiety mówiły: Oddała-bym się tobie!... oczy mężczyzny: Wziąłbym cię!...

Patrzyli tak na siebie długą chwilę i nie spostrzeżli, że tymczasem marszałkowa wróciła do pokoju i smutna jakaś, zamyślona po ostatniej rozmowie, zasiadła z doktorem obok drugiego okna.

W kilka chwil po jej wejściu, wśród klombów kwiatowych, rozległ się śmiech wesoły; dwie błękitne sukienki wionęły w szybkim biegu i przez drzwi ogrodowe wbiegły do pokoju, dwie młodziuchne dziewczynki — a po-za niemi, ukazał się stojący we

drzwiach i uśmiechnięty, z ogromną ponsową różą w ręku, Henryk Tarnowski.

— Babciu, babciu droga — wołała jedna z panielnek, smukła i bardzo blada, z główką ozłoconą wiążąciami się w pierścienie, jasnymi jak len, włosami — muszę się poskarżyć na pana Henryka! Zerwał najpiękniejszą moją ponsową różę?

Mówiąc to, przyklęła przed babką i przytuliła główkę do jej kolan.

— Choć to niegrzecznie — ozwał się, stojący w drzwiach pan Tarnowski — ale zmuszony jestem zaprzeczyć panie Wandzie, bo sama zerwała tę różę, a jam ją tylko przemocą odebrał z jej rączek.

— Tak — zawołała dziewczyna, podnosząc na młodego człowieka duże, błękitne jak niebo oczy — zapewne, zerwałam ją sama, ale dla tego, żem widziała, iż pan miałeś zamiar to samo uczynić a zamiar i czyn, to wszystko jedno, nieprawdaż babciu?

— Wprawdzie, nie zupełnie to wszystko jedno — z uśmiechem rzekła pani Z., przesuwając dłoń po jasnych kędziorach wnuczki — ale bądź co bądź, pogódźcie się państwo, bo szkoda nie wielka się stała. W miejsce tej, wykwitną inne róże.

Zaledwie domówiła tych słów, gwałtowny kaszel rozdarł pierś dziewczęcia; ukryła twarz na kolanach babki, i na chwilę cała jej postać wiotka i wysmukła, ugięła się, jakby pod naciskiem silnej, fizycznej boleści.

Smutnie umilkli wszyscy, a po rozjaśnionej przed chwilą twarzy Henryka, przemknął cień smętny; oczy jego spotkały się z oczyma doktora, który ze zsuniętymi posępnie brwiami, stał obok grupy dwóch kobiet.

— Zmęczyłaś się pani — rzekł medyk, schylając się nieco nad klęczącą u stóp pani Z. dziewczyną; — usiądź pani i odpocznij.

To mówiąc, podał rękę Wandzie, która, uspokojona już trochę, lekko pokaszując jeszcze, powstała z uśmiechem i usiadła przy oknie, przy którym przed chwilą stali Regina i Stefan.

Pan Rawicki, widząc przykre wzruszenie marszałkowej, zbliżył się ku niej i rozpoczął z nią rozmowę; Regina mówiła z doktorem i siostrą Wandy. Tarnowski stanął naprzeciw siedzącej w oknie bladłej i cierpiącej, a jednak uśmiechniętej dziewczyny.

— Nie gniewa się już pani — rzekł — za odebranie jej tej róży?

Spojrzała na niego, przestała się uśmiechać, a po twarzy jej przemknął smutek.

— Owszem — odpowiedziała z cicha — weź pan tę różę, schowaj ją; a kiedyś, kiedyś, gdy będę już bardzo, bardzo daleko, ona mię panu przypomni.

— Jaby m pragnał — szepnął mężczyzna — nigdy daleko nie być od pani.

— Panie Henryku — zwolna wymówiła dziewczyna, patrząc na twarz jego przejrzystym, smu-

tnym wzrokiem — na krzaku róży, gdy uwiędną jej kwiaty, i listki ich żółkłe opadną jedne po drugich, to na drugą wiosnę odkwitają świeże i piękne; ale człowiek, który raz opuści tę ziemię nie wraca już nigdy, nieprawdaż? — i nazawsze już zostaje daleko od ludzi.

Mówiąc to, przycisnęła rękę do piersi i spojrzała w niebo; a Henryk, wpatrzony w jej oczy, szybkim ruchem poniósł do ust ponsową różę.

W tej chwili Regina żegnała marszałkową.

— Wybacz, moja śliczna pani Regino — mówiła jej staruszka — że cię nie często odwiedzam; ale bo widzisz, tak już przywykłam do ciągłego zostawania w domu, że nawet twoja sympatyczna twarzyczka i twój zajmujący rozumek, nie mogą mnie z mego cichego kąta wyciągnąć. Bywaj u mnie jak najczęściej, proszę cię; a ja ci w zastępstwie za mnie przysłać będę moje wnuczki.

Jakby dla potwierdzenia słów babki, Wanda podbiegła ku Reginie, objęła ją obu ramionami, i długi pocałunek złożyła na jej twarzy.

— Może pan zechce odwiedzić nas dziś wieczór? — rzekła Regina do Rawickiego, podając mu rękę. — Inżynier skłonił się w milczeniu, a pan Henryk zaprosił też obecnego doktora.

W kilka chwil potem, w salonie marszałkowej nie było już dwóch mężczyzn. Siostra Wandy chodziła w ogródku koło klombów, zrywając kwiaty i nucąc

piosenkę; a Wanda usiadła na niskim stołeczku u stóp babki, złożyła ręce na jej czarnej sukni i, podnosząc twarzyczkę ku twarzy staruszki, mówiła z cicha :

— Powiedz mi, babciu kochana, jak się nazywa to uczucie, kiedy razem tęskno jest i radośnie i płakać chce się i śmiać... a myśl o śmierci to taka straszna, jak nigdy nie była?

Marszałkowa spojrzała na wnuczkę łagodnie i bawczo.

— Od dawnaż uczucie takie zrodziło się w tobie, moje dziecię? — spytała, rozgarniając jej włosy z czoła.

— Babciu moja, od dni kilku — szeptało dziewczę — od... od... Powiem babci otwarcie... od czasu, jak znam pana Tarnowskiego.

— Cóż wy tam ze sobą rozmawiacie? — spytała znów babka.

— O czém my z sobą nie rozmawiamy! Wczoraj w wieczór naprzykład, kiedy babcia rozmawiała z panią Regina, a Zosia chodziła po ogrodzie ze swemi przyjaciółkami, myśmy tu przy otwartém oknie długo mówili ze sobą. Patrzyliśmy na niebo i na gwiazdy, a pan Henryk mówił, że na Ukrainie niebo ciemniejszy ma szafir i gwiazdy jaśniej świecą. On tak kocha Ukrainę! Opowiadał mi, jak po szerokich stepach jeździ często sam jeden na koniu, co go, jak wicher, przez przestrzenie unosi; jak tam na stepach

tych cicho, uroczyście i swobodnie; czasem tylko błyska wioseczka biała i wiatr od niej niesie tony smutnej ukraińskiej piosenki... albo czasem z nad mogił odwiecznych, co się tam wysokimi wznoszą kurhanami, wicher kłęby piasku podniesie, świśnie, zahuczy, i z chmur kurzawą polecą pod niebo, aż wszystko znowu ucicha, i jeździec zostaje wśród milczenia, sam jeden z niebem, mogiłami i ulubionym swoim koniem. A kiedy opowiadał mi o tém pan Henryk, babciu droga, z nieba spadła gwiazda. Ja spojrzałam na niego i zdało mi się, że wszystkie promienie téj spadającej gwiazdy, na twarz mu się zlały: taki miał blask w oczach i taką jasność na czole. Nakoniec, powiedział żartem: widzisz pani, jaka to nasza Ukraina! a pani, co mi możesz powiedzieć o swojém błotnistém Polesiu? Żal mi się zrobiło Polesia, babciu kochana, boć to rodzinne moje miejsce i nie wiem dlaczego je ludzie tak źle okrzyczeli, kiedy i ono ma swoje piękności. Wzajemnie więc, jak mogłam, najlepiej zaczęłam opisywać panu Henrykowi nasze lasy ciemne, szumiące, takie czarne od dębowych gęstych liści, a tak uroczo błyskające białymi i smukłymi brzózkami; i o równinach naszych szerokich, rozległych, mówiłam; jakie one smętne i ciche, gdy je mgła jesienna owieje a rozdierając się niekiedy, ukazuje nam grupy naszych wiosek i wysokie szczyty cmentarnych krzyżów. I opowiadałam, jakie piękne ogrody mają nasze dwo-

ry i jak do nich latem, o zachodzie słońca, płyną zdala żałośnie śpiewy ludowe i poważne tony surni pastuszych. Długo rozgadałam się, babciu, bo mi na sercu leżało, aby przekonać pana Henryka, że nasza okolica nie jest brzydka i bezbarwna, jak myślał. A gdym skończyła mówić, spytał mię: pani bardzo kochasz swoje rodzinne miejsce? — Czyż można — odpowiedziałam — nie kochać stron, wśród których rozbudziła się dusza nasza, których tchnienia owiewały nas w kolebce, których każdy zakątek, każdy odciśnięcie natury, serdecznie znajomy, jak najbliższy przyjaciel wszystkich dni? — I ja kocham teraz Polesie — rzekł pan Henryk — i tak jakoś, babciu, patrzył na mnie, że mi razem i łzy w oczach stanęły i uśmiechnąć się chciałam. Nieznośny ten kaszel mój przerwał naszą rozmowę. Ile razy on mię męczyć zaczyna, staje mi przed oczyma śmierć, która tak wcześniej wzięła ze świata moją matkę. Dawniiej, babciu, potwór ten wywierał na mnie smutny tylko wpływ; teraz strachem mię przejmuje, ale to takim strachem, że uciekała-bym na sam koniec świata. Czuję, że mi jest coraz gorzej, coraz słabiiej; wody tutejsze nie pomagają mi jakoś! Babciu moja! czyżby już w mojej piersi były zarody nieodzownej śmierci? Wszak mam dopiero lat ośmnaście... a życie takie piękne, szczególnieij teraz ono takie dla mnie piękne...

I objęła babkę obiema rękoma i przytuliła się do

niej, jakby na jej łonie szukała ratunku i twarz ukryła w fałdy czarnej sukni poważnej kobiety.

— Dziecię moje — z cicha i drżącym nieco głosem, rzekła marszałkowa, jedną ręką obejmując stan wnuczki, drugą kładąc na jej głowie — dziecię moje, nie poddawaj się ciężkim myślom; biedną główkę twoją mężnie podnoś zawsze i trwożnym okiem nie zagładaj w niezbadane przeznaczenie, lecz odważnie czekaj dobrego, czy złego losu. Sympatyi twojej dla pana Tarnowskiego, naganiać nie mogę; jest-to młody człowiek, zacny i rozumny, a pamiętasz, jak ci mówiłam, że uczucie powzięte *tylko dla takiego* człowieka, może podnieść i uszczęśliwić kobietę. Jesteś młodą, bogatą, będziesz, a może już i jesteś kochaną, posiadasz więc wszystkie warunki miłego i użytecznego życia. Może też Ten, w którego mocy jest wszystko, wyrwie z twój piersi zarody nieszczęsnej choroby, może będziesz miała szczęście, któregoś warta. Bądź co bądź, błogosławię ci, ukochane dziecię mojej biednej córki.

Głos pani Z. coraz bardziej zniżał się i drżał a gdy wymawiała ostatnie wyrazy, schyliła się nad głową wnuczki, i dwie łzy spadły z jej oczu, utonęły w gęstych kędziorach na dziewczęcą głowie.

W tej chwili, wpłynął do pokoju przez okno, promień zachodzącego słońca i jedną złocistą obręczą, otoczył dwie zbliżone ku sobie głowy: sędziwej niewiasty i młodzieuhnjej dziewczyny, jakby na wieki

chciał spoić tę starość i tę młodość, obie stojące u progu mogiły.

.....

Te same promienie zachodzącego słońca ozłacały salonik, w którym, po powrocie od marszałkowej, siedzieli Regina i brat jej. Młoda kobieta wyjęła z bukietu, stojącego na stole, ponsowy kwiat i, zbliżywszy się do zwierciadła, włożyła go we włosy.

— Brawo, Regino! — zawołał Henryk — jest już kwiatek we włosach, to wielka nowość! Oddawna nie widziałem, abyś cokolwiek zmieniła w swoim smutnym, czarnym stroju.

— Ot, tak jakoś, Henryku — odrzekła z uśmiechem — coraz mi swobodniej i lżej na sercu. Od kilku dni weseliej na świat spoglądam; zdaje się, że przeczuwam dla siebie coś radośniejszego niż wszystko, czegom doświadczała dotąd.

— Czy to wody tutejsze, czy tutejsze towarzystwo tak szczęśliwy na ciebie wywiera wpływ? — żartobliwie zapytał Henryk.

— Jeśli mam szczerze ci wyznać, bo i dla czegoż miała-bym to taić, to powiem, że każde widzenie się z panem Rawickim, szczególnie mnie uspakaja i wzmacnia duchowo. Ten człowiek wywiera na mnie jakiś dziwnie pokrzepiający a miły wpływ; pod jego umysłem poważnym, widzę w nim prawe, a gorące serce. To tak rzadkie połączenie, a takie piękne! Słowem, widok jego obudza we mnie wiarę w ludzi, wiarę w za-

ność natury człowieczej, i w egzystencją dobrego na ziemi.

— Bynajmniej nie dziwię się temu, co mówisz, Regino. Jest to przywilejem dzielnych i wysoko uzanionych ludzi, rozlewać około siebie ożywczy i wzmacniający wpływ. Obok zdrowego, chory nawet zdrowszym się czuje — obok silnego, słabemu przybywa mocy.

I jakby słowa siostry, jemu także samemu nasuwały myśl jakąś nagłą, zapytał żywo ;

— Powiedz mi, jak ci się podoba panna Wanda S.?

— Śliczna to i niezmiernie pociągająca istota — odpowiedziała Regina — znać, że wychowała ją prawdziwie dobra i rozumna kobieta. Mało spotykałam młodych osób tak słodkiego charakteru i z tak rozwiniętym umysłem. Smutno patrzeć, iż to piękne i dobre dziecko, zagrożone jest wczesnym zgaśnięciem.

— O, wszakże jest jeszcze nadzieja! — nagle zawołał Henryk.

— Zapewne, nadzieja jest do ostatniej chwili; ale doktor mówił mi dzisiaj, że stan Wandzi coraz się pogorsza.

Henryk nic nie odpowiedział, a siostra spojrzała na niego badawczo; lecz na mężczyńj jego twarzy nie dostrzegła zmiany.

Otworzyły się drzwi i do cichego salonu wszedł

naprzód pan Frycio, z większą jeszcze niż zwykle gracją, w rękawiczkach bardzo gorącej barwy i z nieśmiertelnie miodową fizygnomią. Za nim ukazał się hrabia August, a za nim jeszcze młody człowiek o jasnych, nisko, aż na ramiona spadających włosach, z twarzą ściągłą i bladą, i z dużemi, wpatrzonemi w przestrzeń, i co chwila wznoszącemi się w górę, oczyma.

— Postanowiliśmy najść państwa dzisiaj — rzekł pan Frycio, niskim i wdzięcznym ukłonem zginając się przed Reginą. — Madame! w niewyczerpanej dobroci swojej, veuillez pardonner notre audace.

— Balkon pani magnetycznie pociąga każdego, kto koło niego przechodzi — wypowiedział hrabia August, majestatycznym gestem podnosząc rękę od piersi i zakreślając nią w powietrzu półkole.

— Planety nie mogą egzystować bez swego słońca — sentymentalnie wyszeptał trzeci młodzieniec, wstrząsając długimi włosami i patrząc w sufit.

— Niech panowie usiądą — grzecznie ale zimno, odrzekła Regina.

Usiedli, każdy z wyraźną intencją siedzenia, jak najbliżej gospodyni domu. Tym razem jednak, dzięki zręczności, lub ustępstwu, uczynionemu hrabiowskięj mitrze, hrabia August otrzymał pożądane miejsce, tuż obok kanapy, na której siedziała Regina.

Hrabia August był jednym z ludzi, których po-

wierzchność wiele przyrzeka, a mało dotrzymuje. Miał wzrost słuszny, formy Apollina, gęste czarne włosy i piękne, regularne rysy twarzy. Układ jego był wysoko majestatyczny, prawdziwie hrabiowski — z ukłonami zastosowanemi do stopnia godności tych, którym się kłaniał, ze wspaniałym gestem ręki, idącym od piersi i kreślącym w powietrzu półkole. Gestu tego używał przy powitaniu, pożegnaniu, zapraszaniu kobiet do tańca i mówieniu komplementów. Pani Izabella mawiała o nim: *c'est un bel homme*, a hrabina zwykła była dodawać: *le comte Auguste est vraiment auguste*. — Nie był on hrabią dla formy tylko, bo czuł całą godność swojego tytułu i miał ją zamiar piastować, patrząc na śmiertelnych, nie obdarzonych tym samym olimpijskim przywilejem z takiej wysokości, jakby na Mont-Blanc siedział. O wszelkiego rodzaju urzędnikach zwykł był mawiać, że ich czuć kałamarmem! inżynierów, doktorów, prawników, nazywał: *rzemieślnicy!* niebogatych właścicieli ziemi: *to szlachta!* Wielki majątek okupywał niekiedy w oczach jego brak tytułu, szczególnie u kobiet, bo był w poszukiwaniu bogatego maryażu. Resztki znacznej, odziedziczonej po przodkach fortuny, widział coraz bardziej topniejące wśród podróży, odbywanych w celu zbadania wszystkich zakulisowych tajemnic teatrów europejskich, wśród gry kartowej i rozlicznych, drogo okupowanych, awantur, ale z istnie filozoficzną, godną

wielkiego człowieka, obojętnością, patrzył na to ula-
tnianie się majątku, myśląc i mawiając niekiedy :
cokolwiekbądź, zawsze zostanę hrabią! A w perspe-
ktywie widział bogatą dziedziczkę, która, w zamian
za ofiarowaną jej mitrę, da mu, jeśli nie miliony,
to przynajmniej krocie, za pomocą których będzie
mógł zawsze tenir dignement son rang dans le
monde.

Trzecim gościem Reginy i Henryka, był pan Ja-
nusz Kwiliński. Świętej pamięci ojciec jego, poczci-
wy i prozaiczny szlachcic, który, przez oszczędność
i ostrożnie prowadzone afery, dorobił się wielkiej
fortuny i świętej pamięci jeszcze prozaicniejsza
jego matka, umiejąca tylko czytać, gospodarzyć i Pa-
na Boga chwalić, dali mu na chrzcie św. proste i kró-
tkie imię: Jan, bo podobno rodził się w dzień Św.
Jana Chrzciciela, a pani Kwilińska szczególne do
tego Świętego Patrona miała nabożeństwo. Dorasta-
jący atoli młodzieniec, w którego duszę natura wlała
wzniosło - poetyczne tchnienie, nie mógł scierpieć
prozy tego imienia i przezwiał się Januszem; był
to pierwszy krok, jaki uczynił w emancypowaniu się
z pod prozy życia. Potem, zapuścił długie włosy,
spojrzał w gwiazdy, westchnął ku ideałom i z tym
w górę wzniesionym wzrokiem i z tem westchnie-
niem, co chwilę pierś podnoszącem, na zawsze pozos-
tał. Zasadą jego życia było patrzeć ciągle w nie-
bo, a nic na ziemi nie widzieć, chyba kwiaty, bo

one jedne mogły w umyśle jego towarzyszyć gwiazdom, obłokom, a niołom. Kobięta była dla niego nie człowiekiem, lecz bóstwem; staranie i zabiegi życia codziennego, błahostką, nie godną spojrzenia *duchowego* człowieka; nauka gruntowna, nieprzyjaciółką i niszcycielką poezyi. Serce niezmiernie miał czułe. Wprawdzie na służących, prozaicznie unosił się niekiedy, a wieszczę jego usta kalały się wówczas wcale nie poetycznemi wyrazami; wprawdzie nikt nie widział, aby kiedykolwiek wsparł jaką nędzę albo kogo z niedoli wydzwignąć usiłował; lecz za to, czytając francuzkie romanse, płakał z chusteczką na oczach, i gwałtowne łkania podnosiły jego szlachetną pierś, gdy bohaterka dramatu ginęła jako ofiara przemocy. Oprócz tego, sam wiekiustą był ofiarą miłości. Zakochanie, było normalnym jego stanem; *ideal* w postaci kobiety potrzebny mu był do życia jak woda i powietrze. A im więcej w sercu jego potęgowało się uczucie, którego przedmioty zmieniały się kilka razy corocznie, tćm więcej miał załzawione oczy, tćm głębsze i boleńsze westchnienia wstrząsały jego postacią, tćm dłuższe mu rosły włosy i więcej bladła cera, tak, że gdy nareszcie przychodził do kulminacyjnego punktu rozkochania, zmieniał się cały w jakąś niepochwytną, szarawą mgłę, przy której zbliżaniu się, *ideaty* jego mawiały słowami Fredry: „A! czuję wilgoć, fontanna się zbliża!“

Trzój, razem przybyli do salonu Reginy młodzieńcy, na wyścigi bawili gospodynią domu, wysilając wszystkie zasoby dowcipu dla przypodobania się pięknej, jak widzieli, wolnej, jak przypuszczali i bogatej, jaką była pewnie, kobiecie.

Pan Wiewiórski opowiadał o nowo przybyłej do D*** modniarce i o przesłicznych wzorach sukien i kapeluszy, jakie ona przywiozła; hrabia August z najwspanialszym swoim gestem, mówił o pięknym położeniu swoich dóbr, o przyjacielu swoim księciu H. i siostrze, hrabinie R.; pan Janusz cicho nadmieniał, że są na tym padole płaczu ideały, przewyższające urokiem gwiazdy na niebie i kwiaty na ziemi.

Regina odpowiadała panu Fryciowi, że mało się zajmuje strojami i, mając już wszystko, czego potrzebuje w tej mierze, nie myśli korzystać z biegłości sławnej modystki; arystokratycznych dytyrambów hrabiego Augusta słuchała z lekkim uśmiechem; a panu Januszowi mówiła, że według niej wszystko ma swoje oddzielne przeznaczenie i odrębną piękność, i że żadnym sposobem nie można równać gwiazd i kwiatów z ideałami, o których mówi. Ogólnie jednak, w odpowiedziach i znalezieniu się obojętną była, a nawet roztargnioną; często spoglądała ku drzwiom, jakby czekając czyjegoś wejścia i chwilami tak się zamyślała, że gościom mogło się zdawać, iż nie słuchała tego co mówili. Z fizyognomii ich, jednak nie można-by wniesć, aby spostrzegali zimne obejście

się pięknej kobiety, bo wszyscy trzej niezbyt pokornie myśleli o sobie. Pan Wiewiórski czuł się zanadto eleganckim i pełnym wdzięku; hrabia August zanadto hrabią a pan Janusz zanadto zajmującym i *duchowym*, aby którykolwiek z nich mógł przypuścić, iż się nie zdoła podobać.

W chwili, gdy hrabia August z zapałem opowiadał o pojedynku, jaki miał w Paryżu z markizem de Villiers, weszli do salonu pan Rawicki i doktor K.

Twarz Reginy ożywiła się nagle; powstała i podchodząc kilka kroków ku przybywającym, z serdecznością podała rękę naprzód panu Rawickiemu a potem doktorowi.

Trzej poprzedni goście poruszyli się z niezadowoleniem; wejście dwóch ludzi nienależących do ich kółka, było dla nich czémś, comme l'invasion des barbares. Znali ich z widzenia, spotykali niekiedy w ogrodzie, a doktora nawet u hrabiny; ale *nie mieli z nimi żadnych stosunków*.

— Rzemieślnicy! — szepnął hrabia August z majestatycznym ruchem niezadowolenia, przechylając się ku panu Wiewiórskiemu.

— Hołota! — szepnął Frycio.

— Ci ludzie nie mają nic *ducha*: to proza! — westchnął nad uchem hrabiego Augusta pan Janusz.

Pan Rawicki orzucił wzrokiem zebrane towarzystwo i nieznacznie brwi mu się zsunęły; zimno ukłonił się wszystkim i usiadł nieco na uboczu z Henry-

kiem. Regina ożywiła się po jego przybyciu; twarz jęj zajaśniała, oczy błysnęły, usta otworzyły się uśmiechem. Zasiadła pomiędzy swoimi gośćmi, zaczęła częściej i dłużej mówić, a nawet kilka razy zaśmiała się swobodnie. Zdawało się, że ozywczę jakieś tchnienie ją owiało, że w tęg chwili spływał na nią zdrój dowcipu, łagodnej wesołości i nowego, coraz powabniejszego wdzięku. Co chwila jednak oczy jęj przenosiły się w stronę, w której siedział brat jęj ze swoim przyjacielem i zatrzymywała wzrok na twarzy inżyniera, jakby oczekując jego zbliżenia się i zwróconego ku nięj słowa.

Ale pan Rawicki nie zbliżał się ku nięj i rozmawiał tylko z Henrykiem; ani razu nawet nie spotkała się z jego spojrzeniem. Spoglądał on na nią jednak czasem, chwilowo, a gdy wzrok jego przenosił się z jęj twarzy na otaczających ją, uśmiech przebiegał jego poważne usta.

— Henryku — ozwała się wreszcie do brata młoda kobięta, jakby zniecierpliwiona — Henryku, zabierasz nam miłe towarzystwo pana Rawickiego. Pannie Rawicki — dodała z pełnym uprzejmości uśmiechem — chcięj pan zbliżyć się do naszego koła.

Pan Stefan grzecznie, ale z lekka się skłonił i rzekł:

— Przepraszam panią, że tym razem nie spełnię jęj żądania; przyszedłem tu tylko na chwilę i mam wiele do mówienia z jęj bratem.

Poczem zwrócił się znowu do Henryka.

Regina zaczęła znów rozmawiać ze swymi gośćmi ale, jakby ta rozmowa kosztowała ją wiele wysileń — mówiła z roztargnieniem, przestała śmiać się i stała się, jak wprzód, coraz smutniejszą, coraz bardziej poważną.

Po chwili oczy jej zwróciły się w stronę Rawickiego i twarz zalał jakby wyraz nagłego, nietajonego nawet żalu. Zobaczyła, że pan Stefan powstał i żegnał już jej brata.

— Może pan zechce na chwilę jeszcze zostać, zaraz podadzą herbatę — rzekła z rodzajem nieśmiałości, gdy pan Rawicki żegnał ją, lekko dotykając jej ręki.

— Nie mogę, pani, mam ważne i pilne zajęcia — odrzekł obojętnie inżynier i wyszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Regina całkiem już posmutniała, umilkła i rzadko, a krótko odpowiadała gościom. Nareszcie spostrzegli już i oni zamyślenie i smutek pięknej kobiety i nie tylko się nim nie obrazili, ale owszem poczęli z niego snuć sobie nicie nadziei, każdy, na swój rachunek.

— Posmutniała! — myślał Frycio — to dobry znak! dziwnie jestem szczęśliwy do kobiet!

— Rztargniona! — mówił sobie w duchu hrabia August — to pierwszy dowód zajęcia się! co to jest być hrabią i pięknym — dodał w myśli, rzucając spojrzzenie w zwierciadło.

— Zdaje mi się, że westchnęła! — zauważył pan Janusz — zaczyna się zajmować. Ta kobieta mnie zrozumie! to duchowa istota!

Doktor K. ciągle prawie rozmawiał z Henrykiem; do Reginy mało mówił, patrzył tylko na nią chwilami i myślał:

— To niepospolita kobieta!

Po herbacie hrabia August rzekł do Reginy:

— Mówiła mi pani Izabella, que vous chantez comme un ange. Chciéj nas pani uszczęśliwić.

I majestatyczném półkolem wskazał fortepian.

Regina nic nie odpowiedziała, ale, poważna i smutna, podeszła do fortepianu.

Fortepian nieskończenie cenne niekiedy oddaje usługi gospodyniom domu, zmuszonym przez grzeszność znosić nudną i pustą rozmowę. Szczególniej gdy w głowie kobiety drga myśl jakaś, pełna niepokoju i smutku, gdy na sercu jej tęsknota, lub żal za czémś cięży ołowiem, a wkoło niej gwarzą o rzeczach jej obojętnych i pytaniami zmuszają do otwierania się usta, któreby milczéć pragnęły, z jakąż ulgą zasiada ona wtedy przy fortepianie! pewna, że, przynajmniej przez chwilę, mówić do niej będą tylko tony muzyki, jakie z instrumentu wywoła, że sama rozmawiać będzie tylko z własną myślą swoją, nie potrzebując naginać jej do obcych, a czasem wstecznych przedmiotów.

Regina owego wieczoru musiała być wdzięczną i naturze, która jęj dała głos piękny i bratu, który w jęj salonie ustawił fortepian. Usiadła przed instrumentem i wydobyła zeń kilka smętnych akordów; poczem głos jęj wzniósł się silny i czysty w aryi szerokiej, pełnej tęsknoty i siły. Gdy wymawiała słowa kończące arya: „Żeby jego dłoń uścisnąć, życiebym oddała,“ głos jęj drżał nieskończoném pragnieniem, a na oczach zawisła, niedostrzeżona przez nikogo, łza.

Późno już było, gdy, zachwyceni nią, mimo jęj smutku i obojętności, goście Reginy opuścili jęj salon. Po ich odejściu, pani Różyńska wyszła na balkon; z założonemi na piersi rękoma, ze schyloną nieco głową, stała, długo pogrążona w zamyśleniu. Po chwili podniosła głowę, westchnęła ciężko i, wyjąwszy kwiat z włosów, szybkim ruchem rzuciła go daleko od siebie.

Stojący za nią Henryk usłyszał westchnienie i zobaczył rzucony upadający kwiat; zbliżył się do Reginy i, biorąc jęj rękę, rzekł:

— Co tobie, Regino? czemużes tak gwałtownie ten kwiat rzuciła?

— Za wcześniej włożyłam go we włosy, Henryku, — odpowiedziała smutno i, pożegnawszy brata, zwołna odeszła do swoich pokojów.

Zaledwie się oddaliła, pod balkonem, przy świetle

gwiazd i wschodzącego księżyca, przesunęły się trzy postacie i zniknęły w głębi ogrodu. Były to trzy lwy wód tamtejszych, używające miłego wieczoru i rozmawiające z cicha o młodej kobiecie, z którą przepędzili kilka godzin. Oprócz nich, kilka jeszcze osób, mieszkających blisko ogrodu, przechadzało się po gładkich i pełnych woni alejach.

— Ciekawa to rzecz — mówił szeptem prawie Frycio — jakie jest położenie towarzyskie pani Różyńskiej. Nigdy nie wspomina o swoim mężu; przypuszczam, że jest rozwódką.

— A ja myślę, że jest wdową — zarzucił hrabia August.

— Jestto niepojęta istota, mgła tajemnic ją owiewa! — oto co pan Janusz wyczytał, patrząc w gwiazdy.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się hrabia August — może też ona w najlepszej zgodzie zostaje ze swoim mężem i odjedzie ztąd wprost do niego, a wszystkim, którzy są zachwyceni jej pięknymi oczyma zostawi... pewien wielce niesmaczny owoc! — I, mówiąc to, złośliwie spojrział na Frycia.

— Było-by nas wielu do podzielenia się nim — odparł, zrozumiawszy alluzyą pan Wiewiórski. — Ale przyznaj, hrabio, że jest piękna!

— Śliczna! — zawołał hrabia August — niezmiernie dystyngowana, rzekłbyś, że stworzona na księżną!...

— Albo na hrabinę — dorzucił, odpłacając złośliwość Frycio.

— Ha, ha, ha, a czemużby nie! — uśmiechnął się hrabia.

— Pan Janusz milczał i szedł, patrząc w gwiazdy. Nagle odskoczył o parę kroków i zawołał:

— Szkaradny potwór!...

Dwaj jego towarzysze parsknęli głośnym śmiechem.

— Kto? kto szkaradny potwór? Czy pani Różyńska? Protestujemy młodzieńcze, wyzywamy cię na pojedynek!

Pan Janusz zbladły i drżący, podniósł ku niebu pełne wyrzutu spojrzenie i wyszeptał:

— Żaba!...

— Nadeptał żabę! — ze zdwojonym śmiechem wołał Frycio.

— Dobrze ci tak — dodał hrabia — patrz częściej na ziemię!

Młodzieniec, raz jeszcze wzdrygając się ze wstrętem, wstrząsnął włosami i, nieco uspokojony, wyrzekł z cicha i uroczyście:

— Brzydzą się żabą! Ale jakże mogliście na chwilę przypuścić, że słowa, skierowane ku temu potworowi, wyrzekłem na tę bożką istotę, na tę... — I westchnienie głos mu stłumiło.

Gdy tak szli, śmiejąc się i rozmawiając, naprzeciw szedł zwolna mężczyzna, którego twarzy zdala

rozpoznać nie mogli. Gdy jednak w środku alei spotkali się i spojrzeli na siebie pod światłem gwiazd, wszyscy czterej lekkim ukłonem podnieśli ręce do kapeluszy.

— To Rawicki! — szepnął Frycio, gdy minęli samotnego mężczyznę.

— To ten inżynier! — rzekł hrabia August.

W istocie był to Rawicki, chodził on sam jeden po ogrodzie, używając rozkosznej przechadzki wieczornej. Minawszy spotkanych młodych ludzi, przeszedł zwolna aleję i wyszedł z ogrodu; zwolna też minął szeroką ulicę, przebiegającą całą długość osady i wszedł do niewielkiego ocienionego krzewami domu. Wszedł, i szerokimi krokami począł chodzić po niewielkim też pokoju. Po chwili otworzył okno, odetchnął kilka razy wieczornem ciepłym powietrzem i usiadł przy biurku, na którym, wśród wielu książek i papierów, leżała wpół zapisana ćwiartka papieru. Przebiegł ją oczyma i zaczął pisać dalej.

„Masz więc, stary mój przyjacielu, dokładny opis moich tutejszych zajęć i skutków, jakie zeń wypłynęły. Linia przyszlęż kolei żelaznej jest już prawie wytknięta i mam nadzieję, że wkrótce lokomotywa ukaże się oczom nadniemeńskich mieszkańców. A potrzebują oni wielce tego dobroczynnego ukazania się, bo drogi są tu szkaradne; można wśród nich tonąć w błocie i piasku naprzemian.

„Teraz chcę ci coś napisać o sobie, a raczej

o tém, co mię otacza. Śmiać się będziesz, Zygmuncie, bo wystaw sobie tylko: pisać ci będę o kobiecie! Dziwném ci się to wyda zapewne, lecz ztąd dla ciebie, filozofa, wypłyne nauka, ażebyś przywykł niczemu się nie dziwić, pomny na słowa Szekspira: „bywają na świecie rzeczy, o których ani się śniło filozofom.” Komu innemu, może-bym nawet nie pisał tego, co mi w téj chwili myśl pod pióro przynosi; bo wyznam ci, że śmieszność była zawsze i jest dla mnie bardzo niepowabną rzeczą, którój nie ulegałem nigdy. Ale z tobą mój Zygmuncie, co innego. Siedzieliśmy niegdyś razem na uniwersyteckich ławkach; potem patrzyliśmy wzajemnie w istnienia nasze, jak w księgi otwarte; zresztą jesteś filozofem, fizyologiem i psychologiem, a te trzy nauki wytlómaczą ci to, co jest obecnie we mnie i o czém ci powiem.

„Czy pamiętasz Henryka Tarnowskiego, tego młodego człowieka o południowój twarzy i gorącój ukraińskiój naturze, którego spotykałeś ze mną w Paryżu i Dreźnie? Musisz go pamiętać, bo jest to jedna z osobistości żywotnych, młodych i pięknych, które wrażają się w pamięć spostrzegacza. Otóż przed tygodniem spotkałem go tu w D***; zmężniał, wypiękniał jeszcze duszą i ciałem a zawsze szlachetny jest i dzielny. Z nim razem przyjechała tu jego siostra, pani Regina Różyńska, o lat kilka młodsza od niego.

„Jak wiesz, Zygmuncie, nie jestem poetą; ko-

cham i wielbię piękność wszelką, ale nie umiem nad nią długimi rozwódzić się słowy. Nie będę ci więc pisał, jakie oczy, włosy i wzrost ma pani Regina; nie powiem czy do róży, czy do lilii jest podobna; ale przypomnę ci nasze o pewnym przedmiocie rozmowy.

„Czy pamiętasz, ile razy mówiliśmy z sobą o tych niepochwytłych zmysłami, niezbadanych dotąd nauką, niewidzialnych, a silnych niciach pociągających nas niekiedy ku innym ludziom? Idziesz przez świat spokojnie, codziennych spraw tokiem myśl twoja jest zajęta; obok ciebie przechodzi istota z nazwiska ci nawet nieznana; spoglądasz na nią, i zatrzymujesz się wśród drogi twojej i patrzysz. A im więcej patrzysz, tém mocniej czujesz nieokreśloną siłę, pociągającą cię do téj postaci, którój przed chwilą w żadnym nawet śnie nie widziałeś. I idziesz za tém, przemykającym się przez drogę twoje zjawiskiem, i iść za niem musisz póty, póki nie ujrzysz w niem odbłasku własnej swojej istoty, albo w duszy jego nie wyczytasz wyrazu: zawód!.. Gdzie się poczynają te bezwiedne sympatye ludzkie? Kędy źródło tych potężnych atrakcyi, wstrząsających niekiedy istnieniami całemi? Mamyż o nie pytać fizyologii anatomizującej materyą, z którój złożony jest człowiek, lub psychologii, badającej przejawy jego ducha? Tyś fizyolog i psycholog razem, pytaj ksiąg, z którými spędziłeś życie. Co do mnie sądzę, że nau-

ka nie zdołała dotąd jeszcze odpowiedzieć na wszystkie pytania ludzkie. Wiele zostaje do zrobienia tój najjaśniejszój pani świata; a tymczasem ja, biedny matematyk i geolog, w pokorze wyznam, iż wielu na tój ziemi nie rozumiem rzeczy.

„Cokolwiekbądź, taką silną, a bezwiedną nicią pociągnęła mię ku sobie pani Regina. Przy piérwszém widzeniu jój, w całej jój postaci wyczytałem powagę, myśl żywą i dziwnie wyraźnie wyryty, choć osłoniiony wielką słodyczą, stygmat przebytych cierpień. Przeszłości jój nie znam, domyślam się w niej tylko jakiś smutnej tajemnicy. Henryk, tak zwykle otwarty ze mną, unika rozmowy o siostrze, a ona sama gwałtownie się rumieni przy wspomnieniu pewnych imion.

„Nie mam prawa do badania jój tajemnic, i zresztą nie wiele obchodzi mię to, czém była; ujrzałem ją taką, jaką jest dziś i zaciekała mię odrazu. Do częstego bywania w ich domu, upoważnia mię dawna znajomość z Henrykiem, więc codziem prawie dotąd badałem wewnętrzną treść tój zajmującej kobiety. Piękna to dusza, Zygmuncie, poważna, myśląca, słodka, zda się spragniona dobrego. Przez cały tydzień prawie, podczas codziennych, długich z nią rozmów, ani razu nie spytałem siebie: czy ona jest piękną? formy jój nie istniały dla mnie, patrzyłem na jój duszę. Ale Zygmuncie, człowiek nie może, a nawet i nie powinien zrzekać się swojej natury. Dziś rano, sta-

liśmy razem u otwartego okna, rozmawiałem z nią. I w jednej chwili, w błyskawicznym mgnieniu oka uderzyła mnie jej piękność wspaniała, poważna. I spojrzałem na nią okiem już nie badacza, wielbiącego jej duszę... ale, Zygmuncie, spojrzałem na nią okiem... człowieka... i powiedziałem sobie: Ona jest piękna!

„Przyjacielu! ty znasz moją młodość i cały ciąg późniejszych, dojrzałych lat. Gdy rówieśnicy moi używali uciech młodości, ja o chlebie i wodzie nieraz, bez ognia w zimie, bez słowa zachęty znikąd, krwawym mozołem zdobywałem naukę, której pragnął młodzieńczy a już do światła rwący się mój umysł. Więc młodzieńcze moje lata przeszły mi czysto i surowo, w trudach ozdobionych nadzieją przyszłości. Potem, w pełnej wezbranego życia piersi, ozwały się gwałtowne pragnienia; sny gorące przynosiły mojej wyobraźni postać kobiety. Zmysłowe uniesienie w młodzieńczym porywie za miłość wzięłem, do gorącej piersi przycisnąłem posąg... Znałeś Klotyldę, Zygmuncie? Umarła, a ja uspokojony latami i oziębiony zawodem, za żonę pojąłem pracę. Naukę i naturę wzięłem za towarzyszkę moich wszystkich dni, całe życie moje zmieniałem w czyn i w myśl; a na kobietę jeśli patrzyłem kiedy, to jako badacz chyba wszystkich objawów ludzkości. Mijały mię tłumami piękne i mądre, namiętne i zalotne, a ja, wpatrzony w księgi, wkopany w pokłady ziemi, rzucałem siłę pary na wodne i ziemskie prze-

strzenie i zaledwie niekiedy dosłyszałem dźwięk ich głosu, albo dojrzałem lekko zarys ich lica.

„Czasem, Zygmuncie, zdawało mi się, że koło mnie pustka i nicość; księgi milczały, myśl się trudziła, a z oddali dochodziło mię echo jakby głosów serdecznych, rodzinnych, owiewało mię tchnienie, jakby pocałunków kobiety. Czy mi było smutno w chwilach owych, czy gorzko, czy straszno? jak ja ci powiem, przyjacielu, kiedym ja wówczas sam nie badał siebie, odsuwając co prędszej pocucie, którem zwał słabością i wracając rychło do zwykłego życia? Przez takie surowe i w jeden ciąg twardego czynu zmienione istnienie, zachowałem dotąd wszystkie silne i młode władze mojej fizycznej i duchowej natury. Pamiętasz pewno, że zawsze był gwałtowny, zwykłem być tylko hamować uniesienia moje i nauczyłem się być ich panem. Niemniej jednak grają one w mojej piersi silnie i namiętnie, poruszone czyto struną zapału, czy miłości dla idei, czy pragnienia... Zygmuncie, powiedz mi twoją i twoich ksiąg mądrością, czy człowiekowi, w moim wieku, ale i z moją przeszłością, wolno wszystkimi władzami swemi zapragnąć kobiety dojrzałej duszą, a młodej ciałem?...

„Dziś wieczorem byłem u niej i znalazłem ją otoczoną pustą i bezmyślną młodzieżą. Wszyscy oni, zajęci nią i zalecają się jej na wyścigi.

„Gdym spojrział na nich, wstyd mię zdjął jakiś, że, zbliżając się do niej, stanę w ich rzędzie, i zdało

mi się, że między nimi, przy niej, będę śmiesznym. Zaledwie spojrzałem na nią i pożegnałem ją. Gdy byłem tam, śmiała się i rozmawiała wesoło, gdy żegnałem jej brata, dojrzałem, że przestała śmiać się i mówić... Byłoby to może, aby...

„Zygmuncie, spytaj twoich psychologicznych ksiąg, czy kobieta ciałem i duszą młoda i piękna, może kochać człowieka, który, tak jak ja, długie już lata przeżył?...”

Skończył pisać pan Rawicki i zbliżył się do okna. Noc była późna; liście, osrebrzone księżycem, szumiały cicho, głęboki szafir nieba błyskał gdzieś gwiazdami.

Pan Stefan skrzyżował ręce na piersi i długo stał zamyślony, wpatrując się w odblaski i cienie letniej nocy. Nareszcie podniósł czoło, odetchnął głęboko i rzekł z cicha: O, życie, życie! któż pojmie, kto odgadnie tajemnice twoje! Gdzie początek i gdzie koniec twoich burz i twoich walk! gdzie jest opoka, która-by wśród nich wesprzeć potrafiła mężnego nawet i silnego człowieka?

IV.

Dzień był gorący; słońce zalewało balkon Reginy, która szybkimi krokami przechadzała się po saloniku swoim. Przy stole, z książką w ręku, siedział p. Henryk i chwilami podnosił wzrok na zamyśloną twarz siostry.

— Regino — ozwał się po chwili — o czémżeś się tak zadumała?... No, rozpogódź czoło, siostrzyczko, i pójdź do mnie.

A gdy stanęła przed nim, ujął jęj rękę i dodał:

— Czemuż nie mamy dziś kwiatka we włosach? a ładnie ci z nim było, Reginko.

— Dobry jesteś, Henryku — rzekła Regina, całując czoło brata. — Powiedz mi, mój drogi, czyś dawno widział pana Rawickiego?

— Byłem u niego wczoraj.

— Dla czego on od dwóch już dni nie był u nas?

— Nie wiem, pewno zajęty.

— Henryku, pójdź dziś do niego i poproś go, aby nas odwiedził.

— I owszem, Regino, bo i sam radbym jak najczęściej być ze Stefanem.

Znów oboje umilkli, Regina zaczęła znów chodzić po pokoju, a Henryk spuścił wzrok na książkę, niekiedy tylko, z lekkim uśmiechem, spoglądając na siostrę.

Nagle z hukiem otworzyły się drzwi i, szeleszcząca jedwabiami, uśmiechnięta, woniejąca, wbiegła pani Izabella.

— Pardonnez madame — wołała, ujmując rękę Reginy — że tak niespodzianie ją nachodzę. Mais je suis extrêmement pressée, mnóstwo wizyt muszę oddać, a panią chciałam koniecznie widzieć, témbardziej, iż mam do niej zlecenie od hrabiny. Bonjour monsieur — dodała, podając końce paluszków Henrykowi i orzucając go zalotnym spojrzeniem.

Usiedli wszyscy, a pani Izabella umieściła się tak, aby w najkorzystniejszym świetle ukazać oczom Henryka białe i niezmiernie piękne ramiona, zaledwie osłonięne leciuchną, przezroczą koronką. Z pod malutkiego, białego jej kapelusika, wymykały się ogromne zwoje złocistych włosów i ocieniały, ozdobioną sznurem wielkich pereł, szyję. Całą postać rozkosznie wsparła na miękkiej poduszce, i zalotnie, nieco w tył odrzuciwszy głowę, przez długą chwilę czarne, i z pod trochę przymkniętych powiek błyszczące oczy, zatrzymała na panu Tarnowskim.

Dwie równie piękne i młode, siedzące obok siebie,

kobiety, wielką stanowiły sprzeczność. Były one podobne do dwóch promieni, z których jeden, płynąc od jasnej tarczy słonecznej, oświeca i ogrzewa, drugi, zapalony w sztucznym fajerwerku, rozpryskuje się na tysiąc iskierek i gaśnie, zostawiając po sobie tylko ciemność i niemłą woń siarki.

— *Figurez-vous, Madame* — mówiła pani Izabella, z pełnym przymilenia uśmiechem — hrabina tak się w pani rozkochała, że bez niej żyć nie może. Właśnie przysyła pani przeze mnie wymówkę, że się tak rzadko ukazujesz u niej, *et pour vous aussi*; Mr. Tarnowski, niosę tę samą wymówkę. Żyjecie państwo jak pustelnicy.

— Chciuję pani podziękować hrabinie za jej grzeczną o mnie pamięć — odrzekła Regina z obojętną grzecznością, która jej nigdy nie opuszczała.—Przyjechałam do D***, z powodu lekkiej słabości; piję wody i nie mogę korzystać często z tutejszych towarzystw.

— *Qu'a ça ne tient* — zawołała pani Izabella; — wiem, że państwo bywają często u pani marszałkowej Z. To mówiąc, spojrzała z żartobliwą ironią na Henryka.

— W istocie pani — odrzekł z surową nieco powagą młody człowiek — towarzystwo pani Z. sprawia mnie i mojej siostrze wielką przyjemność.

— Pani Z. ma ładne wnuczki? — rozśmiała się pani Izabella.

Na tę wzmiankę cię niezadowolenia przemknął po twarzy Henryka.

— Panny S. są rzeczywiście bardzo ładne i miłe, a przedewszystkiem ukształcone i dobre — odrzekł sucho.

— Hrabina poleciła mi najusilniej prosić państwa, abyście byli dziś u niej na herbacie. Il y aura je crois beaucoup de monde i wielką krzywdę wyrządzą państwu całemu towarzystwu, jeśli nie zechcecie przybyć. Czekamy więc państwa — mówiła, powtarzając i żegnając Reginę — a jeżeli pani nie przybędzie, będę chyba myślała, que vous vous clôîtrez, ou bien que vous portez un deuil de coeur. Adieu méchant — dodała z uśmiechem — dotykając dłonią ręki Henryka.

— Czémże zasłużyłem na ten epitet? — z ironią spytał młody człowiek.

— Vous êtes cruel! — szepnęła już u drzwi pani Izabella i raz jeszcze zapraszając do hrabiny Reginę, wyszła.

Brat i siostra spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się oboje.

— Pojedziesz do hrabiny? — zapytał Henryk.

— Sama nie wiem, nie mam wcale do tego ochoty.

— Co to szkodzi? rozerwiesz się i napatrzysz na różnych ludzi. Ja pójdę zaraz do Stefana i namówię go, żeby téż był dzisiaj na téj herbacie; hrabina od-

dawna go zapraszała do siebie przez doktora K. Cóż? czy pojedziesz?

— Może wreszcie i pojedę — z lekkim jeszcze namysłem odrzekła Regina.

Henryk uściskał jęją rękę i wychodził.

— Henryku — rzekła, zatrzymując go i patrząc na twarz jego z żartobliwym uśmiechem; — czy nigdzie po drodze nie zajdziesz?

— Nie wiem — odpowiedział téż z uśmiechem Henryk; — chyba do pani Z.

W kilka godzin potém, około zachodu słońca, w dużym salonie o szerokich otwartych na ogród oknach, siedziała hrabina, ustrojona w suknię srebrnego koloru, odkrywającą ramiona i ręce, w lśniących bransoletach i pierścieniach, kokardzie z pajęczęją koronki, jak motylek wlatującej nad jęją włosami. Na twarzy starożytnęją piękności spoczywała warstwa pudru i rózu, a szare jęją oczki żywo biegały z przedmiotu na przedmiot.

Wkoło nięją, siedząc i chodząc, gwarzyło zebrane towarzystwo kobiet i mężczyzn. Między piérwszemi, z bardzo białą twarzą i zawsze czarną choć piękną suknią, wyróżniała się Regina Różyńska. W oczach wszystkich otaczających ją kobiet były wesołe i zalotne blaski, usta ich otwierały się swobodnym śmiechem. W jęją tylko oczach nie było wabności, a usta miała blade, lekko tylko zaróżowane, i cały wyraz twarzy łagodny, poważny i nacechowany lekkim,

spokojnym smutkiem. Obok nięj cała w białych koronkach, złocie i niebieskich wstęgach siedziała pani Izabella, strzelając co chwila ognistemi spojrzeniami ku panu Tarnowskiemu. Z drugiej strony Reginy, oparty o komodę, stał hrabia August i o czémś opowiadał jęj z majestatycznym gestem. Inne kobiety zasiadły na miękkich kozetkach, rozmawiając nie dbale z otaczającymi je młodymi ludźmi, i powiewając wachlarzami. Pan Wiewiórski bawił się u okna z papugą hrabiny, z cicha ją ucząc wymawiać imię: *Regina*, a pan Janusz siedział samotnie w kącie pokoju, łzy miał w oczach i patrzył to w sufit, to na panią Różyńską. Henryk nieco na ustroniu rozmawiał z młodym człowiekiem, miłęj i myślącęj powierchowości.

— Comtesse! zkađ hrabina ma ten nabytek? — z cicha rzekł do pani domu p. Wiewiórski, który porzucił papugę i, stanęwszy za krzesłem jęj właścicielki, wskazywał rozmawiającego z Tarnowskim młodego człowieka.

— Mon Dieu! — odrzekła hrabina — to jest pan Witold Szlachecki; a-t-il le désavantage de vous déplaire?

— Nie znam go wcale, ale widzę, że zawiązuje sobie krawat bien drôlement, ma foi!

— Que voulez-vous? c'est un pauvre diable! Mais je connais un peu sa mère, która jest z domu pani R. familiantka, zatém i jego przyjmuje niekiedy.

8*

— Więc pan mieszka blisko Wilna? — pytał w tój chwili p. Tarnowski młodego człowieka, którego krawat, lubo nic szczególnego nie przedstawiający, brakiem dostatecznej elegancyi uderzył Frycia.

— Tak panie — odrzekł. — Samo już moje imię dowodzi, że mieszkam w pobliżu miasta starożytnych Witoldów. Zwykłym mojem zajęciem jest sianie lnu i konopi, a do D*** przyjechałem dla towarzyszenia niemłodej bardzo i cierpiącej nieco mojej matce.

— Więc możemy sobie podać rękę — rzekł Tarnowski; — jesteśmy obadwa gospodarze, bo jak pan len i konopie, tak ja sieję złotą pszenicę.

— Chciój mi pan powiedzieć — mówił po chwili wskazując Reginę — kto jest ta pani w czarnej sukni? Patrę już na nią długo i uderza mię szczególniej piękny i niepospolity wyraz jój twarzy.

— To moja siostra — z uśmiechem odrzekł Henryk.

— W istocie, teraz dopiero spostrzegam, że państwo podobni do siebie — rzekł młody człowiek, spojrzawszy na pana Henryka i przenosząc wzrok na twarz jego siostry.

Przybyły w tój chwili doktor przywitał Tarnowskiego.

— Je ne sais vraiment, co państwo znajdują tak bardzo pięknego w pani Różyńskiej — mówiła w drugiej stronie salonu pani Klementyna do Wiewiór-

skiego, który od hrabiny przeszedł znowu do innego kółka.

— Błada i nieożywiona — dorzuciła pani Konstancya.

— Si mesdames! — zawołał Frycio; — pani Różyńska jest bardzo piękną i niezmiernie dystyngowaną osobą. Dziwi mię tylko, że się zawsze czarno ubiera a choć jej suknie piękne, naprzykład ta, którą ma na sobie, bardzo nawet kosztowne, toć przecie nierozumiem, dla czego zawsze czarne.

— Coś niedobrego kryje się pod tém — zdecydowała pani Klementyna.

Gdy tak gwarzono w różnych kątkach salonu, otworzyły się drzwi i ukazał się w nich słuszny, z poważną prostotą i wytwornym smakiem ubrany pan Stefan Rawicki.

Są ludzie, których powierzchowność nosi na sobie wyrytą cechę wysokiej wewnętrznej wartości. Szlachetność, rozum, energia w połączeniu z poczuciem piękna, niezbędném prawdziwie i wszechstronnie wykształconemu człowiekowi, wlewają w każdy rys ich twarzy, w każdy ruch ich postaci pełno prostoty i godności, powagę i wdzięk. Tacy, nie wiedząc i nie myśląc o tém, wyróżniają się z tłumów; i ci nawet, którzy ich ocenić ni pojąć nie są zdolni, mimowoli, instynktownie powstają przed nimi i schylają czoła.

Jednym z takich wydatnych ludzi był p. Rawicki. Zanadto poważny, aby myśleć o tém, jak ma wejść,

ukłonić się i powitać obecnych, najpewniej nigdy nawet nie pomyślał jak się wyda jego powierzchowność; wszakże wewnętrzne światło, mimo jego wiedzy, oblewało mu całą postać, tak, że gdy wchodził w tłum nieznanomych, każde usta zapytywały: — Kto jest ten człowiek?

Tak było i u hrabiny. Gdy wszedł, wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom; wielka pani sama powstała lekko na jego przywitanie. Nie znające go kobiety szepnęły: — Kto to jest? a mężczyźni zbliżali się do niego z uściskiem ręki i pełnym szacunku powitaniem. Nawet hrabia August podał mu dłoń, zakreśliwszy wprzód niezbędne półkole; a p. Wiewiórski ukłonił się z gracyą i rzekł: — Jakże nam miło powitać tu pana!

Kiedy hrabia August powstał, aby powitać inżyniera, p. Janusz, widząc niezajęte obok Reginy miejsce, powstał także i dążył ku niemu. Ale zaledwie przeszedł połowę salonu, krzesło, na którym siedział hrabia, zajął doktor, a pan Kwiliński, z piersią pełną westchnień, wrócił do swego zakątka.

Wrażenie, jakie wejście do salonu pana Rawickiego sprawiło na całym towarzystwie, nie uszło baczności Reginy. Wkoło siebie usłyszała kilka cichych szeptów: — jaka uderzająca fizyognomia! quels manières distinguées! już niemłody, a jednak przystojny! Któż to jest? dites-donc! Inżynier? Doprawdy inżynier? Mon Dieu! et il a l'air d'un prince!... i t. d.

Regina z rodzajem dumy i nieopisanego zadowolenia spojrzała na człowieka, którego piękna dusza tak wspaniałem piętnem cechowała zewnętrzne formy, że ci nawet, którzy o całe światy byli od niego dalecy, dojrzelì i ocenili światło, uderzające z jego postaci.

— *Régardez Constance* — szepnęła pani Klementyna do ucha swojej sąsiadki — jak się pani Różyńska ożywiła przy wejściu tego inżyniera.

W istocie na twarzy Reginy ukazał się lekki, ledwie dojrzany rumieniec; usta jęj otworzyły się uśmiechem i odpowiadając rozmawiającemu z nią doktorowi, okiem biegła w stronę, w której Rawicki stał otoczony kołem mężczyzn.

— *Zdaje ci się* — odrzekła pani Konstancja pani Klementynie; — *il n'est plus jeune ce Mr. Rawicki.*

— *Qu'a ça ne tient*, bo przecież jeszcze przystojny!

Rozmawiające panie nie znały innych dodatnich i ujemnych stron mężczyzny, jak młodość lub starość, piękność lub szpetność.

Zaczęto roznosić herbatę i owoce, goście jedli i pili chodząc i siedząc. Rawicki, Tarnowski, pan Witold i doktor składali oddzielną grupę, do której niekiedy przyłączali się i inni, pociągani żywością toczącej się między tamtymi rozmowy.

Regina ciągle była otoczona młodymi ludźmi i chcącemi ją zbadać kobietami. Pan Stefan ani razu

nie zbliżył się do niej i kiedy spotykała się z jego spojrzeniem, było ono zawsze obojętne, poważne i spokojne.

Pani Izabella umieściła się jak najbliżej Henryka, i, błyskając co chwila pięknymi i obnażonemi rękoma, szczebiotała głośno, aby koniecznie zwrócić na siebie uwagę młodego człowieka.

Tymczasem zmrok zapadał, salony oświeciły się rzeźsicie i pod oknami zabrzmiała muzyka.

— Może państwo potańczą? messieurs et mesdames — spytała hrabina i, zwracając się do Reginy, rzekła — pani pewno lubi tańce?

— Od kilku lat nie tańczę wcale — odpowiedziała pani Różyńska.

— Est-ce possible! mon Dieu! — zawołała hrabina — w pani wieku!

— Pani nie tańczy! czy podobna? — posypały się ze wszech stron wykrzykniki. Hrabia August najmajestatyczniej prosił, aby na ten raz chciała zmienić kilkoletni zwyczaj; pan Frycio najwdzięczniej się kłaniał, błagając choćby o jeden *tour* polki; Janusz trzy razy westchnął, cicho nadmieniając, że jeśli pani Różyńska tańczyć nie zechce, zabawa będzie jak kwiat bez słońca, jak niebo bez gwiazdy. — A gdy Regina pokazała się nieubłaganą, ze wszech stron zaczęto ją pytać: czemu nie tańczy?

— Taniec szkodzi mojemu zdrowiu — odpowiedziała, jakby chcąc się pozbyć natrętnych pytań.

Gdy opór pięknej kobiety pokazał się nieprzełamanym, towarzystwo się zrezygnowało i, po długich jeszcze zatargach i prośbach, rozpoczęło pospolite ruszenie do kontredansa. Zmartwiony pan Wiewiórski, prowadził do tańca panią Klementynę; niemniej kwaśny hrabia August, podał rękę pani Konstancyi a pan Janusz wybrał najbledszą i najbardziej wiotkiej postaci pannę.

Pani Izabella zbliżyła się do Henryka.

— Pan nie tańczy, monsieur Tarnowski? — spytała, lekko dotykając wachlarzem jego ręki.

— Owszem pani — odpowiedział — ale nie jestem przedstawiony żadnej z obecnych pań.

— Eh bien! możesz pan tańczyć ze mną — dodała z uśmiechem.

Rozpoczął się kontredans; blisko miejsca, gdzie siedziała Regina, tańczył jej brat z panią Izabellą.

Piękna kobieta schylała się co chwilę ku panu Tarnowskiemu, mówiła do niego, zasłaniając się wachlarzem, błyskała przed nim białemi i jakby dłutem urobionemi rękoma, niby poprawiając perły na szyi, lub różę we włosach.

Jak wszystkie prawie cnoty i wady ludzkie, tak i zalotność kobieca ma swoje stopnie i rodzaje. Pragnące hołdów i zasiadania na tryumfalnym rydwanie, kobiety, dążą ku zamierzonym celom rozlicznemi sposobami.

Jedne używają za powab i sztuczny wdzięk udanego, choćby fizycznego cierpienia; takie, malowniczo drapują się w szale, w pełnych rozrzewniającej boleści pozach, układają się na miękkich kozetkach i, podając pożądanym widzom dłoń, jakby od cierpienia drżącą, podnoszą zamglone i maleńką łezką zaszcze oczy. Przyciągają one do siebie ludzi sentymentalnych, słabych, którzy sami nerwowi i załamani, wierzą w śmieszne słowo Micheleta: *la femme est une malade* — kobieta, to chora — czują pociąg do słabości i łez.

Inne owijają się nabożeństwem, anielską dobrocią, wreszcie rozumem. Takie klękają przed ołtarzami, wnoszą oczy ku niebu, przesuwiają paciorki różańca; albo, gdy mniemają, że są widziane, kładą pieniądze na dłoń żebraka. Albo w potrzebie, w pełnej skupienia postawie, siadają nad książką, i w rozmowie rzucają brzmiące słowa, pochwycone i zasłyszane mimochodem. Takie wabią nabożnych, filantropów, literatów.

Inne jeszcze, jako broń nieodpartą, wystawiają wdzięki ciała; rzucają ogniste spojrzenia, uśmiechają się wabnie, ukazują ramiona i całe układają się w najrozkoszniejsze i najpowabniej ukazujące ich kształty postawy. Takie zaprzęgają do swoich rydwanów młodych ludzi, ognistych, namiętnych, nieodświadczonych; albo przedwczesnych starców, którzy, z czary życia wysączywszy do kropli zdrowy na-

pój, szukają jak narkotyku, chorobliwych, drażniących wrażeń.

Do rzędu ostatnich, w Donkiszotowskiej wyprawie swój po świecie, rachujących głównie i jedynie na wdzięki ciała kobiet, należała pani Izabella. Ale, że z ogniem bezkarnie igrać nie można — sama zapalała się niekiedy przy własnym fajerwerku i różnie ludzie o niej mówili. — Wszystkie jednak ciche ploteczki, nie szkodziły bynajmniej dobrej renomie i towarzyskiemu położeniu pani Izabelli. Bo co innego jest, jeśli kobieta głośny skandal popełni otwarcie, wyznając swe uczucie, a jeszcze, broń Boże! zechce zerwać swe związki małżeńskie; wtedy to zgroza, występki, oburzenie ogólne! wtedy rzucajcie kamieniem, kto zdoła największym! Ale jeżeli wszystko odbywa się cicho i w porządku, to ten, komu Opatrzność zdała opiekę nad kobietą, zadowolony i spokojny, bez troski i podejrzeń, jada codziennie obiad, gospodaruje, grywa w karty i usypia snem błogosławionych. Jeśli dzieci zdrowo się hodują i domowy porządek nie cierpi uszczerbku, to któż-by zważał na jakiś tam zboczenia i usterki? Zasady społeczne nie cierpią przez nie i rzeczy dzieją się ku zadowoleniu wszystkim! Ktoś, inaczej może niż wszyscy pojmujący zasady społeczne, szepce po cichu — ale cóż z tego ?...

Więc kłamstwo, fałsz, udawanie każdej chwili, całego życia !...

Ale i któż znowu tak bardzo troszczy się o prawdę i o prawo a szczerze ukazywanie się ludzi wobec świata?

Zasady społeczne, to główna rzecz! a sąż one na prawdzie i prawości osnute?

Owego lata, pani Izabella nudziła się trochę w D***. Hrabia August, pan Wiewiórski, a nawet i zapłakany pan Janusz, przeszli już oddawna przez ogień jęj baterji; na innych nie warto nawet było ich wystawiać. Tarnowski miał oczy i twarz południowem tryskające gorącem, żywotną Ukraińską naturą; doskonałych kształtów jego postać, pełna była godności i wdzięku. Pani Izabella oceniła te przymioty wtedy jeszcze, gdy, z ganku hrabiny, piérwszy raz zobaczyła go w ogrodzie, oświeconego falą słonecznych promieni. Co było w głębi sympatyj, jaką powzięła dla młodego człowieka? Czy próżność sama? czy bezwiedny, instynktowy pociąg? czy jedno i drugie, połączone z jaką kropelką szlachetniejszego uczucia, głębszego wzruszenia?... Ona pewno sama nie rozumiała siebie; bo, ciągle badając tajemnice zewnętrznych swoich wdzięków, nie nauczyła się zaglądać w głąb' swojego ducha.

Cokolwiekbydz, Regina z niejakim niepokojem patrzyła na ataki pięknej kobiety, wymierzone przeciw jęj bratu. Znała ona wprawdzie poważną i szlachetną stronę Henryka; wiedziała, iż przedewszystkiem cenił on wewnętrzną wartość każdej ludzkiej

istoty. Ale może myślała, iż często człowiek mimo-woli ulega zgubnym uniesieniom; że pani Izabella bardzo piękna, a brat jój młody... Obawa o ukochanego brata zdjęła ją i dla tego może, iż podobno wiedziała, jak bezmiernem nieszczęściem dla poważnego i myślącego człowieka, jest ukochać formę bezduszną, i siebie samego ujrzeć w upadku i upokorzeniu.

Jedwabna suknia pani Izabelli, z szelestem przesuwała się po lśniącej posadzce; róże w jój włosach jaśniały żywą purpurą, perły, osunięte aż na piersi, drgały lekko od przyspieszonego oddechu. Z oczu jój tryskały co chwila błyskawice promieni i iskier, usta pół otwierały się rozkosznym uśmiechem i ciche-mi słowy.

Regina spojrzała na brata, a oko jój, badawcze i znające go do głębi, dostrzegło na twarzy młodego człowieka lekki odcień wzruszenia, osłoniętego jakby przymuszonym spokojem.

Skończył się kontredans, zaszumiał lekki, półtęskny walc. Kilka par razem, lub z osobna przemykało się po salonie i wśród nich Regina dojrzała swego brata, trzymającego w objęciu panią Izabellę i unoszącego ją, miękko pochyloną na jego ramieniu, szybkim wirem tańca.

Po chwili, piękna kusicielka, opuściwszy ramię swego tancerza, przechodziła zwolna salon; hrabia August zbliżył się do niój.

— Czy uważa pani — rzekł — jak towarzystwo dzisiejsze jest w szczególny sposób mieszane?

— Dla czego? — spytała w roztargnieniu.

— Kogóż tu dziś niéma? inżynier i jakiś szlachetka.

Pani Izabella nie słuchała słów hrabiego; oczy i uwaga jęj były gdzieindziej.

— Czemu pani tak roztargniona dzisiaj? — szepnął znowu hrabia August. — Nie słyszy pani nawet, co mówię. Dawniej inaczej bywało — dodał jeszcze ciszej.

— Dajże mi pokój, hrabio, z twemi wspomnieniami przeszłości — odpowiedziała niecierpliwie i, przechodząc obok Henryka, rzekła:

— *Votre bras, monsieur Tarnowski*; mam ochotę przejść się po ogrodzie; tu tak gorąco!...

Podał jęj ramię Henryk i oboje zniknęli z salonu.

Noc była cicha, pogodna, pełna księżycowych promieni, gorących powiewów. Piękna i młoda para, przeszła w milczeniu obok kwiatowych klombów. Pani Izabella jedną ręką podnosiła z wdziękiem suknię, chroniąc ją od rosy, a drugą, drżącą z lekka, złożyła na ramieniu towarzysza. Henryk nie patrzył na nią; czuł tylko, blisko twarzy swojej, gorący jęj oddech, połączony z tchnieniem letniej nocy i widział jęj rękę śnieżną, błyskającą pod promieniami księżyca. Szli powoli i milcząc, i weszli do cienistej alei.

Przez gęste zwoje liści, przemykały się gdzieniegdzie blade promyki, i słały im pod stopy sieć srebrnych nitek. Młodego człowieka, coraz bardziej ogarniało wespół przykre, wespół rozkoszne, ale gorące wzruszenie. Noc cicha i ciepła, wonie, blaski, z oddali dochodzące dźwięki muzyki i drżąca ręka kobiety, złożona na jego ramieniu: wszystko to razem owiewało go upajającą, odurzającą, niby opium, atmosferą. W duchu nie rad był z siebie i z téj dziwacznej, samotnej przechadzki a jednak nie chciał wrócić i szedł dalej milcząc.

— Panie Tarnowski — odezwała się kobieta — jak to szczęśliwie, żeś pan przyjechał tutaj. Pan ztąd nieprędko odjedziesz, nieprawdaż?

— Owszem, pani — odrzekł żywo, i jakby zmuszając się do mówienia, Henryk — odjadę, jak będę mógł najprędzej.

— Mój Boże, jakiś pan niedobry! — szepnęła kobieta i ręka jęj silnie zadrżała. Czyż pan niczego tu nie pożałujesz? czy pan o nikim wspomnienia ztąd nie wywieziesz?

Gdy to mówiła, sztuczném a kto wie? może i prawdziwém wzruszeniem, głos jęj drzał; Henrykowi zdawało się, że poczuł palący ogień jęj ręki.

Po raz piérwszy po wyjściu z salonu, spojrział na nią; szła obok niego powoli, z twarzą podniesioną ku niemu, z oczyma wpatrzonemi w jego twarz, z wyrazem wespół namiętnym, wespół smutnym; a wazki pro-

myczek księżycy, tworzył nad jęj złocistemi włosami srebrną aureolę i czoło zalewał posępną bladością. Stanęli i patrzyli na siebie. Nagle, gwałtownym, jakby bezwiednym ruchem, Henryk pochwycił jęj rękę, uściskał silnie w obu dłoniach i lekko pociągnął ku sobie. Kobięta westchnęła głęboko, podniosła głowę i, nie usuwając ręki z jego dłoni, wygięła nieco postać, jakby się chciała od niego odsunąć. I w tęg lekko odpornęj postawie, z tęg westchnieniem pierś podnoszącęm, stokroć jeszcze powabniejszą była; młody człowiek z gorejącemi oczyma, z pałającą twarzą, silnięj jeszcze przyciągnął ją do siebie i patrzył na nią.

Nagle i mimowoli, oczy jego przeniosły się na kwitnący obok krzak białych róż; świeże kwiaty błyszcząły przezystą bielą pod promieniem księżycy.

Dziwny niekiedy związek zachodzi na ziemi, między odległemi nawet od siebie przedmiotami! Młody człowiek na widok róż białych, przypomniał sobie bladą i słodką twarzyczkę Wandzi. Jakby na promieniu księżycy zawieszona, zadrżała ona przed nim łąą i uśmiechem, i zasłoniła sobą lice stojącej obok niego kusicielki. Cofnął się o krok jeden i, wypuszczając z dłoni swych ręce pani Izabelli, wyrzekł zimno, choć nieco jeszcze wzruszonym głosem:

— Chcięj pani wrócić do salonu, nie jest bardzo ciepło, możesz się pani przeziębić.

Pani Izabella nic nie odpowiedziała, przygryzła lekko usta, starannięj uniosła wypuszczoną z dłoni

suknią, i w milczeniu skierowała się z Henrykiem ku domowi.

A Wandzia co robiła w owéj chwili upojenia i szalu młodego człowieka, dla którego pierwszego uderzyło jéj serce?

Ona, czysta i uśmiechnięta, mimo cierpienia, spała cichym dziecięcym snem, a marzenia jéj senne, niby gołąbki białe, niepokalane, wzlatywały od niéj ku niebu. Może to jedno z tych sennych westchnień jéj duszy odtrąciło Henryka od wabiącej i namiętnej kobiety?

Bywają w życiu niektórych ludzi uczucia, które, jak anioły stróże, wypędzają z ich piersi popędy grzeszne i chronią od pokuszenia.

Kiedy pani Izabella i Henryk wrócili do salonu, tańczono polkę. Kobięta, uśmiechnięta i pewna siebie, jakby nic nigdy nie zaszło, wionęła swobodnie w taniec; młody człowiek, zamyślony i chmurny, stanął w drzwiach salonu, obok doktora K.

Pomiędzy tańczącymi, zapałem i wytrwałością w tańcu, odznaczał się pan Wiewiórski. Lubił on niezmiernie tańczyć i nikt go w tym względzie prześcignąć nie mógł; a tym razem, chcąc ukazać się pani Różyńskiej w całym blasku swojej gracyi, pozował i polkował. Pomimo pulchnéj i znacznie zaokrąglonéj swojej figury, unosił się w zwawych podskokach tak lekko i napowietrznie, że niepodobna-by usłyszeć najmniejszego odgłosu jego tańca. Rozpromie-

nioną wyrazem nieskończonej szczęśliwości twarz, podnosił wdzięcznie i w przerwach tańca chusteczką z różowego batystu ocierał kroplisty pot z zarumienionego czoła.

Stojący we drzwiach doktor K., z uśmiechem nieopisanéj ironii, patrzył na drgającą i jakby unoszącą się w napowietrzne szlaki, mimo znacznej swéj objętości, postać Wiewiórskiego.

— Czy uważasz pan — szepnął do Henryka — jak ten Wiewiórski w szczególniejszy sposób podobny jest do swojego wiedeńskiego kocza, którym się ciągle chwali.

— A to jak? — z lekkim uśmiechem, nie rozcumurzając jednak czoła — spytał pan Tarnowski.

— Jak kocz, tak i jego właściciel, lekki jest, a pakowny. Zobaczysz pan, że walcować nie będzie, bo szybki prąd powietrza, unoszący się zwykle około walczących, robi mu raważę na głowie i, rozrzucając włosy, ukazuje niepotrzebne rzeczy. Śmieszna to karykatura, a podobnych mu, choć w innym rodzaju ludzi, jest tu jeszcze kilku. Wszakże — mówił dalej doktor — mylił-byś się pan bardzo, gdybyś z podobnych wzorów brał miarę o całej społeczności tu-tejszych stron. Są to postacie wybitne i uderzające dla tego właśnie, iż są rzadkie. Oprócz nich, mamy w towarzystwie naszym ludzi rozsądnych i zacnych, którzy, z rozmaitym stopniem wyższego i mierniejszego ukształcenia, przedstawiają przecież typy istotnie

ludzkie. Nawet tutaj, w salonie hrabiny, jakkolwiek zapelniającym się najczęściej próżnią i błyskotkami, znajdziesz pan takich, którym z prawdziwym szacunkiem prawy i rozumny człowiek dłoń podać może.

— Oto naprzykład — mówił, wskazując dwóch mężczyzn średnich lat, siedzących nieco na ustroniu — ci dwaj panowie, obywatele ziemscy z tutejszych okolic, posiadacze znacznych majątków, są ludźmi w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Jeden z nich przyjechał tu dla własnego zdrowia, drugi przywiózł chorą żonę. Obudwu ich znam oddawna i bywam w ich domach na wsi. W domach tych znajdziesz pan dawną, serdeczną gościnność, połączoną ze światłem i rozumną oglądą cywilizacyi. Rozmawiając z nimi zapomnisz, że znajdujesz się w głębokiej prowincyi, tak im znane jest wszystko, co się na dalszym świecie dzieje, tak z zakątka swego potrafili iść razem z postępowymi i nie zostali niżej od najoświeceńszych ludzi, mieszkających u samych źródlisk oświaty. Gospodarstwa swoje prowadzą postępowo i korzystnie dla siebie i ogółu; wioski ich porządne, zamężne, dowodzą, iż właściciele nie ciągną z włościan korzyści, jak z kapitału uruchomionego, ale mają ich za podobnych sobie ludzi i współników w rolniej pracy. Tam znowu, rozmawiający przy oknie trzój młodzi ludzie, są to w tym roku właśnie przybyli z uniwersytetów obywatelscy synowie. Z otwartych i szla-

chetnych ich twarzy poznasz pan łatwo, jakimi są. Pokończyli kursa i przywieźli do domu specjalne wiadomości, z których pewno dobry potrafią zrobić użytek; bo z młodzieńczym zapałem i rozumnym sądem, pojmują obowiązki człowieka względem społeczności. Przybyli oni do D***, zapewne w celu zabawienia się tylko; ale nie widzę w tém nic złego, i młodość ma swoje prawa, i nie dziw, jeśli się lubi bawić. Złe mi się nawet wydaje młodzież, stroniąca od zabawy, bo jest to znak przesyty, lub bezmyślnéj apatyi, a rozumny człowiek z zabawy nawet, wskutek zetknięcia się z ludźmi, potrafi wysnuć dla siebie moralną korzyść. Między kobietami nie wszystkie téż podobne są do kilku wystrojonych lalek, błyszczących tu za pomocą tylko jubilerskich wyrobów i zalotnych uśmiechów. Oto np. te dwie panie, które w téj chwili obok nas przeszły, są z niedalekich téż ztąd stron przybyłe i majątne obywatelki. Młode, przystojne i starannie wykształcone, uosabiają w sobie wdzięk kobięcy, z powagą i godnością człowieczą połączony. Lubią się wprawdzie bawić — ale zabawy nie odrywają ich od wzorowego, rodzinnego życia. Przyjechali tu na parę tygodni w towarzystwie zacnych i rozumnych swoich mężów, aby potańczyć trochę, popatrzeć na ludzi i piękną tutejszą naturę, a potem wrócić do swoich domów, do dzieci i książek, tak spokojne, czyste i miłe, jak były wprzód.

— Ani na chwilę nie przypuściłem — odpowie-

dział Henryk — ażeby kilku śmiesznych ludzi, jakich poznałem tutaj, miało być przedstawicielami całej okolicy. Podróżowałem wiele po swoim kraju i po obcych; znam więc różne społeczności i wiem, że jak żadna z nich nie jest całkiem złożona z ludzi doskonałych i kandydatów do kanonizacyi, tak też w żadnej niema bezwzględneho zepsucia i całkowitej bezmyślności. Skrzywione zaś i skarykaturowane typy, jakie się dają wszędzie spotykać, sędzę, że należy przypisać skutkom złego wychowania i nierozsądnych kastowych przesądów.

— Niezawodnie — rzekł doktor. — Źródło wszelkiego dobrego i złego w ludziach leży w sposobie ich wychowania. Ziarno światła i prawdy, rzucone na rolę młodego umysłu, wyrasta z czasem w piękny owoc rozumu i czynu. Przeciwnie, człowiek nałamywany od dzieciństwa w stronę przeciwną rozumowi i prawdzie, musi wzrosć karłowato i krzywo. Ten np. pan Wiewiórski był jedynakiem i dziedzicem znacznego majątku. Ojciec odumarł go wczesnie, a czuła mamunia mdlała i spazmowała na samę myśl oddania go do szkół, a zatém rozstania się z ukochanym pieszczoszkiem. Czując jednak potrzebę dania *edukacyi* synowi, wzięła dla niego dwie guwernantki, Francuzkę i Angielkę, które po połowie prowadziły wychowanie dziecka. W najwcześniejszych więc swoich latach, dzisiejszy pan Frycio, zamiast katedry profesorskiej, widział szafę z sukniami mamuni; zamiast

twardój, a kształcącej szkoły koleżeństwa, miał towarzystwo dwóch romansowych guwernantek i kilku figlarnych subretek: — a w miejsce geografii, historii, arytmetyki i geometryi, uczył się francuzkiego i angielskiego języka, grania na fortepianie — i gracyi w ukłonach. Była to pierwsza połowa edukacyi, po której mamunia, obdarzywszy go tysiącem pocałunków i znaczną summą pieniędzy, wyprawiła syna za granicę. Tam w miejscach, gdzie inni czerpią naukę i światło, on przechodził kursa salonowo - zakulisowych nauk i wrócił całkiem już ukształconym młodzieńcem, biegłym w sztuce zawiązywania węzłów krawata, podniesionój na wyżyny wyrozumowanėj umiejętności, z niezrównaną erudycją toaletowo-modniarską i z najpełniejszą gracyi manierą. I jakże pan chcesz, aby z tak wychowanego młodzieńca mógł się kiedykolwiek wyrobić poważny i użyteczny dla społeczności człowiek?

— To prawda — rzekł Henryk — to téż historye podobne nasuwają myśl, jak bardzo potrzebném jest wyższe kształcenie kobiet, mających spełniać tak nieskończonej wagi powołanie matek, i mogących, w miarę własnej wartości, zbawiennie, albo zgubnie wpłynąć na rozwój i przyszłość dzieci.

— Kwestya ta — odpowiedział doktor — jest, mojem zdaniem, najważniejsza ze wszystkich nowoczesnych społecznych zadań. Kobięta - matka, to w społeczeństwie kapłanka najwyższa: z piersi jęj pły-

nie w pierś dziecka piérwszy zdrój dobrych albo złych skłonności, dobrych lub złych zarodów; z myśli jój w głowę dziecięcą przechodzi piérwszy promień światła i wiedzy, z jój serca w serce nieznające jeszcze siebie tryska zdrój słodczy i przyszłej zacności. Słowa matki brzmią w głębi duszy człowieka przez całe, choćby najdłuższe i najburzliwsze, życie; głos jój, to nigdy niezapomniana harmonia. Sam, panie, miałem matkę dobrą i rozumną i wiem, czém jest wspomnienie takie i taki głos, dochodzący nas zdala, jak wieczna przestroga i rada. Ale, ażeby kobieta godnie spełniła to kapłaństwo swoje, ażeby dzieci, odrywające się od jój łona, wchodziły w świat istotnymi ludźmi, trzeba, aby ona sama była człowiekiem, aby sama wysoko stanęła w hierarchii cnotliwych i świątłych. A dopóki kobiety nie wzniosą się myślą po-nad błyskotki i próżność, póki będą stały w społeczności, jak lalki, dzieci, bóztwa, albo kwiatki, a nie jak ludzie; póty w życiu społeczném brakować będzie piérwszej podstawy dobrego, póty po świecie błędzić będą Frycie Wiewiórscy i im podobni.

Podczas téj rozmowy przestano tańczyć; towarzystwo roz hulane nie mogło jednak tak zaraz poprzestać na samej rozmowie, i jęło zapraszać panią Różyńską do fortepianu, bo już wieść o jój pięknym talencie roznieśli panowie: Frycio, August i Janusz. Regina nie dała się długo prosić, i po chwili głos jój, czysty i silny, rozległ się po salonie. Śpiewała nową

wówczas i ogólnie ulubioną pieśń o Kalinie; a im dłużej śpiewała, tém więcej głos jej wznosił się i potęgował, tém wyraźniej drżało w nim głębokie uczucie. Pan Rawicki stał naprzeciw niej zamyślonny i wsłuchany w śpiew; ale z wyrazu jego twarzy nikt-by myśli jego odgadnąć nie potrafił.

Regina po Kalinie śpiewała inne jeszcze pieśni, śpiewała długo; zdawało się, że czuła potrzebę wypowiedzenia w śpiewie tego, co stanowiło treść jej wewnętrzną, a starannie się kryło przed wszelkiem okiem.

Gdy powstała, rozległy się ze wszech stron pochwały i podziękowania.

— Charmant! délicieux! — wołały kobiety.

— Mon Dieu! vous chantez comme un ange! — mówiła z głębi swego fotelu hrabina.

Czy kto kiedy słyszy w eleganckim salonie coś innego nad takie ogólniki i wykrzykniki, po muzyce, której się domagają wszyscy, jakby jej najpilniej potrzebowali, jakby ją rozumieli i czuli? Zachwycająca ta sztuka jest dla takich powszednich słuchaczy, jedną więcej zmysłową przyjemnością. Co mówią słowa poety, co tony muzyka, co rozpiera pierś grającej, lub śpiewającej osoby, to im obojętne. Dla tego téż smutna, czy wesoła piosenka, dobrze lub lichy wykonana, zawsze to będzie charmant, délicieux — i nic więcej.

— Veuillez prendre mon bras — majestatycznie

prosił hrabia August, podając rękę Reginie, aby ją przeprowadzić do opuszczonego przez nią miejsca.

— Czy można podać pani szklanekę limonady? to dobrze po śpiewie — z wdziękiem pytał pan Frycio.

— Niech pani przyjmie ten kwiat! — łzawo szepnął pan Janusz, podając pani Różyńskiej lilią, którą wyszukał w ogrodzie przy świetle księżyca.

— Bardzo dziękuję panom wszystkim od razu — odpowiedziała Regina, i lekko skinąwszy głową młodym ludziom, skierowała się z uśmiechem ku panu Rawickiemu.

— Muszę panu uczynić wymówkę — rzekła, podchodząc do inżyniera i podając mu rękę — przez dwa dni nie odwiedziłeś pan nas wcale.

— Zajęty byłem — odpowiedział — wkrótce mam opuścić te strony, muszę więc zdwajać usilność, aby ukończyć rozpoczęte prace. Jak widzę — dodał — pani nie wiele przyjmuje udziału w wesołej zabawie dzisiejszej.

— Tak, nie tańczę już oddawna — rzekła Regina.

— Jest-że to kaprys, postanowienie, czy... smutek? — spytał pan Stefan, kładąc nacisk na ostatni wyraz.

— Kaprysów nie miewam — z uśmiechem odrzekła kobieta — postanowienie czynić w tak małych rzeczach, wydaje mi się niepotrzebném; ot tak, po prostu, nie mam do tańca stosownego nastroju. Są-

dzę — mówiła dalej — że, aby tańczyć, trzeba mieć na to zupełną swobodę i spokój myśli; a te mogą towarzyszyć tylko albo bardzo młodym, albo bardzo lekko zapatrującym się na życie, albo... bardzo szczęśliwym.

— Szczęśliwym — powtórzył pan Stefan — szczęście, to niezmiernie szeroki wyraz. Co pani rozumiesz pod nim?

— W ogólném, czy w wyłączném, odnoszącém się tylko do mnie, znaczeniu?

— W wyłączném, odnoszącém się tylko do pani.

— Wyłącznie, dla siebie, pod wyrazem szczęście rozumiem ciepłe, serdeczne i czynne życie rodzinne.

— Ależ takie życie dla każdej, zda się, kobiety jest otwarte — odpowiedział pan Rawicki.

— Nie zawsze — odrzekła krótko Regina.

Podczas téj rozmowy, patrzyła Regina na twarz pana Rawickiego tak, jakby chciała coś z niéj wyczytać; ale nie znalazła w niéj nic, oprócz zwyczajnej, zawsze ją cechującej powagi i życzliwości. Wzajemnie pan Stefan badawczo patrzył na Reginę; dojrzał w niéj odblask, jaki twarze kobiety mają wtedy tylko, gdy w ich sercach odzywa się głos żywego uczucia.

W téj chwili Henryk zbliżył się do siostry, pytając, czy chce powrócić do domu? zaczęli więc oboje żegnać się z obecnymi.

Pani Izabella lekko skinęła głową kłaniającemu się jęj z dala Henrykowi, i zacisnąwszy nieco usta, przeprowadziła go wzrokiem aż do drzwi.

U samych już drzwi pan Rawicki raz jeszcze podał rękę Reginie i rzekł:

— Do jutra!...

Po wyjściu Tarnowskich, zabawa u hrabiny jakoś nie szła. Pani Izabella i cała prawie młodzież straciła humor; nawet pan Frycio, zmęczony popisem, odbytym przed Reginą, i zasmucony jęj wczesnym odejściem, zamiast *bawić* panie, zaczął sam bawić się ulubioną papugą. Powoli więc większa część towarzystwa pożegnała hrabinę. Ale że było dość wczesnie, kilka osób pozostało i obsiadło dwa blizkie siebie stoliczki. Przy jednym z nich siedziała hrabina, pani Izabella, trzy inne panie i hrabia August; przy drugim rozmawiali panowie: Rawicki, Witold, doktor i dwóch obywateli, których medyk wskazywał był Tarnowskiemu, jako myślących i zacnych ludzi.

Między mężczyznami rozmowa toczyła się żywo; pan Witold opowiadał o nadwilejskiem gospodarstwie, a pan Rawicki przedstawiał wszystkie korzyści, jakie ono odniesie z mającej się budować linii kolei żelaznej.

Nagle zwróciły ich uwagę podnoszące się głosy rozmawiających przy drugim stoliczku osób; imię pani Różyńskiej, kilka razy powtórzone, przerwało mowę pana Stefana.

— Nie tańczy, zawsze w czerni! to coś nienaturalnego! — mówiła pani Klementyna.

— Ubięra się czarno, bo wie, że jęj z tém do twarzy — bronił niby hr. August.

— Ale gdzie tam! coś tam niedobrego kryje się pod tém, ręczę za to — mówiła z naciskiem jego interlokutorka.

— Dieu sait, kto ona jest ta pani Różyńska, jakie jęj towarzyskie położenie i jaka przeszłość — ozwała się druga.

— Je parie, że tam nic nięma arcy-dobrego — dodała trzecia — i nie wiem, z czego się ona wszystkim może tak podobać.

— Convenez — zabrała głos hrabina, która miała tę dobrą stronę, że o kobietach bywających w jęj domu nie lubiła źle mówić — convenez, że pani Różyńska nie wygląda bynajmnięj na awanturnicę, i że owszem w towarzystwie jest tout-à-fait bien.

— Ale nareszcie któż ona jest? — chórem zawołały tamte kobiety.

— Ja państwu powiadam — wtrącił pan Frycio, który na odgłos rozmowy o Reginie opuścił papugę, że pani Różyńska jest rozwódką. Tytułuje się: pani, więc snadź była mężatką, a nie jest już nią, bo nie nosi ślubnej obrączki.

— To niczego jeszcze nie dowodzi! obrączkę zdjąć można w każdym razie. Ja sędzę, że musiał ją

mąż opuścić o czém ona wstydzi się mówić! — zachychotała złośliwie pani Klementyna.

— Albo może ona sama męża porzuciła, pour courir le monde!

— Mon Dieu! to w istocie rzecz ciekawa, quel est le passé de cette femme! — rzekła znowu hrabina.

— Je suis d'avis qu'il n'est pas très beau — syknęła milcząca dotąd pani Izabella — bo niech hrabina powie, czy *uczciwa* kobieta może taić swoje przeszłość?

I położyła nacisk na wyraz *uczciwa*.

— Czy słyszysz, kto mówi o uczciwości? — szepnęła na ucho pani Klementyna przyjaciółce swojej, pani Konstancyi.

Pan Rawicki słuchał z razu rozmowy z lekką ironią, potem twarz jego coraz bardziej surowy przybięła wyraz, nareszcie powstał i zbliżył się do rozmawiających. Kiedy z ust pani Izabelli wyszedł z zabójczym naciskiem wymówiony wyraz: *uczciwa*, lekki rumieniec pokrył mu lica, szydarczy uśmiech narysował się na ustach.

— Pozwoli pani powiedzieć sobie — rzekł grzecznie, ale surowym wejrzeniem mierząc kobietę, do której mówił — pozwoli pani sobie powiedzieć, że gdy mowa jest o pani Różyńskiej, pytanie: czy *uczciwa*? miejsca w żaden sposób mieć nie powinno, tak bardzo ona nad to pytanie stoi wyżej.

Całe towarzystwo zwróciło oczy na mówiącego.

Głos jego poważny, surowe spojrzenie, i postać, lubo grzeczna, ale zimna i pełna godności, wzbudziły rodzaj mimowolnego poszanowania i jakby nakazały milczenie.

— Mon Dieu! — ozwała się wreszcie hrabina — czy pan dobrze zna panią Różyńską? Chciéjże nam pan powiedzieć cokolwiek o jéj przeszłości!...

— Panią Różyńską znam od dziesięciu dni ledwie — odpowiedział inżynier — i o przeszłości jéj nie więcéj wiem od państwa. Ale takiéj kobiety, jaką jest ona, nie trzeba znać długo, i o przeszłości jéj wiedzić nie trzeba, aby poznać i ocenić jéj wysoką wartość moralną.

— Dlaczegoż więc ukrywa swoją przeszłość? — syknęła raz jeszcze pani Izabella.

— Tajemnice każdego są osobistą jego własnością, w którą wdzierać się nie należy. Są ludzie, którzy nietylko w przeszłości, ale i w terażniejszości wiele do ukrycia mają — powoli wypowiedział pan Stefan, surowo i poważnie patrząc na kobietę, którą widział przed chwilą bezwstydnie wabiącą Tarnowskiego.

Gdyby stający w obronie Reginy był człowiekiem młodym i takim, jakich na każdym kroku spotykać można, mowa jego nie obroniła-by obmawianéj kobiety. Owszem, dorzuciła-by nowego materiału do ognia. Ale pan Rawicki był człowiekiem poważnym, a całe obecne towarzystwo instynktowo czuło jego niezmier-

na wyższość i przejęte było mimo woli wpływem jego powagi.

Umilkli więc wszyscy, a hrabina z wysoką swoją znajomością świata wyszła z trudności, rozpoczynając rozmowę o innym przedmiocie.

Po bardzo krótkiej chwili, pan Rawicki pożegnał ją, a wraz za nim wyszedł pan Witold, doktor i dwaj obywatele.

W godzinę potém pan Stefan w cichém mieszkaniu swoim kończył przed dwoma dniami rozpoczęty list.

„To pismo do ciebie, Zygmuncie, przeleżało na biurku mojem dwa dni, bom nie chciał wydać ci się szaleńcem lub marzycielem, posyłając je wtedy jeszcze, gdy sam przed sobą własnych usposobień dokładnie określić nie mogłem. Tak, stary mój przyjacielu, bywają na świecie rzeczy, które nam tak płączą myśl, tak gwałtownie obalają wszystko, cośmy sobie niby za budowę całego życia wystawili, iż, mimo doświadczenia i rozumu, człowiek musi długo badać siebie do głębi, aby orzec, co się w nim nowego zrodziło.

„Przebacz, dwa dni ostatnie nie widziałem pani Różyńskiej, a przepędziłem je w głębokim skupieniu ducha i w rozważaniu znaczenia i rodzaju uczucia, jakie dla niej powziąłem.

„Nie widziałem jęj zaś tak długo, mimo że przeszeń zaledwie kilkudziesięciu kroków nas rozdziela,

a brat jęj cochwilowym prawie jest moim gościem, dlatego, żem chciał pozostać z samym sobą i, otrząsnąwszy się z wrażenia, jakie widok tęj kobiety na mnie wywiera, swobodnięj i zimnięj zanalizować gościa, co się tak niespodzianie u mnie pojawił. Może tęż i dlatego jeszcze nie byłem przez te dwa dni u nięj, że czuję nieprzewyciężony wstręt okazania częmkolwiek, że staję w rzędzie jęj konkurentów, co-by, przez wzgląd na wiek mój i sposób myślenia, musiało być koniecznie śmieszne w moich własnych oczach.

„Cokolwiek bądź, w tęj głębskiej i poważnej spowiedzi mego ducha uznałem stanowczo, że pani Różyńska jest właśnie kobietą, którą można gorąco ukochać; że mogła-by być rozumną towarzyszką myślącego i poważnego człowieka; że zatęm moje dla nięj uczucie nie jest uniesieniem, ani prostym pociągiem zmysłów, ale atrakcją, jaką dwie dobre natury muszą wywięrać na siebie, rozumnym uznaniem swęj wewnętrznej wartości.

„Spytasz mię pewnie, jak mogłem w tak krótkim przeciągu czasu poznać ją i upewnić się o jęj istocie? Na to odpowiem ci, iż nie jestem młodzieńcem, zaledwie wchodzącym w świat i zaczynającym dopięro badać serca ludzi. Widziałem już wiele, a z natury badający i skłonny do analizowania, mój umysł, podstrzegał różne objawy usposobień ludzkich; wiem zatęm jak się dusza człowiecza objawia na zewnątrz

i błędne pozory omylić nie mogą mego wprawnego oka. Wyraz twarzy, spojrzenie, ruch niekiedy jeden, zdołają objaśnić mi więcej, niż liczne słowa i długa znajomość. Zresztą pani Różyńska nie jest jedną z tych kobiet, które, spuszczeniem oczu i rumieńcem, odpowiadają na pytania, na które otwarcie i z prawdą odpowiedzieć nie chcą. Mówi ona o wszystkim śmiało i poważnie; przekonania swoje wypowiada jak kobieta dojrzała i rozumna.

„Jedna w niej tylko strona zostaje dla mnie ciemną i nieznaną, jej przeszłość. Z trudnością uwierzysz, gdy ci powiem, że nie wiem dotąd, kim ona jest, mężatką, wdową czy rozwódką? wolną, czy związaną?

„Nie wiem... ale, patrząc na czystość jej oblicza i na zacność, a powagę całej jej postaci, pewny jestem jak swego życia, że przeszłość ta jej nie kała, i że jeśli i jest w niej cień jaki, znika on wobec skarbów światła, które spoczywają w jej duszy.

„A jednak gdybym znał tę tajemniczą kartę jej życia, byłbym pewniejszy mojej przyszłej drogi, przyszłość zakreślała-by się przedemną wyraźniej, jaśniej. Przeczuję, pewny nawet jestem, iż się dowiem... Czekam chwili.

„Jest tu w D*** hrabina X., którą znałeś w Paryżu. Naturalnie, po przyjeździe tutaj moim nie przyszła mi nawet myśl odwiedzenia tej kobiety, której nie szanuję. Dziś byłem u niej, bo wiedziałem, że spotkam tam panią Różyńską i chciałem zobaczyć ją

wśród licznego zebrania. Jak widzisz, analiza i rozważa nie opuszczają mię; chcę ją widzieć we wszelkich objawach jęj życia.

„Przedziwnie była poważną i piękną wśród tłumu błyszczącego sztuczném tylko światłem próżności. Nie tańczyła, bo téż taniec źleby się godził z jęj twarzą, napiętnowaną przebytém cierpieniem.

„Śpiewała, Zygmuncie, jak ona śpiewa! W głosie jęj są skarby niezgłębionych uczuć. Ta kobieta musiała wiele cierpieć!

„Gdy śpiewała, miałem nieopisaną chęć zbliżyć się do nięj i powiedzieć: pójdź ku mnie i bądź szczęśliwa! Ale rozum krzyknął mi nad uchem: milcz! i kazałem milczćć nawet moim oczom.

„Dla czego rozum milczćć mi każe? Zygmuncie, ja nie wiem, czy ona jest wolną, a spokojem jęj wstrząsać nie chcę. A jeżeli i jest wolną?... Przyjacielu, przed oczyma mojemu błyska cyfra moich lat.

„Czy powinienem z tą cyfrą, ciężącą mi nad czołem, pociągać ku sobie kobietę młodą?

„Myślałem długo nad tém pytaniem i rozum mój odpowiedział: tak!... Co znaczą lata, gdy one nie złamały mię, ni fizycznie, ni moralnie? Czuję się silnym i młodym, Zygmuncie, czuję, że mogę dać szczęście kobiecie takięj, jak ona...

„Kto ona jest?”

.
W chwili gdy pan Stefan pisał list do przyjaciela

swego, Regina siedziała na balkonie, z rękoma wspartemi o żelazne otoczenie, z czołem ukrytém w dłoniach.

Siedziała zamysłona; wiatr podnosił lekko zwoje jęj włosów, a usta jęj otwierały się niekiedy szeptem cichym; tak cichym, że nie usłyszały-by go nawet liście bluszczowe, które, osrebrzone promieniem księżyca ze słupów balkonu spadały na jęj głowę i ręce.

Niech najbieglejszy psycholog zbada i rozwikła tę misterną sieć złotych nici, która oplata umysł kobiety wtedy, gdy w jęj sercu zrodziło się uczucie żywe; a ona, zatopiona w rozważaniu siebie i drugiej jeszcze istoty, spodziewa się, wątpi i trwożną a pragnącą myślą snuje nadzieje...

Niech przybędzie taki biegły psycholog i opowie myśli Reginy.

V.

Nazajutrz po wieczorze u hrabiny, w ociemnionej altanie ogrodu, z książką w ręku siedział Henryk Tarnowski. Dzień był cichy i pogodny, ciepły, lecz niezbyt gorący. Po aleach przemykały się niekiedy postacie spacerujących, a młody człowiek, odrywając chwilami oczy od książki, widział je przez gęste gałęzie drzew zasłaniające go całkiem od przechodniów. Południe się zbliżało, ogrodowe ulice coraz pustszemi się stawały, zato od ganku hrabiny biegł coraz żywszy odgłos rozmów i śmiechu.

Henryk położył obok siebie książkę, wsparł się o poręcz ławeczki, na której siedział, i zamyślił się głęboko. Po nad jego głową cicho, bardzo cicho szumiały liście drzew, a on bezwiednie wsłuchany w ten szmer podniebny, puścił wodze młodym dumaniom, unoszącym go na szerokie stopy Ukrainy. A od nich, kto wie? może w kraj mglistego Polesia, kędy wiedział, że, wśród rozległych ogrodów, stał biały, rodzinny dom, ślicznego dziewczęcia, bladój i jasnowłosój Wandy.

Nagle, w alei, biegnącej obok altany, usłyszał kroki przechodzących i słuch jego uderzyło wśród tłumionej wymówione rozmowy imię jego siostry. Dosyć było tego niespodzianie usłyszanego dźwięku, aby wyrwać z zadumy kochającego brata; podniósł głowę i słuchał.

— Słuchaj-no Fryciu — mówił stłumiony głos mężki — żeby-to wyprawić twego Michałka do tego ich kozaczka? Możeby się czego i dowiedział? Co?

— Ba! — odrzekł Frycio — albom to ja nie próbowałem? mój Michałek zuch na takie rzeczy, ale z ludźmi tych ukraińskich państwa nie łatwo. Nic nie chcę gadać!

— I cóż odpowiadali Michałkowi?

— Ot zbywali go ni tém ni owém: a co nam do tego? nic nie wiemy! — a jużci, mężatka, kiedy się nazywa pani i zresztą nic i nic.

— Trzebaż było, aby się zapytał: — gdzie jej mąż?

— Pytał się, pytał i odpowiedzieli mu, ażeby się spytał pani, bo ona lepiej wie, a im nic do tego.

— Dziwne rzeczy! No, a panna służąca? to żwawa, czarnooka Ukrainka! możeby ją tak... jakoś, poindagować?

— Ej hrabio, hrabio! myślisz, żem tak już bardzo w ciemę bity, że się tak prostej rzeczy nie domyślę? I z nią próbowałem rozmawiać mój Michałek, ale gdzie tam! harda dziewczyna, aż strach i gadać z ludźmi

nie chce; haftuje tylko ciągle podobno, a czasem i książkę czyta. Wszystko, co chciała powiedzieć to to, że ją sama pani czytać nauczyła i że jest u niej od wielu już lat.

Tak rozmawiając mężczyźni, dwa razy minęli altanę, przechadzając się po alei tam i napowrót szybkim krokiem, jakim zwykle chodzą ludzie, naradzając się nad ważnemi rzeczami. Umilkli na chwilę, aż jeden z nich ozwał się znowu:

— Ale po co to wszystko, hrabio, kiedy ja i tak wiem, kto ona jest? Jużcić, gdyby była wdową, mówiła-by o tém niezawodnie; a gdyby była mężatką, nosiła-by na ręku obrączkę ślubną. Ten brak obrączki odrazu mnie uderzył i jestem pewny, że ona rozwódka!

— Być może, być może — mruknął w zamyśleniu hrabia — masz słuszość bodaj! bo i dla czego-by nie nosiła obrączki, gdyby była mężatką? Czy tylko pewny jesteś, Fryciu, że ona nie ma na ręku obrączki?

— Ha, ha, hrabio, jak widzę, nie znasz mnie jeszcze! I cóż się ukryje przed mojem okiem? Raz tylko spojrzę na kobietę, a widzę każdą najdrobniejszą wstążeczkę i szpileczkę w jej ubraniu, a tak ważnej rzeczy jak obrączka, jakżebym mógł niepostrzedz? Pierścień ma jeden bardzo piękny, ale obrączki ślubnej nie ma!...

— Pójdźmy, Fryciu, na przekąskę, bo dyabelnie jeść mi się chce.

— Dobrze, a potem pójdziemy do niej!

— Nie wiem, czy pójdę dziś, bo Bojnio zaprosił mnie na preferansa.

— A ja pójdę, tylko wprzód jeszcze pójdę do hrabiny.

— Po co?

— Ha, ha, ha, gdybyś wiedział, hrabio! genialna papuga...

Dalszego ciągu rozmowy nie dosłyszał Henryk, bo rozmawiający zbyt się już oddalili, a głos pana Frycia skonał w oddali na wyrazie: papuga.

Po ustach młodego człowieka przebiegł ironiczny uśmiech. Słyszał on imię siostry swojej w dziwnej mieszaninie, połączone z Michałkiem, przekąską, preferansem i papugą. I pomyślał: — dziwni są ci ludzie! zajmują się kobietą, nie rozumiejąc jej, nie mogąc ocenić jej istotnej wartości; zajmują się ot tak, przez ciekawość, dla pięknych oczu, dla spodziewanej cyfry majątku, a żaden z nich nie pomyśli o tém, czy też sam jest wart tej kobiety, z którą gotów swe losy połączyć? czy zdolny dać jej szczęście? czy myśl jego odpowiada jej myśli? I żaden z nich nie zagląda w jej duszę, pocóż im dusza? Piękna jest i bogata, alboż nie dosyć tego? I dziwna! żaden z nich nie czuje jak małym jest przy niej! pycha oślepia ich wszystkich i pną się ku słońcu! I jeszcze

raz, po co się oni pną ku temu słońcu? czy dla tego, że ono daje ciepło, że leżą w niem zarody wszelkiego życia, wszystkiego co dobre? Nie! poprostu dla tego tylko, że ono błyszczący, a oni jak dzieci lubią błyskotki!...

Tak myśląc, Henryk przeszedł z wolna ogród, wszedł na balkon i stanął w drzwiach swego mieszkania.

W saloniku pod promieniem słońca, osłaniającym jej włosy, machinalnie trzymając w ręku robótkę, siedziała Regina, a naprzeciw niej pan Rawicki z zajęciem i głośno czytał książkę.

Na odgłos kroków nadchodzącego, inżynier zwrócił spojrzenie ku drzwiom i, powstawszy, rzekł wesoło:

— Kędyżeś błądził, młody człowieku? od godziny jestem już tutaj i czekam twego przybycia.

Henryk uścisnął dłoń swego miłego gościa.

— Długo byłeś nieobecny — rzekła Regina — a myśmy, przez ten czas, o wielu rzeczach rozmawiali z panem Rawickim i bardzo zajmującą zaczęliśmy czytać książkę.

— O czémże to? — zapytał Henryk, siadając.

— Znalazłem tu na stole — odpowiedział pan Rawicki — piękne dzieło o sztuce w starożytniej Grecyi i to nasunęło nam powód do uwag nad tém, jak ludzkość, w różnych epokach swojego istnienia, różnie pojmuje piękność.

— Ja sędzę — rzekł Henryk — że istotne piękno przez wszystkie pokolenia jednako cenione być musiało.

— Tak — mówił pan Stefan — ale różne wieki urabiały ideał piękności według siebie, na obraz i podobieństwo swoje. Tak starożytna, pogańska Grecya, rozkochana w kształtach cielesnych, nic po-za niemi nie dojrzała. W posągach starożytnych ujrysz niepokalanęj czystości i olbrzymięj siły kształty, ale nie dojrysz w nich światła, płynącego z wewnętrznej treści człowieczęj istoty, ni odrobinki nie znajdziesz w nich ducha. Potém, chrześcijanizm owionął ludzkość ascetycznym tchnieniem; formy poszły w obrzydzenie, materya została wyklętą, człowiek zapragnął otrząsnąć się całkiem z cielesnej swojej natury i w ziemskim jeszcze życiu stać się czystym duchem. Z tąd sztuka piérwszych wieków chrześcijaństwa całkiem zapomina o kształtach; freski jęj przerażają olbrzymiemi formami; malowane i rzeźbione postacie, mają mglistość i sztywność wstrętą prawie. Ostatnie wieki dopiero pojęły, że jak formy bez duchowej piękności są próżnym bawidłem, tak duch nieujęty kształtami, rozwiewa się w niepochwytną i abstrakcyjną mgłę. Zasada ta konieczności łączenia obu czynników, z dziedziny sztuki przeszła w zakres stosunków ludzi; jedni w drugich zapragnęli dojrzyć nie samę już tylko piękność cielesną, ale i duchową, na nią się oglądają w swoich wzajemnych

względem siebie uczuciach. Nie odrzucają też materji; bo nauka dała im poznanie ich własnej natury, bo wiedzą, że ciało nie ożywione pięknym duchem, to zwierzę, a duch, uwolniony od wszelkiej materji, to abstrakcja.

— Słyszę, iż mowa jest o duchu — zabrzmiał w drzwiach od balkonu głos wchodzącego doktora; — powiedźcież mi, łaskawi państwo, czy rozumiecie dobrze, o czém mówicie i czy wiecie, co to jest duch?

— Powiesz nam zapewne, anatomie — zawołał, witając go, Henryk — że duch jest to prosty wynik mózgowj organizacji; że stosownie do tego jak się w ludzkiej głowie wiążą i plączą fibry i zwoje mózgo-we, duch tworzy się i rozwija!

— Nie inaczej — odpowiedział doktor. — Kilka lat mozolnych badań przepędziłem nad wnętrzem czaszki człowieczj i doszedłem do przekonania, że w niem jest źródło i koniec wszystkiego, co ludzie chrzczą brzmiącemi wyrazami a co jest po prostu wpływem takiego lub innego kierunku, w jakim krzyżują się i rozwijają części jego mózgu.

— A widziałeś ten mózg, działający w głowie żywego człowieka? — spytał pan Rawicki.

— Przyznam się, że do ujrzenia tego ciekawego widoku nauka nie podała dotąd sposobów.

— Wiem o tém — mówił znów p. Stefan — i dla tego właśnie, jak też i dla innych jeszcze powodów, nie

śmiałybym stanowczo twierdzić z tobą, że to, co przez wieki pokolenia uważały za coś oddzielnego od materji, jest tylko jój wpływem.

— Nie wierzycie bezwzględnie w twierdzenie nauki? — spytał medyk.

— I owszem — odrzekł inżynier — naukę uważam za potężną dźwignią, mogącą podnieść i ulepszyć ludzkość; za jedyne światło, które zdolne jest odsłonić człowiekowi jego własną naturę i istotę otaczających go przedmiotów. Wszak-że zgodzisz się na to, szanowny doktorze, iż wiele na świecie jest rzeczy, których nauka nie zdołała dotąd dostatecznie rozświecić; wiész, że pewne prawdy, może na zawsze, pozostaną po-za granicami jój potęgi, że więc i kwestya o duchu człowieczym jeśli może być, będzie wyjaśniona przez nią kiedy. Dziś jeszcze stanowczój nie otrzymała odpowiedzi, ani od fizjologii, ani od anatomii, ani od chemii.

— I cóż ztąd wnosisz? — spytał doktor.

— Ztąd wnoszę — odrzekł Stefan — że człowiek, czując w sobie coś różnego od popędów i poczuć materialnych, winien starannie pielegnować w sobie te niezanalizowane dotąd swoje władze, bez względu na to, czy one z niepojętych dlań na zawsze, czy z wiadomych mu płyną źródła. Bo zawsze i w każdym razie one stanowią szlachetną stronę jego istoty i odgraniczają go od reszty stworzenia.

— Co do mnie — odezwała się Regina — zu-

pełnie podzielam w tej mierze zdanie pana Rawickiego. Jako kobieta nie jestem uczoną, i zaledwie lekkie mam pojęcie o prawdach przez naukę odkrytych. Niepotrafiła-bym więc powiedzieć, gdzie źródło i początek tego, co zwą duchem ludzkim. Myśl człowieka, męstwo, wolą, wszystkie szlachetne i gorące uczucia, wszystkie tęsknoty, wyższe pragnienia i to rwanie się ku coraz lepszemu, cechujące ludzi silnych i rozumnych, nazywam duchem i tę stronę człowieka czczę i wielbię. Bez niej, najpiękniejsze formy są dla mnie martwe i próżne; ona tylko, ta strona duchowa, zdoła w oczach moich opromienić czoło człowieka, zdoła mu zalać lica pięknoscią istotną. Sądzę, że każdy prawie człowiek wśród piérwszej młodości swojego życia ma chwilę, w której olśniewa go i pociąga tylko zewnętrzna piękność kształtów. Znak to, że dusza w nim jeszcze śpi, że własny duch jego nie szuka jeszcze i nie pragnie bratniego ducha. Ale im bardziej rozświeca się zmrok porannego świtania, tém więcéj w spotykanych ludziach zaczyna on szukać treści wewnętrznej, odpowiadającej jego własnej duchowej istocie. Aż przychodzi czas, że nicość lub ciemność tej treści, cieniami okrywa przed nim najpiękniejsze nawet zewnętrzne kształty; i uznaje on, że tam tylko może być zadowolenie istotne i szczęście prawdziwe, gdzie duch złączy się z bratnim i podobnym sobie duchem, gdzie dusza ukocha duszę.

— Możesz-że więc pani — zarzucił doktor — całkiem odrzucić ze stosunków ludzkich owę bezwiedną, niezależną od ludzi siłę, która instynktownie, magnetycznie pociąga ich wzajem ku sobie?

— O nie — odrzekła Regina; — wiem ja, że bywają w życiu sympatyje w jednej urodzone chwili, nie od nas zależne, a silne, które, jakby wskazując człowieka, co stanął na naszej drodze, mówią nam: patrz!... Sympatyje te nie z duchowej zapewne strony biorą źródło i przyczynę ich pan zapewne lepiej odemnie pojmuwać musisz. Ale wraz po uczuciu takim bezwiednym, w rozumnym i dojrzałym człowieku rodzi się pragnienie wiedzy, to jest poznania istoty, do której go pociągnęła magnetyczna nić sympatyj. I zaczyna się praca ducha, analiza, rozważa; i człowiek zapytuje drugiego człowieka, czy myśl jego zgodna z jego myślą? czy wewnętrzna treść, czy moralna wartość jego godna jest szacunku i rozumnego uznania? A wtedy dopiero, gdy duch, świadomy siebie i innego ducha, powie: tak! i gdy zeznanie to połączy się z siłą poprzedniej, bezwiednej sympatyj, wówczas tworzy się uczucie piękne i jedynie godne człowieka.

— Bodaj rozmawialiśmy już nieraz o tém — rzekł doktor.

— To prawda, iż nie jest to zbyt nowy przedmiot — odrzekła z uśmiechem Regina; — ale sam tę kwestyą wywołałeś, szanowny doktorze, twojém zapytaniem: jak rozumiemy ducha ludzkiego?

— I nie żałuję, że ją wywołał — odpowiedział doktor — bo zdanie takie, jakieś pani wypowiedziała w tej chwili, miło jest słyszeć często powtórzone.

— Przecie, nie wierzysz w ducha! — zarzucił Henryk.

— Mój drogi — odpowiedział doktor — kiedym w gabinecie anatomicznym, ze skalpelem w rękę, badał ciała umarłe, zdawało mi się, że pochwycił prawdę o nieegzystencji ducha i o tém, że wszystko, co istnieje, z materji się rodzi. Wszakże nie będę się o to spierał; myśl człowieka, jego prawość, męstwo i najszlachetniejsze jego dążenia, czy są wpływem organizmu, czy nadprzyrodzoną jakąś własnością, stanowią zawsze najpiękniejszą i najwspanialszą jego stronę. I zgadzam się na to, aby ludzkość cała na wieki rosła duchem, pod warunkiem, aby on jak najczęściej, takim jak wasz, się wytwarzał.

— Amen — uroczyście wyrzekł Henryk — pięknie dla słuchaczy powiedziano doktorze!

P. Stefan patrzył ciągle na Reginę, której wzrok utkwiony był w robótkę.

W tém otworzyły się drzwi i ukazała się w liliowej rękawicze trzymana ogromna klatka, z błękitnopiórą papugą hrabiny. Przez kilka chwil, klatka, zatrzymana w ciasnym przejściu, wisiała w powietrzu i nie widać było nikogo i nic oprócz klatki, ptaka i liliowej rękawiczki.

— Co to jest? — zawołała, śmiejąc się Regina.

— Hrabina w metamorfozie! — ze śmiechem rzekł doktor. — Z za klatki ozwał się głos:

— Monsieur Tarnowski, chciéj pan szerzéj otwożyć drzwi, bo nie mogę wejść z Bibi!

Henryk ze śmiechem drzwi roztworzył i w salonie ukazał się, niosący klatkę, promienny i uśmiechający się p. Wiewiórski.

— Szczególną parę dobrałeś pan sobie dla oddawania wizyt! — wołał doktor.

— Jakże hrabina ustąpiła panu tak wesołego towarzystwa? — dodał, ledwie tłumiąc śmiech Henryk.

Regina i Rawicki patrzyli uśmiechnięci i zdziwieni.

Frycio postawił klatkę na stole, powitał wszystkich i, zwracając się do gospodyni domu, rzekł — z wdzięcznym ukłonem wskazując klatkę.

— Przyniosłem tu tego ptaka, aby pokazać pani, że w D*** nietylko ludzie ale i ptacy powtarzają ciągle i wielbią jéj imię.

— W jakiz-to sposób? — spytała coraz bardziej rozśmieszona Regina.

P. Wiewiórski schylił się nad klatką i zawołał do papugi, wskazując panią Różyńską.

— Bibi! kto jest ta pani?

Nastąpiła chwila ciężkiego dla pana Frycia milczenia; przez kilka dni mozolnie on uczył ptaka wymawiać imię damy swoich myśli i miał już zbie-

rać słodkie owoce swęj pracy, ukazując jęj skutki Reginie.

Papuga wpatrzyła się w niego, podniosła dziób i chrapliwym, jakby rozgniewanym, ale wyraźnym głosem krzyknęła:

— Tu es bête.

Były to wyrazy, których nauczył ją jakiś figlarz, bywający u hrabiny, a które najczęściej lubiła papuga powtarzać.

— O, panie Wiewiórski — zawołała, śmiejąc się mocno Regina — uczennica pana niezbyt pięknie wielbi moje imię!

— Genialna papuga! — wołał z głośnym śmiechem doktor.

P. Rawicki nawet śmiał się, patrząc na tę komiczną scenę.

Po czole pana Wiewiórskiego spływał kroplisty pot; obtarł go batystową chusteczką a nie tracąc cierpliwości, schylił się znowu nad klatką i nieco gniewnie zawołał:

— Bibi! kto jest ta pani?

A kiedy ptak milczał, podpowiedział mu zcicha i kilka razy: Re... Re...

— Regina! — krzyknęła papuga.

Pan Wiewiórski podniósł głowę i tryumfalnie, jak wódz po zwyciężonej a wygranej bitwie, spojrział w około.

— Bravo! bravo! — wołali z wybuchami śmie-

chu mężczyźni. Pani Różyńska głośno się śmiała, a papuga krzyczała z całej siły : Regina!

Na głos papugi drżał ze szczęścia pan Frycio.

Alboż on jeden taki na świecie?

O! błogosławieni kochający papugi, albowiem ich jest królestwo głupiej szczęśliwości!...

Długo głośny śmiech brzmiał chórem w saloniku, z akompaniamentem upornego wołania ptaka; długo pan Frycio używał tak dobrze zasłużonego tryumfu, przesuwając spojrzenie po obecnych i szepcząc nad klatką: dobrze Bibi, dobrze ptasiu!

Ale wszystko ma swój koniec i przeznaczenie chciało, aby inne zjawisko świetnością swoją zaćmiło niespodziankę urządzoną Reginie przez szczęsnego tryumfatora. A dziwne-to zaprawdę było zjawisko! W tych samych drzwiach, przez które pan Frycio wtoczył ogromną klatkę, ukazał się ogromny bukiet, złożony z białych lilii, ponsowych gwoździków i szparagowych rozłożystych gałęzi, a taki był olbrzymi, że zakrył sobą twarz i połowę postaci niosącego. Przebył on już próg i znaczną część salonu, a obecni nie widzieli nic jeszcze prócz postępujących nóg, kwiatów i obejmujących je rękawiczek koloru *rose tendre*. Zjawisko zwolna posuwało się ku Reginie i gdy stanęło przed nią, obecni po-za gęstą zasłoną szparagowych, sterczących wysoko gałęzi, ujrzeli rzewnie uśmiechniętego, bladego i długowłosego Janusza.

— Pani! — rzekł młodzieniec cichym i drżącym

glosem: — białe lilie, to symbol wspaniałej piękności; miłością gorącą nazwali mieszkańcy wschodu ponso-
wy gwoździk! Skapane we łzach rosy i promieniach
porannego słońca, zerwałem je dla pani!... O! przyjm
pani...

I głos młodzieńca rozplynał się w napowietr-
nym cichym szepcie.

— A nie powiedziałaś pan jeszcze, co znaczą
szparagi — z niepohamowanym śmiechem zawołał
doktor.

— Bukiet sentymentalno-gastronomiczny! do du-
cha domieszał nieco materji — szepnął Henryk.

— Ależ to dzień niespodzianek! — rzekła Regi-
na, nie mogąc stłumić śmiechu uwagą brata rozbu-
janego.

— Dzień ptaków i kwiatów! — dorzucił doktor.

— Chciěj pan bukiet ten położyć na stole — mó-
wiła pani Różyńska do młodzieńca, trzymającego cią-
gle kwiaty; — piękny jest bardzo, ale ogromny i sądzę,
że go nie udźwignę!...

Janusz złożył snop kwiatowy, który, pokrywszy
pół stołu szparagowemi wiechami, zwieszał się aż
na ziemię.

Przez całą tę scenę pan Wiewiórski, z rodzajem
lekceważenia i ironii, patrzył na p. Janusza; bo i czém-
że była niespodzianka bladego młodzieńca obok téj,
którą on urządził? Pomyśleć o bukiecie można by-
ło w jednej chwili, a mieć go w drugiej; ale wyuczyć

papugę, na to trzeba było pracy dni kilku przynajmniej. Pani Różyńska zapewne umiała tę różnicę ocenić, wiedziała kto o niej stale, ciągle myśli. W sprawiedliwym poczuciu swojej wyższości, z pychą patrząc na kwiatodawcę, zapomniał Frycio o przysłowiu: każdy jak umie, Pana Boga chwali, i jeszcze o tym wyjątku z Pisma: Błogosławieni prostaczkowie, albowiem...

P. Rawicki mniej patrzył na niespodzianki, niż na Reginę. Zdawało się, że z przyjemnością widział jęj swobodny śmiech, że go rozpromieniała wesołość kobiety.

— Jestem w oczekiwaniu trzecięj niespodzianki — szepnął doktor do Henryka.

— Jakięj?

— Zapominasz o hrabi Augustie; i on musi przecie z czémś wystąpić!

— Ten uważa swoją własną osobę za najmiłszą niespodziankę i najżywszą dla wszystkich śmiertelnych przyjemność — odszepnął z uśmiechem brat Reginy.

Ale hrabia August nie przybył tym razem.

Po kilku chwilach pan Wiewiórski pożegnał Reginę, bo, jak mówił, był zmuszony co najprędzěj zwrócić hrabinie genialną papugę. I pan Janusz, pożegnawszy tęż obecnych, powolnym i zadumanym krokiem wysunął się z salonu, od drzwi jeszcze ławę spojrzenia przesyłając pani Różyńskięj.

Nareszcie w saloniku Reginy ze wszystkich gości został jeden inżynier. Henryk stanął we drzwiach balkonu, i zamyślony patrzył na ogród a pan Stefan zbliżył się do jego siostry.

— Czy uważałaś pani — rzekł do niej — że w życiu ludzkim są dni szczególniej jakoś miłe i pełne swobodnego spokoju. W dniach takich, najdojrzalszemu i najpoważniejszemu człowiekowi uśmiech wbiega na usta; świat oddawna już znany inaczej jakoś i piękniej, niż zwykle, się przedstawia, a same nawet ułomności i śmieszności ludzkie, łatwiej i więcej zyskują pobłażliwości i przebaczenia.

— Jest-to — odpowiedziała Regina — odbicie się na zewnątrz własnej człowieka istoty. Wszędzie i zawsze przynosimy z sobą samych siebie, i wewnątrzna treść nasza rozpromienia lub zasmuca cieniem to, co nas otacza. Kiedy nam w sercu dobrze i spokojnie, cały świat wydaje się jasny a ludzie lepszymi. W smutku lub niepokoju zdolni jesteśmy nie dojrzec nawet jasnego słońca i, na najczystszy błękanie nieba, chmury ciemne przewidywać.

— Jak zawsze tak i w tém masz pani słuszność — rzekł inżynier. — Dziś naprzykład otacza panią sama przyjaźń i życzliwość; tylu znajomych stara się pani dowieść według sił i umiejętności, swój dla niej pamięci i cześci. Jam tylko jeden — dodał z lekkim uśmiechem, — jam jeden nie urządził dziś pani żadnej niespodzianki. Zażądaj pani czego ode mnie.

Regina spojrziała na mówiącego długiem, pełnem promieni, spojrzeniem.

— Od pana — rzekła zwolna — żądam przyjaźni, nie zdawkowój, zwyczajnej, jaką ludzie zwykle hojnie szafują, ale prawdziwój, głębokiėj, takiėj, jaką się łączą dwoje. podobnych sobie poglądem na świat, ludzi.

Pan Stefan ujął jēj rękę i rzekł:

— Masz pani tę przyjaźń moję, serdeczną, gorącą, na zawsze sobie oddaną.

I znowu spojrzeli na siebie. W oczach ich było coś nieskończenie żywszego niż przyjaźń, a Regina poczuła, że ręka mężczyzny, trzymając jēj dłoń, lekko zadrżała.

Zostawszy sama z bratem, zbliżyła się do niego i położyła dłoń na jego rękę. Henryk spojrział na siostrę i, przeniósłszy spojrzenie na jēj rękę, zawołał, jakby przypominając coś sobie.

— Nie powiedziałem ci, Regino, jak zabawną usłyszałem dziś rozmowę!

I opowiedział siostrze rozmowę pana Frycia i hrabiego Augusta, którą słyszał zrana w altanie.

Regina śmiała się, słuchając i rzekła:

— Więc oni przypuszczają, że jestem wolną dla tego, że nie mam na palcu obrączki ślubnej?

— Tak, niezawodnie — odrzekł Henryk.

— Dobrze, żeś mi o tém powiedział, Henryku,

bo zaczynają już mnie nudzić ci panowie i będę miała przynajmniej środek oddalenia ich.

To mówiąc, wyszła do swego pokoju i wróciła po chwili, śmiejąc się i błyskając przed oczyma brata włożoną na palec ślubną obrączką.

— Ciekawym wrażenia, jakie ten znak na nich uczyni — odrzekł Henryk.

— Przepłynie ono tak szybko jak oto ta woda na Niemnie — odrzekła Regina. — Ah! co za myśl! — zawołała nagle — a gdybyśmy dziś wieczór przejechali się czółnem po Niemnie? to śliczny spacer! nieprawda, Henryku? Wiész co, idź zaprosz do naszego towarzystwa pana Rawickiego a ja poproszę marszałkową, żeby nam dała wnuczki.

— Wyborne masz pomysły, Regino! Jużto ogólnie uważam, że dziś niezwykle jakoś ożywiona i wesoła jesteś.

— Henryku — odrzekła siostra, zbliżając się do brata i patrząc na niego rozpromienionemi oczyma — czy pamiętasz, jak nieraz, w chwilach zwątpienia i smutku, mówiłam ci, że poza-mną wszystko dobre i piękne, że szczęście nie dla mnie, że nadziei nie mam! A tyś wtedy, dobry mój bracie, mówił mi, że będzie kiedyś chwila, w której ci powiem: mam nadzieję! i że potem będzie druga w której powiem: szczęśliwą jestem! Czy druga ta chwila przyjdzie kiedy, nie wiem; ale pierwsza już przyszła. Henryku, ja mam nadzieję; w oddali, bardzo jesz-

cze daleko, ale widzę szczęście! Słońce mam w duszy! Czy widzisz, bracie, te dwa promienie, co z tarczy słonecznej tam nad niemeńską wodą spływają? Czy one się zejdą ze sobą? Henryku, powiedz, czy zejdą się ze sobą te promienie? jeśli się zejdą, będzie wielka jasność; jeśli się rozstrzelą, jeden z nich, ot ten widzisz mniejszy, zgaśnie. Wszystko na świecie ma związek tajemniczy ze sobą. Jak promienie słoneczne, tak ludzie na ziemi, gonią się wzajem i łączą, albo gasną w rozdzieleniu. Ty mnie może nie rozumiesz, Henryku, ja sama nie dobrze wiem, co mówię! tak mi dziś promiennie w głowie, tak pełno w sercu, że myśli się łączą, trudno mówić rozważnie. Ale to zrozumiesz, że ja mam nadzieję!

Henryk chciał coś odpowiedzieć, ale Regina szybko zwróciła się ku drzwiom swojego pokoju i zniknęła.

W kilka godzin potem, na powierzchni cichych i gładkich niemeńskich fal płynęła duża łódź. Słońce zachodziło za pas fioletowych chmur, lekko ozłoczone wierzchołki drzew drżały pod powiewem zbliżającego się wieczoru. Osada cała lecznicza i jej gwar zostały w dali; a przed oczyma płynących szeroka, poważna i ciemno-błękitna wiała się wstęga Niemna, u krańca widnokregu spojona z niebem.

Na obu krańcach łodzi wysokie i silne rysowały się, z wiosłami w ręku, dwie męskie postacie. Byli to pan Rawicki i Henryk. Obok jednego, w czar-

nej, jak zwykle, sukni, ale uśmiechnięta i promienna, siedziała Regina; a niedaleko drugiego, biało ubrana, blada jasnowłosa usiadła Wanda S. W środku łodzi, na samym jej brzegu, z twarzą wspartą na dłoni, siedziało młodziuchne dziewczę, siostra Wandzi o dwa lata od niej młodsza; siedziała zadumana i nuciała cicho.

Łódź szybko sunęła po szklistej powierzchni; czerwone promyki zachodzącego słońca, odbijając się w wodzie, gonily jej fale rojami iskier. Kiedy niekiedy po-nad głowami płynących, przelatywały nadwodne jaskółki a zdala, zdala, z drugiego brzegu Niemna, dochodziły smętne odgłosy ludowego śpiewu, połączone z echem grających w lesie fujarek pastuszych.

Dwaj mężczyźni żywo poruszali wiosłami; woda pryskała i szumiała, objając się o brzegi łodzi. Płynący milczeli wszyscy; każde z nich zdawało się wsłuchiwać w siebie samego, albo w ciche otaczające go szmery wieczoru.

Nagle, u jednego ze skrętów rzeki, naprzeciw cichej i jakby zadumą owianej łodzi, wypłynęła łódź druga większa, zdala już lśniaca różnymi barwami sukien kobiecych i gwarnemi odgłosami żwawych rozmów ożywiona.

— Jakieś ożywione towarzystwo płynie ku nam — rzekł pan Rawicki.

— To są znajomi — odrzekła Regina; — zdala poznaję głośny śmiech pani Izabelli.

Na to imię lekko zachmurzyło się czoło Henryka.

— W istocie — rzekł — są to nasi znajomi; poznaję unoszącą się w powietrzu ponsową wstęgę pani Klementyny i stojącą u brzegu majestatyczną postać hrabiego Augusta.

Tymczasem dwie łodzie coraz bliżej podpływały ku sobie, aż stanęły na falach obok prawie. Pochylony nad brzegiem swój łodzi, powiewając batystową chusteczką pan Wiewiórski, zawołał:

— Que vois-je! i państwo się téż wybrali na śliczną przejażdżkę!

— Ale czemuż sami? czemu nie z nami razem? — wołały pani Klementyna i pani Konstancya, ukłony ręką przesyłając Reginie.

— Niech państwo przejdą do naszej łodzi, dosyć jeszcze jest miejsca — zapewniał hrabia August, przechylając się i tak szerokie tworząc ręką półkole, że aż wytrącił nią wiosło z ręki przewoźnika.

— Prosimy do nas! prosimy do nas! — powtarzało kilka głosów.

— Niepodobna — odpowiedziała Regina — państwo zapewne długo będziecie pływali a my zaraz po zachodzie słońca musimy wracać.

— Tak jest w istocie — rzekł Henryk — bo

dłuższy pobyt na wodzie, mógłby zaszkodzić zdrowiu panny S.

— Co za szkoda! co za szkoda! przepędzilibyśmy wspólnie wieczór — wołało kilka głosów. Łodzie zaczęły się oddalać od siebie, a w powietrzu powiało kilka białych chusteczek. Pan Frycio miał wpółśmiechniętą, wpółmartwioną minę; majestatyczna postać hrabiego Augusta prezentowała się z godnością. Pani Izabella nic nie mówiła poprzednio i teraz nie wyrzekła ani słowa; oczy jej czarne, błyszczące, przechodziły z twarzy Henryka na twarz Wandy; stała u brzegu łodzi nieruchoma, a niebieskie jej wstęgi wznosiły się w powietrzu, jak ramiona, wyciągające się ku drugiej łodzi. Nagle, gdy łodzie oddalały się już nieco od siebie, podniosła głowę i rzuciła na Henryka trzymaną w ręku rozkwitłą i świeżą gałązkę jaśminu.

Henryk podniósł kwiat upadły mu u stóp, trzymał go przez chwilę w ręku i, gdy łódź, unosząc wesołe towarzystwo, była już dość daleko, rzucił go na rzekę, a sam zwrócił się ku Wandzie.

I płynęli znowu w milczeniu coraz prędzej; a słońce coraz się zniżało, zaszło zupełnie. Na czyste niebo wystąpił jasny księżyc w pełni.

— Czas już powracać — rzekła Regina — dłuższy pobyt nad wodą może szkodzić ci, Wandziu.

— O, jeszcze trochę — zawołała dziewczyna — teraz najpiękniejsza jest pora!

— W istocie — ozwał się pan Rawicki — wieczór jest ciepły i cichy i, o ile wiem, jedna jeszcze godzina przejażdżki nie powinna-by być pannie Wandzie szkodliwą.

I znowu płynęli; woda lekko i szybko ich niosła; nadbrzeżne drzewa szumiały, siostra Wandy ciągle nucila z eicha.

Natura naszych okolic, najczęściej zimna i smutna, miewa niekiedy chwile dziwnej, uroczej piękności. Jestto jakby rozkwitanie, jakby natchnienie wszech rzeczy: zieleni, obłoków, kwiatów. W srebrnej mgłę promieni białych, a jednak jasnych, świat cały zda się płynąć i drżeć; tysiące odgłosów niewyraźnych, niepochwytnych, biegnie od ziemi ku niebu i od nieba ku ziemi. W odgłosach tych jest szelest, śpiew, jęk i pieśń miłości. Wszystko spokojne, a jednak, wszystko mówi; kwiaty kołyszą się pod ciepłym powietrzem, drzewa szumią, obłoki płyną w srebrnej mgłę, fale woni mieszają się z potokami światła. A wszystko to zlane razem: półmilczenie i półgwar, półświatło i półcień, gorący powiew i słodkie wonie, obejmują człowieka, nieopisanego uroku tchnieniem.

A cóż dopiero gdy, wśród takiej uroczystej i wspaiałej chwili, człowiek we własnej piersi usłyszy najpiękniejszą melodyą, rodzącą się all o już rozkwitłej miłości. Wtedy wzmagą się w nim potęga uczucia, woli i pragnienia; wtedy powstaje on du-

mny i silny; szeroko oddycha i wyciąga ramiona, aby ująć w nie cały świat, cały bezmierny ogrom szczęścia.

Pan Rawicki stał u brzegu łodzi z podniesioną głową, z ręką wspartą na wiosle; twarz jego osłonięta była półcieniem a tylko czoło, zalane promieniami, jaśniało jakby pod srebrną aureolą.

Obok jego postaci, silnemi i pięknemi kształty rysującej się na tle pogodnej nocy, na niskiej ławeczce, cała rozjaśniona srebrnym światłem, z twarzą zwróconą ku niemu, siedziała Regina.

Pan Rawicki obiegał okiem całą przestrzeń; patrzył na błyszczącą i szeroką wstęgę rzeki i na las, którego liście, obielone promieniami księżyca, szumiały łagodnym drzeniem. Spojrzenie Reginy podnosiło się ku niebu i spoczywało to na białych obłokach, lekko płynących w górze, to na twarzy obok niej, a raczej, nieco ponad nią stojącego mężczyzny.

— Piękna noc! — szepnęła.

— Tak, piękna noc — odpowiedział głosem, jakby uroczystością chwili, tłumionym, p. Stefan. — Piękna natura — powtórzył, patrząc ciągle w przestrzeń — tak piękna, że w obec niej człowiek we własnych oczach maleje. Te ogromy świata i piękności, te przestrzenie, dyszące, wielkością bez granic, wołają na niego: jesteś mały!

— I zarazem mówią mu: jesteś wielki! — szepnęła kobieta — umiesz poznawać ich ogrom i czuć ich wspaniałą piękność.

Spojrzenie p. Stefana od przestworza cichéj wody i srebrnych lasów, spłynęło na przejasną w téj chwili twarz siedzącej przy nim kobiety.

— Tak — odpowiedział — człowiek mały jest i wielki zarazem. Wobec ogromu wszechstworzenia, wobec niezmiernych obrazów nieba i ziemi, widzi on, że losy i bóle jego jako jednostki, to fraszka, to drobne owady walczące z muszkami, w pokorze schyla czoło, mówiąc: jestem mały! Ale gdy zajrzy w głąb' swojego ducha i zobaczy tam niezmierną potęgę myśli i woli swojej, niebu i ziemi rzuca dumne zaprzeczenie i mówi: jestem wielki!...

— Jesteś wielki! — powtórzył cichy i drżący szept kobiety. I, jakby chciała dorównać człowiekowi, ku któremu ten cichy jéj wyraz płynął, powstała, wyprostowała postać, skrzyżowała ręce na piersiach i przez chwilę stała tak, milcząc.

A łódź po szklistych falach płynęła, rozpryskując przed sobą roje iskier, drgających w wodzie.

„Jesteś wielki”. Wyraz ten wymówiony kobiecemi usty cicho, tak cicho, że go nie usłyszał nawet obok stojący człowiek, ku komuż wzleciał? Gdy go wymawiała Regina, jakaż wielkość stawała przed jéj myślą i z serca jéj wyrывała ten dźwięk uwielbienia?

Nie zawsze wielkość chodzi po świecie purpurą odziana, z wieńcem złocistych blasków na czole; niekiedy bywa ona tém wznioślejszą i istotniejszą im mniej podpada wzrokowi ludzkiemu, im więcej cicha

a pychą niepokalana, im mniej wzbija się hardem czołem pod niebiosy i woła ku ludziom: patrzcie i podziwiajcie!

Dumny wzrok zatapiając w głębie dawno zbiegłych wieków, staje niekiedy wobec świata człowiek i, rozwijając zwoje żółtkłych pergaminów, mówi: „Otom potomek niezliczonych pokoleń, ród mój bierze źródło z czasów, w których dziejowe światło nie świeciło jeszcze; pradziadowie moi byli wielcy, a zatem i ja jestem wielki!” I są między ludźmi tacy, którzy się chylą przed pergaminem owym zakreślonym herbami, a do ich właściciela wołają: jesteś wielki!..

To znowu niekiedy, tonąc w miękkich aksamitach złożonych fotelów, niby Jowisz na wysokim Olimpie, do ust podnosząc czarę ambrozyi upajającą, człowiek bogaty, bogactwem metalu wskazuje światu szkatuły pełne złota i mówi: „Otom posiadacz tych niezliczonych błyszczących i brzęczących blaszek! Błysznię niemi, a olśnię was tak, iż się wam wydam słońcem zmienionem w człowieka; brzęknę niemi, a na dźwięk ten zbiegniecie się do stóp moich! Za jedną z tych blaszek kupię sobie służalca, za inną pochlebcę, za inną jeszcze całą zgraję uniżonych przyjaciół. A taką potęgą władnąc, nie jest-żem wielki?” I między ludźmi są tacy, którzy przed złotym cielcem, uderzając czołami, wołają: jesteś wielki!..

Niekiedy kapryśna natura, zamiast zwyczajnej gliny, używa na wyrobienie człowieka, twardego i zimne-

go marmuru; kształty mu daje takie, jakimi niegdyś lubowało się dłuto Fidyasza. Zamiast krwi, leje w żyły mętną i letnią wodę, na miejscu serca umieszcza krzemień, z którego wydobyte iskry zapalają otaczające żywioły a który sam nie rozgrzeje się nigdy. Tak utworzony człowiek z piękną postacią, z kamieniem zamiast serca, z wodą w żyłach zamiast krwi, idzie w świat z jedyną myślą... o sobie; z jedyną miłością... dla siebie. Życie dla niego, to ciągłe arytmetyczne i matematyczne ćwiczenia. Z kródką w jednej ręce, z cyrklem i szalą w drugiej, sprowadza wszelkie idee do summy rocznego dochodu; uczucia mierzy na cale; wrażenia waży na łuty. Wszystko mu się udaje, bo wszystko naprzód obliczył; nigdy nie upadnie, bo idzie równo, prosto, jednostajnie, niezmiennie patrząc na ziemię; strzegąc wzroku, aby nie zboczył z linii i nie dojrzał gdzieś tam na widnokręgu jakiejś gwiazdki, mrzonki. Nic nie kocha, więc nigdy nie cierpi; nigdy nie cierpi, więc sobie nie łamie serca, nie zatrzuwa myśli. Wiecznie spokojny, zdrowy, rad z siebie i swoich cyfr; rad, że mu oczy błyszczą, policzki się rumienia, apetyt i sen nie odbiega; dumnie patrzy na tych, którzy kaleczą się w krwawych walkach, upadają wśród zapasów życia ze śmiercią i łamią się wśród burz i namiętności. Więc w dumie swojej mówi: „Patrzcie! wszystko mi się wiedzie, zdobyłem dobrobyt, chwałę, znaczenie, nigdym nie upadł, nigdym nie dał się porwać waszemi mrzon-

kami-idei i uczuć. Zawszem był twardy jak stal, nieubłagany jak cyfra, logicznym jak linia!" I są ludzie, którzy uderzając czołem przed samolubstwem i ślimaczą naturą, wołają: jesteś wielki!

Są jednak tacy, których żaden z trzech rodzajów wielkości olśnić nie zdoła. Na pargamin, złotą blaszkę i ślimaczą skorupę patrząc, zamiast potęgi, dostrzegają w nich nicosć. A tacy gdzie na téj ziemi wielkości szukać mają? kogo o tę wielkość pytać?

Przyłóżcie ucho tam, gdzie silną pulsacją uderzają tętna dzisiejszego wieku, wieku tego, w którym żyjecie; spytajcie, czém dziś jest wielkość. A owe głosy co się wydobywają z saméj duchowéj głębi społeczeństwa, owe potężne, a tajemnicze dla wielu tchnienia, co są wyrazem pragnień i dążeń ludzkości, odpowiedzą wam wyrazami: Zarność, rozum, praca!... Tam gdzie znajdziecie tych trzech pojęć wcielenie, znajdziecie wielkość. Gdzieindziej jéj nie szukajcie, bo po-za niemi są pozory tylko i błędne ogniki, niéma słońca ani prawdy.

Gdy człowiek, rodząc się, należy do rzędu biednych robaczek, które pełzają po gruncie nędzy i ciemnoty i gdy potém, przez krwawe prace, walki, mozoly, zdobędzie iskrę Bożego światła i przemieni ją w promień świecaący ludzkości; gdy urodzwszy się *niczém*, przez pracę i czyn stanie się *wszystkiém*, czém się tylko człowiek stać może, wtedy jest wielkim.

Kiedy więc patrzycie na człowieka, to nim orzeczenie jego wartość, patrzcie w niego i po-za niego; a gdy w nim ujrzycie zacność i rozum, po-za nim, na drodze, którą już przebył: pracę i czyn, mówcie mu wtedy: jesteś wielki!

Regina знаła przeszłość i wewnętrzną istotę Rawickiego; wiedziała, że nie urodził się on w kolebce, rodowemi pargaminami wysłanej i że nie złotem, nie samolubstwem okupił to, co posiadał; ale, że każdą piędź ziemi na drodze swojego życia, zdobywając krwawą pracą i hartowném, niepokonaném dążeniem, z *niczego* stał się *wszystkiem*.

Uwielbiła w nim ona to uprzednie *nic* i to obecne *wszystko*; a patrząc na postać jego piękną pięknością moralnej potęgi, niesteraną latami, napiętnowaną magnetycznym urokiem silnej natury, z głębi duszy, a bardzo cicho wyrzekła: jesteś wielki!...

Słowo to usłyszały zalewające jej czoło promienie księżyca; słyszały je i niemeńskie fale z cichym szmerem u jej stóp płynące; ale nie usłyszał go człowiek, ku któremu wlatywał ten cichy głos jej serca i myśli.

— Zaśpiewaj nam, Regino — rzekł Henryk — jakto dawniej bywało na naszym jeziorze.

— Niech pani uczyni zadosyć brata życzeniu, do którego i ja radbym prośbę moję dołączyć — mówił pan Stefan.

— Dobrze — rzekła Regina — niech mi szmer

wody wtóruje a wiosła panów miarę odznaczają. Jeśli rozbudzę ptastwo nadbrzeżne, nie moja będzie wina.

— Ale pani zasługą to będzie, jeśli nadbrzeżni nasi bracia posłyszają słodki i czujący śpiew pani w zamian za odgłosy, które nas od nich dolatywały niedawno.

Regina podniosła czoło, pomyślała chwilkę i zawiodła jedną z piosnek, w stronie jej rodzinnej śpiewanych. Głos jej pokrył plusk fali, wiosła spoczęły nieruchome w rękach Stefana i Henryka — i wszystko, jakby ucichło zda się, jakby słuchało z upragnieniem drżących w powietrzu tonów, nasyconych miłością i tęsknotą.

Pan Stefan nie patrzył już w przestrzeń a oko jego spoczywało na wyniosłej postaci i natchnionej twarzy kobiety.

Patrzył na nią i wszystko, co kiedy było, cała przeszłość jego znikła mu z pamięci i znikł mu z pamięci cały otaczający świat.

Patrzył na nią i zdało mu się, że znalazł to, czego nigdy nie miał; co zapełnia jedną z niezapisanych dotąd, a najpiękniejszych kart jego życia.

I posłyszał w sobie odgłosy, które przez długie lata tłumił potężną wolą i mozolną pracą; i posłyszał w sobie głos wszechmocny, który na każdego człowieka, prędkiej czy później zawołać musi: kochaj!

A na drugim końcu łodzi, Henryk i Wanda sie-

dzieli obok siebie; ich schylone i jasne twarze szeptały do siebie z cicha a głos Reginy pokrywał ich rozmowę. Bo czy to wpływ uroczego wieczoru, czy tajemnych myśli dziewczęcia, czy piosenki, którą Regina śpiewała, dość, że dziewczę zasłoniło twarz obiema rękoma i w głębokiej utonęło zadumie. Henryk spostrzegł po chwili, że przez jej białe palce przeciekały kropliste, drobne łzy.

Ujął jej rękę, odciągnął od zalanej łzami twarzy, i cicho zapytał:

— Czego płaczesz?

— Patrz pan — szeptem mówiła dziewczyna — jak uciekają przed nami srebrne iskierki w wodzie; uciekają i gasną. Tak życie szybko ucieka i za chwilę... za chwilę zgaśnie. A tam w górze białe płyną obłoki, płyną szybko i znikną; tak życie szybko płynie i... zniknie. A świat tak piękny, życie tak urocze... śmierć straszna a bliska!...

Zalźawione jej oczy podniosły się ku niebu i załamała ręce na srebrnej od światła sukni.

Ujął młody człowiek te obie załamane dłonie i patrzył długo w twarz dziewczyny.

— Nie płacz, Wandziu moja — ledwo dosłyszalnym rzekł szeptem — ja cię Kocham!

Jakiż jest malarz na świecie, któryby odtworzyć zdołał promień niewymownego szczęścia, zalewający lice kobiety w chwili, gdy ona, po-raz pierwszy w ży-

ciu, słyszy to piękne słowo od człowieka, którego także kocha?

Ale ten promień na chwilę tylko rozjaśnił bladą twarz dziewczyny.

— Alboż długo można kochać tę, która ma umrzeć? — odrzekła.

— W krótkim czy długim życiu — szepnął Henryk — jam z tobą na zawsze; jam narzeczony twój od tej chwili!

A łódź płynęła dołem po wodzie, górą w promieniach; płynęła zwolna, do marzeń kołysząc tych, których po szklistem niosła przestworzu.

Stefan patrzył ciągle na Reginę; stali naprzeciw siebie, spojeni jednym ogniwem promieni.

Gdy skończyła długą swą piosnkę, pan Stefan podał jej rękę, a ona złożyła na niej dłoń swoje.

Chciał coś mówić, gdy nagle wzrok jego zatrzymał się na jednym punkcie, powściągnął się i długo, długo, jak przykutyy lub zaczarowany, na ten punkt się wyteżył.

Punktem tym była włożona rano na palec Reginy, ślubna obrączka.

Wypuścił dłoń jej, nic nie powiedział i przez chwilę stał nieporuszony, niemy; aż ujął wiosło i silnie łódź posuwać zaczął.

Długie milczenie zapanowało na łodzi.

— Czy pani znasz — spytał nareszcie pan Stefan, zwracając się zimno ku Reginie — czy pani znasz

chwile, w których woda potężnie pociąga człowieka do siebie, a dno jej uśmiecha się do niego spokojem?

— Tak — odrzekła Regina — gdzieś w pewnej stronie świata jest jezioro szerokie, pod ścianami pięknego pałacu lśniąca a którego fale wołały mię nieraz ku sobie.

— Mężny człowiek nie usłucha wołania tego — powoli wyrzekł pan Stefan — niemniej jednak w chwilach takich, w nim i koło niego, wszystko łamie się i upada.

Gdy to mówił, dopływali do brzegu, przy którym skończyć się miała przejażdżka. Regina dojrzała na ustach Stefana bardzo gorzki uśmiech a oczy jego dziwnie i ciągle w jeden punkt patrzyły.

Nie zrozumiała tego szczególnego wyrazu jego twarzy, bo nie spostrzegła, że tym punktem, przykuwającym jego wzrok, była jej ślubna obrączka.

.

Po spokojnej i gładkiej przestrzeni wód, nietylko łodzie płynąć mogą; płyną po niej niekiedy i uczucia, namiętności w różnej postaci, choćby jako rzucone falam kwiaty.

Gałazka jaśminu pani Izabelli, wyrzucona na wodę przez Henryka, płynęła sobie zwolna, biała, woniąca i wodą skapaną. Gdy łódź, wioząca wesołe towarzystwo, zwróciła się, aby, raz przebytą przestrzeń wodną po-raz drugi przepłynąć, spotkała się z gałaz-

ką jaśminu i spotkały ją także oczy dawnéj jéj właścicielki.

Gwarno i wesoło było na łodzi, wiozącéj liczne towarzystwo. Pani Izabella, otrząsnąwszy się nieco z przykrego wrażenia, jakie wywarł na nią widok Henryka, płynącego z Wandą, ożywiła się także i, siedząc na brzegu łodzi, śmiała się i rozmawiała wesoło. Nagle wzrok jéj zatrzymał się na gałązce, która, jakby nadstawiając się powiewom wietrzyka, dla szybszégj podróży ku nieznanemu celowi, rozpostarłszy zielone listki i białe kwiatki, płynęła spokojnie ku piękności, która ją od rodzinnej oddzieliła gałązki i uczyniła ją posłem gorejącéj swéj głowy. Spostrzegłszy kwiat, zrozumiała odpowiedź na swe poselstwo i umilkła.

— Więc on nie chce ani na chwilę mego kwiatka, więc to pogarda! — oto co zadrgało w jéj głowie a rumieniec upokorzenia zalał piękną jéj twarz.

— Messieurs! — ozwała się do obecnych — kto z panów będzie tak grzeczny i poda mi ten płynący kwiat?

Skierowano łódź we wskazaną stronę i rozpoczęły się gimnastyczne ćwiczenia. Mimo swéj tuszy, pan Frycio zgrabniej się sprawił niż inni; laseczką przyciągnął kwiat ku łodzi, pochwycił ręką i, otrząsnąwszy go z wody, ze zwyczajnym sobie wdziękiem podał pani Izabelli.

Kobiéta zaciśniętymi usty, wymówiła suche: merci; wzięła gałązkę i siedziała w milczeniu. Daremnie

towarzystwo siliło się wyprowadzić ją z zadumy; patrzyła ciągle na zroszony kwiat i milczała.

Po godzinnej jeszcze przejażdżce, pani Izabella wchodziła do swojego, wytwornie przybranego mieszkania. Gorączkowo zadzwoniła i, gdy się pojawiły służące, zdjęła z siebie bogatą suknię i owinęła się chmurą lekkiego muślinu. Biała gałązka leżała ciągle przed nią, jeszcze zroszona, jakby płacząca. Kobięta siadła w miękkim fotelu, odetchnęła i, jakby nie chcąc widzieć gałązki, zamknęła oczy.

Wtedy obok niej, niewidzialne, stanęły dwa duchy, dobry i zły i poczęły rozmawiać z jej myślą.

— Widzisz, do czegoś doszła — szeptał anioł — człowiek, którego serce zdobyć chciałaś, pogardza tobą!

— Śmieję się z tego — w drugie ucho mówił jej demon — inni cię kochać będą!

— Ja nie chcę miłości innych! — myślała kobięta — mnie serce do tego jednego ciągnie?

— Serce? quel animal est ça! — zachychotał demon — odkąd-że stałaś się marzycielką?

— Od chwili, gdy poznała głębsze i pocziwsze uczucie — odpowiedział anioł.

— I po cóż mi to uczucie — myślała kobięta — kiedy mi za nie odpłacają wzgardą?

— To pokuta za przeszłość — smutnie odpowiedział anioł.

— I cóżem zrobiła złego? — myślała kobieta, nie-nawykła rozważać swego postępowania.

— Zamieniłaś życie w próżną igraszkę; najlepsze, najmłodsze dni spędziłaś w zalotnych uśmiechach i szczebiotaniach. Gdzie twoje prace? gdzie twoje zasługi? spójrz na przebyte lata!

I oto, jak w zwierciadle, kobieta ujrzała swoje przeszłość, siłą natchnienia dobrego swego anioła, w ciąg obrazów streszczoną. I naprzód ujrzała siebie dziewczicą czystą, niewinną, wyciągającą ręce ku światu. Stopniowo, mglista zasłona okrywała przed nią prawdę i dobro... aż z po-za tej zasłony, życie wydało się jej cackiem, daném jej do zabawy. Potem, jak w kalejdoskopie, przesuwały się przed jej oczyma obrazy różnych, a świetnych balów, gwarne tłumy, muzyka, tańce a ona, wśród tego wszystkiego, zawsze, wszędzie, królową. A w domu dla niej pustka, więc rzuca się w objęcia szału i coraz dalej, coraz głębiej. U łoża jej kolebka stanęła, uśmiechnęło się dziecko, ale w jej piersi nie zjawił się zbawczy anioł macierzyńskiej miłości. Ona coraz dalej i coraz prędzej, coraz prędzej i coraz szaleniiej, biegła w wir próżnych a hałaśliwych zabaw i brnęła w kał tajnych a bezmyślnych miłostek. I oto dziś, jest w całym blasku swojej piękności! ludzie ją wielbią, przebacząc jej wszystko a jednak ona nieszczęśliwa! Pustka w niej samiej i pustka wokoło niej! Spotkała człowieka, który pierwszy obudził w niej lepsze,

głębsze niż inni, uczucie, a ten nią pogardza, nie chce nawet zatrzymać w swęj ręce kwiątka od niej!

Otworzyła oczy, spojrzała na gałązkę, leżącą przed nią, jakby na świadectwo jęj upokorzenia i westchnęła ciężko.

— I czemuż on mię kochać nie może? — myślała znowu. — Czémże się zdobywają serca takich ludzi?

— Piękném ciałem! — szepnął demon.

— Piękną duszą! — rzekł anioł.

— Alboż nie jestem piękną — pomyślała kobięta.

— O, bardzoś, bardzoś piękna — wołał demon — idź, zobacz się sama.

Powstała i stanęła przed zwierciadłem. Twarz jęj zalana była rumieńcem, oczy płonęły, pod cienkim muślinem pierś się wznosiła gwałtownie. Wyjęła z włosów złoty grzebień, a gęste zwoje jasnych kędziórów, snopami promieni oblały jęj ramiona i stan. Nie wyjęta z włosów brylantowa szpilka, zawisała w splotach i po-nad czołem błyszcząca, drżąc niby srebrna gwiazda.

Stała tak długo, patrząc na postać swoję, odbitą w zwierciadlanęj szybie i pomyślała znowu: — wszak piękna jestem!

— Bardzo! — zawołał demon.

— Czegóż mi więc braknie?

— Pięknej duszy! — odpowiedział anioł.

Usiadła, znowu westchnęła ciężko i znowu myślała.

— Żle mi jest, cierpię, co mam czynić?

— Zrozumiěj piękną i poważną stronę życia! — mówił anioł — poznaj, że ono nie powinno być pustą igraszką, jaką ci dotąd było. Otrząśnij się z brudu materyalnych miłości, zdejm z siebie błyskotki, miěj odwagę spojrzeć w twarz cierpieniu i pracy.

— Bredzi! nie słuchaj go! — zachychotał demon. — Cóż to? masz zostać zakonnicej, we włosienicę się ubrać, różańcem się opasać, a może się jeszcze i biczować? ha, ha, ha!

— Ha, ha, ha — zawtórowała śmiechem myśl kobiety.

— Nie — odrzekł anioł — zakonne suknie i różaniec, nie są zbawieniem; czynu trzeba i pracy... Patrz, oto są twoje drogi!...

I ręką anioła ukazany, ujrzała przed sobą kobieta swój cichy, wiejski dom. W nim i wokoło niego dużo krzątało się ludzi, bo była bogata; a w najcichszym pokoju, po-za śnieżną firanką, stała kolebka jej syna a obcy jej strzegli.

— I czémże będę wśród tego wszystkiego? — myślała Izabella.

— Matką i kobietą szlachetną — odrzekł anioł.

— Śmieј się z tego — zawołał zniecierpliwiony demon. — Jakto! ty taka piękna, taka świetna i wielbiona w wytwornych towarzystwach, miała-byś za-

mknąć się w domu, jak szpetna jaka i gminna kobieta? miała-byś się wyrzec hołdów, strojów i blasku i uczyć twoje dziecko abecadła, związać się może z życiem jednego człowieka i wglądać w potrzeby ludzi niższej sfery a może jeszcze, jak szarytka poświęcić się wspomaganiu nędzy, pielęgnowaniu niedołęztwa i słabości?... Ty, taka bogata, taka piękna, taka świeża i zdrowa, taka upragniona przez coraz innych? Ha, ha, ha — śmiał się demon i głośnym śmiechem zagłuszył szept anioła.

— Ha, ha, ha — zawtórowała mu śmiechem myśl kobiety i oczy jej, zwrócone na chwilę ku duchowemu jej wnętrzu, odwróciły się od niego bez żalu. Wyzywającym i szyderczym spojrzeniem, patrzyły na białą kwiata gałązkę.

Umilkła walka wewnętrznych głosów. Pani Izabella miękko leżała w fotelu, myśląc niby jeszcze. Po chwili, z oka jej spłynęła duża, gorąca kropla. Byłaż-to łza pożegnalna ulatującego od niej anioła? byłaż-to łza gniewu, jakim ją natchnął szatański jej opiekun... zwycięzca tamtego?

Na gorejącym policzku łza szybko oschła; kobieta usnęła a demoniczny jej opiekun zaczął znów panować w jej piersi.

.....
W cichém mieszkaniu swoim, pan Stefan długo w noc siedział, z czołem na obu dłoniach wspartém i myślał; aż ujął pióro i zaczął pisać.

„W życiu najdojrzalszego nawet i najbardziej trzeźwego umysłem człowieka, bywają niekiedy bardzo długie sny, marzenia. Ja, przyjacielu, śniłem przez całe dwa tygodnie.

„Sen mój był taki, jakiego dotąd nigdy nie miałem. Cóż chcesz? każdemu snadź prędkiej czy później, konieczną kolęj przebywać przyjdzie.

„Dziś, mój Zygmuncie, obudziłem się. Płynęliśmy łodzią po Niemnie, noc była piękna; pani Różyńska śpiewała tak, jak tylko ona śpiewać umie. Wziąłem jęj rękę i przy świetle księżycy zobaczyłem... ślubną obrączkę.

„Uroczym zaprawdę blaskiem błysnęła ona przedemną? Śmieszne szyderstwo życia! To, co dla jednych jest znakiem osiągnięcia upragnionego szczęścia, innych kąsa w serce jak żmija.

„Nie jest ona wdową, wiem o tém z pewnych jęj słów; nie jest rozwódką, bo nie nosiła ślubnego pierścienia; a więc jest mężatką. Gdzieś na świecie jest człowiek, który się nazywa jęj mężem, który ma nad nią prawa, którego ona może kocha.

„Znasz mnie i wiiesz, że żadne wrażenie nie żartuje ze mną; że uderza ono we mnie, jak grom. Jestem człowiekiem gwałtownym, może dla tego silnym i mężnym.

„Gdym po-raz piérwszy tę złotą żmijkę zobaczył, owiniętą koło jęj palca, Niemeńskie głębie uśmiechnęły się do mnie i stwierdziło się na mnie mniema-

nie uczonych, dopuszczających siłę przyciągania między płynami, a stałemi ciałami; sądzę, że między Niemnem a mną, był w owej chwili dość silny prąd magnetyczny.

„Była to tylko chwila; teraz jestem głęboko smutny, ale zupełnie spokojny. Wyśniony obraz staje przedemną, jak umierający gladiator dawnych czasów, i mówi: Caesar, morituri te salutant!

„Śpij wdzięczny obrazie na samém dnie pamięci mojej i nie przeszkadzaj mi żyć dalej mężnie a użytecznie. Owszem, bądź słońcem, rozgrzewajacém resztę dni moich!

„Jak szedłem dotąd, tak pójdę i dalej, sam jeden, wytrwały i silny. A ona... niech błogostawioną będzie, za piękną chwilę, którą mi dała i za to szlachetne uczucie, które, zapewno mimowoli, wzbudziła we mnie! Bez nięj nie byłbym go nigdy poznał...

„Nie mogę jej widzieć teraz, bo nie chcę zachwiać się w postanowieniu spokojném i mężném. Wyjadę ztąd. Czy wrócę tu, nim ona ztąd odjedzie, nie wiem. Będę się liczył z memi siłami, które, jakkolwiek wielkie, niestety! zawsze są ludzkie tylko.

„Tak, dobry mój przyjacielu! życie to ciągłe walki. Gdzie koniec ich? Alboż my wiemy, biedni wędrowcy ziemscy? Gładkie i łatwe ścieżki dla głupców są tylko i dla ślimaków a im większą potęgę myśli i uczucia natura złoży w łonie człowieka, tém trudniej, tém ciężiej przychodzi mu iść drogą żywota.

I walczyć i krwawić się on musi póty, aż mu nad głową zaśpiewają ostatnią pieśń wędrowni: requiescat in pace!“

Skończył pisać, wsparł znowu czoło na rękę i... godzina po godzinie, noc upływała, a on ciągle myślał.

I ktoby wówczas widział go tak siedzącego, z lekko tylko zachmurzonym czołem, z łagodnym spojrzeniem i z wyrazem męskiego spokoju w całej postaci, rzekłby, iż to nie człowiek cierpiący, lecz uczony nad stosami papierów, siedzi i myśli o rozstrzygnięciu jakiegoś trudnego zadania.

Lecz kto zna tajemnice życia i głęb' człowieczego serca, ten wie, iż nie ta boleść największa, co we łzy się rozplywa i w jęki rozkrzykuje.

Cierpienie męznego człowieka, głębokie jest i ciężkie, ale spokojne i tajemne. Wewnątrz rozrywa ono pierś i ściska serce twardą obręczą bólu; ale czoło jego pogodne, oko suche i usta oblane smutnym, lecz spokojnym uśmiechem.

Takiem było głębokie, lecz męzne cierpienie Stefana, gdy wśród nocy rozmawiał z myślami swojemi. I nie widział, jak zwolna gasło blade światło lampy; i nie słyszał, jak po-za oknem otwartem, nad głową jego prawie, szumiały liście wonnych krzewów, niby szepecząc ciche błogosławieństwa, słane od nieba ku męznemu człowiekowi pracy i walki.

.

Nazajutrz dzień był zimny, chmurny i Źdzysty. W saloniku Reginy palił się na kominku ogień a ona, owinięta szalem, spokojna i zadumana, siedziała przed kominkiem i patrzyła w czerwonawe płomyki. Twarz jęj była pogodna, po ustach przebiegał niekiedy słodki uśmiech. Patrzyła w ogień i widziała w nim pewno piękne, z własnych myśli odbite, obrazy.

Kiedy płomyki, kołysząc się lekko, zbliżały się do siebie, widziała może, jak dwoje ludzi, wiedzionych ręką losu, postępują ku sobie zwolna zrazu a potem coraz bliżej, coraz prędzej schodzą się na drodze życia.

A gdy płomyki łączyły się z sobą, tworząc jedno gorące i jasne światło, widziała wówczas, jak się duże tych dwojga ludzi zlewają w jedną miłość, w jedną myśl.

Zakryła ręką oczy, słuchała cichego szmeru ognia i w tym szmerze słyszała może głos człowieka, który jęj wczoraj głęboką i gorącą przyjaźń przyrzekał. Wsłuchując się w ten głos, czekała może, może pragnęła, aby on wymówił wyraz, który brzmiał w głębi własnej jęj myśli.

Marzyła kobięta i uśmiechała się do swoich nadziei.

Otworzyły się drzwi i wszedł Henryk, zmoczony deszczem i chmurny jakiś.

— Deszcz cię spotkał, Henryku — łagodnie rzekła Regina.

Brat nie odpowiedział, rzucił jakby z niechęcią kapelusz i, szerokimi krokami, przeszedł parę razy salonik.

— Wystaw sobie — rzekł wreszcie, stając przed siostrą — Stefan wyjechał.

Regina podniosła głowę, wpatrzyła się w brata, i, jakby nie rozumiejąc słów jego, spytała :

— Co ty mówisz? Henryku.

— Byłem przed chwilą u Stefana — mówił brat z wyraźnym zmartwieniem — i zamiast niego znalazłem tylko jego list, to jest króciuchną kartkę, w której mnie prosi, abym uporządkował jego papiery, jakich w pośpiechu ułożyć sam nie mogłem i w której żegna mnie i ciebie na wypadek, jeśliby, przed wyjazdem stąd naszym, nie mogłem wrócić.

Regina patrzyła ciągle na brata, twarz jej coraz bardziej bladła, oczy stawały się szklane.

— I nie napisał, kiedy wróci? — spytała po chwili głosem, który jakby z ciężkością wychodził z jej krtani.

— Nie — odrzekł Henryk — pisze tylko, że ważne sprawy powołują go nagle gdzieindziej i może na długo.

— A! czy tak! — szepnęła kobieta tak cicho, że słowa tego nie dosłyszał nawet jej brat i znowu wpatrzyła się w ogień.

Ale, w owej chwili inne już całkiem, niż wprzód, obrazy musiały jej przedstawić się w płomykach, bo

lekko zadrżała, odwróciła oczy i powstawszy, zbliżyła się do brata.

— Henryku — rzekła stłumionym głosem, kładąc rękę na jego ramieniu — powiedz mi, co to jest nadzieja?

A gdy brat patrzył na nią zdziwiony nieco, wyjęła ze stojącego obok bukietu łądygę, otoczoną puszką przekwitłego kwiatka, i dmuchnęła. Biały puszek, jakby drobniuchnemi piórkami, rozwiął się na wszystkie strony.

— Oto, Henryku — jeszcze ciszej rzekła Regina — oto jest obraz wszystkich nadziei ludzkich.

A nim Henryk zdołał odpowiedzieć, już się za nią drzwi jej pokoju zamknęły.

Długo na te drzwi patrzył brat kochający siostrę, i myślał; aż przesunął rękę po czole i szepnął:

— Czyżby to już dalej zaszło z nią, niż sądziłem? Czemuż on wyjechał! Biedna Regina!

Regina stała u okna swego pokoju, wpatrując się w burzę, na dobre już w tej chwili szumiącą na dworze. Gwałtowny huk wiatru łączył się z łoskotem spienionej Rotniczanki; drzewa schylały się, jakby zgnębione przemocą niewidzialną; duże krople ulewy z trzaskiem uderzały o szyby okien. Może w tej burzy, co szumiała przed nią, kobieta widziała obraz własnych w owej chwili pocuć; może porównywała ten chmurny, zimny i pełen posępnych odgłosów, dzień z owym słonecznym, jasnym porankiem, w któ-

rym po-raz pierwszy ujrzała Stefana; może myślała, że każda miłość na ziemi, ma swoje majowe jasne poranki, swoje burze posępne i nareszcie swoje ciemne smutne noce. I może widziała, jak szybkim krokiem po bardzo krótkim poranku, zbliżała się ku niej owa straszna noc.

I tak stała, patrząc i dumając, aż się w górze rozdarła zasłona dżdżystej chmury, i po nad szarą od deszczu przestrzenią, na tle białych chmur, napędzonych wiatrem, oświecony jakimś błędzącym po niebie promykiem, błysnął krzyż kościołka.

Regina wpatrzyła się w ten jasny punkt, załamała ręce i wyrzekła:

— Wszędzie i zawsze dla mnie, jest tylko krzyż!

VL

Ze wszystkich rodzajów zjadliwych owadków życia, kąsających serca ludzkie; ze wszystkich owych drobnych na pozór bólów, nie wybuchających na zewnątrz rozpaczą gwałtowną, ale powoli, co chwila kolących człowieka, jakby zaostrzonymi kolcami szpilek, nie zabijających odrazu, ale co chwila tworzących drobne ranki, z których każda krwią się sączy; najdokuczliwsze, najuporniejsze i najboleśniejże są owe rodzaje wspomnień, cisnące się do głowy i piersi i szepczące człowiekowi ostrą nutą: było, a nie będzie!...

Jeżeli komu, wydarte nieubłaganą śmiercią, nawsze zgaśnie lice ukochanej osoby, przebrzmia nawet grobowe odgłosy, przybijanego nad głową [zmarłego wieka trumny, to w miejscu, gdzie przed chwilą szczęście jaśniało, rozkłada się wielkie cmentarzysko, — a w niem, wspomnienie każde mogiłą.

Lecz w tej naszej biednej po tej ziemi wędrownicy, nie sama tylko śmierć rozłącza ludzi. W pełni życia i sił, rozstają się oni z sobą niekiedy i umierają wza-

jem dla siebie. Wtedy dla tego, kto pozostaje sam jeden w miejscu, gdzie przed chwilą był szczęśliwy — na każdym kroku, rozkładają się groby. Chodzi on po wspomnieniach, jak po mogiłach, a pamięć szczęścia, które minęło i już nie powróci, ściga go bladą marą ciągłego żalu. Wówczas, każdy sprzęt domu, każde drzewo ogrodu, każda dnia pora i każdy dźwięk usłyszany, wieje ku niemu tchnieniem minicnej przeszłości; gdzie była radość, tam teraz tęsknota, gdzie była pełnia, tam stała się pustka.

Wszystko to samo, jak było, a jednak wszystko inaczej; nic się nie zmieniło wokoło, a jednak wszystko zbladło i zaćmiło się mgłą łez.

I na tych grobach umarłych radości, wśród takiej pustki, jaką żałoba serca okrywa świat cały, ileż ludzi wewnętrzną myślą powtarza słowa dawnego poety:

Pełno nas, a jakby nikogo nie było;
Jedną małą duszyczką tak wiele ubyło!

Pani Reginie Różyńskiej nie przychodziły może na myśl powyższe słowa Kochanowskiego, ale po wyjeździe Rawickiego z D***, posmutniała ona i pobladła; i chociaż zawsze była spokojna i łagodna, najmniej wprawne oko poznać mogło, że żal jakiś pochylał jęj czoło.

Z całej jęj postaci, z uśmiechu smutnego, z jakim rozmawiała z bratem i z oczu jęj można było wyczytać słowa, jakie później powiedział miał Wiktor Hu-

go, ów głęboki znawca wszystkich boleści ludzkich : „Jestem wśród ciemnicy ; jedna istota, odchodząc, zabrała mi niebo“.

Słowa te wyryte w całej postawie i twarzy Reginy, wyczytało braterskie i kochające oko Henryka. To też często, zostawiwszy siostrę w głębokim jej zamysleniu, szerokimi krokami przechadzał się po swoim pokoju i myślał także. Wtedy, przed wyobraźnią jego, stawały dawne, dawne lata dzieciństwa, w których z małą siostrzyczką swoją, na łące, ozłoconej słońcem wiosennym, rwał pierwiosnki liliowe, a trawki schylały się ku ziemi nisko, im aż pod stopy. I przypominał sobie także tę siostrę swoją młodzieńczą dziewczyną, świeżą, radośną, a potem przebiegał myślą złamane jej życie, które sam znał w najgłębszych jego tajnikach, ale o którym nigdy nie mówił nikomu. I przypominał sobie chwilę, w której na grobach rodziców przyrzekł ich ceniom, że będzie opieką i wsparciem Reginy.

A o tém wszystkiém przypominając sobie i myśląc, coraz więcej zasepiał czoło, a z ust jego wychodziły niekiedy słowa : Tak, ona jego kocha, to pewne ! sądziłem, że i on... ale czemuż wyjechał ?

Henryk, był widocznie wielce oryginalnym bratem ! Na tym Bożym świecie, każdy przecie ma swoje własne kłopoty, potrzebneż jeszcze trudzenie sobie głowy troskami innych ? Powiadają przecie mądrzy ludzie, że wtedy dopiero ogólne dobro zapanuje na

ziemi, kiedy każdy tylko o sobie myśleć będzie. Mają oni zapewne słuszość i dowodem tego są ich własne okrągłe tusze, rumiane fizyognomie i szkatuły pełne po same brzegi.

Czy Henryk trafnie czytał w sercu siostry? Czy Regina istotnie kochała Rawickiego? A jeżeli tak było, dla czego i jak go kochała? Osądzić to mógłby chyba ten, ktoby znał jej przeszłość; boć przecie istota wszystkich poczuć i myśli człowieka, wytwarza się z całego ciągu jego życia, i nigdy o nikim sądzić nie można z obecnej tylko chwili, bo ona, oddzielona od tych, które minęły, jest abstrakcją, pojęciem niezrozumiałem, jakby skutkiem bez przyczyny.

Miłość wreszcie, to bardzo szerokie słowo i różne znaczenie mające. Ludzie szafują niem niemiłosiernie i często mu bluźnią.

Jeżeli taka zwiędła i rozczarowana piękność, zbrzydziwszy sobie świat i odrzucona przezeń, kłęka przed ołtarzami; kościstemi palcami, które gotowe są potem spocząć na policzku podwładnych, przesuwa paciorki różańca i zżółkłemi usty, gotowemi zawsze do wylania żółci na bliźnich, szepce nieskończone *Kyrie-eleyson*, ludzie te święte objawy nazywają miłością dla Boga.

Jeżeli pełen pychy człowiek, z przepelnionych złotem kieszeni, wobec tłumów wyrzuca miedziaki żebrakom, ludzie to nazywają: miłością ludzkości.

Jeżeli młoda dziewczyna uczuje bezwiedny pociąg.

ku mężczyźnie, dla tego, że on pięknie tańczy mazura, albo zgrabnie się kłania, ludzie to nazywają: miłością świeżą, dziewiczą.

Jeżeli mężczyzna, zachwycony pięknymi kształtami kobiety, nie wnikając w treść jej i wartość moralną, zapagnie ją posiadać, ludzie to nazywają: miłością młodzieńczą, szaloną.

Jeżeli kobieta, mająca bogatego męża, nie chce utracić jego pięknych salonów, miękkich sprzętów i pysznych powozów i jest mu wierną, a w najgorszym razie, czułymi pocałunkami zamyka mu oczy, aby nie zobaczył jej maleńkich zboczeń, ludzie to nazywają: miłością małżeńską.

Kiedy stara panna całuje swego pieska, mówią, że go pieści z miłością. Kiedy waryat w łeb sobie strzeli, mówią, że się zabił z miłości. I kiedy pary łączą się dla tego, że im się wzajem podobały ich piękne oczy, mówią, że się one łączą z miłości.

I szczególną zaprawdę mieszaninę pojęć, zamknął w sobie ten wyraz: miłość. Głupota, obłuda, interes, zmysłowa tylko żądza, chwilowy szal, wszystko to się zwie miłością! I dziwić się potem, że oto dmuchnął jeden powiew wiatru... i już po miłości! a z tej bańki mydlanej, została sama mętna piana. I dobrze jeszcze, jeżeli tylko piana, bo czasem zostaje czarne błoto, w którym ludzie toną.

Kiedy biały anioł szczęścia, zlatując z nieba na ziemię, po-raz pierwszy przyniósł ludziom naukę miło-

ści, pojęcie o niej całkiem inne być musiało u niebieskiego gościa.

Jeżeli na jedném jego skrzydle jaśniał ognistemi głoskami wyraz: kochaj! — to na drugiem wryte było poważne, a zbawcze słowo: myśl! A ktoby miał zawsze przed oczyma owego pierwszego zwiastuna miłości, widział-by, że wszelkie uczucie, któremu jednego z tych wyrazów braknie, jest, jakby anioł o jedném tylko skrzydle.

Biedny, kulawy aniołek! Pochwyć muchę, urwij jęj skrzydełko, a gdy się będzie czolgać i rzucać i piszczyć i gdy ugrzeźnie w maśle, lub w płomień świecy wpadnie, to ujrzysz jego obraz.

Kochaj i myśl!

Co to znaczy: myśl? Czy to może znaczy: pytaj astronomicznęj lunety, ile razy Jowisz większy od Weneri i z jakich żywiołów składa się księżyc? Nie, za prawdę! historia, astronomia, są to zapewne rzeczy konieczne i wielce piękne na swojém miejscu; ale, gdy przy słowie: kochaj! stoi wyraz, myśl! znaczy to: patrz w głąb' istoty własnej, rozważaj pilnie siebie a potem poznawaj duszę człowieka, którego kochasz. I wtedy dopiero, gdy ujrzysz, że obie dusze wasze, to jest wasze myśli, stworzą jeden płomień jasny i gorący, jedno istnienie zacne a spokojne, wtedy będziesz miał prawo powiedzieć sobie i innęj istocie: „kocham“ i podać jęj rękę na wspólną przez świat wędrówkę. A na takie myślenie nie trzeba

być dyplomata, historykiem lub astronomem, trzeba tylko po prostu mieć w piersi uczciwość, a w głowie rozsądek.

Ale — zawoła mnóstwo głosów — cóż to za miłość taka? zimna, rozważna, bez szałów, bez jęków, bez pistoletów, bez... grobów? To nie miłość, to suche jakieś rozumowanie, to jakaś abstrakcyja śmiesznie oparta na jakimś związku dusz!

To prawda, że dzieje miłości takiej, na związku dusz opartej, nie zamkną w sobie zapewne tylu morderstw krwawych, samobójstw i strasznych awantur, jakich pełne są romanse, szczególnie francuzkie, mające być dziejami owęj przepięknęj, szalonej miłości. Ale żeby taki związek miał być mniej gorący, mniej przynoszący szczęścia nad inne, trudno w to uwierzyć; chybaby wprzód dowiedzioném było, że szalony Werter więcej kochał Szarlotę, której pragnął, niż Abelard Heloizę, z którą razem myślał.

Jeżeli Regina kochała Rawickiego, musiała to być, jak mówią jedni, owa zimna, wyrachowana, a jak nazywają drudzy... jedynie zacna, głęboka miłość.

Brat jej nawet, jakkolwiek mu bardzo ufała, nie widział ni razu, aby załamywała ręce, spazmatycznie się śmiała i płakała; nie mówiła mu też, że teraz cierpi, rzadko nawet bardzo wymawiała imię Stefana.

Ale za to, kiedy w mglisty i chmurny dzień usiadła przed ogniem kominka i wpatrzyła się w płomyki, roztaczały się przed nią obrazy szerokie jak świat, szlachetne jak jęj własna pierś. I widziała w nich siebie z poważnym i rozumnym człowiekiem; a przed nią i przed nim jasne, pełne ognia uczuć i światła myśli, roztaczało się życie. Szumiał po cichu ogień, i po-za oknem szumiały drzew liście a ona w tych szmerach słyszała słowa Stefana. Mówił on do niej o świetle, o ludziach, o wszystkiem, co kochał i o tém, co czeił; mówił jęj o miłości głębokiej, poważnej, rozumnej. Słuchała jego słów, rozważała je i w tajniach ducha wiodła rozmowę z duchem tego, o kim myślała. A kiedy płomyk, węzowym kręgiem zbliżając się do brzegu kominka, gorące tchnienie rzucał na jęj rękę, zdawało się jęj, że czuje na dłoni uścisk serdeczny i gorący zacnej ręki Stefana. Silniej zaszumiał wiatr, po-za oknem pochyliły się drzewa i zasłoniły sobą resztkę zagląającego do pokoju światła; na czoło zadumanęj kobiety spłynął głęboki cień, lecz pod nim ogień kominka oświecił płynącą po twarzy, grubą, cichą łzę. Łza spłynęła i gorzką kroplą zwilżyła usta Reginy; a oczy jęj, lekką mgłą zaćmione, utonęły w przestrzeni, smutne, ale łagodne i spokojne.

Nie każdego-by zapewne wzruszył widok takiej spokojnej miłości i takiego cichego cierpienia, a kto wie? nie jeden zaśmiał-by się może, dowiadując się,

iż ta zadumana i piękna kobieta myśli o człowieku, któremu włosy siwieją i tęskni do niego. Wszak posrebrzone i przerzedzone włosy i poważna postawa, nie są kwalifikacją do miłości — powiedzą niektórzy. Ale wszystko na świecie jest względne. Regina wolała rozum pod siwiejącymi włosami pana Stefana, niż mózgową nicłość, osłoniętą bogatemi kędziorami czarnych włosów hrabiego Augusta; wolała rozumne na nią spojrzenie poważnego inżyniera, niż zamglony wieczną łzą marzycielstwa i wiekuiście wlepiony w gwiazdy wzrok młodych oczu Janusza. Siła rozumu i prawości, gorące i mężne serce mężczyzny pociągało ją więcej, niż młodzieńczość lica i młodzieńczy zaostrzony wąsik.

Widocznie była oryginalną w tej swojej miłości, tak jak oryginalnym w braterskiej i troskliwej miłości dla niej był jój brat.

Tworzyli więc oboje parę oryginałów, a oryginalność ich czy śmiechu czy szacunku była wartą? To pytanie różne zapewne znaleźć może po świecie odpowiedzi; bo różnie różni sądzą. Inaczej mądrzy a inaczej głupcy, inaczej ludzie, a inaczej... dwunożne zwierzęta.

Tymczasem upływały dni i tydzień już minął od wyjazdu pana Rawickiego. Smutniała Regina; ale i brat jój coraz chmurniejsze miał czoło, bo doktor coraz gorzej wróżył o zdrowiu Wandy i stanowczo zalecił marszałkowej jak najprędszy wyjazd z D***.

— Żal mi serdecznie rozstawać się z wami — mówiła pani Z., w przeddzień swojego wyjazdu do Reginy i jej brata.

Oprócz nich w salonie nie było nikogo; tylko na ustroni przy otwartém oknie siedziała Wandzia. Przed nią leżała książka otwarta, ale oczy dziewczęcia nie patrzyły na nią a zadumane i smutne błędziły bezwiednie po ścieżkach ogródka, wznosząc się chwilami w górę, jakby śród cichéj, wewnętrznej modlitwy.

— Na toż się ludzie schodzą — mówiła dalej dobra staruszka, ujmując rękę Reginy, — na toż się ludzie schodzą i zbliżają ku sobie sympatją serc, aby się rozstawać na zawsze może? Państwo mieszkacie daleko, ot i nie spotkamy się pewnie na tej ziemi.

— Co do mnie — odpowiedział Henryk — pewny jestem, że wkrótce ujrzę panią; bo jeśli mię pani nie odtrąci od swoich progów, wkrótce zamierzam być jej gościem.

— I zawsze będziesz pan w domu moim miłym i pożądanym gościem — odpowiedziała pani Z., podając rękę Tarnowskiemu.

Pochylił się młody człowiek z głębokiém wzruszeniem i złożył pocałunek na ręku zacnej kobiety; a nie wypuszczając tej ręki ze swéj dłoni, rzekł nieco stłumionym i poważnym, ale stanowczym głosem:

— Pozwól pani, abym w przeddzień jej wyjazdu powiedział to, co oddawna leży mi w sercu i w myśli. Kocham pannę Wandę szczerze, głęboko; i jeśli będę

dość szczęśliwy, aby otrzymać na to zgodzenie się jęj samęj i jęj opiekunki, od dziś z najwyższą radością nazwę się jęj narzeczoným.

Na te słowa Henryka, twarz Wandzi pokraśniała purpurowým rumieńcem, a z pod spuszczonej powiek spłynęły dwie drobniuchne, niepowstrzymane łezki.

Pani marszałkowa przez chwilę nie odpowiadała. Jakby wzruszona głąboko, patrzyła to na wnuczkę, to na szlachetném wzruszeniu zalaną twarz młodego człowieka.

— Panie Tarnowski — ozwała się wreszcie, głosem poważnym, ale lekko drżącym, — nie mam powodu odrzucać oświadczenia pańskiego, bo szanuję pana i uważam go za zdolnego dać szczęście mojęj wnuczce. Ale — dodała — a głos jęj stawał się coraz więcj niepewny — ale... mam sobie za obowiązek zwrócić uwagę pańską...

I patrzyła na Wandzią, jakby chciała dać pojąć młodemu człowiekowi, że przy nięj nie mogła wypowiedzieć całej swojej myśli.

— Przebacz pani — przerwał Henryk — że pozwolę sobie domyślcć się, coś pani wyrzec chciała i odpowiedzić na to jedným słowem: Ja kocham panę Wandę.

— Wandziu? — jakby pytająco wyrzekła pani Z., patrząc na wnuczkę.

Dziewczyna żywo powstała, podbiegła i, klękając

u kolan babki, podała rękę panu Tarnowskiemu. Młody człowiek ukłęknał także, a pani Z. ze łąż na oku położyła ręce na ich pochylonych głowach i wyrzekła: — Bądźcie błogosławieni i szczęśliwi!

Nazajutrz z bramy mieszkania pani Z., wyjeżdżała opakowana karetą a, przez jej szybę, błękitne oczy Wandzi długo zwracały się ku twarzy młodego człowieka, stojącego na ganku. Gdy po-za kłębem kurzawy w oddali zniknęła karetą, Henryk spojrział na dom i ogródek. Z otwartych okien pustych pokoi wionął chłód; kwiaty ogródka, jakby smutne, poschyłyły barwne główki.

Wandzia zniknęła! może na zawsze?

Bywają w życiu takie przelotne, nagłe zjawiska.

Owiana mgłą uroku i piękności staje niekiedy przed oczyma ludzi postać jakaś; pochwyci serca, ukaże szczęście w oddali i, jak bajeczna rusałka, zniką, zostawiając za ślad jedyny swojego przejścia.... wspomnienie.

Henryk raz jeszcze obejrzał się na dom i ogródek i podał rękę siostrze. Oboje zeszli z ganku i, zwolna idąc szeroką ulicą, stanęli przed niewielkim, szarym domkiem, u okien którego kwitły jaśminy i bzy.

— Zaczekaj chwilę, Regino — rzekł Henryk do siostry — tu jest mieszkanie Stefana; wejdę i wezmę ztamtąd potrzebną mi książkę.

Wszedł do domku a pani Różyńska usiadła na ławeczce ganku. Pierwszy raz widziała ona zblizka

dom, w którym mieszkał Rawicki; oko jęj przeciąglętem spojrzeniem spoczęło na drobnych szybach okien. Do szyb tych pół okrytych zielonością krzewów, tuliły się białe gałęzie jaśminu, jakby chcąc się wcisnąć do cichego mieszkania. Na widok kwiatów tych, Reginie nasunęło się wspomnienie słów pana Stefana: „Dwie rzeczy tylko w życiu kochałem namiętnie: naukę i kwiaty!” I może myślała, że jednak życiu jego brakło najpiękniejszych kwiatów i może jeszcze myślała, że... że był ktoś... na świecie, z białą twarzą i gorącym sercem, coby pragnął drogę jego usłać temi kwiatami. Ten ktoś... to była ona! Pomyślała o tém zapewne, bo cicho westchnęła.

Uchyliły się giętkie gałązki jaśminu i bzu, otworzyło się okno, na które patrzyła Regina, wychylony przez nie, Henryk zawołał do siostry:

— Jeżeli chcesz, Regino, pójdz zobaczyć obrazy Stefana.

Regina stanęła na progu mieszkania inżyniera.

Jeżeli cokolwiek może wymownie świadczyć o wewnętrznym nastroju człowieka, o tém, jak on żyje i działa wtedy, gdy nie jak aktor występuje na scenę świata, ale po-za kulisami z samym sobą tylko przestaje, najwymowniejsze w świadectwie tém jest zapewne jego mieszkanie. Nie salony wprawdzie mają władzę odzwierciedlania duszy ich właściciela, bo one są sceną, na której występują aktorowie, wszyst-

ko więc w nich zastosowane bywa do widowisk jakie się odegrać mają. Ale kto chce znaleźć ślady człowieka, niech ich szuka tam, gdzie człowiek, z sobą sam na sam prawie, cierpi i myśli. Tam każdy sprzęt mówić mu będzie o tym, do kogo należy.

Regina spojrzała na pokój, do którego weszła. Na biurku, stojącym u okna, leżało mnóstwo papierów, kopert od licznych snac korespondencyi, otwarta książka i wszystkie przybory do pisania. Przy drugiej ścianie, naprzeciw okna, stał długi szezłag a na nim i wkoło niego na ziemi porozrzucane były dzienniki różnych formatów i języków. Dalej — na stołach, rozkładały się wielkie geograficzne i topograficzne karty, stały globusy, leżały geometryczne narzędzia. Pod drugim oknem, nieukończona jeszcze, snac ręką pana Stefana rysowana, karta miejscowości, w której przebywali obecnie i okolic, pokrywała duży stół; obok niej leżało otwarte dzieło angielskie o geologii a przy nióm wielki, w pięknej oprawie dykcjonarz. Był to pokój matematyka, inżyniera, uczonego; tchnął on pracą, skupieniem ducha w poważnej myśli. Ale człowieka, z jego słabą i uczuciową stroną, tu nie było.

— Gdzież są obrazy? — spytała Regina Henryka, który stał obok biurka, pilnie wczytany w jakąś kartkę. — Cóż tak pilnie czytasz? — dodała, nie mogąc się doczekać odpowiedzi brata.

— Czytam spis książek, jakie, widać, Stefan miał zamiar sprowadzić sobie z Warszawy, a mamy podobne zamówienia, bom właśnie wczoraj takie same otrzymał z poczty. Sądzę, że mu brak książek niezmierny w miejscu, w którym zostaje.

— Alboż ty wiesz, Henryku, gdzie jest pan Rawicki?

— Dziś rano spotkałem się u doktora z jednym z jego kolegów, który mi powiedział, że Stefan jest obecnie w N***, wiosce o cztery mile ztąd odległej. W miejscu tém ma podobno być stacya przyszłej kolei żelaznej, a teraz — dodał z uśmiechem — odbywa się tam walny sejm inżynierów.

Regina zamyśliła się a potem zapytała znowu:

— Gdzie są obrazy, Henryku?

Brat wskazał jej drzwi do drugiego pokoju, a sam pomiędzy dziennikami i kartami geograficznymi zaczął szukać potrzebnej mu książki.

Regina otworzyła wskazane drzwi i nagle owiała ją woń kwiatów. Był to pokoik niewielki, ale bardzo jasny, bo o czterech oknach, taki jakiego potrzebują miłośnicy kwiatów i malarze. U okien kwitły w wazonach przepyszne róże i gwoździki, na stołach obok wielkich bukietów zwiędłych już, ale jeszcze wonnych, leżały porzucone wiązki polnych roślin, muszle zebrane na wybrzeżu Niemna, różnych kolorów i kształtów kamienie i kamyki. W całym pokoju była jedna tylko książka, rozłożona na nie-

wielkim stolyczku, przed którym stał wygodny fotel. Regina schyliła się i wyczytała na niej imię amerykańskiego poety i filozofa, Emmersona, przebiegła okiem otwartą stronicę i zobaczyła zakreślony niebieskim ołówkiem ustęp poczynający się od wyrazów: „Compte sur toi-même”. Przy jednej ze ścian w najkorzystniejszym dla obrazów świetle, stały na stalugach dwa niezupełnie jeszcze ukończone obrazy. Na pierwszym, niewielkiem płótnie, z wielką prawdą i świeżością wymalowana, jaśniała wśród wysokich traw biała lilia a na jej kielichu zawisł żółto-skrzydły motyl. Obrazek ten odznaczał się wytworną delikatnością pędzla, dokładnością rysunku i znajomością botanicznych własności kwiatu, ale był jakby chwilową zabawą, jakby chwilowym żartem poważnego człowieka. Drugie za to płótno było znacznych rozmiarów; przedstawiało ono wysoką górę obwieszoną skalistemi odłamami, poprzecinaną głębokimi przepaściami. U stóp góry była ciemność, rozpraszająca się coraz w niezmiernie stopniowych odcieniach. Im wyżej, tém jaśniej było, a sam szczyt oświecały żywe słoneczne promienie. U połowy góry, całą prawie postacią wychylony już z cienia, piął się człowiek. Z naprzężonych jego rąk, któremi starał się chwytać wypukłości stromiej ściany, znać było wysiłki jakie czynił; ale twarz jego, profilem zwrócona do widza, zdawała się patrzeć na słońce, jaśniejące w górze i sama jaśnieć nadzieją i odwagą.

W dole obrazu, na białych ramach stalugi, czarną krédą wypisane były słowa: Licz na samego siebie i wspinaj się coraz wyżej!... Słowa te widocznie były wyznaniem wiary Rawickiego, początek ich wziął z książki amerykańskiego filozofa, dokończył ich w obrazie.

Regina stała w środku pokoju i patrzyła. Patrzyła na kwiaty i na otwartą książkę rozmyślań; w białą lilią jakby uśmiechającą się żartem wesołym i napnącego się po stroméj górze człowieka, który symbolizował wszystkich, wśród szlachetnych dążeń pracujących ludzi. Było to ciche zestawienie człowieka, artysty, poety.

Oba pokoje wybornie cechowały dwie strony swego właściciela: głęboki rozum i gorące serce. Pierwszy tchnął wytrwałą, a hartowną pracą, czynem oddanym w ofierze ogólnemu dobru, szeroką w różnych gałęziach wiedzą; mówił on o działającym i uczonej, publicznym człowieku. W drugim pokoju, człowiek ten widocznie żył tylko dla siebie; oddychał wonią kwiatów, ulotne lub poważne swoje myśli farbami przedstawiał na płótnie. A jeśli się schylił nad książką, to chyba w spokojném, pełném wewnętrznej ciszy i słodkiej poezji, rozmyślanju.

Regina stała i patrzyła wokoło i pojęła znaczenie tych dwóch pokojów i zrozumiała myśl, jaką w nich, mimo wiedzy, zamknął ich właściciel.

— Rozum i serce — myślała — wiedza i sztuka

ka, czyn i poezya: wszystko w nim jest! A myśl ta odbiła się na jej twarzy przezroczytym rumieńcem, jakim owionęło ją ciepłe i wonne tchnienie cichego pokoju malarza.

Nagle spostrzegła, że po-za dwoma obrazami, przy samej ścianie, odwrócone od pokoju, stało w ramach na niewielkiem podniesieniu jeszcze jedno płótno. Regina rozsunęła dwie lekkie stalugi i odwróciła na pokój zwrócony ku ścianie obraz.

Ale zaledwie to, co on przedstawiał, ukazało się jej oczom, krzyknęła lekko, odstąpiła parę kroków, i stanęła niema, wpatrzona w jeden punkt. Promień zachodzącego słońca, spływając z okien, złocistą aureolą wieńczył wymalowaną białą twarz kobiety w czarnej sukni i opromieniał białą różę, którą trzymała w ręku.

Regina zobaczyła swój portret. Pędzel Rawickiego odtworzył ją taką, jaką była w owej chwili, gdy po-raz pierwszy stanęła przed nim; szczegóły nawet jej ubrania, pozostać musiały wyryte w wyobraźni malarza, bo na portrecie była i szeroka żałobna jej przepaska, i wspaniały kwiat rozwitęj róży, jaki wówczas niosła, świeżo w ogródku zerwany.

Kobieta, przez długą chwilę milcząca i zdumiona, stała przed swoim portretem; oczy jej, które błysnęły zrazu, zwolna teraz zaszuwały się mgłą lekką; usta, ścieśnione zrazu wzruszeniem, otwierały się teraz i napływały purpurą. Aż nagłym ruchem załamała

ręce, potem wyciągnęła je ku portretowi i szepnęła: on mię kocha! Potem opuściła czoło, na obie dłonie pochyliła głowę i tak już stała jakby pogrążona w wewnętrzném zachwyceniu.

— Tak, niezawodnie, on ją kocha — jak echo szepnął po-za nią głos drugi. — Był-to Henryk, który, stanawszy przed chwilą w drzwiach pokoju i poraz pierwszy widząc portret swojej siostry, wymalowany ręką inżyniera, ujrzał także i grę jej twarzy i dosłyszał jej ciche słowa.

— Tak, on ją kocha — myślał młody człowiek, cicho przeszedłszy do innego pokoju, aby nie dać poznać siostrze, iż był świadkiem jej wzruszenia. — Ale czemuż wyjechał? Ha! jest coś, co ich dzieli!... A ja, który kocham ich oboje, nie mogę nic uczynić dla nich?

W kilka godzin potem, Regina sama jedna siedziała na swoim balkonie. Od strony domu hrabiny X. dochodziły ją gwarne głosy zabawy. Tego wieczora liczne towarzystwo zebrało się w salonach miejscowego bóstwa a wszyscy rozmawiali o pani Różyńskiej.

— Pani Różyńska chora jest podobno i nie przyjmuje nikogo — odpowiedział hrabia August.

— Si fait! bywa codzien u pani Z. — objaśniła pani Konstancya.

— Czyni to zapewne dla brata, który, jak słysza-

łem, żeni się z panną Wandą S. — ozwał się pan Wiwiórski.

Pani Izabella zbladła i zacisnęła usta.

— Pan, który zawsze wiész wszystko, panie Wiwiórski — rzekła — chciój mi powiedzieć, kiedy pani Różyńska i brat jej ztąd odjadą?

— Madame — z najśłodszym uśmiechem odpowiedział pan Frycio — je n'en sais rien, bo od kilku już dni pozbawiony jestem przyjemności widzenia tych państwa.

— Mówiło mi kilka osób — rzekła pani Konstancja — że za parę dni, wody tutejsze stracą już tę interesującą i tajemniczą panią Reginę.

— Doprawdy! est ce possible! — zawołali jednocześnie hrabia August i Frycio a spojrzenia ich mimowoli się spotkały.

Po chwili, obaj z kolei wymknęli się z salonu i różnemi rozeszli się ścieżkami. Jeden szedł około kwiatowych klombów, drugi po-za cieniłą lipową aleją a obadwaj zmierzali ku jednemu punktowi, pod balkon Reginy.

Myśli obydwóch tych ichmościów, z małemi odmianami, były takie same.

— Ta pani Różyńska — myślał hrabia August — piękna jest i majestatyczna, jakby stworzona na hrabinę, na moję żonę...

— Ta pani Różyńska, bardzo jest dystygowana

i ślicznie się ubiera — myślał pan Frycio — taką żoneczkę, to chciałbym mieć!

— Bogata jest niezawodnie — myśleli obadwa — po wszystkiém to widać; osoba nienależąca do naszego towarzystwa całkiem inaczej wygląda. I maniera jej i kareta i koronki i służba; wszystko mówi, że jest bogata. Bogata! a więc jakby stworzona, aby zostać moją żoną! — myślał hrabia August.

— Bogata! taką właśnie chciałbym mieć żoneczkę! — myślał Frycio.

— Ale kto ona jest? — znowu obadwaj myśleli — niezawodnie rozwódka!.. niepodobna, aby ztąd wyjechała, nim się czegoś stanowczego nie dowiem. A jak się dowiedzieć? Trzeba oświadczyć się i basta!

— Il faut faire un coup d'état — myślał hrabia — chybaby nie miała oczu i gustu, gdyby mi odmówiła, jeśli tylko jest wolną!

— Brrrr! czuję zapach harbuza — myślał pan Frycio — tyle go już razy jadłem! wszakże nie szkodzi poprobować. Włożę tylko mój amarantowy krawat i wiedeńską bonzurkę... a kto wie, co za górą!...

Tak myśląc obadwaj i każdy inną stroną dążąc, zeszli się pod balkonem Reginy; ale nim zdołali spojrzeć w górę, uwagę ich zwrócił szmer między krzewami. Z głębi gęstej zieleni, pod światłem gwiazd, wysuwało się zwolna na ścieżkę blade widmo. Na jasnocieliste ubranie postaci, spadały długie jasno-blond włosy a blada i ściągła twarz, wzniesiona w górę, pa-

trzyła na gwiazdy. Był to pan Janusz, który trzecią najwęższą, najciemniejszą, najpoetyczniejszą ścieżką, dążył też ku balkonowi pani Różyńskiej. O czém, on, idąc, myślał? chyba ten zdoła odpowiedzieć, kto potrafi pochwycić mgłę i zamienić ją w ciało stałe.

Zeszli się więc i stanęli naprzeciw siebie. Hrabia August zsunął swoje olimpijskie brwi; pan Wiewiórski z niesmakiem uderzył językiem o podniebienie; pan Janusz westchnął a każdy z osobna pomyślał:

— Po co oni tu przyszli?

I rzeczywiście, po co oni tam wszyscy przyszli? Już to nie oświadczać się, bo pora była spóźniona i trzeba było na to niemałego przygotowania. Ludzie, których oświadczyzny nie płyną z serca, ale z próżności lub pustej kieszeni, muszą uczyć się formuły wypowiedzenia swoich uczuć, jak uczniowie lekcyi do pana profesora.

Więc po co oni przyszli? Oto każdy z nich spodziewał się ujrzeć panią Różyńską na balkonie, przemówić do niej, może posłyszć (jeśli będzie sam jeden) uprzejme słówko, a może nawet (zawsze jeśli będzie sam jeden) zostać zaproszonym na balkon. W licznej kompanii rzecz wydała się im niemożliwą.

Spojrzeli przecież w górę, i ujrzeli wspartą o balustradę balkonu, kobietę.

— Je vous salue, madame! — wyrzekł głośno hrabia August.

— Dobry wieczór pani — ciszej rzekł pan Frycio.

Pan Janusz szepnął téż coś, ale słowa jego roz-
wiał westchnienie.

— Dobry wieczór, panom! — zawsze grzeczném,
ale obojętném słowem, odpowiedziała Regina, przy
świetle gwiazd poznając przemawiających do niéj.

— Tak dawno nie mieliśmy szczęścia pani wi-
dzić — zaintonował znów hrabia.

— Kilka dni, wiekiem się nam wydały — zawtó-
rował ciszej pan Wiewiórski.

— Ach! — dokończyło blade widmo.

— Byłam nieco niezdrowa — odpowiedziała z bal-
konu kobieta.

— Oh mon Dieu! Bon Dieu!... — zawołały dwa
głosy — a trzeci za niemi szepnął: niestety!...

I nastąpiła chwila milczenia. Pani Różyńska wido-
cznie nie była rozmowną tego wieczora.

— To stanowisko nasze, pod pani balkonem —
zabrał znowu głos majestatyczny hrabia — przypo-
mina mi południową Hiszpanią lub czarowne Włochy.

— Bo téż — przerwał Frycio, siląc się na geo-
graficzną erudycyą — dzisiejszy wieczór jest istotnie
hiszpański, włoski, grecki. Chciał dodać: turecki,
ale zawahał się; bo, mimo sąsiedztwa Turcyi z Gre-
cyą, nie zupełnie był pewny, jakie tam bywają wie-
czory.

— Melancholiczna melodya uroczystej ciszy przy-

rody — przerwał mu z kolei pan Janusz — drży w atmosferze dzisiejszego wieczoru.

— W istocie, wieczór jest piękny — odpowiedziała znowu Regina — ale nieco chłodny; boję się przeziębienia, więc życzę panom dobrej nocy.

I zniknęła z balkonu a wpatrzonym w nią adoratorom zostało tylko wspomnienie czegoś, jakby ziewnięcia znikającej kobiety.

Pod balkonem błysnęły trzy rzeczy: brylantowy pierścień hrabiego Augusta, na ręce, którą zakreślał swoje półkole; liliowa rękawiczka Frycia, którą młodzieniec podniósł ku balkonowi, na znak pożegnania; i... łaża na oku pana Janusza.

Powoli, w milczeniu trzej młodzieńcy odeszli razem już i jedną drogą.

— Oh! ten hrabia na Wątorach! — myślał Frycio — przeszkodził mi!

— Nieznośny szlachciura! żeby nie on!.. — myślał hrabia, patrząc z ukosa na Frycia.

— O! ci ludzie bez ducha, czemuż, ach czemuż rozdzielają oni dwa serca!.. — myślał pan Janusz, patrząc na gwiazdy.

.

Tymczasem Tarnowski, wielkimi krokami chodził po swoim pokoju i myślał. A kto by wówczas zajrzał w jego myśli, ujrzał-by tam piękne bardzo i szlachetne rzeczy. Myśl młodego człowieka ściagała tęsknie bladą twarzyczkę dziewczyny, niknącej przed nim

w oddali; a potem zatrzymała się długo nad obrazem samotnej i pochylonej smutkiem głowy Reginy. Spojrzał w przeszłość a ona przyniosła mu postać Stefana i postawiła tuż obok dwóch istot, które najbardziej kochał.

Chodził i rozmyślał i snadź się zastanawiał nad czémś i snadź się nad czémś wahał; bo stawał, przykładając rękę do czoła, wymawiał z cicha jakieś wyrazy. Noc już była głęboka, gdy, jakby powziawszy jakieś postanowienie, stanął i rzekł z cicha:— ha! niech tak będzie, uczynię to! W każdym razie, nic nie zaszkodzi, a szczęście im przynieść może!...

Potem zaczął składać książki, przerzucać i układać jakieś papiery, wreszcie otworzył cicho drzwi i zawołał:

— Hryhory!

Po chwili wszedł do pokoju smukły i czarnooki Hryhory. Henryk wskazał mu upakowane pudło i długo mu o czémś mówił. Hryhory pojętnie słuchoał i, gdy pan skończył, rzekł z dziarską miną:

— Dobrze panie, rozumiem! a kiedy mam jechać?

— Zaraz — odpowiedział Henryk.

Kozaczek wziął pudło i wyszedł a w domku z balkonem wkrótce zaległa zupełna cisza i pogasły światła. Tylko błyskały gwiazdy złote, ponad nim i wokoło niego słychoać było poważny szum Niemna i gwałtowny łoskot, przez kamieniste zapory biegnącej do kochanka swego Rotniczanki.

.

Wieś N***, o cztery mile odległa od D***, była cichym i bardzo pięknym zakątkiem. Dwór szlachecki duży ale nie wyniosły, z szaremi ścianami gospodarskich budowli i grupami wysmukłych włoskich topoli, stał na dość wysokięj, ze wszech stron obsianęj i falującej zbożem górze. Z jednéj strony góry, rozciągała się zielona równina, przerzięta białym pasem szerokięj drogi. Drugą jęj stronę otaczał Niemen wązki w tém miejscu i zamknięty w wysokich, stromych, porośłych lasami, brzegach. Od Niemna około góry, biegły większe i mniejsze parowy, ze ścianami, najeżonemi karłowatą sośniną, lub gładkimi i lśniącymi białym piaskiem. Ich dno srebrzyło się siatką, waziuchnych i ze szmerem płynących do Niemna strumyków. Na równinie, po-za białą drogą, rysowały się szare wsie a po-za Niemnem; rosły dębowe i sosnowe lasy, wysokie, ciemne, gęste. Daremnie oko chciało-by tam znaleźć jaśniejszy jaki punkt; jak wzrokiem sięgnąć, widać było tylko czarną i szumiącą ścianę drzew, mającą u stóp błękitny Niemen, a szczytem tonącą w błękitnych obłokach.

Tam gdzie biegła, na równinie, szeroka, biała droga, miała wkrótce lokomotywa rozciącać swoje warkocze z szarego dymu; a naprzeciw góry, na której stał dwór, miano budować stacyą przyszłej kolei żelaznej. Był to więc punkt, wielce ważny dla tych, którzy wprowadzali w okolicę ten żelazny i parowy czynnik cywilizacyi. Właściciel włości, wyjeżdżając

na całe lato za granicę, dom swój oddał do rozporządzenia inżynierom, którzyby potrzebowali dla zbadania miejscowości dłuższego w tamtém miejscu pobytu.

Bardzo jasny i pogodny dzień letni ozłocił górę, na której żyto wypływało już w kłosa i, jak fala, schylało się ze szmerem, pod tchnieniem wiatru. Dwór, cały opromieniony, z oknami lśniącemi od słońca i z pozłocenemi kolumnami topoli, jasno i wesoło rysował się na ciemném tle zaniemeńskich lasów. Niemien płynął poważnie, między swemi wyniosłemi brzegami, błyskając milionami łamiących się w jego falach promieni. Na szerokiej, białej, przerywanej równinę, drodze, ruch był wielki. Dnia tego, w blizkiem sąsiedztwie odbywał się jarmark; włościanie więc okolicznych wsi, drobna szlachta i żydzi, wszystko to śpieszyło ku miejscu, jednego z najulubieńszych zebrań ludowych. Najrozmaitsze ekipaże przesuwały się drogą. Były tam lekkie i parokonne bryczki szlacheckie, jakby dumnie turkocące kutemi kołami, obok skromnych wózków, które urodziły się i postarzały, nie widząc kowala. Na bryczkach jechali zagrodowi panowie, w siermięgach, tém tylko różniących się od włościańskich, iż były jaśniejszej nieco barwy i kształtniejszego kroju. Sami sobie za furmanów służąc, popędzali lejcami małe, ale żwawe i tłuste koniki, które na jarmarku miały być korzystnie prehandlowane, albo dostać, korzystnie téż na-

bytego, towarzysza. Na podobnych zupełnie bryczkach, jechali téż oficjaliści z poblizkich dworów. Ci nie powozili już sami i bywali z pańska przybrani w lśniące bielą kamizelki i w granatowe czapki z kutasami. Pan ekonom, o tłustych rumianych policzkach, z podbródkiem, tonącym w ukrochmalony na uroczystość kołnierzyk, rozparł się na bryczce i z góry patrząc dumnie, mijał, wlokący się wózkami, boży ludek a po głowie chodziły mu nieustannie pytania: po czemu téż na jarmarku dostanie koni fornalskich, i jak tam, ten gap' Andryjek, przypędził do miasteczka cielęta, które pan wysłał na sprzedaż? Za panem ekonomem jechał pan pisarz prowentowy. O ten, to już wcale co innego, niż prozaiczny ekonom! Elegant i uwodziciel płci pięknej, był to Don Juan subretek i ochmistrzyń całego dworu, w którym służył, ba, nawet i sąsiednich! Starannie wygolony, pod czapką z kutasem włosy miał upomadowane tak mocno, że aż ciekły wilgocią od promieni słonecznych. Na jednej ręce jaśniała mu biała, bawełnicowa rękawiczka; drugą zaś nieosłoniętą, trzymał na słońcu, aby nie zakrywać pierścionka z turkusem. Jechał on do miasteczka, bo, przed kilku dniami do panny Maryanny garderobianej pani, przegrał w zielone funt fig i trzy łokcie ponsowej wstążki; musiał więc ten sprawunek załatwić na jarmarku. Wszakże, myśląc o panie Maryannie, zdrajca strzeliste rzucał spojrzenia na hoże dziewczuchy w czerwonych chustkach i szarych

świtkach, jadące na wózkach włościańskich. Wózki te białe, niekute, jednakowe, z wolna sunęły się drogą a na nich jechali chłopci w ciemnych siermięgach, albo w białych koszulach, przewiązanych rzemieńnymi pasami; głowy ich pokrywały słomiane, o szerokich brzegach, kapelusze a nogi, oplecione obuwem z rogoży, spuszczone z wózków, wlokły się po piasku. Na paradnym miejscu, w półkoszkach, plecionych z łozy, siedziały mężatki i dziewczęta, z szyją otoczoną mnóstwem różnokolorowych paciorków, z ogromnymi wiązami polnych kwiatów i ziół, sterczącymi nad czerwonymi chustami, które, ukazując nad czołem kilka pasem, płowych najczęściej, włosów, otaczały ogorzale i zdrowe twarze. Pomędzy te chłopskie wózki, mieszały się jeszcze i biedki żydowskie, o dwóch kołach, a na każdej z nich, trząsał się żyd pachciarz lub arendarz, poprawiając mycki na głowie, pociągając niekiedy długie pejsy i mrużąc sobie pod nosem: „drei und drei ist sechs, und vierzig, ist sechs und vierzig!”... Niekiedy, jakby pistoletowe wystrzały, odzywały się zdaleka klaskania z biczów i między demokratyczne ekwipaże, zaprzężony czterema rosłymi końmi, w szory lśniące srebrnymi blachami, z głuchym turkotem, wbiegał elegancki koczyszek. W nim trzy albo cztery panie, w kapelusikach z piórkami i w szarych, od pyłu chroniących, okryciach, wracały z parafialnego kościoła, albo jechały na obiad w sąsiedztwo. Chłopci na odgłos trzaskania z bicza mó-

wili do siebie: pany jadą! — i stanąwszy, patrzyli na brzęczący kółkami szorów i lśniący srebrnymi guzikami furmańskiej liberyi, ekwipaż, póty, aż póki, ten jasny meteor bogactwa, nie zniknął w dali, wśród kłębów kurzawy.

Turkotały bryczki, skrzypiały wozy, trzaskali z biczków wąsaci i arystokratyczni furmani, kobiety z głośnym śmiechem wiodły rozmowy, arendarze, traktowali po drodze, znajomych chłopów, tabaczką. Pan pisarz prowentowy, połyskując turkusem pierścionka, czapką z kutasem kłaniał się wracającym z nabożeństwa garderobianom; cielęta, powiązane na wozach, beczały, białe twarze i srebrzyste parasolki pań, jadących koczami, lśniły wśród kurzawy a całą różnorodność tego, na tle zieleni i błękitu roztaczającego się obrazu, zalewały palące i jaskrawe promienie letniego słońca.

W parę godzin po południu, ruch przejeżdżających zaczął się coraz zmniejszać i, gdzie niegdzie tylko, jakiś spóźniony wózek toczył się jeszcze gościńcem.

Jeden z takich spóźnionych wozów, sunął się powoli; koła piszczały niemiłosiernie a koń, zmęczony widać pługiem lub broną, leniwo i zwolna postępował.

— Wio! — wołał powożący chłopak.

— Wio! — głośniej jeszcze krzyczał, siedzący za nim, jak zdawało się z ubrania, dworski człowiek.

— Wio! — wołała, z dodatkiem przekleństwa ukwiecona dziewczucha, siedząca w półkoszku, której najbardziej chodziło o to, aby się na jarmark nie spóźnić.

Koń, ożywiony batem, przyspieszył kroku i wózek, podskakując w kolei wyżłobionej, kołami poprzędnio tam przechodzącymi, żwawo się potoczył, ku wielkiemu zadowoleniu jadących, które się objawiło powszechném drzemaniem. Nagle, u stóp góry, na której stał dwór N****, naprzeciw samego domu, stanął i koń i wózek; powożący chłop rozbudził się, przechylił nieco, popatrzył przed konie i, zsiadając z wózka, mruknął:

— Cóż to za dyabeł?

Dworak zsunął się także z wozu, wyszedł przed konia i zawołał:

— Aaa! a to co?

Zniecierpliwiona dziewczucha, postawiła na wozie kosz z jajkami, który trzymała na kolanach, wygramoliła się z półkoszka a stanawszy na ziemi i spojrzawszy na drogę, klasnęła rękoma i zawołała:

— Och, Andryj! cóż to za powróż?

Przedmiot, nad którym troje ludzi kiwało głowami w zadziwieniu a czwarty koń stał, z głową w smutnej zadumie spuszczoną, był gruby i długi łańcuch, jakim zwykle mierzą grunta geometrzy i inżynierowie. Złożony z dużych ogniów, w równych odstępach, podzielony większemi jeszcze kołkami, spływał on z gó-

ry, przerzynał drogę i biegł na równinę, lśniąc jakby złoty, pod promieniami słońca. Nie wiele wznosił się on po-nad ziemią, tyle jednak, że koń i wózek przez niego przejść nie mogły.

Spojrzenia, wstrzymanych przeszkodą podróżnych, zwróciły się w kierunku, w jakim, na równinę biegł łańcuch, a po spojrzeniu tém, opuścili ręce, otworzyli usta i zapomnieli o jarmarku, tak szczególny dla ich oczu, przedstawił się widok.

Od samej drogi, tuż obok łańcucha, na tle równej i zielonej łąki, rysowały się w równych i niewielkich od siebie odstępach, powbijane w ziemię, dość wysokie pale a na nich, wśród pogodnego błękitu nieba, powiewały białe i ponsowe chorągiewki.

O sto może kroków od drogi, obok ostatniej z chorągiewek, stała grupa mężczyzn w szarych, białych i czarnych ubiorach. Zdawało się, że można by było rozpoznać, że to ubrania dworskiej służby, letnie białe ubiory i czarne surduty ludzi wyższej sfery społecznej. Zebrani rozmawiali z takim ożywieniem, że głosy ich, ktoby uważał, mógłby słyszeć na gościńcu. Stojący na drodze, patrzyli ciągle i zobaczyli jak służba w szarych ubiorach, postąpiła naprzód, pociągnęła za sobą lśniący łańcuch a w oddali, w prostej linii za innemi, błysnęła jeszcze jedna chorągiewka i jeszcze jedna i jeszcze jedna. Coraz dalej sunął łańcuch, oddalała się służba i coraz więcej błyskało chorągiewek. Panowie w białych i czarnych ubra-

niach stali na jednem miejscu ciągle, odwrócenii w stronę, w którą postępował łańcuch a odgłosy ich rozmowy i niekiedy śmiechu, drgały w promienistém powietrzu.

Dla każdego z oświeconych ludzi, przy piękności okolicy i pogodzie, byłby to bardzo prosty i naturalny ale i malowniczy zapewne widok inżynierów, badających wyniosłość i rozległość gruntu i chorągiewkami zaznaczających miejscowość, która się im najdogodniejszą dla ich prac przyszłych wydała. Ale prostych wieśniaków, błyszczący łańcuch, chorągiewki, kilku ludzi w pańskich ubraniach, rozmawiających głośno na łące, wydaje się niepospolitém zjawiskiem. Stali, patrząc w zdumieniu czy zachwycie; i stali-by tak może długo jeszcze, gdyby nie posłyszeli po-za sobą turkotu. Obejrżeli się i zobaczyli dojeżdżającą do ich wozu biedkę a na niej siedzącego arendarza Lejbę. Arendarz Lejba z rudemi włosami i rudą gęstą brodą, był człowiekiem używającym ogromnej popularności w okolicznych wioskach.

— Ny, a cóż tak postawali jak gapy? — odezwał się do patrzących na niego włościan.

— A jakże nie stać — odrzekli — kiedy jechać nie można!

Żyd cmoknął ustami, pogładził brodę, popatrzył na łańcuch i mruknął:

— To i prawda, że przejechać nie można a na jarmark już i tak późno.

— Co to będzie, panie arendarzu? — spytał Andryj — ukazując łańcuch i chorągiewki.

— Alboż-to wy nie wiecie — odpowiedział z wyższością arendarz — że to *niżyniery* mierzą drogę, którą pójdzie maszyna?

— Jaka maszyna? panie arendarzu.

— Ny, nie słychał? *Komotywa!* Taki duży wóz co ludziów będzie wozić bez koniów.

— A! teraz już wiem, co to za lichy! — zawołał dworak — przypominając sobie, że kiedyś słyszał, jak kamerdyner pana opowiadał o téj maszynie, co ludzi bez koni wozi.

— Teraz już wiem! — powtarzał — mówią ludzie, że to piszczy jak dyabeł a leci jak wiatr.

— A jakże to! i bez koni? — pytał, nie rozumiejąc jeszcze, Andryj.

Arendarz Lejba, który miał szwagra w Warszawie i wiele się od niego nasłuchał o kolejach żelaznych, z wielkimi wysiłkami wymowy począł tłómaczyć chłopom: jak w *komotywę* nakładają drzewo, jak się ono tam pali i jak para popycha ogromne pojazdy, któremi jeżdżą ludzie i przewożą różny towar. Siadłszy na swoją biedkę, prawił jak profesor z katedry, a troje ludzi słuchało go z otwartymi ustami. Kiedy skończył, Andryj ruszył ramionami, jakby z gniewem poprawił czapkę i rzekł, spluwając:

— Tfu! zgiń i przepadnij szatańska siło! żeby ludzie bez koni jeździli!

— Już ja dalibóg temi wozami nie pojedę! — zapiszczała dziewucha.

— Pojedziecie dzieci, pojedziecie! — zadecydował Lejba — to tanio kosztuje! Ny, dodał — my tu gadamy a jarmark nie czeka; co tu zrobić, żeby nas panowie przepuścili?

— Trzeba poprosić! — odezwał się dworak.

— Ja tam nie pójdę prosić! — stanowczo rzekł Andryj.

— Ny, ja sam pójdę! — rzekł Lejba. — I zsiadłszy z biedki, przelazł z trudnością rów dzielący drogę od łąki i poszedł ku grupie mężczyzn, która zbliżyła się nieco, idąc snąć ku dworowi. Chłopi podeszli nad sam rów i słuchali, jak też arendarz będzie rozmawiał z tymi *niżynierami*. Wszakże odległość, lubo niewielka, nie dała im posłyszć słów rozmowy; zobaczyli tylko, jak rudy Lejba czapką i jarmułką nisko się pokłonił i jak panowie stanęli i przez chwilę rozmawiali z sobą. Poczém z grona ich wyszedł jeden słuszny i w czarném zupełnie ubraniu a zwracając się ku ludziom, ciągnącym łańcuch i wyciągając ku nim rękę, zawołał silnym i donośnym głosem:

— Ściągnąć sznur! otworzyć drogę!

— Nie chcieli zdjąć tej *liny* — mówił żyd, gramoląc się na biedkę — i przyszło-by tu stać do wieczora; ale jeden powiedział: na co biedni ludzie mają czas tracić? tam już sznur niepotrzebny! i wszyscy posłuchali. Ny, to jakiś dobry pan, daj jemu Boże zdro-

wie a tak człowiek-by i końca jarmarku nie zachwy-
cił. To ten z długą brodą — mówił dalej Lejba —
wskazując tego, który wołał na ludzi z łańcuchem.

— A to już dobry, kiedy ludzi żałuje — z wes-
tchnieniem rzekł Andryj.

Wskazany wyprzedzał nieco innych. Z pod kape-
lusza widać było opaloną trochę od słońca twarz;
w rękę trzymał małą laseczkę. Był to Rawicki.

Łańcuch zniknął z drogi, wózek posunął się zwol-
na dalej a obok niego powlokła się biedka Lejby;
a długo jeszcze Andryj, popędzając konia, spluwał
i powtarzał: zgiń! przepadnij szatańska siło! bez koni
jeździć! To chyba dyabeł wymyślił!

— To niemiecka sztuka! — wtórował dworak. —
Dziewucha piastowała znowu na kolanach swój kosz
z jajami i drzemała a Lejba gładził rudą brodę i po-
mrukiwał: zwei rubel mit dreizehn kopiejkes.

Tak jechali sobie prostaczkowie. Za nimi budo-
wano drogę żelazną, ale przed nimi był jarmark. Cóż
ich obchodziła *komotywa*, ta moc dyabelska, ta nie-
miecka sztuka? Na jarmarku dla nich szczęście
i wesele!...

O ubodzy w duchu! nadchodzi czas, że nietylko
wasze ciała, ale i duch wasz pędem lokomotywy dą-
żyć będzie coraz dalej; zsiądziecie z wózków ciemno-
ty i zapragniecie dorównać tym, których rozum dziś
piekielną siłą wam się wydaje! Przyjdzie pora....
lecz tymczasem: jedźcie z Bogiem! i wesołego jar-

marku! A panu pisarzowi prowentowemu, jeśli go spotkacie, przypomnijcie, aby wśród jarmarcznego tłumu nie zgubił pierścionka z turkusikiem.

Pięciu inżynierów, na których czele szedł Rawicki, stanęli wśród drogi; zwrócili się ku równinie i zmierzili wzrokiem wytkniętą chorągiewkami linią.

— Oszczędziliśmy dziś kompanii pięćdziesiąt tysięcy rubli, panowie — rzekł Rawicki — skracając drogę o całą wiorstę.

— A oprócz tego — dodał inny wiekiem i powagą postawy podobny do pana Stefana — sędzę, że pozbyliśmy się kosztownej roboty przekopu, który na wytkniętej wprzód linii byłby nieunikniony.

— A to wszystko kompania zawdzięczać powinna panu — dorzucił cudzoziemskim akcentem mówiący, bardzo młody człowiek, którego ciemna twarz, żwawe jakby sprężynami wywoływane ruchy ciała, przenikliwe ogniste oczy pokazywały widocznie, że się na obcej urodził ziemi.

— Ja myślę — odrzekł pan Rawicki — że i bezzemnie spostrzeglibyście byli panowie błędne poprowadzenie poprzedniej linii, ale im prężej tém lepiej. Zaslugą jaką mi kto przyznać gotów, rad się z panami podzielię, bośmy się wspierali wzajemnie; a jak dziś, to się nie jeden z panów więcej, niż ja, nakrzętał na dokuczliwym upale. Należy się też nam chwilka spoczynku i jakiś posiłek. Bo oto panu Klemensovi zapadły jakoś trochę, pełne zwykle jego policzki,

a i ty, Michale, wyglądasz jakbyś twój brzuch zostawił na łące.

— Jużto co prawda — odrzekł zagadnięty — dyabelnie mi się żołądek skurczył, a pewnie nie mnie samemu tylko. A tu perspektywa przed nami jakoś nie wesoła; nie chłodno wprawdzie, ale głodno i do domu daleko.

— Żałuję, że nie mogę przyjąć was odpowiednio do waszój naukowej zasługi — rzekł pan Stefan wesoło; — ale czém chata bogata, tém rada. Liczyłem na was dzisiaj i kazałem przygotować obiadek. Wiecie, że nie mam kucharza, ale najlepszym, jak mówią, kucharzem, jest głód. Do domu każdy z was ma daleko i gotów żywy nie dojechać, miałbym was na sumieniu. A tu oto dwór pod bokiem. Poprowadzę was najkrótszą drogą, lubo może nie najwygodniejszą.

To mówiąc, ujął pod rękę najstarszego z inżynierów i dodał raźnie:

— Szanowny kolego, my starzy naprzód; gdzie my się przewlecemy, tamci młodszy przeskoczą.

Ten, do którego mówił pan Stefan, starszy był wiekiem od innych, i, jak widać było, najpoufalszym jego kolegą. Za nim szli dwaj inni, ów wyglądający na cudzoziemca i drugi mężczyzna średnich lat i wesołej, pełnej twarzy, którą Rawicki widać żartem o zapadnięcie pomówił. Za tymi szedł sam jeden, jakby zostając z tyłu młodzieniec także, o jasnych włosach, niebieskich oczach, trochę blade ale dobrze

zbudowany. I ten także na cudzoziemca wyglądał, może najwięcej z czapeczki oryginalnej, nakrywającej jego głowę.

— Piękna okolica, Michale, nieprawdaż? — mówił Rawicki do swego towarzysza.

— Śliczna — odpowiedział pan Michał — nie darmo to mówią ludzie o piękności stron nadniemeńskich?

— A jednak miejsce, w którym się znajdujemy, nie jest jeszcze najpiękniejsze. Jak poznasz inne jeszcze, to przyznasz, że nietylko zagranicę ubrał Pan Bóg w piękności. A ludzie o tém nie wiedzą, nie chcą temu wierzyć i szukają stron dalekich, nie poznawszy wprzód swoich.

— W naszych stronach nie tak łatwo wydać pieniądze, niema wygod dla podróżnego, jak powiadają turyści, dodając, że się tu niczego nauczyć nie można, co ma znaczyć, jak mi się zdaje, że błyszczyć nie można i hulać. Szczególniej ta niegodziwa Francya przyciąga nas do siebie... — mówił dalej pan Michał, oglądając się z uśmiechem na idącego za nim młodego człowieka.

— Co tam panowie mówią złego o Francyi — odparł tenże wesoło — chciejcie nie zapominać, że to mcja pół-ojczyzna.

— At, dałbyś pokój, młodzieńcze, — pół żartem, pół seryo zarzucił panu Karolowi pan Michał, który widocznie niezbyt lubił ojczyznę Franków; — co tam bronisz Francyą? albożes Francuz? Toć ojciec twój

rodem z Warszawy a całe twoje francuzkie pochodzenie w tém, że się urodziłeś w okolicach, z kąd do nas przychodzą sławne trufle perygordzkie a miałeś matkę Paryżankę. Sam to powiadałeś nam przecie, nazywasz się wreszcie...

— Moja matka była Paryżanką, ale rodzina jéj pochodziła z Lotaryngii, gdzie panował przecie król Stanisław, król filozof. Kraj to bogaty i piękny! Jakie wino, jakie kobiety!

I zaczął śpiewać arya Małgorzaty z „Hugonotów” Meyerbeera: O beau pays de la Lorraine!...

— Co do wina — mówił pan Michał jakby do Stefana — to już wolę węgierskie, niż każde inne: Nullum est vinum nisi hungaricum; a co do kobiet, to już niéma, jak nasze rodaczki! Ale ty się na tém nie znasz, panie Stefanie. Żyjesz jak odludek, tylko z książkami i ołówkami. Nie rozumiem, jak ci to może wystarczyć. Ale powiadam, że ktoby poznał tutejsze nadniemeńskie kobiety, istoty pełne rozumu i uczucia, to pewnieby uwiązał u nóg którój, choćby był taki zacięty jak niejaki pan Stefan Rawicki.

Pan Stefan chciał coś odpowiedzieć, ale mu przeszkodził głos, odzywający się w téj chwili:

— Meine Herren — wołał, idący daleko już teraz za innymi, młody człowiek — jeżeli łaska, idźmy wolniej, bo strasznie gorąco.

— O panie Heinrich! — zawołał inżynier średniego wieku, którego zwano Klemensem, — nie zgadzam

się na pańską propozycją, bo jeść mi się chce i śpieszę na obiad. Śpiesz-no pan, śpiesz, będziesz się mógł tu ochłodzić, tu pewnie będzie cień a może i woda.

W téj chwili stanęli idący nad długim i głębokim u stóp góry parowem.

— Panowie — rzekł Rawicki, zwracając się do kolegów — mamy tu do wyboru dwie drogi. Jeśli zechcemy ominąć ten parów, to musimy, jak wiecie, obejść górę i wejść do dworu od strony rzeki, co znaczy całą prawie wiorstę drogi; jeżeli zaś przejdziemy parów, będziemy za chwilę w ogrodzie a ztamtąd już tylko kilka kroków do domu.

Wszyscy spojrzeli w głąb' parowu, którego obie ściany gliniasto-żółte a gładkie i strome, gdzieniegdzie tylko były porośnięte karłowatą sośniną; na dnie jak wężyki wiły się wązkie, srebrne i szumiące nici strumienia.

— Ja idę przez parów! — zawołał pan Karol i, jedną nogą wkraczając już na stromą ścianę, oglądał się na towarzyszków.

— O, i ja parowem — zawtórował pan Klemens, śpieszący na obiad.

— To już chyba i ja — dodał pan Michał — wszak chodziliśmy niegdyś po Alpach, to i z nadnie-meńskimi parowami się poznamy.

— Ale to bardzo spadzisto, a na dnie woda — mówił pan Heinrich — który także już nadszedł;—Monsieur Charles, zlecisz pan z góry i wpadniesz w wodę.

— To będę dla pana mostem — odrzekł i zaczął się spuszczać w parów.

— Prosta droga najkrótsza — rzekł pan Michał — uczyli nas tego w szkole, dowiódł dziś pan Rawicki a i teraz oto idzie w parów.—To mówiąc, pan Michał, zaczął także wstępować na pochyłą ścianę parowu a za nim pan Klemens.

Pan Heinrich popatrzył za nimi, otarł pot z twarzy, zawahał się przez chwilę i, machnąwszy ręką, powolnym krokiem poszedł gładką drogą w koło góry.

Z głębi, rozległ się dźwięczny głos pana Karola, śpiewającego francuską pieśń: „En avant, frères“ i głośny, swobodny śmiech pana Klemensa.

Po chwili, z drugiej strony parowu, między krzewami zarastającego spadzistość góry ogrodu, ukazał się pierwszy Rawicki; skrzyżował ręce na piersiach i z uśmiechem patrzył w parów, po którego stromiej ścianie wspinali się jeszcze inni. Pan Karol byłby najpierwszy może wydobył się na wierzch, ale za gorąco postępował; co się popchnął w górę, to się znów obsunął. I była-by się na nim sprawdziła przepowiednia pana Heinricha, gdyby nie sośninka, o którą się w swém zsuwaniu, zaczepiał gorący młodzieniec. Zbliżającemu się pod górny kraniec parowu, podał pan Rawicki laseczkę swoją i wyciągnął go na pochyłość wzgórza. W tych zapasach ze spadzistością parowu, umilkła nawet i pieśń pana Karola, ucichł śmiech Klemensa. Kto wyszedł, to stanął i zaczer-

pywał powietrze w strudzone piersi; otyły trochę pan Michał zasapał się strasznie i ocierał pot z czoła. Jeden pan Stefan, zdawał się niezmeńczony; stał spokojny i z uśmiechem spoglądał na swych kolegów.

— Coś ty za człowiek, Stefanie — sapiąc zawołał pan Michał — z kamienia, czy z żelaza? Ani znać na nim tego przekłętego parowu! — dodał, obracając się do innych.

— Pobieraliśmy edukacją w Alpach — z uśmiechem odpowiedział Rawicki.

— Ba! w Alpach! i ja tam bywałem, alem się już od téj pory podstarzał.

— En avant, frères! — zaintonował pan Karol, wychnawszy już dostatecznie. I wszyscy zaczęli wstępować na górę, po zwirowanych ścieżkach ogrodu.

— A gdzież jest syn Germanii? — zawołał pan Klemens, spostrzegając nieobecność kolegi.

— Pozostał pewnie w parowie, słucha szmeru strumyka i łzy roni nad losem Wertera — rzekł, śmiejąc się pan Michał.

— Musiał iść wygodniejszą drogą. Niemcy lubią zawsze kroić na pewniaka, powoli, ale tém bezpieczniej się dorabiać — rzekł pan Stefan — a wreszcie nie był podobno w Alpach, jak my, panie Michale.

— Ale za to śpiewa o kraju, „gdzie pomarańcze kwitną“ — rzekł Klemens.

— I gdzie kartofle się rodzą! — zaśmiał się, przezywając sobie swój śpiew, Karol.

Tak śmiejąc się i rozmawiając, zniknęli wśród ciemnych ogrodowych alei.

Dom mieszkalny w N***, był jednym z tych częstych, przed niewielu jeszcze laty, wiejskich litewskich domów, które nie goniły za wyniosłością i pałacowym pozorem, ale dbały o dostatek, estetyczny smak i wygodę. Ściany domu na zewnątrz szare, wewnątrz lśniły śnieżną bielą, a w paradniejszych salonach zdobne były obiciem. Sprzęty nie były zbyt kosztowne, lubo wygodne i ładne; za to mnóstwo kobierców pokrywało posadzki a z zewnątrz, z dziedzińca i z ogrodu, przez otwarte szerokie okna, cisnęły się bogate zwoje powojów i kwitnących gałęzi jaśminu, róż i bzu. Dom, o którym mowa, z całą otaczającą go naturą, był cichym, spokojnym i miękkim ustroniem a z urzędnika jego znać było właściciela z ciepłym sercem i wykształconym umysłem.

Pan Rawicki zajmował w domu tym dwa pokoje, oknami wychodzące na ogród, otoczone zielenią, owiane dochodzącym zdala szmerem Niemna.

W niespełną godzinę po przebyciu parowu, inżynierowie siedzieli u stołu. Brzękały talerze i kieliszki i żywa toczyła się rozmowa.

— Pamiętasz — mówił wesoło pan Michał — pamiętasz, Stefanie, le bon vieux temps w Paryżu? By-

liśmy tam razem rok cały podobno. Serdecznie żałowałem, że musiałem po tak nie długim tam pobycie wyjechać i nigdy zrozumieć nie mogłem, szanowny kolego, czemuś tam nie pozostał, kiedy ci zaszczytne ofiarowano miejsce.

— Chciałem powrócić tutaj — krótko odpowiedział pan Stefan.

— Ja, choć przyznam się, niezbyt lubię Francją, byłbym pozostał. Być profesorem w jednym z instytutów naukowych publicznych we Francji, to i zaszczytne i korzystne dla dalszej karyery.

— Mam o tém moje pojęcia — znowu krótko odrzekł Rawicki.

Widocznie, albo nie był z rzędu ludzi, lubiących się rozwodzić o sobie, albo nie był wówczas w humorze do mówienia.

— O Paryż, Paryż, o Eldorado! — westchnął młody Karol.

— Oj, jabym ciebie, monsieur Charles, wcale do Paryża nie puścił — rzekł pan Michał.

— A to dla czego? — spytał młody człowiek.

— Ogień ci bucha z oczu, młodzieńcze a dla takich, jak ty, Paryż jest często skałą, o którą się cała przyszłość rozbija. Oj młodość! młodość! — dodał.

— Daj pokój młodości, Michale — ozwał się pan Stefan. — Ja lubię młodych, którym śmiech i piosenka brzmią na ustach.

— Z zapałem bronisz młodych, Stefanie — odpo-

wiedział niezwalczony Michał — widać, żeś i sam jeszcze młody, czego dowód mieliśmy dziś w przejściu przez parów.

— Toć znamy wzajemnie nasze lata, koleżko — żartobliwie rzekł pan Stefan.

— A już nie wiem, jaki tam masz eliksir wiecznej młodości!

— Prawda, że mam taki eliksir — odrzekł Rawicki — ale wiesz co? może-bym się go i pozbył. Jak myślicie panowie? — dodał, zwracając się do wszystkich — młode serce może być niekiedy rzeczą niezbyt dogodną?

I zaśmiał się, przeciw zwyczajowi swemu głośno, jakby wesoło; ale badawcze ucho dosłyszało-by w tym śmiechu ostry, żaloszny dźwięk.

Przez chwilę zamyślił się po własnych słowach, brwi mu się zsunęły, i usta zalał wyraz surowego zamyślenia. Ale była to krótka chwila. Jakby przypomniawszy sobie obowiązki gospodarza, lekko przesunął rękę po czole, niby spędzając zeń ciężkie myśli a podnosząc kieliszek do góry, rzekł:

— Panowie, piję za pomyślność przyszłej kolei żelaznej!

— Za pomyślność dzieła rąk naszych! — zawołał Karol.

— O młodzieńcze, cożeś powiedział! — odrzekł pan Michał. — Alboż będziemy sami robić szyny i przekopy? jakież to dzieło rąk naszych?

— Więc za pomyślność dzieła głów naszych! — poprawił pan Klemens.

— Ja! ja! naszych głów i naszych pieniędzy! — zawołał pan Heinrich, który miał pełne kieszenie akcyi, u kompanii, budującej drogę żelazną, nabytych.

— Niemiec, jak bez powietrza, nie może żyć bez spekulacyi — szepnął Klemens do Karola.

— Pieniądze, to rzecz jałowa, bez myśli i pracy, więc bez głów i rąk a dodał-bym i bez serc... choć świat tego ostatniego czynnika nie lubi dopuszczać do pomocy głowie i rękom — mówił pan Stefan.

— Godzę się na zdanie szanownego naszego kolegi — zawołał, powstając, pan Michał — i chwytam tę sposobność, aby oddać hołd zacności pojęć, prawości charakteru, niestrudzonej pracy, wyższości pomysłów, w osobie szanownego naszego kolegi i przewodnika.—A podnosząc kieliszek w górę, zawołał: — Zdrowie pana Stefana Rawickiego, najlepszego kolegi, ozdoby i chwały naszego... jakby to jaki arystokrata powiedział: rzemiosła.

Pan Stefan powstał, dziękując i oddając serdeczne uściśnienia ręki; a gdy wszyscy do miejsc swych wrócili i usiedli, w te odezwał się słowa:

— Panowie! Jeśli mam choć cząstkę przymiotów, które we mnie kochany nasz kolega wmawia, to nie mogę się do nich przyznawać, tém mniej chlubić się niemi. Pan Michał mówił o koleżeństwie; alboż

trudno być dobrym kolegą dla takich, jak wy, panowie, współpracowników, dla takiego, jak on współpodróżnego w jednym zawodzie, po dość długiej drodze życia? A piękna to droga, którą nam zawód nasz inżynierski przedstawia. Rzemiosło, mówią arystokraci! Niech sobie będzie i rzemiosło, ale to rzemiosło szlachetniejsze, niż pieczeniarka, karciarza, koniarza. Co się tycze naszego rzemiosła, panowie, wiecie zapewne, że ono stare, jak świat i jedno z tych, które najdzielniej ratują ludzkość w jej kłopotach i biedach, dają jej oręż do walki z potęgami natury, reprezentują głębokość rozumu, wykonywają jego pomysły. Przypomnijmy sobie, panowie, czém były owe sławne pomniki pracy i myśli ludzkiej, zwane cudami świata, jeśli nie dziełem inżynierów? Kto zwyciężko odpiera wody, występujące z łożysk swoich i niszczące prace milionów rąk, jeśli nie inżynier? kto przenosi góry, tworzy morza, kształci lądy, jeśli nie inżynier? Kto pobudował sławne wodociągi, które zasilają rosą pola, piekącym wyprażone słońcem a których ślady znajdują się dziś jeszcze w Syryi i Persyi? kto drogi wiekami niepożyte utworzył dla Rzymian i ich następców? kto zbudował mury Babilonu, postawił piramidy, jezioro Merysa utworzył, latarnię morską w Rhodos wystawił? Kto budował statki po oceanie krążące, kto rzucił mosty przez przepaście, rzeki i morza? kto przebił góry? pod nurtami wód i gmachami komunikacye ludziom urzą-

dził? Inżynier, panowie, i nikt inny! A telegraf, mający połączyć dwie części świata i całą kulę ziemską w żelazne opleść sieć; znieść przestrzeń, dopomóżdź myśli i ciała do bezpiecznego a lotnego krążenia po świecie, czyjém jest dziełem? Kto przed kilkutyściami lat, połączył kanałem oceany w tém samym miejscu, gdzie dziś szlachetny-Lesseps, tworzy znów rzeki wód słodkich, buduje miasta i cieniste wznosi ogrody, mimo zabijającej martwością pustyni? Bo są dowody niezbite, że dawniej była tam komunikacya wodna między morzami! Wszędzie i zawsze inżynier to robił. A tylko małą cząstkę wyliczyłem dzieł jego na powierzchni ziemi i wód. Ale we wnętrzach tej ziemi i tych wód, nie mniejsze dzieją się cuda a zdziałał je inżynier, panowie! On wynalazł i wydarł skarby tam zawarte, idąc po nie mężnie pod warstwy skał i wód otchłanie. On to jeszcze i nikt inny broni ojczyznę i współobywateli, stawiając twierdze... i niestety! tworząc maszyny zniszczenia. W zawodzie inżyniera streszczają się najbezpieczniejsze, najpiękniejsze z nauk: matematyka i nauka o przyrodzie, istnienie i jego warunki. One dają pewność pomysłom głowy, choćby się szalonymi zdawały; ułatwiają niepodobną na pozór do uskutecznienia pracę; pomagają sercu do spełnienia marzeń, najgoręcej pożądających wcielenia w czyn. Panowie! pierwsze niemal potrzeby człowieka, zrobiły go inżynierem, i potrzebom tym końca nie będzie, bo ludzkość idzie da-

lój a dalej. Czy to jest postęp, czy ruch tylko, inżynier światu będzie niezbędny. On przebiję ziemię na wylot do antypodów; on wprowadzi ludzi z tej kuli ziemskiej na inne planety, jeśli te cuda spełnić dozwoloném będzie ludzkości. Inżynierem był ów Archimedes, który żądał tylko podstawy do swój dźwigni, aby świat z posad wyruszyć. Myśl zuchwała, ale godna potężnej pomysłami ludzkości. Bo inżynier, panowie, to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzeparty ku wszystkiemu co wielkie, co piękne i dobre. Panowie, ostatni kieliszek jeszcze! za zdrowie wszystkich inżynierów na świecie, za zbawienie ludzkości przez myśl, serce i pracę!

Okrzykiem pełnym zapału, przyjęli obecni toast, wzniesiony przez pana Rawickiego; na ich twarzach błyszczała szlachetna duma i zadowolenie, że należą do szlachetnego rzemiosła inżynierskiego i uwielbienie dla człowieka, który w starszych, gnębionych tylokrotnie nędzami potocznego życia, nowe rozbudził siły i wiarę w niedaremność ich usiłowań, który młodszych zapał, do mozolnych prac przyszłych, podżegnał. I gdy się rozstali, każdy myślał, coby dla dobra ludzkości zrobić coprędzej należało.

— Muszę znaleźć sposób kierowania balonem — myślał sobie gorący pan Karol.

— Jakby to coprędzej piaski Brandeburgii na łąki zamienić? — suszył sobie głowę pan Heinrich.

— Czyby nie można z powietrza zbierać materya-

ły palne pod kocięł lokomotywy? — dumał pan Klemens.

— Jakiby był najłatwiejszy sposób ujęcia w kluby naszój kochanój Wisły i tylu wód pięknych; jak namówić ludzi, żeby budowali drogi i uszlawniali rzeki? — zastanawiał się pan Michał.

Nim się jednak inżynierowie rozeszli z sobą, pan Rawicki zamówił sobie na jutro Karola.

— Dam ci zlecenie do D***, jest tam jeszcze trochę do roboty.

— Czemu tak śpiesznie wyjechałeś ztamtąd? — zapytał pan Michał.

— Potrzebowałem być tutaj — spokojnie odpowiedział Rawicki, ale czoło lekko mu się na to pytanie zachmurzyło.

Po chwili, nikogo już nie było w pokoju; na dziedzińcu tylko brzmiał turkot odjeżdżających bryczek.

Kiedy pan Stefan został sam jeden, dziwna w nim zaszła zmiana. Nikt-by nie poznał spokojnego i wesołego nawet, albo ogarniającego przed chwilą świat myślą swoją, człowieka, taka silna, choć męzka boleść, twarz mu zalała. Na każdym rysie jego twarzy, spoczęła cecha wewnętrznego, gwałtownego cierpienia, tém gwałtowniejszego, że było długo tłumione i pokrywane spokojem; był to jakby odblask, jakby wylew ognia, który płonął w jego męzkiej piersi.

Długo chodził szerokimi krokami po pokoju; po-

tém wziął książkę i, oparłszy czoło na obu dłoniach, zaczął czytać.

Ale, po kilkochwilowém czytaniu, odrzucił na bok książkę, odetchnął głęboko, jakby chciał zrzucić ciężar z piersi i zbliżywszy się do otwartego okna, spojrzaniem brzemienném, myślą bolesną, pierś mu tłoczącą a głęboką, wpatrzył się w posępną grę nocnych cieniów.

.
Téj saméj nocy, na drodze między D*** a N***, turkotał wózek zaprzężony roslým, powozowym snąc koniem. Na wózku, niedbale jedną ręką trzymając lejce, z twarzą zwróconą do pogodnego nieba, wół leżał młody chłopak w kozackim ubraniu. Po obu stronach drogi szumiał las rzadki i smukły a nad drzewami wśród szafirowego sklepienia, błyszcząły myryady gwiazd.

Od strony jadącego wózka, po drodze i lesie, rozlegało się echo hulaszczéj piosenki.

Czarne oczy śpiewającego chłopaka, błyszcząły wśród cienia a echo leśne daleko roznosiło turkot wózka i odgłos piosenki.

Dziwne się czasem rzeczy dzieją na świecie! Któżby się domyślił, że między tym jadącym wśród nocy chłopakiem a poważnym i uczonym inżynierem, z czołem na dłoniach wspartém, był związek tak ścisły, jak ścisłym jest związek człowieka, z niosącym mu jego przeznaczenie losem ?

VII.

Nad wioską N*** wschodziło słońce. Niemen płynął smugami purpury i srebra, szczyty topoli zaczynały się ozłacać, w gęstych zaroślach ogrodu budziło się poranne świegotanie ptastwa.

Wsparty o ogrodzenie, otaczające górę od strony rzeki, Rawicki przypatrywał się stopniowemu budzeniu się natury; patrzył na mieniające się barwy Niemeńskich fal i na ciemną zawsze ścianę nadbrzeżnego lasu, która gęsta, cicha i nieporuszona najłżejszym wiatrem, stała pod krańcem widnokregu, ze szczytem ozłoconym wążiuchnym pasem słonecznych promieni.

Na twarzy inżyniera nie znać już było gwałtownego wczorajszego cierpienia. Może uległ on wpływowi, jaki wspaniałe widoki natury wywierają zwykle na silnych i myślących ludzi, ukazując im własne ich troski i bóle, jako maluczkie atomki wobec nieskończonych ogromów przyrody. Może zamknął on boleść w najgłębszych tajnikach ducha i chciał ją

ukryć nietylko przed ludźmi, ale przed samém słońcem.

Stał spokojny i zamyślony i patrzył a zdaleka od łąki dochodziły go głosy bydła, idącego w pole i przeciągłe hukanie wołających na siebie, obudzonych do pracy ludzi.

Nagle, usłyszał po-za sobą szybkie, męzkie stąpanie; odwrócił głowę i zobaczył dziarskiego chłopaka, o czarnych, ognistych oczach, w kozackiém ubraniu, z listem w ręku idącego ku niemu.

Przez chwilę cień mu wzrok zasunął, wzruszenie było niespodziane i silne; poznał służącego pani Różyńskiej i jój brata.

— Jak się masz? Hryhory — rzekł, gdy chłopak stanął przed nim; — cóż to, list mi przywozisz?

Hryhory życzliwie, ale nie pokornie się skłonił i odrzekł:

— Pan Tarnowski przysłał panu przeze mnie książki i list ten.

Pan Stefan niecierpliwą ręką rozerwał pieczętkę i przeczytał: „Jestem dobry chrześcijanin, kochany Stefanie, i za złe chcę ci się dobrém wypłacić. Odjechałeś, nie chcąc mię nawet pożegnać, ani zawiadomić dokąd wyjeżdżasz; znam cię jednak i wiem, że nigdy nic bez słusznych nie robisz powodów. Nietylko więc nie mam do ciebie żalu, ale, dowiedziawszy się o miejscu twego pobytu, przysyłam ci na tę twoją Saharę, zwaną podobno N***, książki, które miałeś

sprowadzać a które znalazły się u mnie. Cywilizacja zepsuła nas, tworząc potrzeby, jakich nie znali nasi pradziadowie. Bez książek naprzykład, nie możemy żyć, jak bez chleba, a o ile wiem, w N*** nie ma Wolffów ani Orgelbrandów. Przyjm-że mnie więc, szanowny przyjacielu, za twego księgarskiego komisarza. Do książek tych dołączam jeszcze parę bardzo zajmujących papierów. Odziedziczyłem je po przodkach; a że się lubię niekiedy bawić w szpargały (naturalnie nie heraldyczne), wziąłem je z sobą, myśląc, iż może spotkam człowieka, którego one zajmą i który mi wyjaśni to, czegom w nich nie mógł zrozumieć. Są to bardzo ciekawe dokumenta, wyborne, sądzę, źródła do historyi prowincyi, w której się rodziłem; spoczywały one od niezmiernie dawna w ręku Tarnowskich i chciałbym, aby się na coś korzystnego dla ogółu przydały. Zwróć szczególniej uwagę na papiery z autentycznymi podpisami kozackich wodzów z XVII-go wieku a także i na te, które zawierają wiele wyjaśnień smutnej historyi Humania.

„Będę niezmiernie uradowany, jeśli to wszystko zajmie ci przyjemnie godzinę czasu. Chcę, abyś wierzył, iż nie zapomniałem owych ubiegłych lat, w których umiałeś być dla mnie i ojcem i bratem zarazem. Jeżeli poczciwe skłonności, jakie wlała we mnie natura, dobry wzięły kierunek, tobie to zawdzięczam a o takich rzeczach, kochany Stefanie, zapominają zimne tylko i nieszlachetne serca.

„Chciałbym cię sam odwiedzić na odludném tém wygnaniu, na jakie wskazały cię twoje prace; ale nie mogę opuścić Reginy, która, nie mając tu z nikim ścisłych stosunków, zanadto była-by osamotnioną bezemnie. Wiiesz Stefanie, jaki mam wstręt do wszelkiego fanatyzmu; a jednak zdaje mi się niekiedy, że do fanatyzmu posuwam dwa uczucia: przywiązanie do siostry i przyjaźń dla ciebie.”

Rawicki patrzył przez chwilę na list; wzrok jego na jednym wyrazie długo się zatrzymał a wyrazem tym było imię kobiety.

— Musisz być zmęczony, Hryhory — rzekł wreszcie do kozaczka; — jak widzę, całą noc jechałeś. Idź spocząć, a ja dam rozporządzenie, aby ciebie i twego konia dobrze tu przyjęto. Pudełko zanieś do mego mieszkania.

A gdy kozaczek odszedł, stał jeszcze długo wsparty o baryerę, trzymając list w ręku; nareszcie poszedł zwolna ku domowi, myśląc: Pocziwy ten Henryk! ale nie zmienia to wcale mojego do jego siostry stosunku!

.
Pora dnia bardzo jeszcze była wczesna; w mało zamieszkanym domu cisza panowała zupełna. Rawicki, otworzywszy pakę przyslaną mu przez Henryka, zaczął rozkładać i oglądać książki różnych formatów i języków. Była tam świeżo wyszła i ogromny mająca rozgłos ekonomia polityczna, Stuarta Milla; były stu-

dya nad stanem rzemieślników, Jules Simona; parę naukowych dzieł polskich i kilka najświeższych francuzkich broszur o przewidywanój już sprawie Włoskiej i, żywo zajmującój ówczesne umysły, kwestyi doczesnej władzy Papieża. Rawicki czytał tytuły i przetrzucał pierwsze kartki; a gdy już wszystkie książki były wyjęte, na dnie pudełka zobaczył szare i żółkłe od starości papiery. Z kolei począł je przeglądać. Na jednych rysowały się ogromne pieczęcie ludzi, którzy w XVII i XVIII wieku mieli w ręku władzę krajową; na innych spostrzegał ciekawe i uderzające szczególnością pismo, autograficzne podpisy. Szybko przebiegał okiem kilka bardzo zajmujących ustępów i z zajęciem oddał się przeglądowi tego małego archiwum. W miarę jak przeglądał, czytał i układał, przed myślą jego stawały obrazy minionej dawno przeszłości, którą odtwarzały przed nim te stare pieczęcie, niewyraźne, ogromnemi literami nakreślone podpisy i stary, odrębny, tchnący dawnymi wiekami język, jakim zapisane były papiery. Z tych poczernionych dziwaczniemi charakterami szpargałów, wionęła nań przeszłość poważna; i myślał, iż weźmie je od przyjaciela swego, aby w nich historykowi jakiemu ukazać bardzo może użyteczne i zajmujące źródło dziejowe.

Nagle, między szaremi i żółkłemi zwojami, spostrzegł biały i świeży zeszyt cienkiego papieru. Wziął go w rękę, przetrzucił i zobaczył kształtne i drobne pismo kobiece. Byłoby i to z XVIII wieku? — po-

myślał z uśmiechem — coś bardzo nowożytnie wygląda! Na białej i gładkiej okładce wyczytał bardzo drobném pismem nakreśloną jakby dewizę zeszytu: „Le bonheur dans le mariage consiste dans une parfaite entente des deux âmes. (Balzac)”.

— O! — pomyślał znowu inżynier — dewiza z Balzaka, to i bardzo nawet nowożytne dzieło! jak się tu ono dostało między te przedwieczne szpargały? Zresztą, dewiza dobrze wróży; mądra i trafna!...

Trzymał w ręku zeszyt i przerzucał kartki i jak się często zdarza, przy przeglądaniu nieznanego pisma, wyczytywał pojedyncze wyrazy i frazesa. Naprzód uderzył jego oczy frazes: „Dziecko! a znasz-że ty człowieka, którego kochasz”? Na innéj znowu kartce: „Ziewnął i poszedł spać”. Tu Rawicki się uśmiechnął, ale znikł uśmiech gdy na innéj jeszcze stronicy wyczytał: „Raz ponad szyby jeziora przeleciały dwie jaskółki, wzniosły się razem w górę i razem zniknęły wśród zieleni ogrodowych drzew; nie wiedziałam dla czego, ale pozazdrościłam jaskółkom i pomyślałam: jak im dobrze być musi lecieć razem i świegotać”. Zamyślił się i machinalnie już przerzucał białe kartki; spojrział raz jeszcze i znowu przeczytał: „Biada tym, którzy kochają same tylko formy i ciało”. A to doprawdy coś zajmującego — pomyślał — jakieś snąc smutne pismo kobiece. Nie jest to pewno źródło do historyi, ale są to może dzieje jednego z cichych dramatów serca, których jest tyle na

świecie! Wprawdzie — myślał dalej — Henryk nic mi nie pisze o tój nowożytnój części swego archiwum; wszakże jeśli mi to przysłał, znać, że uważa to za godne czytania.

Oparł się więc o okno i zaczął czytać zeszyt od początku.

Moje wspomnienia.

Cicho, bardzo cicho jest wkoło mnie; dom mój wiejski owiany wiatru szumem, stoi zadumany u stóp lasu, z którego jesień liście odarła, uściełając z nich żółty, smutny kobierzec.

*

Cicho, bardzo cicho koło mnie, jestem sama.

*

Zmrok zapada szary i nie widzę nic oprócz ciemnych, jesiennych chmur; zegar jednostajnym szmerem mierzy płynące chwile a ja wsłuchuję się w monotonne jego uderzenia i w dźwięk szyb, drżących pod dużemi kroplami deszczu.

*

Po-za oknem, nisko, wśród mgły i wiatru, drży drobna i biała asterka, nie umarła jeszcze, a czekająca śmierci. O, kwiatku biedny! tyś sam jeden i ja sama jedna. Astro biała! myśmy siostry!

*

Któż wypowie, ile jest smutku i poezji tęsknkiej w samotności młodego serca, które, oderwane od

wszelkich uroków życia, zatapia się w wewnętrzném, głębokiém rozmyślaniu!

A gdy chmury dżdżyste i mgły szare jedyny dla oka tworzą obraz, gdy szum wiatru jedyną dla ucha śpiewa muzykę, któż wypowie wszystkie zadumy i tęsknoty, co owijają wówczas serce młode, samo jedno, wpatrzone w smutek natury i we własne bóle!

Szczęśliwy ten, komu, wobec ciemnej i smutnej przyrody, blaskiem miłości i nadziei jaśnieją ukochane oczy; dla kogo, wśród głębokiej ciszy samotności, brzmia dźwięki miłego głosu! Sto razy szczęśliwy każdy, który, patrząc na jesienne niebo, z wiosną w sercu uścisnąć może ciepłą dłoń przyjaźni, kto, przy odgłosach wichrów w świat lecących, z serdeczném słowem na ustach, obok kochającej i ukochanej istoty utulić się może przy domowém ognisku!

Są ludzie, których życie, jak ścieżka bez słońca i kwiatów, wije się samotna między różnemi drogami tej ziemi. Róże wiosenne przynoszą im tęsknotę, jesienne mgły wieją ku nim łzami.

Jestem sama! Ludzie, czy wy rozumiecie, co ten wyraz znaczy? Nie rozumiecie? więc słuchajcie, ja wam powiem. Ale nie, pocóż mam mówić? Alboż

wam potrzeba rozumiéć wszystkie wyrazy waszêj własnej mowy? Słówko składa się z dwóch zgłósek, z czterech liter, brzmi miédko i nikt, wymawiając je, ust nie wykrzywi sobie! A co leży w głébi jego! Czy wewnętrzne jego znaczenie nie wykrzywia i nie łamie istnień całych?... Co wam do tego?

*

A jednak możeby dobrze było, abyście lepiej i głébiéj wnikali w treść wyrazów, jakiemi mówicie. Pojęlibyście wiele, czego nierozumiecie i może nauczylibyście się więcéj kochać i więcéj... przebaczać!

*

Więc jeżeli chcecie, uczcie się znaczenia tego wyrazu, który w ustach brzmi miédko a życie bardzo ciédko uciska; czytajcie je w bladych twarzach, w chorych sercach, w zepsutych i zmarnowanych skarbach uczucia i myśli. Ja nic nie powiem, bom nie przywykła mówić wam o smutkach moich.

*

Pójdźcie ku mnie, o wspomnienia moje! Z szumem wiatru przypłyniecie do mnie oddźwięki mojej przeszłości, bardzo krótkiej, a jednak... długiéj! Czy chwila może być krótką i długą zarazem? czy w latach kilku może się mieścić lat sto? Niech powie ten, kto ma gorące serce i umysł poważny, a wiele cierpiał!

*

Pierzchnij, mgło, zasłaniająca minione lata! Niech głąb' mego ducha wypowieda się z tego, co było i z tego, co jest!

*

Więc pójdźcie ku mnie wspomnienia moje, niechaj przepędzę z wami długą chwilę; a jeśli wywołacie na moje oko jaką cichą łzę, nie ujrzy jęj nikt oprócz ścian milczących; jeśli z piersi mojęj wyrwie się jęk jaki krótki, usłyszysz go tylko samotność i... Bóg!

Urodziłam się śród szerokich i poetycznych równin, w dużym i pięknym domu, którego ściany lśniły na ciemnym tle dębowego lasu. Po-za ogrodem biegła wążka i bystra rzeczka, opasując wstęgą błękitu zieloną łąkę.

Rodziców moich nie znałam, bo jak mówi poeta: „Piérwsza lilia rozkwitła na grobie ojca, była mi rówiennicą, a piérwsza róża z mogiły mojęj matki, moją młodszą siostrą”.

Wychowywała mię i opiekowała się mną ciotka. Od najpiérwszych dni, będąc oddana wyłącznej opiece bon i nauczycielek, rzadko ją widywałam; a jeźli kiedy i wchodziła do pokoju, w którym śród obcych bawiłam się i uczyłam, twarz miała zimną, rozmawiała z otaczającemi mię, nigdy ze mną i odchodziła, dawszy mi zaledwie lekkie w czoło pocałowanie. Ta jęj obojętność nie pochodziła wyłącznie

z jakiej ku mnie niechęci, ale z wrodzonego chłodu usposobienia.

Rodzice moi zostawili znaczny majątek, nie szczeniowano więc kosztów, aby mię jak najstaranniej wychować. Ale nie zastąpić nie może gorącej i troskliwej rodzicielskiej miłości, która pierwsze chwile dziecięcego istnienia oblewa niewysłowionym urokiem i na życiu już całym niestarte pozostawia ślady.

Miałam brata o lat kilka starszego od siebie; ale on uczył się po-za domem, potem podróżował długo a ja wzrastałam samotna wśród grona poważnych menterek.

Otaczająca mię od kolebki piękność i miękkość a także brak towarzystwa rówieśników i, zwyczajnie przez inne dzieci otrzymywanej, rodzicielskiej pieczyoty, z wolna wyrabiały we mnie dwie cechy charakteru: skłonność do marzeń i skrytą, zamkniętą w sobie, chorobliwą prawie, uczuciowość.

Pamiętam, jak nieraz, w piękny dzień letni, wymknąwszy się z szerokich alei ogrodu, w cienisty las dębowy, siadałam pod drzewem i, zakrywszy twarz rękoma, słuchałam szumu liści. Szum ten kołysał mię jakoś dziwnie; nie myślałam wówczas o niczym, ale machinalnie ściagałam uchem zwroty leśnej mowy.

To znowu, gdy wieczorem zaświeciły gwiazdy, siadałam nad brzegiem rzeczki i zatapiałam wzrok

w cicho płynące fale, na których dnie odbite drżały światełka niebieskie.

Ale najwyższą już dla mnie rozkoszą było, gdy w oddali, z pod krańca horyzontu, ozwały się tęskne tony ludowego śpiewu. Pieśni, zdala po równinie płynące, przejmowały mię uczuciem, którego nie zdołałam sobie określić. Nie było ono jednak wesołe, bo nieraz, wówczas, kilka cichych łez popłynęło mi z oczu a przyczyny ich nie znałam. Czyżby połączone tony poezji i muzyki, któremi ludzie zwykle wypowiadają swe bóle, miały wzbudzać w sercu dziecka, przecucie jego przyszłych cierpień?

Postaci rodziców moich nie pamiętam; bo nawet, pogrzebne pieśni, do mogiły towarzyszące ich ciałom, najłżejszém echem nie pozostały mi w pamięci; ale często myślałam o nich. I widziałam matkę moję, piękną a słodką, z białém licem i z koroną złotych warkoczy nad czołem; a ojciec stawał przedemną takim, jakim go na portrecie widziałam: słuszny i poważny, z długą, siwiejącą brodą i z ciemnymi, łagodnymi oczyma. Uśmiechy ich, pieścioty, słowa, tworzyłam sobie już sama i w te widma mojej wyobraźni wpatrywałam się oczyma duszy, przez długie chwile, gdy tymczasem z oczu, któremi na świat cały patrzyłam, łzy spadały mi na usta. A ja, czując je wilgotne i gorące, myślałam, że to są pocałunki, przez rodziców mi z innych światów ślane.

Mimo jednak tych chwil rozmarzenia i tęsknoty,

dziecinne lata moje płynęły spokojne i swobodne. Zwyczajnie bywałam wesoła i łagodna, tylko otaczająca mnie atmosfera chłodu, wyrabiała w mojej duszy coraz silniejsze pragnienie ukochania i coraz bardziej zamkniętą w sobie skrytość; a brak towarzystwa rówieśników i ciągła nad naukami praca, samój wesołości i zabawom moim, nadawały pewną niezwykłą u dzieci powagę.

Tak biegły szybko lata. Aż pewnego dnia włożono mi długą suknię, upleciono moje włosy w misterne warkocze i zwoje i powiedziano mi, że jestem dorosłą panną.

Dorosła panna! uroczy wyraz dla kobiety wychodzącej z pieluch dziecięctwa! W długiej sukni, w sztucznie utrefionych włosach na głowie a w głowie z mnóstwem rojeń różanych, dziecko, tylko co przyobleczone w godność człowieczą, wzlatuje nad światem niby motyl, z obsłon gąsienniczych uwolniony. Poza niemi już, nudna niewola systematycznych nauk; poza niemi, pedanckie twarze nauczycielek i wszelkie gramatyki, arytmetyki i geografie. Przed niemi życie ze wszystkimi urokami swojemi, z gwarem, blaskiem, weselem i miłością! Szczególniej z miłością! I któraż dorosła panna nie marzy o niej od chwili, jak pasowana zostanie na tę błogosławioną godność? Czasem, nawet jeszcze i przed przywdzianiem długiej sukienki, serduszko bije mocno, gdy oczy spoczywają na kartkach jakiego, skrycie czytanego, romansu. Ale

wówczas wzruszenia te i marzenia, to kontrabanda i tajemnica; dopiero tytuł dorosłej panny daje prawo do puszczenia wodzy marzeniom, do budowania złoconych zamków na lodzie.

Tytuł dorosłej panny, daje dziecku prawo do marzeń, wprowadza je w świat uczuć i czynu; ale czy zarazem daje mu dojrzałość dostateczną do powściągnięcia marzeń tych tak, aby one nie stłumiły zdrowej myśli? czy daje dosyć tej zdrowej myśli i hartu na ster i kotwicę w ruchliwém, a nowém istnieniu?

Nie zawsze tak bywa. Często, i najczęściej nawet wychowana więcej świetnie niż gruntownie, więcej na lalkę, niż na człowieka a raczej na damę, niż na kobietę, dorosła panna wchodzi w świat z silnie rozkołysaném marzeniami serduszkciem, z oczkami gorejącemi pragnieniem blasku, wesela, miłości; ale z główką, ach, z główką tak dziecinną, tak nieumiejącą zdać sobie dokładnie sprawy z niczego, ni ze świata, ni z ludzi, ni z jęj własnej istoty, że biedne dziecię, mianowane już przecie człowiekiem, gubi się w odmęcie potracających je a nie znanych mu z treści, objawów życia i, jak zbłąkane, szuka portu, w którym-by mogło znaleźć urzeczywistnienie swoich nie już nadziei, ale marzeń. I ta obalamucona, źle ukształcona, rozmazana główka woła: prędzěj! i serce rwące się do życia woła: prędzěj! a wkoło latające ogniki błędne wabią ją sztucznemi błyskami. Dziecko, pasowane na człowieka, chwyta z radością złocene blaszki, ciesząc

się, że tyle słońc ma w dłoni. Jak niegdyś po miękkiej murawie za motylkami, biega swobodnie po otwartej ścieżce życia. A jeśli się omyli i na niewłaściwą dla siebie ścieżkę zabiegnie, jeśli oplączy się marzeniem, jak siecią złoconą i zbłądzi, to otaczający ujrzą w tém fakt bardzo prosty. Czyjaż wina jeśli zbłądziła? Przecież była dorosłą panną!

Czy nie należało-by oddać téj kwestyi pod sąd i rozagę pedagogów?

Ja wychowana byłam świetnie i nawet w rzeczywistém znaczeniu tego wyrazu, lepiej może od innych. Niemniej jednak gdy zostałam *dorosłą* panną, pojęciem świata i życia, byłam jeszcze zupełnym dzieckiem.

Kiedy pierwszy raz ujrzałam się w długiej sukni i z prawem dowolnego rozporządzania godzinami dnia, pobiegłam do najmłodszej nauczycielki mojej, która pozostała jeszcze przy mnie dla towarzystwa i, z radością pochwywszy jej ręce, zawołałam:

— Więc jestem dorosłą panną!

I po chwili dodałam:

— Cóż teraz będę robiła?

A panna Malwina odpowiedziała mi z najwyższym spokojem:

— Pójdiesz za męża.

Pójdiesz za męża! Małe słówko! a jednak ogromną rewolucyą uczyniło w mojej głowie: A tak! — myślałam — pójdę za męża, ale za kogo? Ani jedne-

go młodego człowieka nie znałam wówczas; alem już była przeczytała kilka romansów i w wyobraźni posiadałam téż kilka bohaterskich typów.

Daléj więc w krainy marzeń! I co się tam wówczas w mojej dziecięcój nie prześniło głowie! Nie wiedziałam sama czego pragnęłam, jakim miał być człowiek, którego-bym ukochała; ale snułam myślą nicie złote, długie a z nich, błyszczącemi zgłoskami, układał się wyraz: kochać. Pragnęłam kochać! Jak? kogo? nie wiedziałam, a pragnienie to nieokreślone wzmogło się tém, żem zawsze oddychała dotąd atmosferą chłodną. Jak dawniej, siadywałam nad rzeczką i wpatrywałam się w błyszczące na jej dnie odbicie gwiazd złotych; jak dawniej, słuchałam szumu wiatru i odgłosów dalekich pieśni. Ale serce moje nie było tak spokojne jak rzeczki fale a tak było tęskne, jak oddalone echa smętnych śpiewów.

Gdyby mi wówczas dano jaką użyteczną a poważną do spełnienia pracę; gdyby mi wskazano cel jakiś, do którego codziennie mogła-bym dążyć z zajęciem się i zamiłowaniem, w czynności, ruchu i poważném rozmyślaniu, uspokoiło-by się zapewne dziwaczném marzeniem, rozkołysane serce a siły młode i rwące się do życia, które falami napływały mi do piersi i głowy, znalazły-by możność zużytkowania się i równowagę. Ale mnie pozwolono dowolnie rozporządzać czasem moim i nie wskazano, czém-bym go

najkorzystniej wypełnić mogła. Wprawdzie w pokoju moim były szafy z książkami, stały krosienka z rozpoczętym kobiercem i leżały hafty przeróżne; ale choć nawet czytałam kilka godzin dziennie, choć wyszywałam kwiaty na kanwie, zostawało mi wiele czasu na marzenie. To też coraz większy w mojej głowie robił się chaos.

Czy nie należało-by przed oczyma młodziuchnej istoty, gotującej się do wejścia w szranki życia, jasno i wyraźnie roztoczyć to życie, z całą jego powagą i ze wszystkimi jego bólami i radościami? Czy nie należało-by jej pokazać tego szerokiego poważnego obrazu, który się zwie światem i powiedzieć jej: patrz! ty tu jedno z miejsc mieć będziesz; wybieraj je! Czy-by nie lepiej było, aby, zamiast prostego włożenia jej książki w rękę i powiedzenia: ucz się! powiedzieć jej, dla czego i czego ma się uczyć i że wieńcem i koroną tej jej nauki winien być czyn? I czy-by nie dobrze było zaraz, nim jeszcze samoistnie żyć pocznie, stopniowo uczyć ją tego czynu, wwodzić ją w świat miłosierdzia, ofiary, w świat poważnych rozmyślań nad przeróżnymi cierpieniami ludzkiemi? I czy-by także nie należało uczyć jej, bacznie zaglądać w samę siebie, poznawać własne potrzeby, uczucia, zamiłowania, aby, według nich, najstosowniejszą mogła pójść drogą?

Wszystkie te kwestye poddaję znowu pod sąd i rozważę... matek.

Nadeszła zima i, jak chce obyczaj, zaczęłam z moją ciotką wyjeżdżać w liczne sąsiedztwa. Bawiły mnie nowe znajomości, uszczęśliwiona byłam wesołym towarzystwem rówieśnic, ale pomiędzy wszystkimi spotykanymi mężczyznami, wzrok mój szukał wymarzonego bohatera, który-by w sercu mojem zapełnił próżnię, jaką zostawił w niem brak rodzicielskiej miłości.

Pewnego dnia do pokoju, w którym siedziałam, rozmawiając z Malwiną, weszła moja ciotka a za nią służący wniósł opieczętowane pudło. Ciotka moja powitała mnie zwyczajnym swoim, obojętnym: dzień dobry i lekkim pocałowaniem w czoło a służący pudło otworzył i błysnęła zeń prześliczna, balowa, z białej krepy suknia.

— Zaproszone jesteśmy na bal — rzekła moja ciotka, gdy tymczasem zachwycona Malwina rozkładała zwoje krepowe i w ręku trzymała wieniec z konwalii. — Zaproszone jesteśmy na bal i sprowadziłam z miasta dla ciebie ten strój, abyś, w nieznanym cię dotąd towarzystwie, ukazała się stosownie do twojego urodzenia i majątku. Pamiętaj, moja droga — dodała ciotka — abyś, znalezieniem się swoim, również odpowiedziała temu, czego się, po twojem starannym wychowaniu, ja i świat mamy prawo spodziewać.

Po tych słowach ciotka moja wyszła a ja zamysliłam się głęboko. Miałam więc już wejść w ten

świat zabaw i blasku i tłumów, znany mi dotąd tylko z opisujących go książek, lub z opowiadań starszych ode mnie a nowo poznanych towarzyszek. Ciotka moja mówiła mi, że świat ten czego się ode mnie spodziewa, że odpowiedzieć mam tym nadziejom jego stosowném znalezieniem się w towarzystwie. Cóż to jest, czego się ode mnie spodziewa świat ten? Czemuż mi ciotka nie powiedziała tego? Czyż u progu nowego dla mnie, a pełnego zagadek i tajemnic, życia, za ozdobę i wsparcie całe, nie miała mi ona do dania nic prócz balowój sukienki? Z daru jęj i przestrogi wiał chłód taki, jakim owiane było całe dzieciństwo moje; i smutek jakiś żałosny, i obawa ciężka mię zdjęła na myśl, że niema obok mnie nikogo, kto-by mię kochającą istotnie i rozumną otulił opieką. Wzniosłam wzrok na portret mojego ojca, wpatrzyłam się w jego malowaną, poważną twarz i myślałam: gdyby on teraz był przy mnie! I z oka mojego spadła łza na wieniec z konwalii, leżący przede mną, na pierwszy mój wieniec balowy!

— Ty płaczesz, Regino? — zawołała, dojrzwawszy tę łzę Malwina?

— Tak, smutno mi trochę — odpowiedziałam, biorąc rękę dobrej dziewczyny.

— Daj pokój — rzekła — po co tobie te smutki! one dane w udziale nam biednym, ale nie tobie bogatej i pięknej pannie. Zobaczysz, jak się będziesz dobrze bawiła na balu, témbardziej że...

— Dokończ-że, Malwinko — prosiłam zaciekawiona — témbardziej, że co?

— Témbardziej — mówiła figlarnie — że... że będzie ktoś miły bardzo na tym balu.

— Któż to taki? — spytałam.

Kilka chwil Malwina drażniła moją ciekawość, aż w końcu rzekła:

— Anielka W. dawno mi już o tym balu mówiła i zwierzyła mi się z tego, że rodzice jęj wydają go na przyjęcie blizkiego swego kuzyna, Alfreda Różyńskiego, wracającego z długięj podróży.

— I cóż ci więcj mówiła Anielka? — spytałam znowu.

— Mówiła mi jeszcze, że pan Alfred jest najpiękniejszym i najmilszym człowiekiem, jakiego zna; a że bogaty bardzo, o tém już dawno słyszałam.

Zamyśliłam się znowu i przed oczyma rozmarzonęj wyobraźni w rozmaitych postawach począł się przesuwac obraz pana Alfreda. Wyobraźnia marzyła a serce coraz bardziej pragnęło życia, ozłoconego miłością i młodzieńczem weselem, które dotąd, sierota prawie i zawsze samotna, znałam tylko w snach i pragnieniu.

Malwina ciągle w podziwie nad moją piękną suknią, zapytywała mnie, czemu się tak mało nią zajmuję? Ale myśl moja zbłąkana wprawdzie, rozmarzona, chaotycznie splątana, nie rwała się jednak ku błyskotkom.

Gdy sobie teraz przypomnę tę obojętność moję dla rzeczy, które tysiące moich rówieśnic uniosły-by radością, myślę, że już sama natura wlała we mnie zarody serdecznego i poważnego życia i lekceważenie wszystkiego, co bywa innym fałszywą monetą szczęścia.

Nareszcie przyszedł wieczór balowy. Wsparta na ramieniu gospodarza domu, prowadzącego téż i moję ciotkę, weszłam do wielkiej, rześkiej oświetlonej, napelnionej już gośćmi, sali. Znajome moje rówieśnice otoczyły mię z powitaniem, winszowały pięknego stroju, upewniały, że ślicznie wyglądam. I rzeczywiście, zobaczyłam, że wiele osób patrzyło na mnie, a uszu moich doszły szepty:

- Panna Regina Tarnowska, jaka śliczna!
- Co za oczy! jaka świeżość!
- Czy bogata?
- Pół miliona posagu.
- Co za gustowna toaleta!
- Zgrabna! młodziuchna! i t. d.

Sploniona i nieco onieśmiewiona gorącym tchnieniem tych skierowanych ku mnie spojrzeń i szeptów, usiadłam obok mojej ciotki. Przez chwilę jeszcze trwał szmer wchodzących osób, witających się i udzielających sobie różnych uwag; aż z po-za grupy cytrynowych i pomarańczowych drzew zasłaniających drzwi przyległego pokoju, szybkim, głośnym, porywającym walcem zabrzmiała muzyka. W won-

nej i zalanęj światłem atmosferze salonu, jak lekkie różnobarwne chmurki wionęły przezrocze suknie kobiet; zdwojonym blaskiem zajaśniały drżące u ich łona brylanty, wszystkie oczy silniejszemi rozgorzały ogniami, po czołach przebiegały rumieńce rozigranego życia.

Ujrzałam, jak o kilkanaście kroków odemnie, gospodyni domu zcicha coś mówiła do nieznanego mi młodego człowieka i z nim razem zwróciła się ku mnie.

— Przedstawiam ci, ma toute aimable — rzekła poufale, biorąc mię za rękę — przedstawiam ci pana Alfreda Różyńskiego, mojego kuzyna. Médiocre causeur, mais excellent danseur — dodała z uśmiechem.

Serce mi uderzyło silnie, ale śmiało spojrzałam na przedstawianego i zobaczyłam młodego człowieka bardzo pięknej postaci i twarzy. Średniego wzrostu, o jasnych, gęstemi pierścieniami spadających włosach, wyglądał na lat dwadzieścia sześć. Twarz miał ściągłą i bladą i duże, bardzo błękitne oczy.

Skłonił się przedemną i zaprosił mię do walca.

Szybko kilka razy obiegliśmy w tańcu salon; pan Alfred posadził mię na opuszczoném przed chwilą miejscu i sam obok mnie usiadł. Przez chwilę milczeliśmy oboje; ja trzymałam wzrok, utkwiony w piórka mojego wachlarza. Nareszcie usłyszałam powoli i jednostajnym głosem wymówione wyrazy:

— Pani daleko ztąd mieszka?

— Trzy mile — odpowiedziałam.

— Trzy mile! — zawołał nieco żywiej mój sąsiad. — Ależ to konie państwa musiały się bardzo zmęczyć! droga taka niedobra!

Nie znałam jeszcze wówczas towarzystw i ich prawideł; wykrzyknik więc politowania nad końmi, nie tyle wydał mi się śmiesznym, jakby się to w każdej innej porze mego życia zdarzyło. Wszakże instynktownie poczułam jego niestosowność i, nieco zdziwiona, spojrzałam na pana Alfreda.

Drugie to moje spojrzenie na niego, potwierdziło mi jeszcze, że był bardzo pięknym. Gęste, spadające jego włosy, rzucały cień na białe czoło a duże, dziwnie czysto błękitne oczy, jak niezabudki jaśniały wśród bladłej twarzy. Obok tej piękności rysów, uderzył mię w twarz pana Alfreda wyraz, jakiegom dotąd nigdy u nikogo nie widziałam. Oczy jego patrzyły w przestrzeń niby szklane a blask ich był blade, mdławym; kiedy mówił, usta poruszały się powoli, jakby u automatu, bez uśmiechu i bez najmniejszego drgnięcia. Postać jego zgrabna, o silnych i klasycznych kształtach, prosta była, sztywna i nieruchoma. Zdziwiła mię nieco ta martwość powierzchowności pana Alfreda, ale nie wydała mi się wcale wstrętną. I owszem, zaciekawiona byłam tą sztywnością i tym mdławym blaskiem oczu i temi milczącymi, lub powoli ruszającymi się ustami. Piękność młodego człowieka miło mię uderzała; mimowoli czułam już dla

niego sympatyą; w myśli méj stanęły usłyszane, czy wyczytane gdzieś słowa: woda cicha, najgłębsza!

Nieśmiałość nie należała śnać do rzędu moich przymiotów czy wad, bo pierwsza przemówiłam, pytając:

— Pan długo podróżował?

— Dwa lata — odpowiedział pan Alfred, silnie wpatrując się we mnie, zawsze szklanym, martwym wzrokiem.

— Jakie pan kraje zwiedził? — spytałam znowu.

— Pół roku byłem we Włoszech i Francyi, resztę czasu w Anglii przepędziłem — odrzekł, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Dziwi mię to — rzekłam — iż pan tak wiele czasu poświęcił Anglii; jabyłm wołała Włochy lub Szwajcaryą, a nawet Paryż.

Pan Alfred milczał przez chwilę, aż ze zwykłą sobie zimną krwią, odpowiedział powoli:

— W Anglii są śliczne konie, bywałem na każdym wyścigach. We Włoszech i we Francyi jest wiele pięknych rzeczy, to prawda, ale takich koni, jak w Anglii, niema.

W téj chwili zaproszono mię do tańca i przerwano naszą rozmowę.

- Przez dalszy ciąg wieczoru, mało tańczyłam z panem Alfredem, bo młodych ludzi było bardzo wielu; każdego z nich mi przedstawiano i z każdym tańczyć musiałam. Ale żaden nie zwrócił już mojej uwagi:

wzrokiem ściagałam młodego człowieka, o którym kilka dni przemarzyłam, a którego piękna postać i twarz, wywierały na mnie dziwny urok. Kilka towarzyszek moich szepnęło mi do ucha: pan Alfred Różyński bardzo jest piękny! jak on ślicznie tańczy! Więc nie ja jedna znajduję go pięknym! — myślałam i rzekłam z cicha do Malwinki:

— Nieprawdaż, że pan Alfred jest piękny?

— Bardzo — odpowiedziała i dodała — a jak on na ciebie ciągle patrzy.

Serce mi uderzyło silnie na te słowa Malwiny i spojrzałam na pana Alfreda, stojącego niedaleko mnie. Spotkałam się z jego wzrokiem zawsze jednostajnie martwym, ale rzeczywiście przywiązany do mojej twarzy. Czułam, że się mocno zarumieniłam.

— On musi być bardzo dobry — szepnęłam znów do mojej towarzyszki.

— Niezawodnie — odrzekła — i niezawodnie też zakochany już w tobie.

Nieopisanie radosną nutą zabrzmiały w sercu mojem te słowa Malwinki. Więc był już ktoś, co mnie ukochał! dotąd zdawało mi się zawsze, że nikt mnie jeszcze nie kochał na świecie. I poczułam już rodzaj wdzięczności, rodzącej się we mnie dla młodego człowieka.

Bal miał się ku końcowi, tańce ustawały, a ja myśląc o panu Alfredzie i o słowach Malwiny, nawpół

słuchałam rozmowy któręjs z towarzyszek; gdy dał się słyszeć silny, czysty, tenorowy śpiew a ja zobaczyłam siedzącego przy fortepianie i śpiewającego pana Alfreda.

— Kuzynek mój ślicznie śpiewa — rzekła Anielka, siadając przy mnie — uprosiłam go, aby nam zaśpiewał.

I rzeczywiście, ślicznie śpiewał pan Alfred. Znałam muzykę i sama śpiewałam, byłam zresztą w usposobieniu, w którym muzyka najbardziej wzrusza i upaja. Z rozkoszą więc prawdziwą, z upojeniem słuchałam głosu pełnego siły i dźwięcznej czystości. Twarz jego pozostała w śpiewie tak samo nieruchoma, blada i bez blasku; ale im dłużej śpiewał, tem więcej głos jego wzmagał się w potęgę i taką niekiedy drgał namiętnością, lub miękką słodyczą, iż zdawało się, że w piersi śpiewającego spoczywały skarby miłości i wrzały ognie wulkanów. W głowie mi się mąciło; czułam, że drżałam cała i całą mocą wstrzymywałam łzy, które potokiem napływały mi do oczu.

Ustał śpiew. Pan Alfred wstał powoli i, zwracając się do jednego z towarzyszków, rzekł:

— Brałem lekcye od Rubiniego w Paryżu, on mnie nauczył śpiewać tę aryę. — I dodał: A propos! czy widziałeś, Michasiu, moję Lady, którą sprowadziłem z Londynu? Kasztanka, z białą strzałką, czysta rasa angielska, parole d'honneur!

Słowa te wielką zapewne stanowiły sprzeczność ze śpiewem pana Alfreda; alem ja wtedy ich nie pojęła. Obiły się one o słuch mój i umilkły zgłuszone pięknym tenorem, który ciągle w uszach mi brzmiał i tą pieśnią wewnętrzną, co mi już zaczynała śpiewać w piersi wyraz miłości.

Ciotka moja skinęła na mnie, dając znak, że mamy odjeżdżać a w tej samej chwili obok mnie stanął pan Alfred. Spłoniona, drżąca jeszcze cała, ze łzą powstrzymywaną w oku, spojrzałam na niego; i on patrzył na mnie, swoim zwykłym zimnym wzrokiem. Ale nagle zobaczyłam, jak słaba iskra poczęła się zapalać w jego oku, na bladą twarz wystąpił lekki rumieniec; podał mi rękę i rzekł:

— Wkrótce odwiedzę państwa.

W tej właśnie chwili, z wieńca mojego spadła gałązka białej konwalii i osunęła się między krepowe fałdy. Podjęłam ją szybko i, podając panu Alfredowi drobny kwiatek, rzekłam:

— Czekam pana!...

I zobaczyłam, jak jeszcze żywsza iskra zapaliła się w pięknym jego błękitnym oku. Wpół tylko przytomna pożegnałam obecnych i pobiegłam za ciotką.

Szczegóły owego wieczoru, rysują się w mojej myśli wyraźnie i jasno, bo on poniekąd stanowił o całej mojej przyszłości; on mię wwiódł na tę drogę, na której znalazłam... cierpienia; on był pierwszym moim krokiem w świat uczuć i walk.

Gdy w powrocie do domu, karetą toczyła się szybko po gładkiej drodze, ja sama jeszcze czuwałam między śpiącymi, ciotką moją i Malwiną; czuwałam a przed oczyma stał mi ciągle pan Alfred, w uszach brzmiały ostatnie jego wyrazy i pełne uczucia tony jego śpiewu.

Słońce wschodziło na pogodnym porannym błękitnie nieba a ja, wychylona przez okno karety, wpatrywałam się w purpurowy kraniec widnokręgów, myśląc, że i dla mnie wschodzi słońce nowego życia, że rodzi się już mój poranek wesela i miłości.

I myślałam: to on! to ten, o którym marzyłam! ten, który mię ukocha, ten mój przyszły, wybrany!

A gdy przyjechałam do domu, ukłękłam przed ojca portretem i powiedziałam mu, że *już znalazłam!*

Więcej nikomu nie powierzyłam moich myśli i rodzących się uczuć; bo osamotnienie, w jakim przepędziłam dzieciństwo, nauczyło mię milczenia i zamykania się w sobie samej.

Malowana twarz mojego ojca, była mi ołtarzem, przed którym, od najwcześniejszych dni istnienia, spowiadałam się z tęsknoty każdej i radości, z uczuć wszelkich i choćby z dziecięcych grzechów. A owego poranku, już nie łzę posłałam ku ukochanemu portretowi, ale uśmiech młodej, rozkwitającej nadziei.

O! czemuż niekiedy umarli, nie mogą zstąpić na

ziemię do ukochanych swoich, ze słowem przestrogi i serdecznój nauki!...

W kilka dni potém, ze spłonioną twarzą i silnie bijącym sercem, witałam pana Alfreda w naszym salonie. Przyjechał on z kuzynką swoją i z jej córką, która u wstępu zaraz szepnęła mi:

— Kuzynek mój rozkochał się w tobie à la folie.

A matka jej powitała mię ze szczególną słodyczą, z jaką witane bywają zwykle *panny na wydaniu*, przez mamy, ciocie i kuzynki, *robiące interesa* młodych ludzi.

— Zrobiłaś furorę na naszym wieczorze — rzekła do mnie pani W. słodko, tkliwie, całując mię w czoło. — Ale któż-by nie był zachwycony tak śliczną istotą! — dodała, patrząc mi w oczy z przymileniem.

Pan Alfred zbliżał się do mnie parę razy, ale, jak zwykle, mało i bardzo powoli mówił; za to patrzył na mnie ciągle swemi błękitnymi oczyma, które, chociaż nic nie mówiły i ani razu nie zapaliły się nawet taką słabą iskierką, jaką w nich dojrzałam na balu, wydały mi się przecież bardzo piękne. I rzeczywiście, piękne były one formą i barwą, jak i cała twarz jego ściągała o regularnych i klasycznych rysach i oblana jednolitą matową bledością. Dziś piękność taka przedstawiała-by się mi, jak bezduszna, martwa forma; wówczas zachwycona nią byłam. Braku w niej tych

promieni i odblasków, jakie, z wnętrza ludzkiego wychodząc, oświecają oblicze myślą i uczuciem, nie dostrzegłam, olśniona już i pociągnięta zrazu nawet, gdy usiadł przy fortepianie i zaśpiewał. Sprzeczność, zachodząca między martwą, zimną i posągowo piękną jego twarzą a drżącymi namiętnością i głębokiem poczuciem tonami, wychodzącymi z jego piersi, uderzyła mnie jakimś urokiem. Zadrżałam cała pod gorącym wzruszeniem i cichą, najtajniejszą myślą moją powiedziałam sobie: kocham!

Po odjeździe gości, ciotka moja rzekła:

— Zdaje się, że pan Alfred będzie się o ciebie starał; winszuję ci, to bardzo *dystyngowany* człowiek i bardzo dobra partya.

I rzeczywiście, po kilku wizytach pana Alfreda, w czasie których młody człowiek mało mówił, czasem śpiewał i ciągle na mnie patrzył, ciotka moja zawołała mnie pewnego ranka do swego pokoju i rzekła:

— Wczoraj, pan Alfred za pośrednictwem pani W., oświadczył się o twoją rękę. Chcąc tylko twojego szczęścia, namawiać cię nie będę; rób, jak chcesz, témbardziej, że, będąc młodą i bogatą, nie potrzebujesz śpieszyć się z wyborem. To ci tylko, jako opiekunka twoja, powiedzieć muszę, że o drugą podobną *partyą* nie łatwo; jeśli więc nic *bardzo* przeciw panu Alfredowi nie masz, odrzucać jego *propozycji* nie warto.

Zaledwie ciotka moja skończyła mówić, ja, we

łzach cała, rzuciłam się w jej objęcia. Zdziwiona temi łzami i niezwykłym w naszym stosunku ruchem, lekko mię usunęła, pytając zimnō:

— Cóż ci jest, Regino? czego płaczesz?

— Ze szczęścia — wyszeptałam wśród łkania.

— No, nie egzaltuj się tylko — rzekła—tak dalece wielkiego szczęścia w tém wszystkiem niema; bo panna, z twojem urodzeniem, majątkiem i wychowaniem, zawsze się mogła podobnej *partyi* spodziewać. A jeżeli propozycja, która się mi podoba, zgadza się téż z twojem życzeniem, to tém lepiej i niema bynajmniej powodu do płaczu.

Mnie jednak nieopisanie szczęśliwą czyniła myśl, że jest przecie na świecie ktoś, co mnie kocha. A i sama kochałam Alfreda, tą młodzieńczą, współdzieczinną, nierozważną, ale gorącą miłością; miłością, która nie wpatruje się w głąb' i treść człowieka, ale do piękności kształtów, do dźwięku głosu przywiązują się ślepo, prądem namiętności unosząc swoją ofiarę na chwilę... w niebo, na życie... w przepaść.

Przez kilka miesięcy ubiegłych, między oświadczeniami i ślubem, nie widziałam prawie mojego narzeczonego. Wyjeżdżał do swoich majątków, aby urządzić dom na moje przyjęcie i do wielkiego miasta, dla kupna powozów i wszelkich owych błyszczących a kosztownych rzeczy, któremi bogate młode pary, tak bardzo się cieszą w pierwszych chwilach małżeństwa, nie przewidując, że później na to sztu-

czne złoto, upadnie rdza łez i blask fałszywy zagasi.

Ja tymczasem sposobiałam się do uroczystości życia, która się miała dla mnie rozpocząć. Niedawno przedtém czytałam jakiś romans, w którym małżeństwo nazwano świętem młodości „fête de jeunesse“. I mnie tóż ono przedstawiało się jak promienne święto, którego słońcem miał być Alfred. Zapanował on nad wszystkimi mojami myślami; marzyłam o nim, jako o dobrym, kochającym, słodkim a wesołym towarzyszu, odziałam go we wszystkie barwy mojej ognistěj wyobraźni. Kiedy mi smutno było, myślałam: gdy będę z nim, on mię rozweseli! gdy czego nie rozumiałam, łub chciałam się nauczyć, marzyłam: on mi wszystko wytłómaczy i rozjaśni! on mię wszystkiego nauczy!

I stał się Bogiem moich myśli. I jak przed pobożném okiem modlącego się, obraz bóztwa w nieskazitelněj krwi czystości, tak przed oczyma mojami, nigdy wówczas ani na chwilę, najlżejszym cieniem nie zaćmiła się postać tego, który miał mi dać wszystko, czegom dotąd nie miała: przyjaźń, miłość, kochającą i słodką opiekę.

I jak kwiat rozwija listki kielicha swego pod ciepłym słonecznego promienia, tak ja poważniałam i dojrzewiałam pod tchnieniem miłości i nadziei mojej. W czasie długich nieobecności Alfreda, tęskniłam za nim, ale spojrzenie w przyszłość ozłacało mi

tę tęsknotę urokiem niezrównanym. Oczekując przybycia narzeczonego, pierwszy raz zaczęłam myśleć, co i jak będę robiła na tej drodze życia, otwierającej się przedemną? I marzyłam, jak w pięknym jego pałacu, do którego miał mię zawieść, będziemy co rano witali się radośnem: dzień dobry. Latem, ja mu na to dzień dobry przyniosę kwiat biały, zerwany o wschodzie słońca, z rosą poranną na listkach i oddam mu go z pocałunkiem. Na myśl tę rumieniłam się i przed sobą samą spuszczałam oczy a jednak ona mi przychodziła i odepchnięta powracała promienna, gorąca, oblana urokiem dziwnej słodyczy, pod której poczuciem silnie, choć wstydliwie, biło moje dziewicze serce. Potem — myślałam — ręka w ręku pójdziemy razem do pięknych ogrodów, otaczających jego pałac; i razem patrzeć będziemy, jak chmurki po niebie płyną, jak róże kwitną i słońce wązkami smugami złoci szerokie, cieniste aleje. Potem, usiadziemy w zielonej altanie, ja z igłą w ręku, on z książką i słuchać będę, jak on tym pięknym głosem, co mię tak w śpiewie jego czarował, czytać będzie poważne i piękne myśli. I razem z nim! razem w świat wiedzy i światła! A on naprzód, aby mi drogi rozjaśniać i wskazywać. Tak, on zawsze naprzód, bom nie zwątpiła ani na chwilę, że on wyższy i mędrszy był odemnie, młodziej, nieumiejętniej i marzącej tylko jeszcze dziewczyny! A potem, będziemy biednym ludziom razem pomagać i w gronie przyjaciół razem

wesoło bawić się i gwarzyć. A zawsze razem, a zawsze on naprzód!

Taką była idylla, jaką sobie snułam po cichu, w najgłębszych tajniach ducha. A gdy Alfred przyjeżdżał, na krótko zawsze, nie opowiadałam mu jej, bo nigdy mię do tego nie wyzwał, ale, patrząc na jego twarz i słuchając jego śpiewu, znowu ją sobie powtarzałam po cichu.

Czym spytała siebie kiedy rozważnie, zimno, o ile ten człowiek był zdolny do towarzyszenia mi na tej wymarzonej, czarownej drodze? Nigdy! Nigdy mi nie przyszła myśl wątpliwości. Milczenie jego samo, miałam za głębokość myśli i uczuć; domyślałam się pod niem skarbów ukrytych i krótkie a powszednie jego rozmowy, uważałam jako zdawkową monetę, którą pokrywał owe skarby.

„Świeć się, świeć się wieku młody.

Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!...

Tymczasem dzień uroczysty się zbliżał, brat mój wezwany na mój ślub, przybył. Nazajutrz po jego przyjeździe, z książką w rękę i zamyślona siedziałam w salonie; w przyległym pokoju brat mój rozmawiał z ciotką. Alfred, jak najczęściej się zdarzało, był nieobecny. Zatopiona we własnych myślach, posyłałam jednak podniesiony nieco głos mego brata.

— Ależ, ciociu kochana — mówił on — Regina jest dziecko jeszcze; po co się śpieszyć! po co odda-

wać ją człowiekowi, który jęj uszczęśliwić nie potrafi!

— Egzaltujesz się, Henryku — obojętnym swym głosem odpowiedziała ciotka—musisz przecie wierzyć, że i ja pragnę szczęścia Reginy a jednak widzę w panu Alfredzie najzupełniej odpowiednią dla nięj partya. I czegoż mu braknie? Pięknę nazwisko, znaczny majątek, dobre wychowanie, przyjemna bardzo powierzchowność, wszystko to posiada. A zresztą...

— I posiada jeszcze dwie rzeczy, droga ciociu, które wyliczyć zapomniałaś: rzadkię piękności stado koni i równię tęż niepospolitą głupotę.

Usłyszawszy ostatni wyraz mego brata, osłupiałam. Jaktó! on mógł mówić ten wyraz na Alfreda? Przez chwilę zdało mi się, że m zmienawidziła brata. Wstałam szybko i wybiegłam do mego pokoju, aby nie słyszcć więcj słów, które w uchu mojm jak bluznierstwo brzmiały. Po krótkię chwili jednak wszedł tam za mną i brat mój. Henryk miał wtedy lat dwadzieścia trzy. Rosły, piękny, poważny, w rysach miał wiele podobieństwa do portretu naszego ojca; a myślące jego czoło i oko łagodne a zadumane, wzbudzało we mnie najszczerszą miłość siostry, połączoną z rodzajem szacunku.

Wszedł do mego pokoju, siadł przy mnie i ujął moję rękę! Zrazu spojrzalam nań gniewnie i niechętnie prawie; ale w oku jego, przywiazanem do moję twarzy, dojrzałam coś, jakby łzę a na ustach za

wisł mu uśmiech łagodny i braterski. Czułam, że cały gniew mój upada i niknie i szczerze uścisnęłam jego rękę.

— Regino — rzekł brat mój, ciągle patrząc mi w twarz — powiedz mi szczerze, otwarcie, dla czego idziesz za pana Alfreda?

Milczałam przez chwilę, aż wreszcie cicho wyrzekłam:

— Bo kocham go.

Henryk wypuścił z dłoni moją rękę i, powstawszy przedemną, rzekł:

— Dziecko, a znasz-że ty człowieka, którego kochasz?

A gdy milczałam, mówił dalej:

— A wiesz-że, iż on ma serce zimne, które silniej uderza tylko na widok pięknego konia? wiesz-że, iż on ukochał ciebie, jeśli to, co on czuje, może się nazwać miłością, tylko za twoją piękną twarz i zgrabną postać a nie za myśl, nie za uczucia twoje, których nigdy nie pojmie; ukochał cię nie jak człowiek, ale jak zwierzę. Regino! Regino! ty teraz nie rozumiesz, jaka ta jego miłość; ty siebie samęj nie znasz i jego nie znasz i nie wiesz, kim on jest i kim sama będziesz! Siostró moja! jeszcze czas! ty się zgubisz, ratuj się!

I ujął mię za rękę i chciał pociągnąć do siebie. Ale z mocą wyrwałam się z jego rąk i, cała sploniona i drżąca, zawołałam:

— Nie wierzę! nie wierzę!

Brat mój z gestem rozpaczony opuścił ręce, ale znowu zbliżył się do mnie i zaczął mówić.

— Regino! posłuchaj...

— Henryku! — zawołałam gwałtownie — ja jego kocham, ja w niego wierzę; nie mów nic więcej, bo zdaje mi się, że cię znienawidzę.

— Więc niema ratunku! — zawołał brat mój — czemuż nie przyjechałem wcześniej! czemu mię nie uwiadomiono!

I, przycisnąwszy rękę do czoła, wybiegł z pokoju.

Dnia tego byłam rozgniewana i smutna; nie wyszłam wcale z mego pokoju, aby nie widzieć Henryka. Ale nazajutrz, zaledwie otworzyłam ze snu oczy, w uszach mi zabrzmiały wyrazy brata i napróżno już starałam się je wygnać z myśli. Nie wierzyłam im a jednak boleśnie ścisnęły mi one serce; milion razy powtarzały się w nieskończonych oddźwiękach. Najmocniej utkwily w mojej pamięci słowa: „on cię kocha za piękną twarz, nie za myśl, nie za uczucia, nie jak człowiek, ale jak zwierzę!“ Więc są różne miłości — myślałam — jakąż ja kocham? I nie znajdowałam odpowiedzi na moje pytanie, nie znałam życia, nikt mi go nie tłumaczył nigdy.

„Nie jak człowiek, ale jak zwierzę!“ ciągle przynosiło mi fatalne echo. Czém jest pierwsze, a czém drugie? daremnie pytałam. Umysł mój błądził w labiryncie, z którego nie wyprowadzała go żadna nić Aryadny; miałam lat siedmnaście i byłam wychowa-

na wzorowo, to jest w nieświadomości wszystkiego, co może rozjaśnić przed kobietą treść i istotę najważniejszej kwestyi jej życia... miłości.

Kochałam Alfreda tak, jak i przed rozmową z bratem, ale zapytywałam już siebie, jak i za co go kocham? Nie wierzyłam bratu a jednak posmutniałam.

Gdym weszła do salonu, ciotka moja i Henryk rozmawiali o majątkowych sprawach.

— Masz pół miliona posagu, Regino — rzekła, jak zwykle, zimno moja ciotka.

— A odemnie — dodał Henryk — przyjm, siostrzyczko, w przedślubnym darze Miłę; pół miliona dostajesz w kapitale a ja chcę, abys miała część ziemi naszego ojca i oddaję ci ulubioną jego wioskę.

Rzuciłam się na szyję bratu, dziękując mu, nie za dar, bo i bez tego, jak mi się zdawało, niemało miałam, ale za to, że mi dał część ziemi drogiego mojego ojca, że mi oddał miejsce, w którym on umarł i w którym, na wzgórzu wśród jodeł, białął nad jego mogiłą grobowiec.

Nareszcie przyszedł dzień mego ślubu, ściany nasze zabrzmiały głosami licznie zebranych gości. Alfred przyjechał.

Ja ciągle byłam smutna i im więcej zbliżała się stanowcza godzina, tém smutniejsza. Przyjazd narzeczonego rozradował mię na chwilę; ale zasmuciły znowu widoczna obojętność, z jaką powitał go Henryk

i wyraz niezadowolenia na twarzy Alfreda. Ani razu przez dzień cały nie zbliżył się do mnie; niekiedy tylko, widziałem to, zdaleka na mnie patrzył. I dziwna rzecz, gdym patrzyła na niego, w myśli mi ciągle tkwiło pytanie, wzbudzone słowami brata: jak on mię kocha? I pierwszy raz pomyślałam: czemu on tak mało mówi ze mną?

Zebrane towarzystwo zwróciło uwagę na wyraz niezadowolenia, zalewający twarz mojego narzeczonego; więcej niż kiedy upornie milczał, rzadko przemawiając kilka zimnych wyrazów do otaczającej go młodzieży.

Zmrok zapadał, pora mi już była ubierać się do ślubu i miałam wyjść z salonu, gdy posłyszałam jednego z młodych ludzi, wesoło mówiącego do pana Alfreda:

— O najszcześniejszy z najszcześniejszych Alfredzie! zepsute dziecko losu! czemuż zachmurzasz twe olimpijskie czoło, gdy cię czekają stopnie ołtarza?

— Naprawdę, Alfredzie — odezwał się ktoś poważnie — co znaczy twoje niezadowolenie? jest-że to resztką żalu po swobodnym życiu? czy też lekka obawa, której-bym wcale nie miał, będąc na twojem miejscu?

Nie zauważona, stanęłam ciekawością przykuta do miejsca, wyczekując odpowiedzi narzeczonego.

— At — odpowiedział on niechętnie towarzyszom — pocóż te wszystkie wnioski? istotnie szczęśli-

wy jestem bardzo; ale skaleczyli mi dziś w drodze kasztankę. Trzysta funtów szterlingów zapłaciłem za nią w Londynie. Ale czyż ci ludzie umieją obchodzić się z takim szlachetnym zwierzęciem!

Tym razem zrobiło mi się bardzo już straszno i smutno. Wprawdzie nieraz pan Alfred mówił przedemną o koniach. Ale czym już trochę dojrzała w owęj uroczystej chwili i straszną z nią sprzecznością zabrzmiały mi w uszach słowa narzeczonego, czy rozmowa z bratem pobudziła mię do głębszego rzeczy rozbioru, dość, że dziwnie mi jakoś boleśnie ścisnęło się serce. Mimowoli wzrok mój upadł na twarz Henryka. Siedział on, smutnie wsparty na ręku a w oczach jego był wyraźny niepokój i żal. Jeszcze chwila a była-byłm pobiegła do niego, rzuciła się w jego braterskie objęcia i zawołała: ratunku!

Ratunku? Od jakiego niebezpieczeństwa, nie wiedziałam dobrze; ale bezwiednie czułam jego potrzebę. W tém nagle towarzyszeki moje zawołały na mnie: Regino! prędzěj! prędzěj! idź się ubierać! wszyscy czekają na ciebie! I pochwycawszy mię za ręce, wyprowadziły z salonu.

Prędzěj! prędzěj!... o straszne słowo! Jakże go nie powinny słuchać młode istoty, mające przestąpić próg, dzielący je na wieki, od ich dziewiczej, swobodnej przeszłości!

Smutno stanęłam nad moją białą ślubną suknią i zamysłona rzekłam do towarzyszek:

— Strój taki, wszak dwa razy tylko przywdziać może kobieta: do ślubu i... do grobu.

Chórem zaśmiały się wesołe towarzyszki.

— Co za tragiczne myśli! — wołały. — Owszem, Regino! dodała jedna z nich, śmiejąc się najżywiej — przypuszczalny jest i raz trzeci, jeśli owdowiejesz albo weźmiesz rozwód!...

Po tém przypuszczeniu nastąpiły nowe wybuchy żartów i śmiechu; ale ja się nie śmiałam. Dziwaczny jakimś, ostrym a bolejącym dźwiękiem uderzył mnie wyraz: rozwód! Dotąd, choć często o nim czytałam i słyszałam go wymawiany, nie myślałam nigdy nad jego znaczeniem; wtedy dopiero zabrzmiał mi on w uchu, jakby poraz pierwszy, niby krzykliwy rażący dzwonek i pozostał mi, jakby się wpił w mój słuch, machinalnie i bezwiednym oddźwiękiem powtarzając się w nim co chwila. Jak niekiedy nuta jaka muzyczna lub zwrotka poezyi uwięźnie w pamięci i powtarza się w niej ciągle, tak i w mojej myśli wyraz, wymówiony ustami swawolnej towarzyszki, brzmiał nieustannie a przykro i wtedy, gdym przywdziewała ślubną suknię, i gdy mi ciotka mirtowy na włosy kładła wianek, i wtedy nawet, gdym już przed ołtarzem z przysięgą stanęła. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co czułam, ale byłam bardzo, bardzo smutna i jakby przełęczniona. Czego? nie wiedziałam.

Budząca się dusza człowieka, jak jego ze snu

otwierające się oczy, długo widzi świat przysłonięty mgłą, niewyraźny, aż całkiem opadnie zasłona i dusza przejrzy. Biada jej, jeśli po zniknięciu mgły ujrzy się okoloną cieniem i niedolą!

Wieczór był cichy, gwiazdzisty, gdy wyszliśmy oboje z kościoła z pierścionkami ślubnych przysięg na rękę. Wokoło nas gwar był wielki; rozmawiano, śmiano się, winszowano. Spojrzałam po-za siebie: w mroku gasnących lamp, białe róże smutnie wieńczyły u ołtarza, oblicze świętej jego patronki. Gwiazdom i różom pozazdrościłam ciszy i spokoju; w mojej piersi dalekie, niewyraźne odzywały się już odgłosy burz.

Wsiedliśmy z Alfredem do pięknej karety. Ujął moją rękę, przyciągnął mię lekko do siebie, i... pocałował moje usta. Ale pod tym pierwszym uściskiem miłości, o którym z rozkoszą i wstydem marzyła dziewczyna wyobraźnia moja, nie zadrżałam ze szczęścia. Zdało mi się, że Alfred miał zimną rękę i zimne usta. Usunęłam się w głąb' powozu i milczeliśmy oboje. Przez okna karety zaglądały gwiazdy złote; promyki ich przeglądały się w dwóch łzach, co mi na rzęsach zawisły, i oświecały twarz mojego męża bardzo piękną, ale zimną i zamyśloną, o kasztance lub może... o niczem.

Taką była dla mnie pierwsza poślubna chwila. Silném poczuciem dziecięcej prawie miłości i głosem rozumnego brata wstrząśnięta dusza moja, za-

czyniała się budzić i, zaglądając w piękną formę ukochanego człowieka, zaczynała w niej szukać siostry: duszy.

Kiedy wieczorem, wobec licznego zebrania, Alfred zaśpiewał moją ulubioną arya, pod wpływem mężkich i ognistych tonów jego głosu, zniknęły wątpliwości moje i obawy. Miłość dla niego wróciła z całą siłą i z całym swym porywem.

Zbliżyłam się do Henryka i rzekłam do niego tak, aby nikt tego, co mówię, nie słyszał:

— Posłuchaj jego śpiewu, Henryku i powiedz, że się myliłeś w sądzie o nim. Czy człowiek, który w piersi swojej nie ma skarbów szlachetności, siły, miłości, może tak śpiewać? Henryku, powiedz, że się myliłeś! — dodałam błagająco prawie — bo dziwnie bolesny był dla mnie smutek ukochanego brata, co, pomimo uśmiechu, jakim on chciał go pokryć, wyraźnie twarz mu zalewał.

— Alboż papugi nie mówią czasem jak ludzie? — szepnął zcicha jakby do siebie, ale tak, żem usłyszała. Potém silnie uścisnął mi rękę i rzekł:

— Regino! teraz nic ci już więcej nie powiem, nic mówić nie powinienem. Stało się! Módl się teraz, siostró, do ojca naszego, aby cię natchnął siłą, której teraz bardzo potrzebować będziesz. A w niedoli i boleści każdej, jaka cię na przyszłej twój drodze spotka, pamiętaj, że masz brata, który dziś z ciężkim wyrzutem sumienia myśli, iż ci nie zastąpił oj-

ca a zawsze poda ci ramię braterskiej miłości i wsparcia.

Po tych słowach odszedł a ja, niepostrzeżona od niego, mimowolnie szłam za nim, jakbym w nim teraz odgadła najserdeczniejszego mego przewodnika. Widziałam, jak, w cichym i samotnym pokoju moim, stanął przed portretem naszego ojca; długo, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, patrzył na poważną twarz, co, z półcienia, malowanymi oczyma smutnie zdawała się patrzeć. Przyklęknął i, na obu dłoniach czoło oparłszy, wyszeptał: ojcze! przebacz, zem jęj nie uratowałem i sam, jeśli to być może, czuwaj nad twym dzieckiem.

Znowu lęk mię zdjął niewysłowiony na widok tego głębokiego smutku brata, którego kochała. Jakże wielkie być musi to grożące mi niebezpieczeństwo myślałam, jeśli on na klęczkach zmarłego ojca przeprosza, że mię uratować nie zdołał! Wbiegłam do salonu, aby uspokoić się spojrzeniem na Alfreda. On podszedł do mnie i prosił mię do tańca. Nie miałże mi nic więcej do powiedzenia? Ach, wtedy pragnęłam jak zbawienia, aby on mówił, wiele mówił i aby słowa jego ukołysały, rozproszyły dziwne, nieokreślone obawy, tłoczące mi pierś bolesnym, choć bezwiednym przecuciem.

Po tańcu usiedliśmy oboje przy oknie. Nie wiem czemu, owego wieczora, wzrok mój machinalnie ciągle się wznosił do góry, ku niebu i gwiazdom. Spojrza-

łam więc na gwiazdy, mrugające promiennie przez szyby okna i mimowolnie rzekłam z cicha:

— Panie Alfredzie, smutno mi, lękam się czegoś, uspokój mię!

Alfred ujął moją rękę. Zobaczyłam znowu blade blask, jaki zapalał się niekiedy w jego oku, gdy na mnie patrzył i, silnie ściskając mi dłoń, wyszeptał:

— Piękna jesteś!...

Przy tym uścisku i przy tém słowie Alfreda, wstrząsnęły mną dwa dziwnie złane z sobą poczucia: rozkoszy i bólu. Uścisk ręki był rozkoszny, słowo bolesne. Nic-że on więc nie ma mi powiedzieć, jak to, żem piękna? Wyrazy brata przyszły na pamięć: „on cię kocha tylko za piękną twarz twoją!...” Ale zarazem pomyślałam: a za cóż ja jego kocham? I rozkosz minęła, a ból pozostał.

Nazajutrz rozstałam się z ciotką i bratem, a przestępując próg rodzinnego domu, łzą pożegnałam dzieciwiczą, nazawsze zgasłą moją przeszłość...

.
Dzień kwietniowy jasny był, słoneczny i wonny, gdy powóz nasz szybko wjeżdżał na wysoką górę. Orzuciłam wzrokiem śliczną, zieloną dolinę i wśród niej ujrzałam biały, ze smukłą wieżyczką i szerokimi wkoło ogrodami, pałacyk mojego męża.

Wjechałam w górzysty, żyzny, poetyczny kraj Wołynia i ostatnie spojrzenie pożegnania rzuciłam

ukraińskim równinom, wśród których urodziłam się i wzrosłam.

Pierwsza chwila przepędzona w Rózzannie była pełną zachwyty; otoczyły mię wszystkie cuda natury, wszystkie piękności sztuki. W niewielkich ale wytwornie urządzonych salonach, piękne obrazy zdobiły ściany, białe posągi klasycznemi kształty rysowały się wśród zieleni wazonów, wielkie zwierciadła odbijały moję postać wszędzie, gdzie tylko stanęła. W pokoju moim małym, pełnym kobierców i kosztownych cacek, znalazłam przepyszny paryzki fortepian i szafę pełną bogato oprawnych książek. Otworzyłam okno i ujrzałam pod niem gęste grupy jaśminów i róż, nie kwitnących jeszcze, ale rozpuszczających już zielone listki; dalej roztoczyła się przed mém okiem szeroka i długa, o starych i rozłożystych drzewach, ogrodowa aleja. Wybiegłam z pałacu, pełną piersią piłam wiosenne powietrze i biegłam przez cieniste, choć bezlistne jeszcze prawie ulice ogrodu. Gdym przebyła ostatnią, stanęłam w zachwycie. Przede mną czysta, błękitna, gładka lśniła szeroka szyba wód dużego jeziora. A po-za niem, po-za jeziorem, szarzały gdzieś niedzie wioski między zielenią i dworek jakiś białął w oddali i wązki pas lasu u kraju widnokręgu łączył ziemię z niebem. Spojrzałam w górę, stado żórawi przelatywało wysoko pod niebem a krzyki wędrownego ptactwa dochodziły mego ucha, jakby

odgłosy jakiegóś niezrozumiałej mi rozmowy. Patrzyłam na lecące ptaki, póki mi z oczu nie zniknęły; a potem raz jeszcze wzrokiem obiegłam piękny krajobraz i pomyślałam: czemu jestem sama? gdzie Alfred?

Wróciłam do pałacu, przeszłam kilka pokojów i w jednym z nich usłyszałam nareszcie głos mojego męża i zobaczyłam go, rozmawiającego ze stojącym przed nim z uszanowaniem, w myśliwskim ubraniu, człowiekiem.

Gdym weszła, powiedział mi, że ten, z kim mówi, jest głównym jego leśnikiem, mającym zarazem obowiązek urządzania polowań i nadzoru nad psiarnią. Poczem zaczął znowu rozpytywać się o stan swoich kniei, o ilość zwierząt, na które można będzie polować a nadewszystko o sfory wszelkiego rodzaju psów: chartów, wyźłów, gończych, taksów i t. d.

Nad wyraz nudziła mnie ta rozmowa; lecz, sądząc, że się prędko zakończy, usiadłam i czekałam, w pół tylko słuchając, a z miłością patrząc na piękną postać mojego męża, zwolna przechadzającego się po pokoju. Sprawozdanie o kniejach i psach miało się ku końcowi, gdy otworzyły się drzwi i wszedł człowiek, w równie charakterystycznym, ale już całkiem innym od pierwszego, ubraniu. Alfred zwrócił się ku mnie i powiedział mi, że to był jego koniuszy. Leśnik wyszedł, a z nowoprzybyłym zaczęła się rozmowa o stanie koni zaprzęgowych, wierzchowców,

angielskich, półarabskich, rosyjskich, domorosłych i t. d. Koniuszy upewniał, że stajnie i stada w porządku są i najlepszym zdrowiu a Alfred szczegółowo pytał się o Mylorda, Lady, Turczyzna, Strzałę i t. d. Całkiem już znudzona, przestałam nawet patrzeć na mego męża i otworzyłam okno. Zachód słońca był prześliczny, na niebie gdzieniegdzie połyskiwały już drobne gwiazdki, purpurowy szlak jaskrawo znańczył brzeg horyzontu; fala ciepłego, wonnego powietrza owiała mi twarz. Patrzyłam na niebo i na szeregi, gładki, zielony, poprzerzynany symetrycznie grupami krzewów dziedziniec, nie myślałam o niczym, tylko pełną piersią oddychałam powiewem ciepłego wieczora. I nie wiem, jak długo to trwało, gdy poczułam obejmujące mię ramię. Obejrzałam się; koniuszy zniknął z pokoju a ja znalazłam się w objęciu Alfreda.

— Alfredzie, — rzekłam po chwili — patrz, co za prześliczny wieczór, pójdźmy razem do ogrodu.

Mąż mój ziewnął szeroko.

— Nie mogę — odrzekł — zmęczony jestem podróżą i spać mi się chce.

A raz jeszcze pocałowałszy mię, zwrócił się do swego pokoju i dodał:

— Na herbatę, każ mię obudzić.

Poczem wyszedł a ja samotnie zesłam znowu po marmurowych wschodach ganku do ogrodu. Powoli przeszłam aleję i stanęłam nad jeziorem. Pięknie

tam było, bardzo pięknie, cicho, uroczyście i rzewnie jakoś. Poważne a smętne uczucie wionęło na mnie z tych wód spokojnych i szklistych; z tego nieba, napół pokrytego już mrokiem wieczoru i z tych dalekich szarych grup wioskowych, co ku obłokom stały gromady wysokich krzyżów. Stałam nad wodą i myślałam. Myśli te moje nie układały się w jeden ciąg, ale po całym krajobrazie wlatywały szybko a zatrzymały się na białym dworku, błyszczącym zdala, wśród zmroku.

— Tam pewno mieszka szczęśliwa para jakaś — myślałam — i pewno w tej chwili ludzie, którzy tam żyją, razem chodzą nad brzegiem jeziora, które i ich cichych ścian blisko płynie i pewnie, pod wpływem tego cudnego wieczora, rozmawiają o pięknej naturze, o sobie i o miłości swojej. I zapragnęłam podobnej rozmowy. Smutna usiadłam nad brzegiem wody i pomyślałam: czemu tu ze mną niema Henryka? on tak pięknie i rozumnie mówi; z nim tak dobrze rozmawiać! W parę dni po ślubie, tęskniłam już za bratem i jego rozmową. Cóż miało być dalej!

Na drugi dzień, budząc się, usłyszałam gwar jakiś i rzenie koni na dziedzińcu. Szybko ubrałam się i, wybiegłszy na ganek, ujrzałam Alfreda a przed nim kilku ludzi, trzymających przepyszne osiodłane i nieosiodłane konie.

— Patrz, Regino — rzekł mąż mój, gdy go po-

witała radosném, „dzień dobry” — co za prześliczne zwierzęta.

Dotąd obawiałam się zwykle koni; ale wierzchowce mojego męża były w istocie tak piękne, że z przyjemnością zaczęłam się im przypatrywać. A gdy Alfred wsiadł na jednego z nich i objechał wkoło dziedziniec, nie mogłam się wstrzymać od nowego podziwiania jego pięknej postaci; prosta, silna i jakby zrosła z koniem, na którym siedział, rysowała się na tle obłoków.

— Naucz mię jeździć konno, Alfredzie! — zawołałam, gdy, zsiadłszy z konia, stanął przy mnie.

Wnet przyprowadzono małą, czarną klacz półarabskiej krwi i zaczęła się lekcya konnej jazdy. Po godzinie dość już zręcznie i bez pomocy koniuszego objechałam dziedziniec na wybornie ujeżdżonej Strzale i zmęczona wróciłam do pałacu. Wróciłam, ale sama, bo Alfred pojechał obejrzyć swoje stada. Po południu wrócił i usnął w swoim pokoju; a gdy o zmroku zobaczyłam go znowu, rozmowa nam jakoś nie szła i, jak dnia poprzedniego, poszłam sama dumać nad jeziorem. Alfred został wśród narad z leśnikiem, koniuszym i innymi tego rodzaju ludźmi.

Dalsze dni popłynęły podobne zupełnie do pierwszego; zrana jeździłam konno z moim mężem, resztę czasu byłam sama. A gdyśmy się zesзли, mało mówiliśmy do siebie a krótkie te posiedzenia najczęściej kończyły się tém, że Alfred ziewnął i poszedł spać do

swego pokoju a ja wybiegałam do ogrodu. Siadałam nad jeziorem i albo bezmyślnie wpatrywałam się w spokojne fale, albo, przebiegając wzrokiem dalekie wsie i biały dworek, snułam myślą ideały o życiu mieszkańców tych skromnych siedlisk.

Raz, ponad szybą jeziora, przeleciały dwie jaskółki, wzniosły się razem w górę i razem zniknęły wśród zieleni drzew; nie wiedziałam dlaczego, ale pozazdrościłam jaskółkom i pomyślałam: jak im dobrze być musi lecieć razem i świegotać!...

Tak minął miesiąc. Przez ten czas, mimo osamotnienia i wyraźnego braku czegoś, którego nie określałam sobie dobrze, ale który coraz bardziej czuć mi się dawał, byłam szczęśliwa. Alfred mię kochał. Bywały chwile, krótkie wprawdzie, w których ożywiała się twarz jego zimna zwykle, oczy płonęły i tulił mnie do siebie. W owych chwilach powtarzał mi ciągle: piękna jesteś! Innego słowa miłości nigdy mi nie powiedział. Chwile takie szybko mijały. Wprawdzie i po nich Alfred stawał się znów obojętny, milczący i zajęty końmi, psami, rozmową z ludźmi, doglądającymi tych drogich mu rzeczy; wszakże rozpromieniały mi one dnię całe i, mimo lekkiego smutku, mimo nieokreślonej tęsknoty, czułam się szczęśliwą.

Po miesiącu jednak zdało mi się, że niepodobna zawsze tak żyć, jak dotąd. Przyszłam raz do Alfreda, ujęłam go za rękę i rzekłam:

— Alfredzie! róbmy cokolwiek!

— Cóż chcesz, abyśmy robili? — ze zdziwieniem spytał mój mąż.

Zakłopotana byłam tém pytaniem, bo i sama nie wiedziałam, co trzeba było robić; czułam tylko, że czémkolwiek należało zapłacić czas, który, mimo chwil szczęścia, włókł się smutno jakoś i nieskończenie powoli. Wzrok mój upadł na szafę z książkami.

— Czytajmy! — zawołałam, rada z natchnienia.

Alfred lekko zsunął brwi, ale odpowiedział obojętnie:

— Czytajmy!

Po chwili siedzieliśmy oboje w pięknym moim pokoju; ja z książką w ręku, wybraną z bogatej biblioteki, on, niedbale wsparty o miękką kozetkę, z cygarem w ustach.

Zaczełam głośno czytać. Książka była pięknie napisana, przez otwarte okno płynęła woń wiosenna, owionęło mię dziwnie rozkoszne uczucie. Czytając, myślałam: spełnia się jedna część mojej Idylli! i uczułam się tak szczęśliwą, jak nie byłam ani razu, nawet w objęciu Alfreda. Czytanie coraz bardziej stawało się zajmujące, przedmiot książki porywał moję wyobraźnię i mnóstwo nasuwał uwag.

Z jedną z nich zwróciłam się do Alfreda, ale jednocześnie usłyszałam lekkie chrapnięcie i ujrzałam piękną głowę mego męża, leżącą na szafirowym aksa-

micie poduszki, z zamkniętymi oczyma, bezwładną, uśpioną. Książka wypadła mi z ręki; patrzyłam przez chwilę na śpiącego, z poczuciem nieokreślonego jakiegoś żalu i zawodu; uśmiechnęłam się, lecz wcale niewesoło. Owszem, był to pierwszy uśmiech goryczy, który mi zawisł na ustach. Podjęłam upadłą książkę, wyszłam do innego pokoju i sama czytałam; chwilami zamyślałam się i zdawało mi się, że z miłości mojej dla Alfreda ubyła jakaś część.

Odtąd nigdyśmy już nie czytali razem; ale za to pewnego dnia prosiłam Alfreda, aby mi towarzyszył na przechadzce. Wyszliśmy razem. Czerwiec jaśniał wszystkimi pięknosciami, witającego świat lata a nie zgasłej jeszcze całkiem wiosny. Szliśmy długo w milczeniu, aż drogę nam zaszkło kilku włościan. Ukłonili się nisko i chcieli coś mówić. Alfred zsunął brwi i rzekł porywczo:

— Idźcie tam do pana rządcy, moi kochani; czego mi tu drogę zachodzicie! Wiecie przecież, że ja się waszemi tam sprawami zajmować nie lubię!

Chłopi usunęli się ze schylonemi głowami a myśmy poszli dalej.

— Alfredzie — rzekłam — a gdybyś ich sam wysłuchał? Henryk mówił mi kiedyś, że rządcy niekiedy krzywdzą tych biednych ludzi; może oni mają skargę jaką, albo ważną do ciebie prośbę.

— At, szkoda czasu! — odrzekł Alfred.

Mimowoli pomyślałam, że przecież nic ważnego

nie robiliśmy w tej chwili i zaczęłam łagodnie nalegać. Alfred długo milczał i sądziłam, że już jest przekonany, gdy przerwał mi prędko i z niezwykłą żywością:

— Daj-że mi pokój, Regino! Raz na zawsze ci mówię, że się w takie rzeczy nigdy nie wdam. Rozmawiać z chłopami! a to wielka przyjemność!

Obejrzałam się i zobaczyłam chłopów, smutnie i ze spuszczonei głowami, stojących na tém samém miejscu, na którém ich zostawiliśmy. Znowu ogarnęło mię przykre uczucie i znowu mi się zdało, że z miłości mojej dla Alfreda ubywa jakaś częśćka.

Gdyśmy wracali z owej przechadzki, słońce zachodziło przepysznie. Pałacyk nasz stał śród zielonych drzew, cały różowy od jego promieni, jezioro błyszczało w oddali smugami purpury i szafiru.

— Co za precudna natura! Alfredzie — zawolałam mimowoli — jaki krajobraz prześliczny!

— W istocie — odrzekł mąż mój — zachód słońca pogodny, piękny dzień będziemy mieć jutro!

A wydobywając zegarek, dodał:

— Jakie długie dni teraz mamy!...

Umilkł i ja milczałam. Okiem i myślą daleko odbiegłam od niego, i... zapomniałam, że szedł obok mnie.

Znowu upłynęło parę miesięcy. Aż pewnego dnia rzekłam do mojego męża:

— Alfredzie, nudzę się!

W istocie, przysłałam do wniosku i uznania, że jestem śmiertelnie znudzona życiem, jakie wiodłam.

— Rzeczywiście — odpowiedział Alfred — trzeba, żebyś pozabierała znajomości; nie masz towarzystwa.

I zaczęliśmy wyjeżdżać w sąsiedztwo; odwiedziliśmy kilkanaście domów, pałacyk nasz napełniał się też niekiedy gośćmi. Ale to wszystko nie zapełniało próżni, jaką poczułam w mojem życiu. Wesoła i swobodna, gdy byłam między ludźmi, zostawszy sama, czułam niezwyczężony smutek i nieokreśloną za czémś tęsknotę. A w miarę jak słabła pierwsza, pełna porywu, miłość moja dla Alfreda, jak rzadszemi stawały się chwile jego miłosnych dla mnie uniesień, tém coraz straszniejsza pustka roztaczała się wkoło mnie i coraz straszniejsza próżnia stawała się w mojej pierśsi i coraz częściej przyciskałam dłonie do oczu, aby powstrzymać gwałtownie cisnące się łzy.

Gdy w jesieni żółkły listki na drzewach i ja zbladłam nieco, oczy mi zapadły. Bezwiednie czułam powolne, ale ciężkie budzenie się ze snu dziecięcego; niewyraźnie, jak przez mgły zasłone, widziałam zbliżające się ku mnie stopniowo gorzkie cierpienia życia.

Pewnego dnia znalazłam się w liczném towarzystwie, zebraném u jednej z sąsiadek moich. Gdy weszłam do salonu, otoczyło mię natychmiast liczne koło

młodych kobiet i mężczyzn; smutek mój pierchnął, rozmawiałam i śmiałam się swobodnie.

W tym samym pokoju, nieco zdala od kółka, w którym siedziałam, kilku poważnych ludzi, między którymi zasiadł i mój mąż, rozpoczęło żywą rozprawę. Powoli zwróciłam na nich uwagę i poczęłam przysłuchiwać się toczącej się między nimi rozmowie. Jedni z nich mówili z zapałem i energią, inni z powagą i głębokim przekonaniem. Alfred tylko milczał. Daremnie ciekawa i spragniona usłyszeć jego zdanie i sąd, czekałam, aby przemówił; z ust jego wychodził tylko niebieskawy dymek cygara i kiedy niekiedy otwierały się one lekkiem, tłumionem przez grzeczność ziewnięciem. Mimowoli pomyślałam: czemu on milczy, gdy wszyscy mówią z zapałem. Spojrzałam na twarze otaczających mego męża, a każda z nich nacechowana była jakimś wyrazem myśli; jego tylko twarz była zawsze jednostajnie martwa i milcząca, najpiękniejsza wprawdzie ze wszystkich, ale najmniej ożywiona i jasna. Porównanie to zasmuciło mię; instynktownie zrozumiałam, że mu brakło czegoś, co tamci mieli..., czegoś bardzo pięknego. I znowu uczułam ogarniający mię żal, nie mogłam już rozmawiać. Wziąwszy więc jedną z młodych kobiet pod rękę, zaczęłam z nią chodzić po salonie. Po chwili zbliżył się do mnie jeden z najlepiej mi znajomych młodych ludzi i rzekł:

— Jaka pani dziś blada, czyś pani nie chora?

— Głowa mię boli — odpowiedziałam i gdym spojrziała na twarz młodego człowieka, dojrzałam w niej źle ukryty wyraz politowania. Nie zrozumiałam dobrze, co on znaczył, zdziwiłam się i pomyślałam: czyż tak bardzo wyglądam na chorą? Ale w tej chwili przechodziłam obok opuszczonej niedawno grupy i usłyszałam półgłosem prowadzoną rozmowę dwóch kobiet, które siedziały odwrócone odemnie.

— Szkoda tej biednej pani Różyńskiej! — mówiła jedna z nich średniego wieku i łagodnej twarzy.

— Sama winna — rzekła druga, znacznie starsza — alboż nie miała rozumu?

— Takie dziecko! — szepnęła pierwsza.

— Zkąd zresztą wiesz, że jest nieszczęśliwą, może ona go kocha.

— Być może, ale to nie potrwa długo, c'est donc un imbécile — dodała prawie szeptem.

Tym razem dobrze już rozumiałam i spojrzenie politowania jakim orzucił mi młody człowiek i rozmowę dwóch kobiet. Rumieniec upokorzenia i gniewu zajął mi twarz. Więc ludzie litują się nademną! więc, widać, ja sama nie znam jeszcze całego ogromu mego nieszczęścia! „C'est un imbécile!” — powiedziała kobieta, o której wiedziałam, że jest dobrą i że mię szczerze lubi; na pamięć mi przyszły słowa Henryka i przez chwilę zdało mi się, że od wstydu i żalu głowa mi pęknie. Ale było to jedno oka mgnienie. Duma obudziła się we mnie nieznana dotąd, lecz

harda i silna. Muszę pokazać im wszystkim, że nie jestem nieszczęśliwą — pomyślałam — nie chcę ich litości!...

I stałam się wesołą, szaloną wesołością. Rozpoczęłam pierwszą grę jakąś, biegałam, śmiałam się, swawoliłam jak dziecię, prześcignęłam wszystkich dowcipem, zagłuszyłam wybuchami śmiechu, osypałam tysiącem żartów. Co chwila powtarzałam, że mi w Różannie jest jak w niebie; że mój pałacyk taki wygodny, ogrody takie szerokie, jezioro takie ciche i o zachodzie promienne! I najmniej sto razy powiedziałam, że życie, to bardzo piękna rzecz, jedna chwila uroczystości radosnej, jeden ciąg szczęścia. A gdym to mówiła, w głowie wrzały mi całkiem inne słowa: życie to trudna rzecz, bo nawet sam wstęp do niego bolesny!... Śmiejąc się, biegając, szczebiocąc i swawolnie obejmując towarzyski, na Alfreda tylko spojrzeć nie mogłam; bo gdy niekiedy oczy moje trafem na niego padły, śmiech zamierał mi w gardle, ręce opadały a w głowie mieszało się tak, że nie mogła odnaléźć końca do zaczętego dowcipnego słowa. Było to kilka godzin ciężkiej walki, pierwszej walki życia; maska paliła mi twarz, w piersi czułam falę łez. Ale postanowiłam pokazać tym ludziom, że nie potrzebuję litości. Kiedym sądziła, że już dostatecznie przekonała wszystkich o mojem szczęściu, o zadowoleniu z życia, wyjechałam. Alfred pozostał, bo przed chwilą zasiadł był do gry kartowej.

Gdy wróciłam do domu, wieczór był chłodny, jesienny ale pogodny. Wbiegłam w szeroką aleję ogrodu. Pod stopami mojemu łamały się i szeleściły zeschnięte liście, nad głową szumiał wiatr, a z około wiała na mnie wilgotna szara mgła. Kilka razy gorączkowo przebiegłam aleję. U jednego z jej końców stanęłam, załamałam ręce i patrzyłam przed siebie, a w głowie szalenie mi wirowały słowa dwóch kobiet: „Może ona go kocha? — Zapewne, ale to musi wkrótce mieć koniec”. I nieśmiało, tajemną, zaledwie wyrażoną myślą, spytałam sama siebie:—czy ja go kocham? Biedna kobieta, w której myśli podobne zawita pytanie wtedy, gdy po-za nią już się raz zamknęły wrota kościelnych przysiąg!

Stałam i patrzyłam przed siebie, drżąc cała w objęciu chłodnej mgły. Równie drżąca jak ja, równie blade, z pomiędzy trawy żółkłej wychyliła się drobna, biała astra. Wiatr kołysał główkę biednego kwiatka, który sam jeden pozostał po wszystkich zmarłych braciach swoich i z tęsknotą zdawał się też śmierci wyglądać. Podbiegłam i zerwałam bladą asterkę, a wchodząc powoli na wschody gankowe, obrywałam z kolei jej drobne i zziębłe listki, szepcząc machinalnie: —kocham? nie?—Rozkochane dziewice bawią się często podobną kabałką; ale one pytają o szczęście, a ja o rozpacz pytałam!... Upadł z rąk moich ostatni listek asterki a z ust mych spłynął wyraz: nie!... Pochwyciłam się za głowę obiema rękoma i całą siłą

stłumiłam w myśli mój ten wyraz. Nieprawda! — myślałam gwałtownie, upornie — ja jego kocham! kocham! kocham! muszę kochać! powinnam kochać! Wbiegłam do mego pokoju i dla zagłuszenia się usiadłam do fortepianu. Machinalnie spojrzałam wprzód w okno: po-za niem wiatr niósł tysiące żółtych listków, które, jak motyle, rojami z góry leciały. Dotknęłam klawiszów, z pod ręki wypłynęła mi smutna, nieznaną dotąd nuta i mimowoli prawie zaśpiewałam słowa, które mi z bolącego serca razem z nutą muzyczną przyływały:

Lecą żółte listki z drzew,
Zgasłój wiosny płacze świat,
Umilkł mego serca śpiew,
Mojój doli uwiądnął kwiat!

Przy ostatnim wierszu łązy mi głos stłumiły; wstałam od fortepianu, osunęłam się na kobierzec i głośno, spazmatycznie płakać zaczęłam.

Nagle uczułam podnoszącą mię rękę, powstałam z trudnością. Zmrok już był zapadł zupełny, alem ja jednak poznała stojącego przedemną Henryka. Płacząc, nie usłyszałam ani turkotu powozu, ani wejścia jego do pokoju. Ze łkaniem, nie dającem się stłumić żadnym wysiłkiem, rzuciłam się mu na szyję. On mię objął, posadził, sam usiadł przy mnie i, trzymając moje ręce w swych dłoniach, spytał po cichu i łagodnie:

— Regino! co ci jest?

— Nie wiem, co mi jest — odpowiedziałam, stając się zapanować nad konwulsyjnym płaczem — ale wiem, że mi jest źle bardzo!

— Biedną dziecię — rzekł zcicha dobry brat mój — nie sądziłem, abys ze snu twojego tak prędko się przebudziła. Powiedz mi wszystko, szczerze, otwarcie, jakbyś mówiła przed ojcem twoim, który gdyby żył, lepiej niż ja umiał-by cię od nieszczęścia uchronić.

Wniesiono światło, spojrzałam na Henryka. Tak był wówczas podobny do portretu ojca naszego, taki wyraz łagodności i smutnej powagi twarz mu zalewał, że znowu rzuciłam się w jego objęcia i zawołałam:

— Bracie mój drogi! mój ojcze!

I opowiedziałam mu wszystko; tęsknoty moje, ciągłe prawie osamotnienie, w jakim zostawałam, pragnienie innego życia, nareszcie okropną wątpliwość, która zrodziła się we mnie i boleśnie wstrząsnęła całą moją istotą.

Henryk słuchał i coraz bardziej brwi mu się zsuwały, coraz smutniejszy się stawał.

— Przewidziałem to wszystko — rzekł, gdy skończyła mówić. — Sam młody i ciągle dla nauk i podróży nieobecny w kraju, nie widziałem twego dzieciństwa; alem przeczuł, jaką będziesz kiedyś i jaki rozdział stanie się między tobą a człowiekiem, które-

goś wybrała. Dusza twoja spała wówczas, gdy zachwyciły cię jego piękne formy; dziś ona się budzi, i coraz więcej rozbudzać się będzie i coraz jaśniej widzieć będziesz wszystko. Biedne dziecię!... smutnemi zgłoskami zapisane były karty twojego losu. Ale rozpaczać nie trzeba; poradzę ci, jak będę mógł najlepiej.

— Henryku — rzekłam — rozjaśnij mi wszystko, czego jeszcze wyraźnie nie widzę. Powiedz mi, jakim jest on? czego mu braknie? dlaczego mi źle z nim? Przecież jam go kochała, to jest — poprawiła się prędko — kocham go i on mnie kocha także; i nie jest zły i otoczył mię tylu pięknymi rzeczami. Powiedz więc, dlaczego mi źle? W głowie mi się mąci i nie znajduję w myśli mojej odpowiedzi na te wszystkie pytania, co dniem i nocą oddawna niepokoją mię i dręczą.

— Siostro — odrzekł poważnie brat mój — ja ci nie będę wróżbiarzem niedoli; nie mnie wyczytywać przed tobą niezrozumiałe ci jeszcze hieroglify twego nieszczęścia. Czas, życie, dojrzałość, przyniosą ci odpowiedzi na te bolesne twoje pytania; a do mnie należy tylko wskazać ci drogę, na której będziesz mogła znaleźć pociechę i wsparcie.

Wieczór zszedł nam spokojnie, wesoło prawie. Brat mój jak zwykle dobry był; mówił wiele i braterskiem przywiązaniem rozpędził chmury rozpacz, które przed jego przybyciem zawisły nad mojem czo-

łem. Nazajutrz znalazłam go układającego książki w moim pokoju. Położył przede mną na stole kilka tomów i rzekł:

— Od tego zacznij, Regino, to są dzieje ludzkości. Spójrz w daleką przeszłość i zobacz, jakimi drogami szły przez wieki ludzkie pokolenia. W obrazie tym znajdziesz wszystko: poezją, dramat i najgłębszą z nauk, bo naukę życia ogółu i jednostek. Potem możesz się wziąć do tych książek, tu jest nauka natury. Kiedy będziesz czytała o wszystkich prawdach, do jakich doszły badania i prace mozolne mistrzów, przed okiem twojem roztworzą się szerokie przestrzenie nieznanych ci dotąd światów; zobaczysz ogrom wszechstworzenia i z pokorą pochylisz czoło przed widokiem nieskończonej wielkości i nieskończonej harmonii, w jakiej przez wieki łączą się i postępują najróżniejsze żywioły. Wobec tej wielkiej natury, której tajemnice odkryje ci nauka, zobaczysz się atomem tylko i mniej samolubna będziesz w boleściach swoich. I nie z samych książek ucz się poznawać przyrodę, ale przypatruj się jej także we wszystkich jej wspaniałych a żywotnych przejawach. Drzewo i kwiat, gwiazda i błyskawica, obłoki i wody jeziora, niech przemawiają do ciebie zrozumiałym językiem. Nie szukaj w nich tła do marzeń, nie lituj się dziecinnie nad kwiatkiem, który więdnije i westchnień nie ślij na gwiazdy; ale wszędzie dopatruj wielkiej harmonii i piękności. Dowiaduj się o początku i powodach

bytu wszystkiego, o ile rozum ludzki może je znać; a ze źródeł, które innym przynoszą tylko marzenia i bezwiedny zachwyty, ty czerp powagę, światło i istotne, rozumne uwielbienie piękności.

Zbliżył się do fortepianu i, dźwięcznym akordem uderzając klawisze, mówił dalej :

— Śród nauk i poważnych rozmyślań nie zapominaj, siostrzo, i o sztuce. To wdzięczna i radosna towarzyszka człowieka, zdolna opromienić mu życie w chwilach mozołu i ciężkiej troski. Umiiesz pięknie grać, a śpiew twój czysty jest i uczuciowy. Gdy umysł twój zmęczy się nad kartami ksiąg, w dźwiękach tego instrumentu i własnego głosu szukaj słodczy i miłości, których zapragnie serce. Gdy inne kobiety czynią z muzyki cacko, które im błyszczyć pomaga, ty szukaj w niej istotnej, zdrowej poezyi i głębokiego uczucia. Piękność i miękkość sztuki pomoże ci śród uczonych studyów do zachowania słodkiej a wdzięcznej kobiecości i uchroni od oschłości i pedantyzmu, którym na nieszczęście zwykle ulegają kobiety, posiadające wyższą wiedzę. A śród tego wszystkiego, siostrzo, nie zapominaj o otaczających cię ludziach. Karty historii, mówiące o biedach i boleściach cierpiących klas społeczeństw różnych, niech ci przypominają nędzę obecną biednych i ciemnych; rzewne tony muzyki niechaj ci mówią o łzach, płynących niedaleko ciebie może; natura piękna i wielka niech cię natchnie miłością dla tych, którzy

są dość nieszczęśliwi, aby nie móc i nie umieć patrzeć na jej piękności, znać je i rozumieć. A miłość twoją dla ludzi zamieniaj wnet w czyn; i o ile światło płynąć będzie do twojej myśli, o tyle słodyczy i chrześcijańskiej dobroci niech z twego serca rozlewa się wkoło ciebie. Oto są moje rady. W spełnianiu ich kieruj się dobrymi natchnieniami, silną wolą i przekonaniem, że w nich leży cały twój ratunek, cała doza szczęścia, jakiej ci się od życia spodziewać już wolno.

Tych słów brata słuchałam z uwagą i jakby z nabożeństwem. Odkrywały one przedemną całe światy nowe; zdawało mi się, że już i ja o tym wszystkiem myślała nieraz, że tego wszystkiego, co mówił, pragnęła; tylko że nie umiała sformułować i określić jasno moich myśli i pragnień. On ujął w formę to, o czem niejasno śniła moja dusza; on mi wskazał drogę, której szukało moje dziecinne oko. Objęłam z miłością szyję brata i rzekłam:

— Henryku, czemu on nie jest do ciebie podobny?

I w owej chwili zdało mi się, że się rozwiązują pytania moje, na które dotychczas odpowiedzi znaleźć nie mogłam; od owej chwili zdało mi się, iż odgadłam, dla czego mi źle było z Alfredem. Oto jam czekała, aby on mi powiedział to, co usłyszałam od brata, a on tego powiedzieć nie umiał.

Henryk kilka dni przepędził w moim domu. Znadto prawy i dumny, aby miał obłudą pokrywać istotne uczucia swoje, grzeszny był ale zimny i niekiedy, jakby mimowoli, szyderski nieco dla Alfreda. Zemną rozmawiał ciągle a ja, pod wpływem jego braterskiego rozumnego słowa, nowém życiem żyć zaczynałam. Rumieniec wrócił mi na twarz, wesoły uśmiech na usta a żółte spadające liście nie budziły mi w umyśle porównań do własnej doli mojej. Gdy odjeżdżał Henryk, rzekł do mnie:

— Za miesiąc, na rok a może i na dłużej opuszczę kraj; smutno mi, że ciebie tu zostawię bez pomocy i przyjaciela. Mnie podróż koniecznie potrzebna do dokładnego wykształcenia się i zdobycia takiego zasobu wiedzy, jaki mi potrzebny, abym mógł stanąć do użytecznej pracy; pojedę więc a do ciebie często pisywać będę. Nie bądź słaba, siostró; pracuj wytrwale i pamiętaj, że z samej siebie i z własnych sił snuć ci trzeba spokój i szczęście i zrozumieć zadanie życia.

Pojechał, jam gorzko płakała. Pałacyk mój pustym mi się wydał a Alfred, w porównaniu z bratem moim, dziwnie zimnym i niemiłym. Nie zstępowałam już w tajniki własnego serca i ani siebie ani listków kwiatka nie zapytywałam o to: czy go kocham; ale czułam, że coraz obojętniejszy mi się stawał. Pocałunek jego, jego uścisk, był mi już tylko obowiązkiem, który przyjmować musiałam a piękna i mil-

cząca jego twarz przestała wszelki urok na mnie wywierać.

Głęboka jesień a potem zima biała zstąpiła na ziemię; dnie były mgliste, szare, krótkie; wieczory długie i owiane szumem wichrów, które z jękiem i świstem obijały się o ściany pałacu. Alfred polował, jeździł konno i spał a ja w cichym pokoju moim zamknęłam się z pracą sam na sam.

Pod jasnym, szerokim oknem ustawiłam krośna, w których wyszywać zaczęłam kobierzec. Tuż obok, stał stoliczek, na którym codziennie zrana składałam książki, jakie przez dzień cały czytać miałam; a czego, z wyczytanych rzeczy, pamięć odrazu zachować nie mogła, to zostawiałam na papierze, aby zapisane przezemnie karty były mi pomocą i pamiętką pracy. Na fortepianie pojawiły się dawno zaniebane nuty muzyczne i kiedy wieczorem, zmęczona czytaniem, myśl pochylała czoło zadumą tęskną, siadałam przy instrumencie; z klawiszów i z własnej piersi snułam pieśni, które, wymykając się z cichych ścian przez zamarżłe okna i przez wichrów fale, leciały ku cichej szybie jeziora. Wyjeżdżałam rzadko, bo nudziły mnie i męczyły towarzysztwa, jakie miałam; nie znalazłam w nich ani jednego ściślejzego stosunku i może umyślnie unikałam ich, mając do ukrycia przed innymi cierpienia, do jakich sama przed sobą przyznać się jeszcze nie śmiałam. Niekiedy zjeżdżało się do Alfre-

da huczne i wesołe grono jego dawnych przyjaciół i towarzyszy. Wszyscy oni byli miłośnicy polowania, koni, kart i wina; rozmowy ich nie bawiły mię wcale i najczęściej zostawiałam moich gości Alfredowi, kartom, oglądaniu koni i psów, a sama szukałam ciszy w moim pokoju, który im dłużej był przybytkiem moich myśli i prac, tém droższy i miłszy mi się stawał.

Tak płynęły dnie i wieczory, wieczory i dnie a ja wyraźnie czułam coraz jaśniejsze budzenie się mojej duszy. Jak dzień, wstępujący na świat, rozwidnia przestrzenie i coraz wyraźniej ukazuje przedmioty, tak praca i spokojne rozmyślenia rozpraszały ciemności moich myśli i odkrywały przedemną nowe widnokregi.

Pewnego dnia przeczytałam w jakiejś książce: *Znaj samego siebie!* i zaczęłam rozmyślać nad znaczeniem tego wyrazu a potem zajrzałam w głąb mego ducha i, jak z różnokolorowego pasma jedwabiu, wyciągałam nici różne, tak z własnej głębi snułam promienie, oświecające przedemną moje własne skłonności, uczucia, zdolności i braki. I w badaniu siebie samej, w ścisłym rozbiorze własnej istoty, dowiedziałam się, co to jest *samowiedza*. W innej książce przeczytałam: *Polegaj na sobie samym!*... i znów myślałam i rozumiałam, że człowiek, obdarzony rozumem i silną wolą, sam powinien dźwigać się w boleści i troskach, sam złe pokusy odtrącać

a do dobrych celów o własnych siłach dążyć, nie oglądając się na pomoc niczyją, nie zebrząc współczucia lub wsparcia. I pojęłam, co to jest: *samoistność*. Rozkładając karty Pisma, rzuciłam wzrokiem na wyrazy: *drzewo bezpłodne rzucone będzie w ogień na zniszczenie* i myślałam, co jest owocem człowieczego życia; przebiegłam dzieje wielkich ludzi i wzniosłe słowa Ewangelii. I dowiedziałam się, że celem i koroną ludzkich prac i miłości jest *czyn*; i pojęłam i ukochałam ideę *czynu*, i zapragnęłam we własne ją wcielić życie.

Tak wzrastałam moralnie; z dziecka stawałam się człowiekiem, z marzycielki myślącą istotą. Tak stopniowo coraz jaśniej otwierała na świat oczy dusza moja; i zdawało mi się, że coraz szerzej oddychała, że mi jakieś nowe, nieznane, pełne żywotności siły napływały do piersi, a ztamtąd rozchodziły się po całej mojej istocie i ogarniały mię całą.

Do tego budzenia się, wzrostu i dojrzewania, pomagało mi téż wiele cierpienie. Boleść, wielka-to i mądra mistrzyni, jeżeli spokojna; nie rozsadza głowy szaleństwem, ale owiewa ją cichą a uroczystą powagą. Ja smutna byłam łagodnym, powolnym, ale głębokim smutkiem. Im więcéj wznosiłam się i męźniałam moralnie, tém lepiej poznawałam człowieka, z którym związałam moje życie. Zaczęła się między nami odwieczna a zawsze jednako tragiczna historia dwojga osób, związanych z sobą ślubem, z któ-

rych jedno wstępuje na wyżyny, pnie się, wzlatuje prawie coraz wyżej; a druga zostaje w dolinie martwa jako biblijny słup soli. Siły obojga zaczynają targać się w walce krwawej. Jedno biegnie naprzód, drugie łańcuchem, przykutym mu do stóp, bieg jego wstrzymuje. Postępujący, pchany niezależną odeń siłą, idzie jednak dalej; kajdany ranią mu stopy, więc drogę swoją zaznacza łzami i krwią. Wtedy z piersi obojga wychodzą ciężkie westchnienia: jednego za spokojem martwym i snem, drugiego za światłem, widzianem w oddali, za pełnem, gorącym życiem. A w tych westchnieniach pękają niekiedy nici żywotne; serca druzgocą się o ściany zmęczonych piersi i jedno lub drugie, albo i oboje razem, padają na ziemię, czołgając się w mękach długoletniego moralnego konania.

Takim był i mój dramat, któremu w głębi piersi milczeń kazałam, aby najlżejszego jego oddźwięku nie usłyszało żadne ucho ludzkie. I sama nawet nie chciałam wsłuchiwać się w tę bolesną, wewnętrzną moją muzykę. Myśli o Alfredzie usilnie odsuwałam od siebie, wszelkie nad jego osobą rozwagi tłumiłam, i do straszego wyrazu: *nie kocham go!* co mi brzmiał już w myśli, wołałam rozkazująco: *milcz!* Długo bałam się całej prawdzie śmiało w oczy spojrzeć; ale ta nieunikniona władczyni prawych i gorących serc sama stanęła przede mną i przyniosła mi

odpowiedzi na pytania, które przed kilku miesiącami zadawałam napróżno bratu i sobie.

I pewnego wieczora napisałam do Henryka: Bracie, czas mi już przyniósł rozwiązanie zagadek, którego tyś mi dać nie chciał; dojrzewając, wyczytałam hieroglify mego losu. Jestem nieszczęśliwą, chociaż zostałam żoną Alfreda, kochając go, choć on mię kochał lub może i kocha jeszcze, choć on nie jest takim, jakich ludzie zwyczajnie nazywają złymi. Jestem mimo to wszystko nieszczęśliwą, dla tego, że ukochałam tylko jego piękną formę; i on tylko moje ciało ukochał, dla tego, że dusza moja dziecięca, uspiona, własne sny swoje za rzeczywistość wzięła, a potem, budząc się, nie znalazła obok siebie duszy.... siostry.

Na ten list otrzymałam, w odpowiedzi, te między innymi słowa brata: „Regino, czas prawdę ci powiedzieć. Biada tym, którzy ukochają same formy tylko i ciało a potem zapragną ducha i w próżnej, choć pięknej, nie znajdują go powłóce. Bądź, siostro, mężną i pracuj usilnie!” I biegł czas. Dnie, jak jednostajne kropelki, spływały w przeszłości szeroki ocean, a według słów poety-pisarza: „godziny jak sieroty-rodziły się bez nadziei, konały bez żalu”.

Śnieg stopniał, szare mgły uciekły przed spojrzeniem złotego słońca; młodem życiem zawrzała ziemia i przyszedł dzień, w którym, spojrzawszy na świat przez otwarte okno, ujrzałam znowu zieloność

świeżą, niebiosy błękitne, smugi złotych promieni, zalewające kwieciste murawy; ujrzałam wszystko tak, jak było przed rokiem. Przed rokiem! O! krótki ten wyraz dziwnie brzmi w uchu tego, dla kogo całej wieczności ma znaczenie! Wszak każdy wyraz ludzkiej mowy rozmaite dla różnych serc miewa brzmienia! „Rok, ależ to jedna chwila!” ktoś powie. Prawda; a jednak niekiedy chwila ta, rodząc się, widzi kolebkę, a konając moglię; rodząc się, widzi uśmiech nadziei, konając, widzi łzę rozpacz; rodząc się, widzi dziecię radosne a konając człowieka o pochylonym bladą troską czołem. Niech się ludzie nie sprzecząją nigdy o znaczenie wyrazów! Co dla jednego nic, to dla innego wszystko; co jednemu życie, to innemu skon; co jednemu chwila, to innemu wiek.

Kiedym rzuciła spojrzenie na ów rok, dzielący mnie od dziewiczej przeszłości mojej, tak zda się niedawną a tak już niestety, dalekiej odemnie, zdziwiona spytałam samą siebie: i jaż-to jestem sama? Jestem-że tym samym dzieckiem rozmarzonym, które z zachwytem patrzyło na świat jak na stubarwną bańkę mydlaną; które kochało wymarzone widmo swojej wyobraźni i rwało się do życia, jak do radosnej uczy? Jaż-to jestem owym dzieckiem? ja, kobieta z umarłą w piersi najpiérwszą miłością, ze zwiędłą wiarą w szczęście i ze zbladłym w samotnych dumaniach czołem?

Ja, kobieta bez nadziei, z gorzkim zawodem

w sercu, szukająca jedynej pociechy w martwych i zimnych kartach ksiąg, do których udają się zwykle zmęczeni już długiemi życiem boleści lub rozkoszy? jestem-że tą samą młodziuchną dziewczycą, piękną, bogatą, której ludzie wszyscy i na ziemi wszystko śpiewało chórem pieśń najczarowniejszą obietnic i szczęścia? A gdzież jest, myślałam jeszcze, ów człowiek, któregom kochała, który miał mi być kochankiem, przyjacielem rozumnym, słodkim i miłym towarzyszem? Nie ma go! on umarł! albo raczej nie! on żyje taki, jaki był i wówczas; moje sny tylko o nim pierzchnęły; jam sama z uspienia powstała inna, nowa, silna, i obok siebie znalazłam go, jako pusty odlew o pięknych kształtach, jako fałszywy dźwięk ostrą nutą kłócaący się z głosem mojej duszy, jako straszny, grobowy wyraz: *nic!*

I w obec młodej, świeżej, gorącemi barwami odkwitającej natury wiosennej, zbrakło mi sił na spokojne spojrzenie w twarz mojej doli, na odważne zmierzenie się z myślami, cisnącemi moją głowę.

Cierpię! — zawołałam gwałtownie sama do siebie, a z rozognionem czołem, wybiegłszy z pałacu, siadłam na moją czarną, ognistą Strzałę i pogoniłam na nią po szerokiej dolinie około jeziora. Wiatr rozwiewał mi włosy nad czołem, a ja rzucałam się w jego objęcie, jakbym z nim razem chciała uciec daleko, daleko, na koniec świata, precz od mojej doli, od moich myśli, od mojej rozpaczki!...

Szybka, jak błyskawica, niosła mię Strzała moja po zielonej łące; obiegła w koło gładką szybę jeziora i przyniosła tuż pod cichy, biały dworek, na który wiele razy z tęsknotą i marzeniem patrzyłam z cieniściej głębi mojego ogrodu.

Widok tych białych i cichych ścian, utulonych w gęstwinie drzew i krzewów, małemi ale jasnemi oknami patrzących na dolinę, jezioro i smukłą wieżę mego pałacu, uspokoił mię trochę. Zwolniłam bieg Strzały, podniosłam oczy ku srebrzystym obłokom i poczułam w nich łzę smutku ale i ulgi.

Jechałam zwolna, ciągle patrząc na cichy dworek; gdy zdala, na wiodącej doń kręto, wśród traw biegnącej dróżce, zobaczyłam dwoje ludzi. Z oddali dojrzałam tylko jasną suknię kobiety i rosłą mężczyzny postać; nie myśląc o tém, co czynię, skierowałam konia na tę samą ścieżkę, którą szli. Oni postępowali zwolna, ja zwolna jechałam, aż spotkaliśmy się narazie. Wtedy wyraźnie już zobaczyłam kobietę młodą, skromnie lecz ładnie ubraną, opartą na ramieniu także młodego, z ogorzałą twarzą mężczyzny. Orzuciłam ich wzrokiem i dziwnie sympatycznie uderzyły mię duże, szafirowe, wpatrzone we mnie oczy kobiety. Nigdy przedtém nie widziałam tych ludzi, nie znałam nawet ich nazwiska i nie wiem czém, natchnieniem, sympatją, czy bezwiednym, nierozważnym jakimś ruchem wiedziona, pochyliłam głowę uprzejmym ukłonem. Dwoje ludzi oddali mi ukłon,

i gdy minęłam ich, usłyszałam za sobą dźwięcznym, kobiecym głosem wymówiony wyraz: jaka piękna! Uśmiechnęłam się gorzko. Tak, pomyślałam, piękna jestem, ale cóż mi z tego? I znowu w zamyśleniu jechałam powoli, aż zobaczyłam przed sobą niską drewnianą bramę, a po-za nią niewielki zielony dziedziniec, wśród którego, z pnącym się po ścianach bluszczem, stał biały domek. Spostrzegłam wtedy, że popełniła nedorzecznosc, podjeżdżając pod bramę nieznanego mi domu, co było sprzecznem z przyjętymi zwyczajami i mogło wydać się tém bardziej niestosowne i niegrzeczne, iż uczyniła to pani z pałacu, względem cichych i zapewne niebogatyh mieszkańców skromnego dworku. Chciałam natychmiast zwrócić konia i odjechać, ale widok, jaki miałam przed sobą, przykuwał mię do miejsca. Tak tam było cicho jakos, spokojnie, uroczyście! Ściany domku różowiały pod promieniem zachodzącego słońca; czeremcha, biało kwitnąca, z gęstych krzewów rozlewała woń silną a miłą, lekki wiatr przynosił od blizkiego brzo-zowego gaju odgłosy ryku bydła i nawoływań pastuszych. Czułam, że tęskna, nieopisana rzewność ogarnia mię na widok tej cichej prostoty, jakiej nigdy nie przypatrywałam się zblizka; z szyb ozłoconych słońcem, z listków bluszczu oplatającego ściany, i z różowych kwiatków, rozsianych po murawie dziedzińca, poezya, spokój, ciche życie miłości i pracy tęnęło i wionęło na mnie.

Stałam, patrzyłam i snułam idylle...

Nareszcie przypomniałam sobie, że stoję u wrót nieznanych mi ludzi i zwróciłam Strzałę, ze smutkiem ostatnie spojrzenie rzucając na śliczny obrazek. Wtém zobaczyłam obok siebie parę, spotkaną przed chwilą i ze zdziwieniem ujrzałam, że mężczyzna z lekkim uśmiechem ujmował cugle mego konia.

— Pozwól pani — rzekł, kłaniając się z grzecznością — abym dziś przypomniał po-za bramą mego małego domu, starożytne prawa dawnych władców feudalnych zamczysk. Kiedyś pan bogatego zamku miał prawo podróżującego po jego ziemi przemocą zatrzymać i wwieść w swoje progi; chciiej pani zgodzić się na to, abym był dzisiaj feudalnym panem i przemocą wwiódł jój konia po-za nizkie moje wrota.

Co mówiąc, w istocie wprowadził Strzałę na zielony dziedziniec i z grzecznością podawał mi ramię, prosząc, abym zsiadła.

Nawpół zdziwiona, nawpół rozweselona i ujęta, nie wiedziałam, co mam uczynić, gdy podbiegła ku mnie młoda kobieta i z uśmiechem rzekła:

— Ja jestem kasztelanką tego oto zamku i dołączam prośbę do aktu przemocy, dokonanego przez mojego Barbe-Bleu, abys pani raczyła zsiąść z konia i wejść do domu, na który z przyjemnością zdawałaś się patrzeć przed chwilą.

I, wspiąwszy się na palcach, wyciągnęła ku mnie drobną i białą rękę.

— Zaczarowany w istocie macie państwo zamek — rzekłam, zsiadając z konia — przykuwa on do siebie oczy nieznajomych, prowadząc ich do popełniania niegrzeczności, zatrzymywaniem się u waszych wrót. Ale jeśli mam być szczerą, to wyznam, że rada dziś jestem z tego, że popełniła niegrzeczność, bo mi to da sposobność poznania mieszkańców ślicznego miejsca, na które nieraz z zajęciem i przyjemnością patrzyłam.

I rzeczywiście rada byłam z awantury; dziwiła mnie, trochę bawiła, rozrywała monotonną jednostajność mego życia; wreszcie podobali mi się ludzie, tak oryginalnie zapraszający mnie do swego domu.

— I my często widzimy panią — rzekła młoda kobieta — gdy się przechadzasz lub jeździsz konno; przytém — dodała z lekkim wahaniem się — wiele słyszeliśmy o niej i dawnośmy chcieli ją poznać. Dziś, ujrawszy panią, przez chwilę stojącą przed naszą bramą, sądziliśmy, że nie będzie jej przykro wejść do nas i nie oparliśmy się chęci zaproszenia jej.

Uścisnęłam raz jeszcze dłoń młodej kobiety i jej męża i, dobrze już znajomi, weszliśmy razem do domu.

Wnętrze domu państwa Mileckich, odpowiadało zupełnie zewnętrznej jego stronie. Cicho tam było, spokojnie a czysto; okna zdobiły świeże franki i kwitnące w wazonach róże; na stołach leżały dzienniki, roboty kobiece i parę książek; po białych niskich

ścianach, pięły się szerokie gałęzie powojów i bluszczu. Nie było tam, jak w moim pałacu, wielkich zwierciadeł, aksamitnych sprzętów, obrazów i posągów; ale za to z każdego zakątka wyglądał wdzięk dbałej o piękno prostoty i rozlewała się nieokreślona woń spokoju i zgody domowej. Zaledwieśmy weszli, z innych drzwi w podskokach wbiegł do saloniku sześćioletni chłopaczek, o jasnych włosach i błękitnych oczach; w kilku susach był już przy pani Mileckiej i obiema drobnymi rączkami objął jej stan.

— Przedstawiam pani mojego syna — rzekła z uśmiechem pani Klara.— Chłopczyk, ujrzawszy nieznaną, bynajmniej się nie zmieszał; orzucił mię roztropnym i śmiałym spojrzeniem i dziarsko się uklonił.

Po godzinie, czułam się w domu państwa Mileckich jak u siebie, a z nimi, jakby z dawnymi przyjaciółmi. Pani Klara była jedną z tych istot serdecznych, otwartych, które, nie mając nic do utajenia, ukazują się ludziom w całej jasności i przezroczystości swojej; wewnętrzne zadowolenie, szczęście domowe, spokój i słodycz prawdziwie kobieca, całemu jej obejściu się nadawały uprzejmy, pełen prostoty i ożywienia wdzięk.

Kiedy z uprzejmością gościnną i estetycznie ukształconą gospodyni, krzątała się około zastawionego herbatą i wiejskimi przysmakami stołu, ja rozmawiałam z jej mężem. Był to człowiek lat trzydzie-

stu, męskiej i energicznej powierzchowności, z twarzą ogorzałą, z czarnemi, rozumnymi oczyma. Rozmowę prowadził z łatwością, oznaczającą znajomość towarzysztw i gruntowne a rozległe wiadomości.

Pomiędzy ojcem i matką nieustannie biegał sześćioletni Władysław, szczebiocząc, zapytując, opowiadając, aż stanął przy ojcu i wpatrzył się we mnie swemi błękitnymi oczętami.

Z nieopisaną przyjemnością patrzyłam na rodzinny obrazek tych trojga istot, rozwijający się na tle blade-zielonych ścian. Mężczyzna przedstawiał tam siłę, energią, rozum; kobieta była niby promieniem słodczy, wesela i łagodnej, spokojnej myśli; dziecko wiązało tych dwoje ludzi ogniwem splecioném z uśmiechów i szczebiotów.

Wszystko, cokolwiek kiedy przemarzyłam, patrząc na biały dworek z głębi mego ogrodu, ujrzałam w rzeczywistości; i ujrzałam też na jawie takie szczęście, jakiego obrazy nieustannie mi przynosiły, odpychane ciągle i ciągle wracające, sny moje.

Gdy słońce zaszło, pan Adam zniknął z pokoju; przez okno ujrzałam go stojącego blisko ganku wśród grupy dworskich ludzi i włościan. Nie słyszałam dobrze tego, co mówił, ale po giestach jego i giestach ludzi, którzy go otaczali, poznałam, iż dawał gospodarskie rozporządzenia, i przyjmował sprawozdanie z upłynionego dnia.

— Mąż mój — rzekła pani Klara — widząc, że

z zajęciem patrzę na rozmawiającą grupę, pilnie zajmuje się gospodarstwem. Nie jesteśmy bogaci, pracujemy więc sami wiele; ale, dzięki jego rozumowi — dodała z nieopisanym uśmiechem — praca nietylko nie sprawia nam przykrości, ale owszem przynosi zadowolenie.

— Trudno jednak domyśleć się — odpowiedziałam, patrząc na wdzięczne otoczenie i staranny strój pani Klary — abyś pani pracowała sama także.

— O, na to są ranki! — odrzekła. — Nie jestem wprawdzie zmuszona do oddawania się ciężkim robotom, bo, mimo mierności majątku, mam wyręczycieli; wszakże zajmuję się wewnętrznym zarządem domu, czego dowodem jest ten symbol gospodyni.

I brzęknęła wiązką kluczyków, wiszącą u ładnego paska.

— Na to wszystko jednak — mówiła dalej — są ranki. Wstaję wcześniej i urządzam moje gospodarstwo wtedy, gdy mąż mój zajęty jest staraniem około swojego; w dzień zajmuję się wszystkiem, co należy do estetycznej strony domu i uczę mego chłopaczka, bo — dodała, wskazując z uśmiechem na małego Władzia — ten oto młody człowiek umie już czytać. A oprócz nauki czytania, ileż to trzeba z dzieckiem rozmawiać, na ile pytań odpowiadać, chcąc, aby od najwcześniejszych dni przywykało do myślenia! W ostatnich godzinach dnia, jesteśmy zawsze razem z Adammem; czytamy, przechadzamy się, ja grywam niekie-

dy, naradzamy się o naszych wspólnych sprawach, słowem, wieczory należą już całkiem do nas, są porą, przeznaczoną na wszystko, co ozdabia życie: na literaturę i swobodne pogadanki.

W téj chwili wszedł pan Adam i przerwał nam rozmowę pytaniem, czy nie chcemy użyć przechadzki, bo wieczór jest prześliczny. Przez ogródek, w którym, między czworobokiem wązkich a cienistych alei, rosły owocowe drzewa i wiły się klomby z kwiatami, wyszliśmy nad jezioro. W dali, po-za szeroką szybą wody, zobaczyłam gładkie ściany szpaleru, otaczającego mój obszerny ogród i po nad niemi, błyszczącą na tle ciemnego błękitu nieba, białą wieżyczkę pałacu. Widok ten, lubo piękny, posepnym mi się wydał; porównałam w myśli mój dwór wspaniały i skromny domek państwa Mileckich i pochyliłam się, niby patrząc w fale jeziora, a w istocie dla ukrycia łez, cisnących mi się do oczu.

W godzinę potém, siedząc na mojej Strzale, ścisnęłam jeszcze rękę pani Mileckiej, i rzekłam:

— Spodziewam się wkrótce zobaczyć cię, Klaro.

— Jutro będę u *ciebie*, Regino — odrzekła.

Powoli wracałam do pałacu; Strzała z głuchym tententem szła z wolną po zwilżonej wieczorną rosą ziemi a ja patrzyłam, jak stopniowo jedna po drugiej zapalały się gwiazdy na niebie, a światła ich blado błyskały w błękitnej szybie jeziora. Cicho było, tylko w oddali, przeciągłym dźwiękiem, grały pastusze

trąbki, i z pałacowych stajni odzywało się rzenie koni. Oto, gdzie jest szczęście — myślałam — ujrzałam je! - Zgoda myśli i uczuć, miłość rodzinna i praca cicha! Idylla moja przybrała formy. Biały dworek ukazał mi to, za czém bezwiednie tęskniłam. Puściłam wodze marzeniom i w takim samym białym domku ujrzałam siebie; obok mnie był człowiek, którego zewnętrzne kształty niewyraźnie rysowały się w mojej wyobraźni, ale którego duszę widziałam jasno, tworząc ją na wzór własnej duszy. Po-za nim błysnęło jeszcze coś... Zakryłam oczy ręką i zdało mi się, że łza moja spadła na białą kolebkę... Spojrzałam znowu na gwiazdy i na wodę i przypomniałam sobie dziecinne lata moje, rzeczkę płynącą u stóp mego rodzinnego domu i Ukraińskiego ludu pieśni... Przypomniałam sobie dziecięce moje tęsknoty i zadumy i spytałam mego ducha: miałyż-by one być przeczuciem dzisiejszych moich smutków, wróżbą, zwiastującą życie? A jednak — myślałam — życie moje mogło-by być tak samo piękne, jak tej kobiety, którą widziałam przed chwilą. Czegoż mi brakło? Miałam młodość, piękność, majątek, gorące serce i jasną myśl?... Dla czego droga moja zwróciła się w przepaść, zamiast biedz po gładkiej równinie? Czemuż życie nie dotrzymało mi swoich obietnic i zamiast kwiatów, włożyło mi na skronie krwawy wieniec bólów? Czy są na ziemi ludzie, skazani na cierpienia przedwczesnym wyrokiem? Gdzie jest źródło owego

fatalizmu, piętnującego czoło człowieka nieszczęściem bez ratunku? A głos wewnętrzny odpowiedział na te pytania moje: że najstraszniejszym dla ludzi wyrokiem, są ich własne namiętności; jedynym fatalizmem życia, słabość ich woli i myśli. Wszak dobrowolnie zostałam żoną Alfreda, nie mogłam winić nikogo, ani nawet jego. Lecz czémże było to uczucie moje, które miało zgasnąć tak prędko? tylko namiętnością ślepa, bezmyślną! Co ukochałam w nim? tylko piękne formy! A dziś, kiedy ocknęła się moja dusza, kiedy wszystkie władze mojej istoty rozwinęły się w całej potędze i sile, byłam związaną na zawsze, a szczęściu takiemu, jakie jedynie zadowolić mogło istotę myślącą, miałam powiedzieć: nigdy!... Nigdy! o straszny wyraz!

Więc nigdy z nikim nie miałam podzielić tych myśli, które coraz świeższe i bogatsze napływały mi do głowy? Więc nigdy na nikogo nie miałam przelać skarbów ukochania i słodyczy, które czułam w sercu? Więc nigdy z rozumnym i ukochanym towarzyszem nie będę do jednych celów dążyła, nigdy u mego łona nie uśmiechnie się dziecię? Tak, byłam pewna, że nie będę matką; czułam przekleństwo losu, ciężące nad związkiem moim z Alfredem!... A obok mnie, tuż u stóp mojego pałacu, żyje kobieta, szczęśliwa żona i matka. Z głębi wspaniałych moich ogrodów i ze szczytu pałacowej wieży, codziennie patrzeć będę na biały dworek tych rozumnych i kochających się ludzi;

życie moje stanie się jednem pasmem Tantalowych pragnień i męczarni, a patrząc na martwą i w półspiającą twarz Alfreda, po tysiąc razy codziennie powtarzać sobie będę: nigdy!...

Rozpacz mię zdjęła. Pochyliłam się na mojej Strzale, jedną ręką objęłam jej szyję, jakby wiernej przyjaciółki i, puszczając cugle, oddałam się na jej wolę.

Leć, koniu!.. Posłuszna rozkazowi, Strzała, poniosła mię szybko przez łąkę i po chwili stanęła przed gankiem mego domu.

Okna, w mieszkaniu mego męża, rzęsiście były oświetlone i głośny z nich gwar wychodził. Idąc przez przedpokój, dojrzałam, przez drzwi wpółotwarte, тумany dymu cygar a wśród tych niebieskich obłoków, kilka rozstawionych stolików, otoczonych grającymi w karty. Przy jednym z tych stolików siedział Alfred z cygarem w ustach i, ze zwyczajną swoją wiekuiście spokojną twarzą, ciągnął bank. Stojący za nim lokaj wyjmował korek z butelki szampana a wkoło niego szumiało hulaszce grono mężczyzn, których głośne rozmowy i śmiechy, gwarnemi wybuchami wybiegały przez otwarte drzwi i okna.

Szybko przebiegłam przedpokój, aby nie być spostrzeżoną; a gdy znalazłam się w moim pokoju, zasiadłam natychmiast do pisania listu do Henryka. List był długi, a kończył się temi prawie słowy: „Praca nie wystarcza mi, Henryku, za młoda na to jestem.

I wreszcie cóż z tego, że umysł mój coraz więcej rozwijać się będzie, że się coraz lepszą będę stawać, jeżeli nikomu nie ma to przynieść pożytku? Wszak wiesz, że Alfred nie potrzebuje mego moralnego wzrastania! Więc, mimo pracy i odwagi, na którą się zdobywam, cierpię bardzo. Jako jedyny ratunek zostaje mi rezygnacya, ale ja, Henryku, jęj nie chcę! Co to jest zrezygnować się? Wszak to zrzeczenie się swojej woli, wszak to pokorne pochylenie się pod ciężką ręką losu i oddanie mu najpyszniejszego człowieczego berła: rozporządzania sobą i wywalczenia sobie szczęścia. Ludzie za jedno biorą nieraz odwagę i rezygnacyą. Ja myślę, że jest inaczej. Człowiek odważny dąży ciągle, a zrezygnowany kładzie się na spoczynek wśród drogi; odważny cierpi ale i walczy, zrezygnowany bezwładnym spokojem koi swoje rany. Pojmuję rezygnacyą po śmierci drogiej osoby, bo tu niema już pola do czynu ni walki, ze śmiercią nikt walczyć nie może; ale po stracie własnego istnienia, po przeżyciu samęj siebie, nie pojmuję rezygnacyi. Jakto! ja pełna sił, myśli, pragnień i porywów ku dobremu, miała-bym w milczeniu i z pokorą poddać się jakby fatalistycznym wyrokom? miała-bym, jak wyznawca Buddy, usiąść na skale mojego nieszczęścia i jak on, ciągłym powtarzaniem jednego wyrazu, rezygnacyą zabić moją moralną istność! Nie, Henryku, wolę cierpieć najstraszniej, a nie zrezygnować się, wolę walczyć, pasować się z bólem, bo to mi daje poczu-

cie życia i sił, których jestem pełna. Nie wiem, co będzie ze mną, czy na te walki życia ze śmiercią długo mi mocy wystarczy; nie patrzę w przyszłość, bo ona straszna i nie wiem, co uczynię i co się ze mną stanie. Ale wiem, że nie usnę, nie stanę się automatem; żałoby mi było tych skarbów, które czuję, że spoczęły w mojej piersi, Henryku. Tyś dokończył we mnie tego, co rozpoczęła natura; ona mi dała zarody gorących uczuć i poważnej myśli, tyś swemi radami rozjaśnił mój widnokrąg i nadał kierunek moim drogom. Kto inny spytał-by może, czyś dobrze uczynił, wzmagając rozdział mój duszy z duszą Alfreda. Ale ja dzięki ci ślę, mój bracie. I choćbym tysiąc razy więcej cierpieć miała, jużbym się nie wyrzekła światłości, jaką ujrzałam i tych przeczuc najwyższego dobra i szczęścia, które zjawiły się przedemną, aby mię dręczyć i uszczęśliwiać zarazem. Słowem, chcę żyć, Henryku! pragnę żyć! choćby w cierpieniu, choćby w boleści śmiertelnej! Z tego widzisz, że zrezygnować nie mogę.“

Napisawszy list ten, zasnęłam. Śniły mi się dworek biały, bluszcz na ścianach, róże u okien. Obudziłam się na odgłos grzmotów; na świetle burza wrzała po upale dziennym, światło błyskawic, przedzierając się przez grube fałdy firanek, oblewało moją twarz. Wicher gwałtowny uderzał w ściany, a szyby okien drżały pod kroplami ulewnego deszczu. Wsłuchiłam się w burzę natury, której wtórowała bu-

rza w mojej głowie, przytuliłam twarz do miękkiego pośłania i płakałam... długo płakałam.

Nazajutrz z rana, Alfred przyszedł do mnie w myśliwskim ubraniu. Nie spostrzegł on bladości mojej twarzy, ani zaczerwienionych od łez moich oczu. Miłosne uniesienia oddawna zniknęły ze stosunku naszego, przestałam już wówczas być dla Alfreda *piękną kobietą*, a byłam tylko pięknym sprzętem jego pałacu i miłą towarzyszką podczas jego konnej jazdy. Zimny z natury, odkąd zadowolnił swój instynktowy pociąg ku mnie, zobojętniał względem mnie tak, jak ja zobojętniałam względem niego. Rozdzieleni nastrojem umysłów, upodobań, dążeń i pragnień, skorośmy stracili jedyną nić bezwiednego pociągu, która nas związała, staliśmy się dla siebie obcymi, a spojenni tylko przyzwoitością i ślubem. Alfred zresztą wcale na tém nie cierpiał; nie czuł on bynajmniej potrzeby rodzinnego przywiązania i domowego ciepła. Egzystencya jego ograniczała się na wymaganiach materyalnych. Od dzieciństwa bogaty i otoczony zbytkiem, lubił komfort i potrzebował go nawet nieodbiście. Miękkie sprzęty, smaczne obiady i ciągłe farniente, były to rzeczy, bez których się obejść nie mógł. Zdarzało się wszakże, iż wśród tego wszystkiego znudził się; wtedy, jako lekarstwa na nudy, używał polowania, towarzystwa hulaszczych przyjaciół, którzy radzi pili jego wyborne wina, palili jego cygara. Polował i grał w karty bez namiętności i uniesienia, dla

tego tylko, że to były rozrywki, do których od najwcześniejszój nawykł młodości, a jedyną namiętnością jego były konie. Ponieważ zaś miał środki materyalne dla zaspokojenia tego zamięłowania, czuł się zupełnie zadowolonym. Piękna kobieta była dla niego częścią komfortu, tak jak smaczny obiad; była sposobem odpędzenia nudy, tak jak polowanie. Ale codziennie jedząc smaczne obiady, człowiek oswaja się z niemi w końcu i przestaje cenić ich doskonałość, a ciągłe używanie rozrywki zamienia ją w końcu w jeden z żywiołów nudy.

Owego ranka, Alfred, wszedłszy do mego pokoju ze zwykłą sobie gentlemańską grzecznością, podał mi rękę i rzekł:

— Przyszedłem cię pożegnać, Regino, wyjeżdżamy na kilkodniowe polowanie.

— Życzę panom szczęśliwój wyprawy — odpowiedziałam — i umilkliśmy. Rozmowy nasze zwyczajnie miały taki monosylabowy ton.

Przez chwilę Alfred przechadzał się po pokoju z rękoma w kieszeni, aż spojrzał na moją szpicrutę, którą wczoraj byłam rzuciła na krzesło.

— A propos — rzekł — słyszałem, żeś późno wróciła wczora z przejażdżki. Czy Strzała się nie zmęczyła bardzo?

— Umiem jęj zażywać, Alfredzie — odpowiedziałam — zresztą nie jeździłam daleko, wieczór cały spędziłam w Zajeziornie.

— Co to jest Zajeziorna? — spytał, jakby sobie przypominając, Alfred.

— Dwór państwa Mileckich — odrzekłam.

— A, Mileckich! coś o nich słyszałem. Zkądże znasz tę szlachtę?

— Spotkałam ich wczoraj i zaprosili mię do siebie. Są to bardzo mili ludzie.

— Nie sędzę, aby tam było co miłego — zarzucił Alfred, oglądając szpicrutę — drobna szlachta.

— Owszem, bardzo są mili i ukształceni i wiész, Alfredzie, że dobrze-by było, abyśmy im razem oddali wizytę. Stosunek z nimi sprawi mi więćej przyjemności, niż wszystkie sąsiedztwa, które znam dotąd.

— Jeżeli chcesz tam bywać, zależy to zupełnie od ciebie — z niewzruszonym spokojem odpowiedział Alfred — ja nie mam czasu do oddawania im wizyt, i nie lubię ce genre.

— Ale nie znasz ich przecie, Alfredzie.

— At, zwyczajnie szlachta — odparł. — Au revoir, muszę już jechać.—Podał mi znowu rękę i wyszedł.

Wolała-bym była, aby się na mnie rozgniewał za to, żem bez niego odwiedzała nieznanych ludzi, wolała-bym, aby mi zabronił u nich bywać, niż jego niewzruszoną na wszystko obojętność.

Na dziedzińcu ozwały się trąbki myśliwych i szczekania psów; wkrótce posłyszałam gwar odjeżdżają-

cych ludzi i turkot kół i wszystko ucichło, a ja sama jedna, jak zwykle, z robotą i książką poszłam do ogrodu. Usiadłam w altanie nad jeziorem i, patrząc na dworzec Zajeziorna, błyskający w oddali i na białe obłoki, płynące po błękitném niebie, snułam moje idylle, a smutek coraz głębiej wpijał się w moje serce.

O zachodzie słońca, drogą, wiodącą około jeziora do ogrodu, biegła Klara Milecka, rumiana od zmęczenia, z uśmiechem na ustach, ze słomianym kapelusikiem w ręku, a z włosami rozwianemi w drobno pierścienie. Za nią czasem, czasem i przed nią, biegł Władysław z ogromnym bukietem zerwanych wkoło jeziora konwalii i niezapominajek.

Wieczór cały dziwnie mile nam przeszedł. Pokazywałam Klarze mój dom, książki, obrazy, kwiaty, roboty; pierwszy raz miałam komu powierzać moje zamiary, opowiadać o moich zajęciach, pierwszy raz miałam z kim wspólnie się zachwycać sztuką i naturą, szukać u kogoś rady, gwarzyć serdecznie i otwarcie. Klara z przyjemnością zatrzymywała się przed obrazami, przeglądała książki, schylała się nad pięknymi kwiatami, rosnącemi w klombach; wszakże nie spostrzegłam w niej ani podziwu, ani zazdrości, ani najmniejszego żalu, że tego wszystkiego nie posiada sama. Patrzyła na wszystko i o wszystkiém mówiła jak kobieta oświecona, która, jeśli nie widziała wielu rzeczy, to przecież słyszała i czytała o nich; i jak

kobieta szczęśliwa, która, posiadając skarby miłości i zgody rodzinnej, żadnych innych bogactw nie pragnie. Po dwóch czy trzech godzinach pogadanki, kiedyśmy już obiewały razem i dom i ogród, przejrzały książki, roboty i obrazy, Klara wzięła moje ręce i zawołała wesoło :

— Wszystko to śliczne, piękne, bogate, Regino; ale gdzie jest twój mąż? pokaż mi twego męża!

— Wyjechał na polowanie — odrzekłam, ale, mimo że siliłam się na spokój wyrazu mej twarzy, dziwnym on być musiał przy tej odpowiedzi; bo Klara badawczo i długo popatrzyła na mnie, zamyśliła się przez chwilę i na inny przedmiot zwróciła rozmowę.

Pani Milecka zapomniała się, jak mówiła, w moim towarzystwie.

— A tam mąż czeka! a rozporządzenia moje gospodarskie!

I pożegnawszy mnie serdecznym uściskiem, odeszła, a ja patrzyłam za nią. Długo po nad brzegiem jeziora błyskała w zmroku jej jasna suknia i, wśród cichego powietrza, rozlegało się szczebiotanie Władysia, a niekiedy połączony śmiech matki i dziecka.

Zniknęła w oddali wdzięczna postać Klary i ucichł stłumiony przestrzenią srebrny głosik jej syna a ja długo, długo stałam nad wodą, wpatrzona w stronę łąki myśląc o szczęściu i spokoju, jakie ta kobieta po powrocie znajdzie w swoim domu.

Powiadają niekiedy ludzie, różnie gwarzący sobie

o tém i o owém, że przyjaźń między dwiema kobietami jest niepodobna; że zawsze między nie zakraść się musi zazdrość o jakąś błahostkę, próżność, która je rozdwoi. Niech jednak każdy, chcący wiedzieć, ile w twierdzeniu tém prawdy się zawiera, bacznie spojrzysz na kobiety a dojrzy, że i między niemi także natura i ustrój społeczny, wybitne nieraz różnice utworzyły. Jak między mężczyznami są ludzie-ludzie, ludzie-robaki, ludzie-małpy, ludzie-wilki i t. d., tak i kobiety dzielą się na kobiety-ludzi, kobiety-lalki i kobiety-geśi.

Kobiety-lalki nikogo zapewne kochać, ani sprzyjać nikomu nie mogą; bo od kartonowych i porcelanowych sióstr swoich różnią się chyba tém, że gdy upadną, nawet sobie nosa nie rozbijają, jak tamte. Kłaniają się one sobie, podają sobie ręce, całują się nawet; lecz to wszystko jest dziełem sprężyn, zwanych konwenansami, ale nie serca. Bo któż kiedy widział serce u lalki?

Kobiety-geśi różnią się od swoich pierwowzorów tém tylko, że gęganiem swoim, zagłuszającym rozumną mowę ludzi, nie zbawiły-by Rzymu, jak ongi ich prababki. Zresztą, za lada ziarneczko, znalezione na śmiecisku, zabijają się wzajem ostremi dziobami a zabłoconemi łapkami śmieciem się orzucają.

Ale kobiety-ludzie umieją tak zdrowo czuć i tak logicznie myśleć, jak i ludzie-mężczyźni. Jeżeli więc przyjaźń, to głębokie a szlachetne uczucie, może być

jest między drugimi, czemuż-by kobiety doświadczać go nie mogły dla kobiet?

Ja i Klara nie miałyśmy zaszczytu należeć do lalek ni do gęsi; natura, wychowanie, własna wreszcie praca nad sobą uczyniły z nas ludzi. Przyjaźniłyśmy się też serdecznie, od owego pierwszego wieczora, spędzonego razem w Zajeziornie, widywałyśmy się często a nawet z równą przyjemnością.

Przyjaźń ta wlała nowy a miły żywioł w moją egzystencją, przynosiła chwile, w których zapomniałam o smutkach moich i tęsknotach. Piękne wieczory letnie schodziły nam razem najczęściej w ciuchym dworku państwa Mileckich.

Przypatrywałam się życiu tych dwojga ludzi zacnych i rozumnych; widziałam zgodę ich serc i umysłów; przed oczyma mojemu, niby nic złota, roztaczało się to ciche istnienie rodzinne, owiane domową zgodą, osnute na pracy, zdobne w małżeńską i rodzicielską miłość.

Niekiedy, jadąc na mojej Strzale około jeziora, spotykałam pana Adama w kapeluszu o szerokich brzegach, zasłaniającym ogorzałą lecz pogodną i myślącą twarz-jego, chodzącego po polu i naglącego rolnicze prace. Wjeżdżałam na dziedziniec i z otwartego okna, z pomiędzy zieleni roślinnej, wychylała się ku mnie zawsze wesółą twarz Klary.

— Spotkałaś mojego męża? — pytała. A gdym zsiadła z konia, szłyśmy razem do ogrodu, gdzie ro-

biono coś około warzywa lub drzew owocowych; albo też wesoła moja gosposia brała mię za rękę i pociągała za sobą do różnych zakątków swego gospodarstwa, pokazując mi ład i dostatek, tak jak ja w Różannie pokazywałam jej bogactwa. Albo jeszcze, razem szliśmy na klomby kwiatowe i układałyśmy bukiety a potem ustawiałyśmy je w małych pokojach, rozpinaliśmy bluszcze na ścianach, na stołach układałyśmy dzienniki. Gdy się już ustroiły pokoje, Klara stawała na środku swego saloniku, patrzyła wkoło i twarz jej zdawała się mówić: Adam rad z tego wszystkiego będzie!

Minęło lato. Z nadejściem jesieni i zimy nie zerwał się mój stosunek z Zajeziornem; owszem, wizyty tam moje stały się dłuższymi. Nigdy nie zapomnę owych jesiennych długich wieczorów, gdy na świecie szaro było, dżdżysto i smutno, a w saloniku Klary palił się na kominku ogień żywy. Przy świetle lampy zasiadałyśmy z robotami i pogadanką albo prosiłyśmy pana Adama, aby nam czytał. Niekiedy grywałyśmy z Klarą na cztery ręce, albo ja śpiewałam, albo wreszcie, wyręczając pana Adama, czytałam głośno. A Klara pieściła dłonią uspioną na jej kolanach jasnowłosą główkę Władysia.

Kto nigdy w życiu nie widział takiej pary ludzi, może powiedzieć: idylla! sielanka! wszak szczęście zupełne i ciągłe istnieć nie może na ziemi. Jam jednak widziała, że ci ludzie szczęśliwi byli i wtedy,

gdy warunki codziennego życia ciążyły na nich troską i wtedy, gdy ulubione ich zamiary upadały przed żelazną przeciwnością. Cierpieli a jednak byli szczęśliwi, bo mieli miłość i wiarę w siebie wzajemną. A jakże jest w świecie tak ciężka niedola, której nie prze może siła miłości i wiary?

— Kocham Adama — mówiła Klara — bo, jak w Boga istnienie, wierzę w jego rozum i zacność.

Pan Adam nie mówił nigdy, że kocha Klarę; ale gdy, wracając od pracy, całował jej białe czoło, lub gdy, wśród przeciwności, brał jej rękę w swoje dłonie a mówił: nie martw się, wszystko dobrze będzie i gdy patrzył jak ona żywa, wesoła a myśląca, niby słoneczny promień, przebiegała wszystkie zakątki jego domu, rozświecając je swoją białą twarzą i ożywiając piosenką, która często na jej ustach gościła; wówczas w mężkiej i myślącej jego twarzy był spokojny a gorący wyraz miłości i wiary. A jasnowłose ich dziecko było im trzecią dźwignią.... nadzieją!

W poufnych pogadankach naszych mawiałam im często:

— Jesteście dziwnie szczęśliwi!

— Kochamy się i pracujemy razem — odpowiadała Klara.

— Pojmujemy się i razem myślimy — dodawał pan Adam.

W tej ściślej, cieplej i, mimo nawet trosk zewnętrznych, pełnej wewnętrznej pogody spójni dwojga ludzi,

ujrzałam wcieloną i uwydatnioną ideę związku ducha. Im więcej przypatrywałam się ich życiu, tem jaśniej i wyraźniej widziałam świętość i wielkość rodziny, gdy ona za zasadę taki ma związek. I już nie z książek ani z własnych marzeń, ale z życia i z przykładu poznałam, czém jest miłość w prawdziwém i szlachetném swoim znaczeniu i nauczyłam się, za późno dla siebie, niestety! tej świętej prawdy: że jedyną rękojmią szczęścia dwojga ludzi żyjących ze sobą, jest głęboka wzajemna wiara w ich wartość wewnętrzną i wspólność ducha, dająca im jednakie cierpienia i jednakie radości, jedne cele i jedne nadzieje.

.

A zarazem w całej świętości swojej stanęła przedemną wielka i wspaniała rola kobiety w rodzinie. Szerokie pole działania jej w ciasnym zakresie dojrzałam ozłoczone miłością i myślą i w całej ich niezmierniej rozciągłości zrozumiałam wyrazy: żona.... matka.

I w głębi mego ducha zapytałam siebie, czém byłam na świecie, nie mając takiej roli? Jakie znaczenie mieć będzie całe moje przyszłe życie, jeśli nigdy nie będę mogła spełniać kapłaństwa, danego przez naturę kobiecie, czuć i myśleć umiejaczej?

Wprawdzie nosiłam imię żony, ale tylko imię, bo byłam-że nią w rzeczywistości? Według ślubów kościelnych, tak; wedle duszy, o! po tysiąc razy nie!

Alboż może się nazwać żoną kobieta, nie dzielająca uczuć, pragnień, dążeń człowieka, z którym żyje? Jeżeli dla zdobycia tego nazwiska dosyć jest związku dwóch ciał, to i setki niewolnic tureckich, zamkniętych w haremie baszy, mogą się nazywać żonami; jednak wszak inaczej nazwał je świat cały! A ja, jakież uczucia, pragnienia i dążenia miałam dzielić z Alfredem? Gdyby ktokolwiek zadał mu to pytanie, on sam odpowiedzieć-by nie potrafił. Miałam-że polować, grać w karty, spać i ujeżdżać konie?

Zapytywałam siebie, czém byłam, jaka była rola moja na ziemi? ku czemu posłużą moja młodość, piękność, żywe uczucia, oświecona myśl? Porównywałam życie moje z życiem Klary i w pałacu, wśród kobierców, zwierciadeł i aksamitnych sprzętów, czułam się żebraczką wobec niej, strojnój w najwyższe zaszczyty kobiece i bogatą najgorętszemi radościami życia.

Upłynął znowu roku cały a ile w nim było dni, tylu stopniami coraz bardziej rozwiązywała się spójnia, jaką bezwiedny pociąg połączył mię zrazu z Alfredem; coraz potęgowało się moje pragnienie innego życia, mój smutek i żal.

To, com pisała do brata, było prawdą, zrezygnować się nie mogłam, nie mogłam sobie powiedzieć: tak być powinno!

Najboleśniejszą dla mnie była myśl, że wszystko, com w sercu i umyśle moim posiadała, ma nieużyte

umrzeć wraz ze mną. Ubogim sypałam wkoło siebie złoto, którego posiadałam wiele, ale złota mojej miłości i słodczy i mojej myśli żywej, oddać nie miałam komu.

Pojełam życie w całej powadze jego prac i radości, jego miłości i jego bólów, pojełam w całej świętości, czém jest kobieta, gdy idzie wzniosłą a prostą drogą miłości i pracy i zapłakałam gorzkim, wewnętrznym płaczem nad tém, że dla mnie takie życie i taka droga zamknięta.

I teraz, gdy patrzę w owe minione chwile żalu i boleści, wobec własnego sumienia poświadczyć mogę tę prawdę: iż mniej bolałam nad tém, że nie byłam szczęśliwą, jak nad tém, że według sił moich nie stanę się użyteczną; więcej pragnęłam dać komuś szczęście, niż je zdobyć dla siebie.

Wiedziałam, że gdybym najgoręcej nawet kochała Alfreda, miłość moja nie była-by mu szczęściem, ale tylko jedną więcej potrawą przy smacznej zastawie życia, jedną więcej zabawką do rozpedzenia nudy próżniactwa. Garderobiana moja, gdyby miała twarz bardzo piękną, i gdyby w towarzystwie równie jak ja znaleźć się potrafiła, mogła-by w życiu jego równą mojej odegrać rolę.

Dziś, kiedy tonę myślą w tych bolesnych wspomnieniach, trudno mi porachować ciężkie chwile, jakim wówczas przebyła, i utworzyć sobie jasny obraz,

jak stopniami i coraz wyżej podnosił się duch mój a razem wznagała się żałość.

Było to coś jakby przypływ morza: zrazu spokojny i powolny, potem coraz gwałtowniejszy i prędszy, aż wreszcie wściekłemi falami rzucający się o skały i mętną, szumiącą pianą pokrywający przestrzenie.

O, któż zrachuje te ciche a gryzące bóle, co się wjadają w serce tysiącami żądał? kto zdoła zważyć ten ciężar, który przygniata pierś, tamując jej oddech?

Są na świecie dramata, których żadne oko nie widzi, żadne ucho nie słyszy, a które przecież więcej mieszczą w sobie rozpacz, niż te, nad którymi płaczą ludzie, zebrani w teatralnych salach. I nie dziw, że potem, gdy rozwiązanie tych tajemniczych dramatów nie podoba się ludziom, oni, co nie znają ich wątku, wołają: przekleństwo! Mądry i zacny jest ten, kto przed rzuceniem tego okrzyku zmierzy wprzód badawczym wzrokiem drogi, jakimi doszła do swego końca wyklęta przez ludzi historia!

Są tacy, którzy, sami cierpiąc, nie pojmują cierpienia innych, bo cierpią bezmyślnie. Ale kto, w każdym cierpieniu swoim czy cudzym, bada źródła i cały przebieg tej krwawej rzeki, co bólami płynie, ten wielu rzeczom na świecie zamiast: przekleństwo! powie: przebaczenie! Bo praca myśli nauczy go tej prawdy, iż są ludzie, których dusza czystsza jest od ich zewnętrznego istnienia.

Niepodobna mi opisać, jakby opowiedzieć niepodobna było wszystkich przejść i targań się, jakie przebył wówczas mój duch. Czasem powstawałam silna i mężna jak olbrzym, czasem upadałam we łzach i smutku jak dziecko. Bywały chwile, w których wpatrywałam się w fale jeziora, a one jak bajeczne rusałki ciągnęły mnie ku sobie, na piaszczystém dnie swoim ukazując spokój. Czasem, siadałam na moje arabkę i pędziłam przez pola, łąki i drogi, a głosy wewnętrzne wołały na mnie: dalej! dalej! uciekaj! od doli swojej uciekaj!...

A jedynym świadkiem tych moich walk i wewnętrznych cierpień, byłam ja sama. Według słów poety:

„Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć...
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady a nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się, i nie przeklinać!”

I przyszła chwila, w której na widok Alfreda po ciele mojem przebiegł dreszcz wstretu...; i przyszła druga, gdy on, rozbudziwszy się z poobiedniego snu, wszedł do mego pokoju, i znalazłszy widać, że mi bladeść była do twarzy, ujął moją rękę, a ja poczu-

łam zimno obiegające mię od stóp do głowy, jakby mojej dłoni dotknęła dłoń trupa!...

Od tej drugiej chwili poznałam, że nie mogę być dłużej żoną człowieka, którego nicość duchowa wzbudzała we mnie nawet wstręt fizyczny; pojęłam, że, należąc dłużej do niego, była-bym podobną nędznej kobiecie, którą, wśród niewoli haremu, przemoc rzuca w objęcia wstrętnego władcy.

I w dwa lata po ślubie, po dwóch latach, naprzód smutku, potem boleści, potem rozpaczy, poraz pierwszy zapytałam siebie: co robić?...

.

Nie ja pierwsza zapewne na świecie w podobnych okolicznościach zadawałam sobie to pytanie; tysiące jest kobiet, w których myśli staje ono prędzej czy później.

A pytanie to, w różnych sercach różne znajduje odpowiedzi. Jeżeli choroba fizyczna potrzebuje środków, zastosowanych do organizmu chorego, toć i moralna rana leczy się według natury tego, kto od niej cierpi.

Są kobiety, które w położeniu podobnym temu, w jakim ja się znajdowałam, rezygnują się, schylają czoło pod koniecznością, z pokorą składając ręce przed wyrokami losu; pieśniami o poddaniu się i pokorze usypiają swoją duszę, tak jakby zatrzymały ruch niepotrzebnej maszyny, i stają się automatami, nakręceni sprężyną codziennego życia. Do liczby takich

jam nie mogła należeć; byłam na to zamłoda, zasamoistna, zanadto pełna myśli, sił i życia.

Inne rzucają się w gwar, tłumy, zabawy; próżnią serca chcą zapęłnić fraszkami, zadawalniającemi próżność; wewnętrzne głosy żalów i tęsknoty chcą zagłuszyć wrzawą oklasków i pochwał; ścieśnione smutkiem piersi okrywają błyszczącemi świecidłami strojów, głowę, wrzającą buntowniczymi myślami, zdobiją kwiatami sztucznymi jak ich uśmiechy; i powoli, stopniowo, tą wrzawą, tym błyskotliwym fajerwerkiem, tym odurzającym, niby opium, szmerem oklasków i pochlebstw, zagłuszają swoją duszę i stają się lalkami, nakręcanymi sprężyną próżności i drobiazgowych formułek. Na ozdobienie i rozgrzanie sobie życia podobnymi środkami, byłam zanadto poważna, zagłęboko i zasurowo smutna.

Są jeszcze i takie kobiety, które chłód domowego ogniska wynagradzają sobie ogniami tajemnych miłości. Obłudą zamykając oczy światu i człowiekowi, któremu przysięgały, czołgają się one w kłamstwie, trwogą i niepokojem okupują smutne radości, kryjących się w ziemię i unikających słońca jawności uczuć. Takie kobiety, powoli, także stopniami zdejmują z siebie szatę godności i dumy kobiecęj; wyrzucają z duszy prawość i wstyd, i stają się ślimakami, pełzającymi w cieniach, poruszającymi sprężyną zmysłów i fałszu.

Aby zostać jedną z takich, byłam zanadto prawa, zanadto dumna i czysta.

Więc żaden z najpowszechniej przyjmowanych środków nie mógł mię ratować; a jednak czułam, że nie mogłam, nie miałam sił na długie życie podobne temu, jakie pędziłam dotąd. Więc pytałam siebie: co robić?

O, jest jeszcze jedno wielkie i święte uczucie, które wynagradza nieszczęśliwym kobietom wszystkie bóle ich i zawody: uczucie macierzyństwa!

Ale ja nie byłam matką.

Więc pytałam siebie myślą uporną, trwożną: co robić?

I od chwili, w której pytanie to poraz pierwszy zapadło w głąb' mojej duszy, upłynęło znowu kilka miesięcy, kilka miesięcy długich, męczących. Nieraz, siedząc nad jeziorem, patrzyłam w głąb' cichéj wód szyby i, przez długie godziny patrząc na jéj gładką i błękitną powierzchnią, tonęłam w wewnętrznych wal-kach i rozmyślaniach, a łzy moje perłową rosą skrapiały nadbrzeżną murawę.

To znowu, zasłoniwszy ciężkie franki okien, aby żaden promień słońca nawet nie przerwał moich smutnych myśli, w głębi cichego i ciemnego pokoju siadałam z czołem, ukrytém w dłoniach i nieruchoma siedziałam długo, nie słysząc, jak obok mnie zegar oznajmiał zgon wielu godzin.

Kiedy w nocy głęboka cisza snu zappełniała dom

cały, ja, na miękkiej pościeli leżąc, przy bladym świetle płonącej pod zasłoną lampy, nie spałam i siliłam się rozwiązać myślą węzeł moich przeznaczeń. Aż dopiero, gdy szary świt oblewał twarz moją zbladłą z bezsenności, przyciskałam do gorącego czoła długie i grube moje warkoczki chłodne i wilgotne od łez, i usypiałam w tej smutnej koronie, splecionej z piękności mojej i boleści.

O, jam wiedziała, co to jest rodzina, jam rozumiała, jaka jest świętość tych związków, które są zasadą społecznego spokoju i pojedynczego szczęścia. Nie byłam kobietą lekką, rzucającą się w wir awantur przez podniecie próżności, kaprysu lub zmysłów. Więc ciężko mi było walczyć, straszno iść naprzód i straszno się cofnąć. Gdzien tylko spojrzała, widziałam niepokój, trwogę i boleść.

Tak przeszło kilka miesięcy. Pewnego ranka, po jednym ze strasznych wstrząśnień, jakich doznawałam przy każdym zbliżeniu się do mnie Alfreda, po całej nocy niespanej, powstałam silna i na wszystko odważna. Trafem spojrzałam w zwierciadło; twarz moja była bardzo blada, oczy mi otaczały sine koła, burzami wewnętrznymi nakreślone, ale błyszczało w nich silne, niezłomne postanowienie.

Usiadłam i, ręką drżącą od fizycznego osłabienia, ale pewną mocną moją wolą, napisałam: „Henryku! dziś, zaraz, wyjeżdżam z Róznany; powracaj conajprędzej, więcej niż kiedykolwiek potrzebuję twojej

braterskiej przyjaźni i twojego wsparcia. Znajdziesz mnie w Miłéj”.

.

W kilka dni po owym ranku byłam już w Miłéj. Rozstanie się moje z Alfredem dopełniło się spokojnie, bez wybuchów ni uniesień. Kiedy powiedziałam mu o postanowieniu mojem, zrazu zdziwił się tak, jak tylko mógł się zdziwić, potem zasmucił się o tyle, o ile mógł się zasmucić. Ale po kwadransie rozmowy wrócił do swojego niewzruszonego spokoju i przyzwoitej, gentlemańskiej grzeczności. A kiedy rzekłam: Przepędziliśmy z sobą blisko trzy lata, mieliśmy wspólnie kilka chwil pięknych; nie miejmyż do siebie urazy i rozstańmy się przyjaciółmi! pocałował rękę, którą mu podawałam, i prosił mię, abym na pamiątkę od niego wzięła piękną Strzałę, na której jeździć lubiałam. Przyjęłam i wzajem ofiarowałam mu bogaty, kunsztownie ze srebra wyrobiony przybór, który, jako arcydzieło sztuki złotniczej, Henryk mi był przysłał z Paryża. Poczem, w czasie gdy służący przygotowywali wszystko do mego wyjazdu, usiedliśmy razem na kozetce i kilka chwil rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych. To łatwe zgodzenie się z moją wolą Alfreda, nie było wynikiem filozofii, ni wyrozumowanej szlachetności; ale chłodu i wstrętu do wszelkiej walki, do jakiegokolwiek wstrząśnienia. Wszakże wdzięczna mu byłam za nie; i gdym posiadała pewność, że nie będę jego żoną, niechęć moja ku niemu zniknęła i lu-

biłam go tak, jak się lubi człowieka, który nam uczynił coś dobrego; jak się lubi blade wspomnienie kilku odległych miłych chwil.

Po wyjeździe z Różanny, cały dzień przepędziłam u Mileckich. Wspomnienie tych ludzi zostało mi na zawsze w sercu i pamięci. Odegrali oni ważną rolę w mojem życiu. Gdybym ich nie spotkała, gdybym w białym ich dworku nie ujrzała wcielonej świętości i piękności rodzinnej idei, nigdybym może nie pojęła dobrze całej powagi jej i wzniosłości, a wśród pustki życia i domowego chłodu, myśl moja zbłąkała-by się może, jak myśl tylu innych kobiet. Ciągłe mając przed oczyma szczęśliwą żonę, matkę i kobietę, która ciasny zakres codziennych zatrudnień przekraczała siłą uczucia i rozświecała jasną myślą, zobaczyłam, ile w takim życiu mieści się spokoju, szczęścia i cichych, lecz wielkich zasług i takiej samej drogi zapragnęłam dla siebie.

Wobec ich rodzinnych radości, których byłam świadkiem, zgasł dla mnie wszelki wdzięk tłumnych, błyskotliwych zabaw; cisza ich białych ścian i odgłosy srebrnego śmiechu ich dziecka, zagłuszyły w koło mnie gwar świata i szmer łechcących próżność uwielbień.

U nich także jasno i wyraźnie ukazała mi się idea związku dusz, która się stała ulubioną ideą mego życia. Ci ludzie zbudowali swoje szczęście domowe nie na bezwiednym pociągu, ale na wspólności pracy, myśli i dążeń. I dla tego miłość ich nie skończyła się

jak u mnie i w wielu innych małżeństwach, z końcem miodowego miesiąca; ale coraz głębsza, coraz słodsza, spajała im istnienia nierozzerwalnym ogniwem przywiązania i wzajemnej wiary.

Wyjeżdżając z Zajeziorna, ostatnie spojrzenie rzucałam na piękny pałacyk, rozległe ogrody i szeroką szybę jeziora, żegnając miejsce, w którym obudziła się, cierpiała i dojrzała moja dusza; łzą rozrzewnienia pożegnałam skończoną pierwszą epokę mojego życia.

.
Cztery już lata minęły od dnia, w którym opuściłam Różannę; i gdy po ich upływie zapisałam tych kart kilka wspomnieniami mojemu, tobie je przesyłam, Henryku, dobry i drogi mój bracie. Jak mi te cztery lata przeszły, ty wiesz o tém, boś był zawsze jedynym przyjacielem i powiernikiem moim. Wiesz, iż losu mojego nie przyjął z lekką obojętnością kobiet, które po zerwaniu rodzinnych związków, jak ptaszki wesołe i swobodne, wylatują w świat w pogoni za uciechami i radością życia. Pierwsza miłość moja umarła nazajutrz po urodzeniu swoim; lata walk i tęsknoty i to przeświadczenie, iż mimowoli stałam się jedną z kobiet, rzucających zaprzeczenie wzniosłej i świętej idei rodzinnej, położyły na moją duszę niestarte piętno powagi i smutku.

Przypomnij sobie dni, w których, odrywając się od użytecznych i przynoszących zaszczyt twoim młodym latom prac twoich, przyjeżdżałeś do Miłej, aby

odwiedzić twoją samotną siostrę; wtedy pytałeś mię : czegoś ty smutna zawsze, Regino ? i dodawałeś : wszak życie całe przed tobą ! A ja ci odpowiadałam, dobry mój Henryku, że przecie kwiat, wśród rozwicia chłodnym tchnieniem wichru zwarzony, nie zajaśnieje już nigdy pełnią barw swoich i wiośnianych kwiatów. Są różne natury ludzkie. O jedne, burze życia odbijają się, nie zostawiając po sobie śladu przejścia ; lub na półmartwej głębi toni tworząc zaledwie takie lekkie znarszczki, jakimi zielona gałązka, poruszana dziecięcą ręką, rysuje powierzchnią cichłej wody. Inne, podobne są kwiatkom o przezroczyściej tkance, które, dotknięte szorstką ręką, zginają się, zwijają listki i więdną ; pod ciężką dłonią losu schylają smutne czoła, i na zawsze tracą młodzieńcze uśmiechy. A smutek taki, to nie słabość, to nie grzeszna apatya, która siłę myśli i moc czynom odbiera ; to tylko głębokie, wewnętrzne skupienie ducha w rozmyślaniu nad tem, co nam życie przynosi i czego od nas żąda. Smutek taki, to we własnych bólach oglądanie tysięcy boleści podobnych nam istot. Bo przecież cierpienia nasze nie są nigdy jednostkami oderwanymi od ogólnej masy cierpień ; mają one źródła i powody bytu dalej i głębiej sięgające, niż te, które leżą we własnych sercach naszych, bo biorą początek w samych zasadach społecznego ustroju. Dobre i złe bezprzestanne ma w świecie oddźwięki : powtarza się, spotyka ze sobą w różnych miejscach, czasach i sercach, tak jak powtarzają się i spo-

tykają w przestrzeni echa jednostajnych pieśni, śpiewanych w różnych stronach widnokregu.

Niekiedy, Henryku, przemocą prawie porywałeś mię z mojej cichej ustroni i uwoziłeś w świat, między ludzi. Ja kocham ludzi i dobrze mi z niemi; a jednak, z radością wracałam zawsze do wiejskiego zakątka mojego i czekałam tych długich, miłych wieczorów, w których zasiadaliśmy z sobą przed łagodnym płomieniem kominka. Pamiętasz te długie godziny szarego zmroku, rozświeconego czerwonym blaskiem ognia? Po-za domem wiatr jesienny szumiał, obok nas zegar mierzył chwile metalicznym oddźwiękiem; a myśmy gwarzyli z sobą tak bratersko i serdecznie, jak ludzie, którzy się doskonale pojmują i nic przed sobą nie mają do utajenia.

Ileż razy w owych godzinach pytałeś mię, Henryku: kiedy rozpocznę nowe życie, kiedy mi nowa miłość w sercu, a nowe szczęście zajaśnieje na twarzy?

A ja ci odpowiadałam, że nie spotkała dotąd człowieka, którego duszę mogła-bym ukochać. Poznawszy raz wagę i wartość bezwiednej, bezmyślniej miłości, jeżeli kiedykolwiek kochać będę, miłość ta będzie związkiem dwóch dusz podobnych sobie i ostatnią moją miłością.

Mam lat dwadzieścia cztery, jestem więc młoda; przyszłość przede mną długa i nie wiem, jaka będzie. Tymczasem, mój Henryku, ileż razy, patrząc w głąb pustych komnat mojego domu, wsłuchując się w ciszę

nieprzerwaną, żadnym głosem miłym, z pośród zimnego, samotnego istnienia i z głębi mego serca wołam :
O życie rodzinne! o słońce!...

* * *

Na tém się kończyły „wspomnienia” pani Różyńskiej. Było już popołudniu, kiedy Rawicki zamknął zeszyt i długo siedział, trzymając go w ręku, nieruchomy i tak zamyślony, że nie słyszał nawet, jak pan Karol wszedł do pokoju.

Na odgłos kroków młodego człowieka, inżynier jakby się ze snu obudził; przesunął rękę po czole, ale nie zdołał zetrzeć zeń śladu głębokiego wzruszenia.



VIII.

Wieczór był dość późny. W dużym ogrodzie w D*** zaległa cisza; bawiący się świat tameczny odpoczywał snąc dnia tego po licznych zabawach. Nawet od domu hrabiny nie biegły odgłosy muzyki i gwaru; wielka pani miała migrenę i nie przyjmowała nikogo.

W mieszkaniu pani Różyńskiej i jej brata cicho było także; z okien ich błyskało światło, rzucając smugi bladych promieni na gałęzie powoju, oplatającego balkon.

W małym i zamkniętym ze wszech stron pokoju, siedział z książką w ręku Henryk i chwilami odrywał się od czytania, słuchając dźwięków fortepianu i stłumionego głosu kobiety, śpiewającej w sąsiednim saloniku.

Nagle wśród ciszy, turkot kół dał się słyszeć na dziedzińcu, otworzyły się drzwi i stanął w nich pan Rawicki. Żywo powstał Henryk, podchodząc do przyjaciela i, podając mu obie ręce, rzekł :

— Wiedziałem, że przyjedziesz!

Pan Stefan w milczeniu uściśnął mu dłonie, przeszedł pokój kilka razy i nakoniec stanął przy stoliku naprzeciw Henryka. Chwil kilka milcząc, patrzył na twarz młodego człowieka, aż wyciągnął do niego rękę, mówiąc głosem stłumionym lekkim wzruszeniem:

— Dziękuję ci, Henryku, zrozumiałeś mię!

A potem dodał, patrząc na drzwi zamknięte, wiodące do saloniku, z którego dochodziły ich tony muzyki: — Twoja siostra... tam?

— Tam — odpowiedział z cicha Henryk.

Umilkli, a z saloniku przedzierały się ku nim smętne akordy fortepianu i półgłosem kobiety nucona, jakby chwilami zamyslenia przerywana niekiedy i w rozlicznych powtarzająca się spadach, smutna nuta Ukraińskiej pieśni.

Stefan pochylił głowę i stał pogrążony w głębokim, wewnętrznym skupieniu; wreszcie postąpił ku drzwiom saloniku i otworzył je.

Henryk nie poszedł za nim.

W saloniku, do którego wszedł Stefan, paliła się lampa na stole przed kanapą, z pod kolorowej zasłony osrebrzając duży bukiet kwiatów. Obok lampy leżała książka otwarta, a wkoło niej rozrzucone nici różnobarwnych jedwabów, paciorki, igły i inne drobiazgi do robót kobiecych. Przez otwarte drzwi od balkonu, na tle wieczornego cieniu, widać było biały

pas szumiącej Rotniczanki i skraj nieba o złotych gwiazdach, zapadający za ciemną gęstwinę drzew. W głębi saloniku, przy fortepianie siedziała Regina, jak zwykle w czarnej sukni; postać jej cała okryta była półcieniem, a tylko światło lampy oblewało srebrem twarz jej i czarne nad czołem warkocze. Nuty, rozłożone na pulpicie instrumentu, zasłaniały przed panią Różyńską drzwi od pokoju jej brata, chociaż więc usłyszała, że się otwierają, nie przestała grać i nucić, sądząc, że do saloniku wchodzi Henryk.

W tém palce jej odskoczyły od klawiszów, lekki wykrzyk wyrwał się z ust i rumieniec nagłego wzruszenia przebiegł po jej twarzy, zobaczyła obok fortepianu stojącego przed nią inżyniera. Pomimo słabego oświetlenia pokoju, rumieniec ten nie uszedł wzroku Stefana i w oczach jego błysnęły dwie iskry wewnętrznej radości.

— Witam pana! — rzekła, powstając i podając Rawickiemu drżącą nieco rękę — nie wiedziałam, żeś pan wrócił do D***. Czy oddawna?

— Przyjechałem w tej chwili — odpowiedział inżynier i oboje usiedli naprzeciw siebie pod światłem lampy.

— Ważne i pilne zapewne zajęcia musiały pana ztąd wywołać — mówiła Regina — kiedyś pan nie chciał pożegnać najlepszych tutaj swoich przyjaciół. Miałam żal do pana — dodała z uśmiechem —

ale teraz, gdyś pan wrócił, wszystko już naprawione.

— W życiu człowieka — odpowiedział Rawicki — bywają niekiedy okoliczności, wytrącające go ze zwykłej kolei. Jedną z takich ja uległem, opuszczając nagle te miejsca. Nie potrzebuję pani mówić, jak mi boleśnie było, że nie mogłem jej pożegnać, tém bardziej, iż nie spodziewałem się wrócić tak prędko. Ale wiedziałem, że pani jesteś jedną z wyższych sercem i umysłem kobiet, że zatem nie weźmiesz mi za złe tego rozminięcia się z przepisami grzeczności.

— O, nie o grzeczność mi chodziło! — zawołała Regina z lekkim żalem, sądząc, że nie była zrozumianą.

— Co zaś do głębszych moich i poważniejszych usposobień, względem pani i jej brata — przerwał Stefan — uważam panią tak wysoko, iż jestem pewny, że i bez długich frazesów z mojej strony, pani już wie, jakimi one są.

Przez chwilę milczeli oboje.

— Jakże pan czas przepędzał, w bardzo samotnej podobno okolicy? — ozwała się znowu Regina.

— Miałem tam wiele pracy — odrzekł Stefan. — Przybywając na to miejsce, gdzie ma się budować stacja kolei żelaznej, znalazłem linią drogi trochę niefortunnie wytkniętą przez moich kolegów, którzy zapewne w skutek pośpiechu, a ztąd zbytku pracy, błąd ten popełnili. Otóż staraliśmy się razem go popra-

wić, bo chodziło o skrócenie linii o całą wiorstę i unikiwienie kosztownego przekopu. Roboty te zajmowały mię przez dni kilka od rana do wieczora. Pani, która sama lubisz pracę, wiesz zapewne, jak ona skracca i uprzyjemnia czas, témbardziej, jeśli z nią wiąże się myśl ogólnego dobra. Wszakże najprzyjemniejszym mi był dzisiejszy ranek, przepędzony na czytaniu.

Rawicki mówił to wszystko całkiem spokojnie i obojętnie, w końcu z uśmiechem dodał:

— Nigdy-byś pani nie zgadła, jakiego rodzaju utwór zajął mi dzisiejszy ranek!

Regina patrzyła na niego nieco zdziwiona.

— Sądząc z mojego zawodu i umysłowych upodobań, przypuszczasz pani zapewne, iż był to jaki uczony traktat o napływowych i wulkanicznych pokładach ziemi, albo rozprawa o kwadraturze koła; albo już przynajmniej rozmyślania jakiego ekonomisty nad sposobami rozszerzenia dobrobytu ludzkości. Otóż, im dłużej żyję, tém więcej się przekonuję, że człowiek nie może nigdy stanowczo powiedzieć, iż jest cokolwiek na świecie po-za obrębem skłonności jego serca i myśli. Okoliczności naginają nas różnie, mimo, że w końcu z pomocą energii, stajemy się ich panami. Tak i ja, z całą powagą moich usposobień, od wschodu słońca do południa, bez przerwy i z najwyższém zajęciem czytałem, cóż? historią serca kobiety.

— Nie widzę — odrzekła Regina — w czém-by czytanie takie mogło się sprzeciwiać powadze usposobień i zamiłowań pana. Serce kobiety jest sercem człowieka; a cóż może być ciekawszego na ziemi, jak badanie owych tajnych głębi ludzkich, gdzie, jeśli mam użyć wyrażeń ulubionej nauki pana, na lekkich warstwach lśniących krzemków młodości, wznoszą się wulkaniczne pokłady cierpień dojrzałego wieku; gdzie pod powierzchnią spokojną i twardą, na pozór jak skała granitu, odbywa się ciągły ruch śmierci i odżywiania, niby historia tych milionów istot, które żyją i kamienieją w tajemniczych głębiach ziemi i morza. W jakimże rodzaju jest utwór, który tak mocno zajął pana? jest-że to jeden z najnowszych romansów, których wiele mamy teraz? Wszakże, dziwiła-bym się, gdyby tak było; bo dla wzbudzenia żywego zajęcia trzeba prawdy, a w romansach...

— Tak, pani — przerwał pan Rawicki — rzecz ta właśnie dla tego mię tak żywo zajęła, że osnuta jest na prawdzie; treść ma wziętą z życia. Jest to niejako psychologiczne studyum nad kobietą. Opiem je pani w krótkich wyrazach, bo, jak pani widzi, nie jestem zdolny w tój chwili o niczém inném rozmawiać.

— Ciekawa ta historia — mówił dalej i całkiem spokojnie pan Rawicki — przynosi czytelnika na Wołyń, do ślicznego pałacyku, stojącego nad jeziorem, otoczonego szerokimi ogrodami, pełnego zwierciadeł,

obrazów i miękkich kobierców. W tym na pozór raju ziemskim, ukazuje się bardzo młoda kobieta, żona właściciela tych wszystkich cudów. Ma ona lat siedmnaście, jest bardzo piękną, posiada w sobie zarody wszystkiego, co dobre, ale dusza jej śpi. Wycho- wano ją świetnie, ale niegruntownie; nie nauczono jej poznawać siebie, ani dróg życia. Mężem jej jest człowiek o zimném sercu i ciasnej głowie, żyjący bez celu, bez pracy, jeden z ludzi, który liczy życie na obiady, trzy części swojej egzystencji przepędza, śpiąc, a czwartą ziewając. Dla czego ci ludzie połączyli się z sobą? Ona rozmarzona, pragnąca miłości dzie- wczyna, uniosła się ślepym pociąganiem, poddała się wrażeniu, jakie wywarła na niej fizyczna piękność mężczyzny, on ożenił się z nią, bo była piękną, podo- bał mu się jej wzrost i cera i zapragnął dogodzić swo- jej zachciance, aby rozerwać się wśród monotonii głu- piego życia.

O tym ścisłym i pięknym związku, jaki daje dwoj- gu ludziom spójnia duchowa, o wspólności myśli i dą- żeń, żadne z nich nie myślało. Połączył ich ślepy in- stynkt, któremu w sercu dziewczyny towarzyszyło szlachetniejsze uczucie: bezwzględna ufność w tego, kogo kochała. Pobrali się i tu początek dramatu. Dusza mężczyzny, jak wprzód, śpi dalej w swojej ka- miennej i mglistej powłoce; dusza kobiety stopniami poczyna się budzić i rozwijać. Myśl jej zaczyna pra- cować; szerokie widnokregi odkrywają się przed nią,

poznaje całą wielkość i godność natury ludzkiej i sama chce się wznosić do tych szczytów. Stopniami, powoli poznaje nicość człowieka, z którym złączyła życie. Wielki to ból! zaczyna więc bardzo cierpieć. Z drugiej strony jeziora, nad którym stoi pałac, pod lasem bieleje mały dworek; w nim mieszka cicha i zgodna rodzina, złożona z dwojga młodych ludzi i dziecka o jasnych włosach...

— Panie Rawicki! — zawołała Regina, która, słuchając zrazu z zajęciem, coraz więcej stawała się wzruszoną i niespokojną — panie Rawicki! jaki jest tytuł książki, o której pan mi mówisz?

— To nie książka, pani — zawsze z równym spokojem odrzekł inżynier — to rękopis kobiecy, mały zeszyt białego papieru.

Regina wpatrzyła się w jego twarz z wyrazem niewymownego i pełnego niepokoju zadziwienia.

— Otóż pani — mówił znowu pan Stefan — młoda właścicielka pałacu trafem zaprzyjaźniła się z rodziną mieszkającą w dworku za jeziorem. Ujrzała w niej obraz domowego szczęścia, a co więcej, ujrzała wcielenie wzniosłej idei rodzinnej i całej świętości jej wtedy, gdy ona jest wsparta na głębokiej i bezgranicznej miłości, ufności w ukochaną osobę. Obok pełnego pracy i cichego szczęścia, życia tych ludzi, życie jej własne wydało się jej takim pustem i biednym, że porównywała się do żebraczki, choć rzucała wkoło siebie złoto metalu; nie miała przy sobie ser-

ca, któremu-by mogła okazać złoto swoich uczuć i myśli...

Regina była bardzo blada.

— Przez rok cały — mówił jeszcze z niewzruszonym spokojem pan Rawicki — smutna i młoda pani z pałacu, codziennie odwiedzała sąsiedzki dworek, jadąc wkoło jeziora na bystrym, czarnym koniu.

— Panie Rawicki! — przerwała znowu Regina, bardzo cichym głosem — zkąd pan miałeś ten rękopis?

— Znalazłem go pani, wypadkiem między papierami rodziny Tarnowskich.

W tej chwili, wruszył się nieco niezachwiany spokój Stefana i, przy wymawianiu ostatnich wyrazów głos jego lekko zadrżał.

Pani Różyńska powstała z siedzenia, jakby niezależną od niej mocą podrzucona; była bardzo blada, ręką oparła się o stół. Parę razy otworzyła usta, jakby chciała coś mówić, ale wzrok jęj spotkał się z przenikliwem, przywiązanem do jęj twarzy spojrzeniem Rawickiego. Szybkim ruchem zakryła twarz obiema dłońmi, postąpiła kilka kroków i stanęła, wsparta o ścianę w otwartych drzwiach balkonu.

Stefan w milczeniu patrzył na nią przez chwilę; wreszcie powstał także i obok nięj stanął.

— Pani znasz historią jęj kobiety — rzekł — czy możesz mi więc powiedzieć jęj koniec?

Regina stała ciągle z zakrytą rękoma twarzą.

— Możesz-że mi pani powiedzieć — pytał znowu Stefan — czy ta kobieta dziś jest wolną, czy jeszcze związaną? czy ma prawo rozporządzać życiem swoim i połączyć je z życiem człowieka, którego-by wybrała?

Na to pytanie Regina odkryła twarz, skrzyżowała ręce na piersi i w milczeniu patrzyła na Stefana, aż wreszcie wyrzekła stanowczym głosem :

— Tak, jestem wolną.

Twarz Rawickiego nie zmieniła się; bardzo wprawne tylko oko, mogło-by w oczach jego dojrzyć znowu dwie iskry radości.

— W rok po wyjeździe moim z Różanny — mówiła Regina cichym, ale pewnym głosem — brat mój przywiózł mi z Rzymu wolność, to jest rozwód.

Umilkła znowu i schyliła głowę, jakby pod ciężarem wyrzeczonego wyrazu. Ale po chwili podniosła czoło i pełnym godności głosem, coraz bardziej ożywając się, mówiła :

— Tak, jestem rozwódką. Jak widzisz więc pan, noszę godność, której miano źle brzmi wśród społeczności. Rozwódka, ma to być zawsze kobieta nierozumiejąca idei rodzinnej i rzucająca na nią wzgardę. Ma to być kobieta, która depce i lekceważy najświętsze na ziemi związki, której głowa pełna jest grzesznych myśli, a serce lekkich lub niskich uczuć. Świat przywiązuje się do wyrazów i, bezwzględny na różne odcienia istnień i serc ludzkich, daje stanowcze,

jak wyrok śmierci, słowa potępienia. Jam zgrzeszyła za młodu, to prawda; zgrzeszyłam dając się uwieść ślepemu instyktowi, zgrzeszyłam dziecinném rozmarzeniem i nierozwagą. Ale, gdy spojrzę w owe młode lata moje, wobec najstraszniejszego sędziego, bo wobec własnego sumienia, grzech ten błędem tylko nazwać mogę. Mimo wyklętego miana, jakie noszę, czuję, że jak ta najpromienniejsza gwiazda jasno w tój chwili świeci, tak w sercu mojem, niby słońce przejaskne i bez skazy, jaśnieje śród czci najwyższej ta idea, której moje położenie pozornie zaprzeczenie rzuca...

Chciała mówić więcej, ale głos jój zadrzał w najwyższém wzruszeniu i rozplynał się szeptem, niby pochłonięty wewnątrzniemi łzami.

Pan Rawicki ujął jój obie ręce i rzekł głosem stanowczym:

— Wierzę.

W tym jednym wyrazie zamknął cały świat uczucia i myśli. Nie wypuszczał ze swoich dłoni rąk Reginy i po chwili milczenia mówił znowu:

— Teraz, gdyś mi pani powiedziała wszystko, posłuchaj mię z kolei; posłuchaj słów, o których niedawno jeszcze sądziłem, że nigdy już na usta moje nie przyjdą. Cierpiałaś pani, cierpisz i pragniesz szczęścia i jam go zapragnął w całej pełni i potędze jego. Spytasz mię pani, czym go nigdy nie zdobył dotychczas? I owszem, bywałem w życiu szczęśliwy,

szczęśliwy rozkoszą pracy, zacnością czynu. Mimo wszelkie troski i trudy, mimo wszelkie cierpienia, wypływałem zawsze na szczęśliwe brzegi, choć szczęśliwe tylko względnie. Kiedy przebiegam myślą życie moje od lat młodzieńczych, w których miałem oczy na świat i ludzi zamknięte a nikogo kto-by mi je otworzył; w których umysł mój w ciasnym tłukł się obrębie i sam szranki swoje rozszerzać musiał; w których byłem ciemny, nieznany i biedny w całym słowa tego znaczeniu i gdy porównyвам się dziś z tym czém byłem niegdyś, gdy mierzę drogę przebytą i trudności niezmierne zwalczone, widzę, że jestem szczęśliwy! Inni wkoło mnie legli, mniejsza że ciałem, ale legli umysłem i już nie powstałi, tym mniej powstaną; a ja żyłem ciągle, ciąglem szedł, walczył, zwyciężał, ani razu przeciwnościami losu istotnie pokonany nie byłem. Aż nakoniec... zapragnąłem korony mojego życia... w tobie Regino! Miłość twoja, to brylantowy na tej koronie krzyż, sięgam po nią, ufny i z wiarą. Miałoż-by mnie szczęście całego mojego życia opuścić? Wszak je wywalczyłem zawsze a i teraz walczyłem o nie... cierpieniem, smutkiem, pragnieniem. Kocham cię bardzo, całą potęgą meżkich a niezamarnowanych sił ducha i ciała; a dopóki w miłości tej nie zleje się twoja i moja myśl, twoje i moje uczucie, nie będzie ze mną końca, życie moje nie będzie dopełnioném. Więc mówię ci: niech moja droga i twoją będzie drogą,

pójdźmy razem przez świat, wesprzyj się na mojem ramieniu z wiarą bez granic i daj mi bezgraniczną słodycz twojej miłości. Czy chcesz być moją? odpowiedz, Regino!...

Regina jak posąg nieruchoma stała ze splecionemi rękoma, w dłoniach Rawickiego uwięzionemi. Im dłużej mówił, tém więcej bladość jej znikwała pod rumieńcem, który stopniowo wstępował na jej twarz; usta jej otworzyły się pod siłą przyspieszonego oddechu, oczy zasłoniła mgła zamarczenia.

Gdy skończył mówić, jeszcze chwilę jakąś patrzyła mu w twarz z nieopisanym wyrazem, aż powoli ugięły się pod nią kolana, z szelestem jedwabiu suknia jej opadła na posadzkę, a ona, schylając nieco czoło, cicho wyrzekła:

— Kocham cię!

Stefan podniósł ją, objął silnem ramieniem i, schylając się nad jej twarzą, gorącym rumieńcem oblaną, rzekł głęboko wzruszonym głosem:

— Ty pierwsza moja i ostatnia!

O poeci całego świata! szumnemi ody lub żaloszniemi jęki opiewajcie wszystkie cuda natury! mędracy i badacze rozcinajcie ostrzem myśli wszystkie fibry człowieczej piersi i snujcie z nich nici uczonych teorii! Lecz o poeci i mędracy, o wieszczce i myśliciele! ni słowem, ni okiem nie dotykajcie chwili, w której dwie istoty, jednako silne duchem i ciałem, łączą się w uścisku nieskończonej miłości, chwili, w której mię-

dzy spojonymi pocałunkiem ustami nie sama fizyczna drga rozkosz, ale z nią razem i po nad nią mocniejszy, tchnie duch świadomy siebie, mądry a silny i z bratnim łączący się duchem.

Niech nikt chwili takiej nie dotyka piórem, ni słowem, ni ścisłą rachubą krytycznego rozbioru; niech zapada zasłona i tajemnicą pokrywa obraz, z którego tryska zdrój niepojętego życia. A ci, którzy nie doznali nigdy podobnej chwili, niech smutnie sobie powiedzą, jak u wrót rajskich Anioł wygnany:

Leć z gwiazdy na gwiazdę, od słońca do słońca,
W otchłani beze dna, w przestrzeni bez końca,
Gdzie wiszą na wiecznych zawiesiech;
I zrachuj ich wszystkie rozkosze, radości,
I pomnóż przez lata, przez wieki wieczności, —
Czém one przy chwilce w niebiesiech?

.....

Nazajutrz, około godziny dziesiątej zrana, na dziedzińcu domu z balkonem niezwykle ruch panował. Furman pana Tarnowskiego starannie oglądał karete, wyciągniętą z wozowni; Hryhory majstrował coś około kufrów powozowych, wyraźnie urządzając je do podróży; czarnooka i rumiana subretka pani Różyńskiej przebiegała często dziedziniec, niosąc służbie rozporządzenia i zaglądając do karety. Niekiedy hoża dziewczoja uśmiechała się do kozaczka, pokazując białe ząbki, albo, biegnąc ku gankowi domu, nuciała.

W bramie stanął dwudziestoletni chłopak w czarnym tużurku, w białej kamizelce, na której błyszczał z podejrzanego złota łańcuszek i w czapeczce na bakier. Stanął w bramie, pogwizdując; ujął się rękoma pod boki i zaczął się rozglądać po dziedzińcu. Na czole miał napisane, że był lokajem; ale, gdyby żył za Molierowskich czasów, sławny komedyo-pisarz mógł-by go wziąć za typ do swego Frontina, taka przebiegła chytrość malowała się w jego twarzy.

— Dzień dobry, panie Hryhory! — odezwał się, postępując ku służbie pana Tarnowskiego.

— Dzień dobry, panie Michale — obojętnie odpowiedział kozaczek, stukając ciągle młotkiem.

— A co tam słyhać?

— Nic nowego.

— Cóż tak się zwijacie!

— Zwyczajnie do podróży.

— Do podróży? — zawołał lokaj, siadając na jednym z kufrów — cóż-to, wyjeżdżacie?

— A jutro!

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się lokaj — snać waszój pani sprzykrzyły się już wody i kąpiele. A może do mężulka zatęskniła, co?

— A piękna bo wasza pani — mówił dalej, widząc, że nie odbiera odpowiedzi — niech ją... Mój pan to tak dalibóg i głowę za nią stracił; może będzie weselisko, co? panie Hryhory? he? jak myślisz?

— Cóż to? waszeć i o mężu i o weselisku gadasz razem — z pod wąsa odezwał się furman.

— Albo ja tam wiem, czy wasza pani ma męża, kiedy sama jeździ tylko z bratem? ot, żebyście byli poczciwi ludziska, tobyście powiedzieli; he?

— A nam co do tego — obojętnie odpowiedział Hryhory.

— Ba! co do tego! Słuchaj, panie Hryhory, ja zaraz waści powiem, co dō tego. Mój pan nie skąpy, ot, tak-by zaraz tu co i wpadło; he?

I znacząco pokazał swoją ogorzałą i podejrzaną czystości dłoń.

Hryhory podniósł na niego oczy, popatrzył mu w twarz z drwiącym wyrazem i spokojnie odpowiedział:

— Jak zapotrzebuję pieniędzy, to pójdę do pani albo do pana, to i dadzą; a do kieszeni waszego pana i do interesów naszych państwa nam nie trzeba zaglądać.

W téj chwili, z igłą i nićmi w ręku, nadbiegła zwinna pokojówka.

— Dzień dobry, pannie Handzi! — rzekł lokaj, powstając i galancko bawiąc się tombakowym łańcuszkiem.

— Dla kogo Hańdzia, a dla kogo nie Hańdzia! — sarknęła dziewczyna, wyjmując poduszkę z karety i oglądając odprutenieco pokrycie, osłaniające kosztowny adamaszek.

— No, to dzień dobry panience — rzekł niezderutowany elegant przedpokojowy, z przymileniem zbliżając się i chcąc ująć rękę Handzi.

Dziewczyna nastawiła igłę.

— Może to u was moda brać za rękę, u nas nie — odpowiedziała.

— Aj, aj! — syknął lokaj i zaczął oglądać dłoń, ukłutą ostrzem igły.

— Ha, ha, ha! — zaśmieli się duetem furman i Hryhory.

— Jaka panienka gniewliwa! — rzekł elegant, oglądając ciągle swoją rękę i zabierając się do odejścia.

— Cóż, panie Hryhory — dodał, zwracając się do kozaczka — może wypijemy strzemiennego, co? Tęgie piwko u Szmujły naprzeciwko. He?

— Nie mam czasu — odpowiedział kozaczek.

Nowożytny Frontin nasunął czapkę na uszy, spojrział raz jeszcze na otaczających i, widząc, że nic nie wskóra, skierował się, pogwizdując, ku bramie.

— Ot tak! krzyżyk na drogę — mruknął Hryhory.

— Bądź waszeć zdrów — zawołała z chychotem pokojówka — a pisuj na Berdyczów, tylko drobnymi literami! — I wyciągnęła za odchodzącym rękę, złożoną w wielce kompromitujący znak.

— Ha, ha, ha, ha! — roześmiała się na całe gardło służba — oto zjadł mydła! ha, ha, ha, ha!

Furman wyprowadzał ze stajni parę parskających i okrytych szarém suknem koni, wołając: ho! Sułtan, ho!

W tej chwili Henryk wyszedł na ganek i zawołał:

— Héj dzieci! zwiijajcie się a przygotujcie wszystko, tylko żwawo a dobrze; jutro o tej porze wyjeżdżamy.

— Wszystko gotowe, panie, choć-by zaraz jechać — ozwały się trzy wesołe głosy.

Tymczasem, nowożytny Frontin ze spuszczoną głową przeszedł część ulicy i wszedł do domu, w którym mieszkał pan Wiewiórski.

W pokoju z dwoma oknami, otwartymi na dziedzińiec, słodki Cherubin siedział przy stoliku, zastawionym herbatą, ubrany w szlafrok z perskiej materyi w wielkie ponsowe arabeski i w bogato wyszywanych pantoflach. Naprzeciw niego, także w negliżu, ale takim, w jakim się wychodzi na ulicę, niedbale rozparty w fotelu, palił cygaro hrabia August.

— Michałek wraca! — zawołał pan Frycio, spostrzegłszy w bramie swojego lokaja.

Hrabia August, udając obojętność, podniósł do ust szklanekę z herbatą.

— No, cóż, Michałku — rzekł pan Wiewiórski do wchodzącego chłopaka — dowiedziałeś się, co?

— Dyabła tam, proszę jaśnie pana — markotnie odrzekł Frontin — ci ludzie zakute mają gęby, a ta panna Hańdzia, to czysta szczypawka! Tak ukłóła mię igłą...

— Gap' jesteś — z niezadowoleniem wyrzekł pan Frycio — i nic a nic się nie dowiedziałeś?

— Owszem, jaśnie panie — z chytrą miną odpowiedział lokaj — dowiedziałem się, że ci państwo jutro wyjeżdżają.

Pan Wiewiórski podskoczył na krześle tak żywo, że mu aż jeden pantofel spadł z nogi, a hrabia August oblał herbatą białą pikę swojej porannej kamizelki.

— C'est inimaginable! czy słyszysz, hrabio, jutro wyjeżdżają!

— Mało mnie to obchodzi — odpowiedział wspomniały hrabia, ocierając chusteczką plamy od rozlanej herbaty.

— No, naturalnie! — miarkując się, rzekł Frycio — cóż to nas może obchodzić! wszakże...

Wtém otworzyły się z łoskotem drzwi i wpadł do pokoju rosły, barczysty mężczyzna, rzucił czapkę na krzesło, laseczkę na podłogę i zawołał:

— Bonjour, messieurs, dajcie mi herbaty a powiem wam nowinę.

— Jak się masz, Bryniu — odpowiedział gospodarz. — Michałek, herbaty dla pana Bronisława! Cóż tam za nowina?

— Ho, ho! wielka nowina, ma foi, dobry ze mnie koleżka, że wam ją przynoszę, pracowałem dla was!

— I cóż tam takiego? — z wysoka zapytał hrabia.

— Otóż widzicie panowie — mówił Brynio, zasiadając przy stoliku i pijąc herbatę — wczoraj graliśmy w preferansa u Odzia, gdy na dziedziniec wjechała

bryczka. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem mego jak świat starego znajomego, Miecia Zagórskiego.

— Mais connu! — zawołał pan Frycio — znam go także, kupiłem u niego raz na jarmarku czwórkę koni, ale dyabło mię oszukał!

— Ha, ha, ha! on zuch na to, ale sam dzielne ma konie, ma foi.

— Gdzież nowina? — wtrącił niby obojętny hrabia.

— Zaraz powiem. Gdyśmy zobaczyli znajomego, bo i Odzio zna także Miecia, zaczął się pytać, co słychać, czy wesoło się bawią, kto jest w tym roku, ile panien na wydaniu? Słowo po słowie, przyszło do tego, żeśmy mu zaczęli mówić o pani Różyńskiej, śmiejąc się z tego larmoyanta Janusza, który był tam z nami, że w niej zakochany tak, aż mu od łez oczy nabrzękły. Pani Różyńska! — zawołał Miecio — piękna kobieta, ma foi, czy nie idzie za mąż?

Chórem spytaliśmy się, czy ją zna? Otóż opowiedział nam, że bywał u jej męża Alfreda Różyńskiego na Wołyniu, polował z nim, grywał w karty i widywał ją często: że potem, ni z tego ni z owego pani Różyńska wyjechała od męża i rozwiodła się. Od czterech lat jest już rozwódką i oto moja nowina!

— No, niezbyt ważna — obojętnie odrzekli dwaj słuchacze. Wszakże mimo tej pozornej ich obojętności, w czasie opowiadania Brynia drugi pantofel pana Wiewiórskiego odleciał gdzieś pod stół daleko a biała

kamizelka hrabiego Augusta poczerzyła się popiołem, spadającym z cygara.

— Oho! jak-to nie ważne! — zawołał Brynio — dla mnie pewno nie ważne, bo ja nie mam żadnej pretensyi do pani Różyńskiej, ale dla innych...— i figlar- nie mrugał oczyma, patrząc na dwóch konkurentów Reginy.

— Ciekawa jednak rzecz, czemu się ona rozwiodła? — zaczął zamyślony pan Frycio.

— Miecio mówi, że nikt tego odgadnąć nie mógł.

— Pewno się w kim rozkochała.

— Miecio mówi, że nie i że mąż jej był dzielny człowiek, piękny podobno i bogaty.

— Konsyliarzu! konsyliarzu! — zawołał pan Wiewiórski, ujrawszy przez okno doktora, idącego do pacjentów, mieszkających na tym samym dziedzińcu.

Doktor spojrział na okno.

— Dzień dobry, panie Wiewiórski — zawołał — a co to pan tak długo w negliżu.

— Proszę do nas, doktorze, jest wielka nowina.

— Cóż tam za nowina? — spytał doktor niedbale, zbliżając się i stając pod oknem.

— Dowiadujemy się w tej chwili — mówił gospodarz — że pani Regina Różyńska jest rozwódką.

— Doprawdy! — odrzekł medyk — dobra wieść dla jej adoratorów!

— A któż-to jej adoratorowie? — z lekką niechęcią spytał pan Frycio.

— A ja nie wiem — ze zwykłym sobie lekko sarkastycznym tonem odpowiedział doktor — muszą jednak być, na przykład ci, którzy uczą papugi wymawiać jej imię.

— Eh! docteur! to był prosty żart.

— Do widzenia, panie Wiewiórski.

— A revoir, konsyliarzu.

I odszedł konsyliarz, ale tak jakoś zamyślony, że minął drzwi swoich pacjentów i dopiero w bramie przypomniał sobie, gdzie miał iść. Wrócił powoli, ze schyloną głową, ale nie wszedł zaraz do pacyenta, a przez chwilę jakąś stał na jego ganku, machinalnie rysując coś laseczką na piasku. Czyż-by się tak zamyślił o ilości i jakości kąpieli, jakie miał przepisać choremu? Czy może z po-za szklanek, napełnionych mineralną wodą i flaszeczek z różnemi preparatami medycznemi, przed wyobraźnią jego zarysował się wymówiony przez Frycia wyraz: „rozwódka” i tak mu myśl pochłonała, że doktor dwa arkusze papieru podarł u swego pacyenta, nim zdołał bez omyłki zapisać receptę?

Brynio poszedł na śniadanie do Odzia i hrabia August żegnał p. Wiewiórskiego.

— Cóż hrabio, pójdziesz pewno pożegnać panią Różyńską? — spytał p. Frycio.

— Sam nie wiem — obojętnie odrzekł hrabia — wypadalo-by zapewne... zajdę może na chwilkę; a pan?

— Ja?... wolał-bym nie iść, coś mi się nie chce...

wszakże, nie wypada inaczej; będę też na chwilkę z pożegnaniem, ale wprzód zajdę do hrabiny.

Zaledwie drzwi się zamknęły za hrabią Augustem, pan Frycio zerwał się z krzesła i zawołał:

— Michałek! wiedeńską bonżurkę podaj, zaraz tylko!...

A sam zbliżył się do lustra, przed którym ustawiony był cały pułk słoiczków i flaszeczek z perfumami, pomadami, olejkami i t. d.

— A jaki krawat podać jaśnie panie? — spytał Michałek.

— Pokaż wszystkie, wybiorę!

Lokaj rozłożył na stole krawaty przeróżnych barw, wąskie, szersze i najszersze; a było ich wszystkich trzydzieści i sześć.

— Jak myślisz, Michałku, w którym mi najwięcej do twarzy?

— Jaśnie panu we wszystkich pięknie.

— Hm, ale w którym najpiękniej? ten brązowy za ciemny, szafirowy nie idzie do koloru bonżurki; może zielony, co? Podaj bonżurkę!

Bonżurka była ciemno-wiśniowa, zielony krawat pokazał się niestosownym. Jeden po drugim wszystkie trzydzieści sześć krawatów były przyłożone do bonżurki, obejrzone zblizka i zdaleka, nareszcie amarantowy odniósł zwycięstwo.

Nastąpił potem podobny przegląd dwunastu par butów, kamaszków i półbucików, błyszczących jak

szkło i rzędem ustawionych przy ścianie i, za ledwie za godzinę, pan Wiewiórski, ubrany w wiśniową bonżurkę i amarantowy krawat, woniejący najczystszeń millefleur, z rękawiczkami gorąco-żółtej barwy, trzymając w ręku chapeau claque, stanął przed lustrem i, zwycięzko spojrzawszy na swoją postać, pomyślał:

— N'as-je pas l'air d'un Cherubin? — poczem spojrzął na zegarek, zawieszony na grubym łańcuchu i brzęczący mnóstwem breloków i szepnął:

— Dwunasta godzina, jeszcze wcześniej! pójdę naprzód do hrabiny, a do niej o pierwszój, c'est le plus convenable.

I zaczął chodzić po swoim pokoju, a tak był zatopiony w myślach, że, nie zważając na obecność Michałka, szeptał niekiedy, jakby powtarzając przed sobą lekcją, którą miał wydawać za chwilę:

— Pani! u nóg twych składam...
albo:

— O, pani! miéj litość...

A dołączając giest do wyrazów, zginał lekko jedno kolano, jakby miał przyklęknąć; ale za każdym razem, spojrzawszy na niepewnej czystości podłogę, prostował się i chodził znowu, naciągając włożone już na ręce rękawiczki i szepcąc.

W tej samej prawie chwili, hrabia August stał w swoim mieszkaniu, przed dużym zwierciadłem, uroczyście też ubrany, z przyjemnością patrzył na

swoję słuszną i w istocie piękną postać. Ręką błyszczącą brylantem, poprawił bogaty łańcuch zegarka; dwa pierścienie czarnych i lśniących włosów z zaniedbaniem opuścił na białe czoło; a naciągając białą rękawiczkę i ostatnie spojrzenie rzucając w lustro, pomyślał:

— Jak Apollo!...

Spojrzał na zegarek i szepnął:

— Dwunasta! trochę wcześniej, wszakże pójdę!
— a w myśli dodał: — hrabiemu wszystko uchodzi!

Począł z najgłębszym zadowoleniem z siebie, krokiem wspaniałym, jak przystoi hrabiemu, wyszedł na ulicę i skierował się ku mieszkaniu pani Różyńskiej.

O, biedni ludzie, którzy myślicie, że bonzurką, krawatem albo utrefionemi pięknie włosami zdołacie zdobyć serce rozumnej kobiety! na jakim miejscu tego padołu płaczu zgubiliście wasze głowy?

Owego ranka Regina siedziała w swoim saloniku sama jedna, z robótką w rękę. Nigdy jeszcze nie była tak piękną!

W białym rannym stroju, z ponsowym kwiatem we włosach, na twarzy miała lekki rumieniec; oczy jej błyszczały niezwykle, a usta były tak ponsowe, jak purpurowa niteczka jedwabiu, błyskająca szybko w białej jej ręce. Chwilami z pogodnym zamyśleniem patrzyła na schylające się po-za otwartym oknem

drzewa ogrodu, albo spoglądała ku zamkniętym drzwiom, jakby czekała kogoś.

Drzwi długo się nie otwierały, nareszcie poruszyła się klamka. Regina lekko drgnęła i, pełnym wdzięku ruchem, odrzuciwszy nieco w tył głowę, uśmiechnęła się tym uśmiechem, jakim kobieta wita szczęście.

Otworzyły się całkiem drzwi i stanął w nich wspinały hrabia.

Na twarzy Reginy, lekko odmalował się zawód, grzecznie jednak powitała gościa.

— Całe nasze towarzystwo gotuje się do przywdziania żałoby — mówił hrabia, siadając na fotelu naprzeciw Reginy, siedzącej na kanapie. — Rozeszła się zasmucająca pogłoska, że państwo jutro wyjeżdżają.

— Tak — odrzekła Regina — jutro wyjeżdżamy ztąd do Warszawy.

— Do Warszawy? Mon Dieu!... czemuż pani towarzyszyć nie mogę! Miałem sam zamiar odbycia tej wycieczki, ale, figurez-vous madame, rządcy moich dóbr piszą do mnie, abym conajprędzej przybywał, bo przedstawia się sposobność zrobienia ogromnej affery; idzie o sprzedaż części moich wielkich lasów.

Gdy hrabia to wygłaszał, sumienie, jak dokuczliwy cenzor, szeptało mu: kłamiesz! Rządców nie masz a tylko jednego biedaka ekonomę; las zaś, jaki mia-

łeś kiedykolwiek, dawno już sprzedany, do Królewca popłynął. Nie słuchał tego natrętnego głosu hrabia; jedną rękę wspaniale zawiesił na poręczy fotelu a drugą bawiąc się łańcuszkiem, patrzył na Reginę, najpiękniejszém, jakie miał, spojrzeniem.

— W jakich stronach są majątki pana — spytała pani Różyńska dla podtrzymania rozmowy.

— O, pani, w różnych, w różnych!

Sumienie szeptało: kłamiesz! masz tylko dwie wioski bardzo niedalekie siebie.

— Jeden z moich majątków w powiecie B. w śliczném leży położeniu.

Sumienie szeptało: na piaszczystej wydmie!

— Góry, rzeki, jeziora, lasy, słowem cała panorama, pałac na wysokości górze...

Sumienie szeptało: rozwalona ruina.

— W istocie? — przerwała Regina — nie wiedziałam dotąd, że powiat B. jest górzysty; mówiono mi zawsze, że to równina.

— Si fait! si fait! w moim majątku są góry; mam go po matce, et mon grand père maternel; książe Ł. kazał je usypać; miliony wydał na to! miliony!... Drugie dobra posiadam w gubernii M.

Sumienie szeptało: wiosczyna odłuzona!

— Tam znowu inny rodzaj natury: olbrzymie, niebotyczne lasy, coś ponurego, czarnego, romantycznego; w lasach jaskinie, ruiny starożytnych mieszkań moich przodków, a między tém wszystkiém od-

wieczny zamek z basztami, gdzie przodkowie moi przyjmowali królów.

Sumienie szeptało : została już tylko oficyna, w której mieszka ekonom.

— Ależ smutne być musi położenie tego majątku pana — ozwała się z lekkim uśmiechem Regina.

— Tak, pani, to ma barwę *moyen-âge*; ja, z mojem wesołem usposobieniem, niezbyt lubię to posępne ustronie, mais, que voulez-vous, mam za to dochody ztamtąd, pędzę tam smołę.

Sumienie szeptało : już dawno co do kropli wypędzona.

— Czy i pod względem towarzyskim majątki pana są równie korzystnie położone? sąsiedztw pan ma wiele? — przerwała Regina, którą zaczęły już nudzić dobra hrabiego.

— *Malheureusement madame*, mnóztwo się wkoło nich rozsiało *téj... téj* drobnéj szlachty ; wszakże w powiecie B., niedaleko mego majątku, mieszka siostra moja księżna Z., mój szwagier hrabia W., ciotka moja pani baronowa von N. i jeszcze dwaj młodzi książęta J. *mes intimes amis*. Jeden z nich wrócił przed rokiem z Hiszpanii i przywiózł mi zaproszenie, to jest powiedział-bym naleganie od tamecznego dworu, abym się prezentował kuzynce mojej Najjaśniejszej królowej Izabelli w Eskuryalu. Mówię kuzynce, bo stryj mój hrabia Roderyk W., przed kilku laty zawarł związek małżeński z siostrzenicą królowej Iza-

belli. Byłbym więc niezawodnie pojechał w tym roku do Madrytu, gdzie wzywają mnie tak miłe i powiedziały-bym nawet, dla obu stron zaszczytne związki krwi, gdyby mię książęta J. nie ubłagali, abym na ten rok jeszcze nie opuszczał naszego kółka. U siostry mojej mieszkają synowie jęj męża, dwie księżniczki Z. des charmantes personnes.

Sumienie przypominało: dały ci każda po harbuzie.

— O jedną z nich, bodaj czy się nie stara książę J., ce serait un mariage très assorti. Tak więc składały nasze oddzielne kółko.

Sumienie znów mówiło: które się ciebie wyrzeka, boś stracił majątek. — Dla tegoż się i oświadczam — wewnątrznie odpowiedział sumienny hrabia;—inaczęj czyż-bym chciał patrzeć na szlachciankę!

I w istocie hrabia August oświadczał się; jak biegły generał, szturm swój do serca Reginy podzielił na trzy części. W piérwszėj miał być wykaz dóbr, w drugiej koligacyi, w trzeciėj sentymentów. Dwie piérwsze już się skończyły; hrabia myślał, że olśnił już Reginę i zaimponował jęj dostatecznie; teraz należało wzruszyć, zostawała część trzecia.

— Miło to jest w istocie — mówił więc dalej — mieć bogate materyalne środki, ród, biorący początek w przedhistorycznych czasach i szerokie, prawdziwie wyższėj sfery stosunki. A jednak... a jednak...

Tu romantycznie schylił głowę, zsunął swoje pię-

kne brwi i tak przez chwilę zostawał w znaczącym milczeniu; nareszcie, jakby rozpacznym rzutem wstrząsnął włosami, tak, aby mu na czoło spadły i dodał:

— Jednak z tém wszystkiém można być nieszczęśliwym.

— Doprawdy? pan się czujesz nieszczęśliwym! — z lekką ironią w głosie rzekła Regina, nie podnosząc oczu od roboty.

— O, tak pani — zniżonym i nieco drżącym głosem mówił hrabia, rękę z brylantem przesuwając po czole — tak, jestem nieszczęśliwym... od niedawna... Wprzód swobodny byłem i spokojny... ach!...

I głębokie o czterech spadach westchnienie, podniosło haftowany batyst jego żabotu.

— O, mój Boże! — z większą jeszcze ironią rzekła Regina, patrząc ciągle na kanwę.

Hrabiemu zdało się, iż było to westchnienie współczucia, uradował się wewnętrznie i był pewny wygranej. Niecierpliwiło go tylko to, że pani Różyńska nie patrzyła na niego, nie widziała zatem efektu, jaki sprawiały jego romantycznie opadające na czoło włosy.

— To mądra kobieta — pomyślał — trzeba zacząć górnice.

I mówił znowu.

— My, pani, na tej biednej ziemi, to jak wędrowcy, jak łodzie... kiedy słońce świeci to pogoda... ale kiedy zajdzie to ciemno...

— Nie zawsze — tłumiąc śmiech i nie podnosząc oczu, odpowiedziała Regina — jak księżyc w pełni, to i po zachodzie słońca jasno.

— Pani!... serce bywa czasem jak jaskinia, gdy słońce zajdzie, żadnej już innej gwiazdy światło nie zaświeci...

— Więc w braku gwiazdy można zapalić świecę — spokojnie zarzuciła znowu Regina.

— Gdybyś pani chciała, moje słońce nigdyby nie zaszło, mogła-byś je pani zatrzymać.

— O panie! albowiem jestem Jozue. — I zaśmiała się już na dobre Regina.

— Pani jesteś aniołem! — coraz ożywiając się, zawołał arystokratyczny młodzieniec — w pani ręku jest moje życie! Od pierwszej chwili, od pierwszego na panią spojrzenia, poczułem, że bez pani egzystencya była-by dla mnie jak pustynia bez rosy, jak niebo bez słońca, jak... jak... wiosna bez kwiatu, jak... jak... jak noc bez gwiazd, jak... ach, róża bez zapachu... Pani jesteś bóztwem! u nóg pani składam mój ród, moje dobra, moje stosunki, siebie samego i całe moje serce, i najszczęśliwszym będę, jeśli kiedy... jeśli kiedy pani się nazwiesz hrabiną W.

Cały ten monolog wypowiedział drżącym i przerywanym głosem, wtórując mu przyspieszonym, niby od wzruszenia, oddechem i coraz niżej zsuwając na czoło włosy. Kończąc, jedną dłoń oparł na poręczu fotelu, drugą rozpoczął kreślić w powietrzu uroczyste półko-

le, a całą postacią zsuwał się coraz niżej, mając zamiar zaraz ukłęknać.

Pani Różyńska ciągle wyszywała na kanwie i patrzyła na robotę; a gdy skończył mówić, podniosła wzrok i zupełnie spokojnym głosem odrzekła:

— Jeśli panu o to chodzi, to mu odpowiem jednem słowem: od wczoraj jestem już narzeczoną pana Stefana Rawickiego.

Hrabia August, zawieszony między fotelem a posadzką, z nawpół zgiętym kolanem, z ręką zatrzymaną w połowie półkola, oniemiał i skamieniał. Usta jego roztworzyły się z wyrazem, jaki mają zwykle głupio zdziwieni ludzie, oczy mu się rozszerzyły niezmiernie, a cała twarz wyciągnęła się w przerażający sposób.

Regina wyszywała znowu.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszli pan Rawicki z Henrykiem.

Pani Różyńska szybko powstała, przeszła mimo hrabiego, który się nagle wyprostował i, skinąwszy z uśmiechem głową Henrykowi, obie ręce podała narzeczonemu.

— Zagadaliśmy się ze Stefanem — rzekł Henryk — i późno przychodzimy do ciebie, siostrzyczko; spodziewam się, że nam to przebaczysz.

— W każdej chwili, jestem szczęśliwą, gdy was widzę — odpowiedziała z serdecznym uśmiechem Regina, a spojrzenie jęj, pełne niewymownego wyrazu,

spoczywało na poważnej, ożywionej głęboką radością twarzy inżyniera.

— Madame, j'ai l'honneur de vous souhaiter le bon voyage—wyjąkał, żegnając panią Różyńską, hrabia August.

— Bon jour, messieurs — dodał, kłaniając się mężczyznom i wybiegł z salonu.

— Zapomniałeś, hrabio, kapelusza — zawołał za nim Henryk, podając mu we drzwiach zapomniane rzeczywiście nakrycie arystokratycznej głowy.

— Mille grâces monsieur — ozwał się jeszcze głos hrabiego na balkonie; poczem szybkie jego kroki dały się słyszeć na żwirowanej ulicy.

— I czegoż ten wspaniały potomek wielkich przodków wybiegł ztąd jak oparzony? — spytał Henryk.

Regina uśmiechnęła się.

— Siostrzyczko!... — żartobliwie zawołał, patrząc na nią młody człowiek.

— Oświadczył mi się — odrzekła z uśmiechem — ale jak!...—I głośno się rozśmiała.

Rawicki ujął jej rękę i długim pocałunkiem do ust ją przycisnął.

Henryk zbliżył się do nich obojga i rzekł:

— W Warszawie, oddam ci ją, Stefanie, a sam pożegnam was i pojedę na Polesie.

Wzrok Reginy przenosił się przez chwilę z twarzy narzeczonego na twarz brata, wreszcie jedną rękę

podawała Rawickiemu, drugą położyła na ramieniu Henryka i rzekła :

— Przyszła już dla mnie przepowiadana przez ciebie chwila, bracie mój! jestem szczęśliwa.

— I będziesz szczęśliwa! — dodał Stefan, a w głosie jego była moc męskiego przekonania i głęboka ufność w potęgę własnego uczucia.

Wkoło grupy tych trojga ludzi, wiły się płynące przez okna nici złocistych promieni; bluszczowe gałęzie, zda się, radośnie drżały nad ich głowami; wszystko jasne było, pogodne, promienne, jakby święto serc ludzkich było i świętem weselném natury.

Kiedy hrabia August, szybko przeszedłszy ogród, więcej wbiegł, niż wszedł do salonu hrabiny, całe, jak zwykle, licznie zebrane tam towarzystwo, zwróciło uwagę na pełną wzburzenia, zazwyczaj tak wspaniałą jego postać.

— Qu'avez-vous? comte! — z głębi fotelu zapiszczała hrabina.

— La grande, la grandissime nouvelle! — zawołał hrabia, z którego czoła zniknęła cała symetria, tak sztucznie przed chwilą ułożonych włosów.—Powieć państwu coś dziwnego, niesłychanego, une chose inouie !...

I upadł na krzesło, zapomniawszy o zrobieniu półkola, a zamiast tego giestu, topiąc brylant swego pierścienia w gęstych włosach.

— Cóż takiego? qu'y a-t-il donc? — ozwały się zewsząd głosy.

— Pani Różyńska —mówił z ironią hrabia—vous savez ta pani Różyńska... cette grande dame, qui se donnait des airs d'une princesse... Ta pani Różyńska...

— Eh bien! cóż daléj? dręczysz nas, hrabio — ozwały się chórem panie.

— Eh bien, ta pani wychodzi... mais c'est une chose inouie... wychodzi za tego... tego... tego inżyniera...

— Za Rawickiego? — zawołała hrabina.

— A tak... za tego rzemieślnika.

— Ah! ah! voilà! czy podobna? impossible! — chórem się odezwały wykrzykniki we wszystkich stonach salonu.

Pan Wiewiórski, który właśnie, w chwili wejścia hrabiego, brał kapelusz, aby się udać do Reginy, skamieniał i stał obok klatki z papugą jak posąg, ustrojony w bonżurkę i amarantowy krawat.

— Le beau comte Auguste musiał dostać grochowy wianeczek — szepnęła pani Klementyna sąsiadce, —inaczej nie byłby tak wzruszonym.

— Comtesse! — wołała pani Konstancja — votre flacon des sels! pan Kwiliński mdleje!

I w istocie poetyczny młodzieniec był blady, jak ściana; drżał cały, a pełne łez jego oczy i twarz

miały taki wyraz, jaki mają płaczące w kołysce dzieci.

— C'est une mésalliance — wycedziła hrabina. — Pani Różyńska pochodzi z pięknej rodziny Tarnowskich; wychodząc za inżyniera, elle déroge... je ne sais vraiment, ou le monde s'en va!...

— Przyznaj się, hrabio — szepnęło do ucha hrabiego Augusta jakieś wybladłe książątko — dostałeś odkosza, co?

— Moi, mon cher? — odpowiedział, odzyskując przytomność arystokrata — jakto! ja miałbym się oświadczać tej szlachciance? Me crois-tu capable de faire une mésalliance?

— Co do mnie, wcale się nie dziwię tej niedorzeczności pani Różyńskiej — wygłosiła pani Klementyna — jakie życie, taki koniec. Awanturnica, rozwódka; bardzo rzecz naturalna, że skończyła me-zaliansem.

— Któżby inny ją chciał po takich awanturnicznych przejściach — dodała jedna z pań — n'est ce pas Mr. Wiewiórski?

— Mais oui — odpowiedział pan Frycio, który już ochłonał z pierwszego wrażenia; — vous-avez raison, ta pani nie jest wcale sympatyczna...

W całym towarzystwie dwie tylko osoby milczące były i zamyślane: pani Izabella, która siedziała u otwartego okna i, machinalnie bawiąc się trzymaną w ręku różą, patrzyła w ogród i doktor, który

stał oparty o żelazny kominek i w pół chmurny, w pół ironiczny, słuchał otaczających go rozmów. Przed wyobraźnią pani Izabelli, stała wciąż postać Tarnowskiego, tak, jak ją po-raz piérwszy ujrzała wśród tego samego promieñmi ozłoconego trawnika, na który i w tój chwili patrzyła; w myśli medyka, zamiast terapii i patologii, wciąż błyskały jakieś czarne oczy i jakaś biała twarz, które na zawsze zniknąć miały dla niego.

Zalotna kobieta po-raz piérwszy może w życiu myślała: to zwierzę zwane miłością, nie zawsze jest żartem i zabawą, niekiedy bywa i bólem.

Po głowie rozważnego doktora kręciły się myśli: Biedne to ludzkie życie!... Wędrujesz przez świat, zaglądasz ludziom w oczy, szukasz prawdziwego dobra i piękna; nareszcie widzisz je, znajdujesz, a los zaśmieje ci się tylko nad uchem i zawoła: idź z Bogiem i sam jeden zkąd-eś przyszedł, nie dla ciebie najpiękniejsze!... Biedne to ludzkie życie!...

* * *

Nazajutrz, po-za kłębami kurzawy, na szerokiej drodze zniknęła z oczu mieszkających w D*** gości, sześciokonna karetka pani Różyńskiej, w parę dni potóm i Rawickiego nie było. Pozostałe towarzystwo długo jeszcze gwarzyło o nieobecnych, tworząc przeróżne wnioski, domysły i wróżby.

Życie człowieka, to jak wobec licznych widzów odegrana teatralna sztuka. Zasłona zapadła, po-za

kulisami zniknęli aktorowie, a sala długo jeszcze rozlega się oklaskami uwielbienia lub gwizdaniem niechęci. Nareszcie gasną światła, w różne strony rozchodzą się widze, każdy z nich wkrótce, dla dramatu własnego życia, zapomina o widzianych przed chwilą scenach i... *fnita la comedia.*

K O N I E C.

DO CZYTELNIKÓW.

Nigdy dla powieści moich nie pisałam przedmów. Nie poprzedzała-bym téż i zbiorowego ich wydania, temi kilku słowy, gdyby nie okoliczność pewna, sprowadzająca mi potrzebę usprawiedliwienia się przed czytającą publicznością. Okolicznością tą jest postanowienie, które powzięłam, aby powieści moje ukazały się w nienaruszenie takiej postaci, w jakiej, przez ciąg lat siedemnastu, powstawały. Różni różnie mi doradzali. Słyszałam zdania, że prace moje, z pierwszych szczególnież lat kilku, dla tego zbiorowego wydania, zreformowanemi być powinny: co do formy, mówili jedni; co do przewodniczących im dążności i przekonań, utrzymywali inni.

W najmniejszej mierze nie wątpię, że powieściom moim słusznie uczynić można nieskończoną ilość zarzutów; owszem, więcej zapewne niż ktokolwiek inny, wielką niedoskonałość ich spostrzegam. Chętnie więc i gorliwie zabrała-bym się do poprawienia ich i ulepszenia, gdybym pochlebiała sobie, że dokonać tego potrafię. Czuję przecież i wiem, że byłaby to robota zupełnie nadaremna. Pisaniu powieści towarzyszy pewien nastrój psychiczny, polegający na wytężeniu wyobraźni i sile uczuwanych wzruszeń, który wkrótce po skreśleniu ostatniej stroniczki niknie, i nigdy już, dla tego samego przedmiotu, odzyskanym być nie może. Z innymi dzieje się może inaczej; ze mną przecież tak zazwyczaj bywało i bywa. Zimno więc i z niejaką niechęcią dla chybionych utworów pełniłabym czynność ich przerabiania; każdemu zaś jest wiadomym, jak małą wartość posiadać musi jakakolwiek w belletrystyce robota, z potrzeby i przymusu tylko dokonywana. Czując więc i wiedząc, że popełnionych przez się błędów poprawić nie potrafię, otwarcie przed czytelnikami wyznaję, że wolę pisać powieści nowe, niż przerabiać stare, co było-by pracą długą i mozolną, a doprowadzić mogącą tylko do odebrania im pierwotnych ich znamion. Znamiona te, nie po-

siadając bynajmniej ceny brylantów dla piśmiennictwa, wskazują przecież proces rozwijania się umysłu i zdolności pisarza. Bywają zaś tu i owdzie ludzie, ciekawi wszelkich zjawisk tego świata, którym przyzrenie się takiemu procesowi nie zupełnie bezpożyteczne myśli nasunąć może. Jak nigdy nie pisałam przedmów, tak również nigdy nie czyniłam przed czytającą publicznością, żadnych osobistych zwierzeń. Niech mię ta przeszłość omyje z grzechu obecnej chwili, w której ulegam pokusie, więcej może potrzebie, powiedzenia słów kilku o sobie.

Pisać do druku zaczęłam młodo. Przed kilku miesiącami ubiegło lat 17 od dnia, w którym „Tygodnik Illustrowany“ wydrukował pierwszy mój małej obrazek: „Z lat głodowych“. Przedtém jeszcze napisałam trzy powieści, których same tytuły świadczą o ówczesnym nastroju mego umysłu. Nazywały się one: „Regina“, „Ludzie i robaki“ i „Gustaw Waza w zamku Petersona“. Pisałam téż, na podstawie czytanych książek, długie studyum o Margrabi de Mirabeau, w którym podówczas formalnie byłam zakochaną. (Hony soit qui mal y pense, albowiem był to człowiek, który działał i umarł przy końcu zeszłego stulecia). Cztery owe grube rękopisy spaliłam, ale

zapełnianie ich, połączone z gorliwem uczeniem się historyi Szwecyi na rzecz Gustawa Wazy i historyi rewolucyi francuzkiej, na rzecz wielkiego Margrabi, zajęły mi z górą lat parę. Tu ośmnaście niespełna, tam trzy prawie, tworzy to cyfrę, którą gdy odejmę od ogólnej sumy lat moich, staję przed samą sobą kobietą dwudziestoletnią, więc bardzo młodą, młodszą, niż znaczna większość rozpoczynających zawód swój pisarzy. W krótkiej ówczesnie przeszłości mojej nie było Uniwersytetu ani Akademii żadnej. Żyłam do chwili owęj w sferze dostatku i zabaw; umiałam mówić dwoma cudzoziemskimi językami, grać na fortepianie, tańczyć i przyjmować gości. Więcej — cóż? Trochę wiadomości o faraonach egipskich, niejakię pojęcie o tém, że Ararat jest najwyższą z gór, a Amazonka największą z rzek tego świata; zoologia udzielająca możności odróżniania kanarka u okna od wrony za oknem, i dobra, gruntowna, starannie mi udzielona znajomość ojczystego języka i piśmiennictwa. Oto wszystko, co posiadałam, i jeszcze odrobinę spostrzeżeń, zgromadzonych w licznem ilościowo, ale ciasnem, bo w sobie zamkniętym, kole ludzi, wśród którego urodziłam się i wzrosłam. Kiedy pisałam pierwsze powieści moje, w uszach mych nie zupełnie jeszcze prze-

brzmiały dźwięki polek i walców, i *frou-frou* sukien, w jakich niedawno tańczyłam te polki i walce. Ale w duszy mojej brzmiało już coś innego. Co? Długo-by opowiadać i — nie warto. Z tego jednak, co mi w duszy brzmiało, wyniknęło to, że pisać zaczęłam. Była wtedy na świecie wielka burza, która ptaki z gniazd i płochości z serc wyrzucała. Wzmagająca też ona zarazem te brzmienia duszy, które w upadku do dźwigania się, w nieszczęściach do współczucia, w stratach do zdobywania wołały. W każdej, choć trochę szlachetnej duszy, wzmagająca ona te brzmienia i zarazem pełnieniu obudzonych przez się żądań i dążeń niezliczone stawiała zapory. Rozsypka, ciemność, milczenie, zubożenie ogólne i wszechstronne. Umysłowe kształcenie się w atmosferze takiej łatwem nie bywa. W kącie samotnym i wichrami burzy tłuczonym, z kądem światło dobroczynne? Z kądem ręka pomocna? Z kądem wpływ i poparcie umysłów dojrzalszych? Nic wcale. Akademye, księgozbiory, muzea, świat oddychający wiedzą i sztuką, i świat wrzący walkami i dążeniami—całkiem niedostępny. Mistrze jedyni: samotność, cisza, przyroda, zgromadzone doświadczenia i spostrzeżenia, i jeszcze głosy owe, brzące w duszy miłością dla niwy zoranęj nieszczę-

ściem, duma jakaś, brzydząca się rolą chwastu, darmo pasącego się sokami tej niwy, i jeszcze wrodzony, nieprzepartry pociąg do książki, do rojeń, do rozważ. Nic więcej.

Naturalną każdemu wyda się rzeczą, że wobec powyżej przytoczonych warunków wieku, przygotowania i otoczenia, nie będąc geniuszem, który jest, bo jest, i aby być, niczego z zewnątrz nie potrzebuje, musiałam z razu i długo może pisać zupełnie źle. Jeżeli zaś potem, w koleji czasu, osiągnęłam w sferze myślenia i twórczości jakie-takie choćby zdobycze, ciekawym, a może użyteczniejszym będzie widok tych ścieżek i zarośli, przez które ku nim dążyłam, niż, gdybym je niezgrabnie, bo niewczesnie, oczyściła i wyprostowała.

Teraz pytanie: Dla czego, o pracach moich tak niewygórowane mając zdanie, zezwalam na powtórne i zbiorowe ich wydanie? Skłaniają mię do tego dwa względy: naprzód, jakkolwiek przemawiałam do ogółu —dobrze, źle, czy najgorzej, — czyniłam to szczerze. Do roboty każdej zabierałam się z zapalem, wykonywałam ją ze staraniem, aby względnie do środków swoich, była ona najlepszą, — pisałam to, co myślałam, przemilczając tylko o tém, o czém żela-

zna niemożność mówić mi nie dozwalała, nie wymawiając nigdy ani jednego słowa, które-by, w porze wymawiania go, przekonaniem mojem nie było. Nic w świecie, nie budziło i nie budzi we mnie wstrętu większego, niż maska. Gdybym ją do twarzy swojej kiedykolwiek przytykała, możebym teraz ukrywała przed światem wypalony przez nią rumieniec wstydu. Ale tego, co czyniłam szczerze, z wiarą nie w to, że czynię doskonale, ale w to, że czynię, jak mogę najlepiej, wstydzić się i ukrywać nie potrzebuję. Względem drugim jest mniemanie moje, że można być pracownikiem wielce skromnym, a jednak w mierze odpowiedniej sobie pożytecznym; że można popełnić wiele błędów, tak artystycznych, jak umysłowych, a jednak tu i owdzie znaleźć i ludziom podać okruszyny piękna i prawdy; że nakoniec, można, nie będąc wielkim, zapełnić sobą jakąś małą próżnię. Słońce udziela możliwości życia wszystkiemu, co na ziemi naszej istnieje; któż je może porównywać ze świecą? a przecież i świece także przydają się na coś ludziom. Niektóre plemiona Eskimosów, nie wiele mając bladego swego słońca, a paliwa nie mając wcale, przyrządzają sobie pożywienie i zziębłe ręce swe rozgrzewają przy płomykach lampek. Pokorna wobec słońce, niech świe-

czka, czy lampka moja, pali się sobie na świecie. Może ktokolwiek, w chwili głodu i chłodu, przy jej płomyku pożywi się i rozgrzeje.

Eliza Orzeszkowa.

Gródno 1884 r. Styczeń.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-69, 26-52-31 w. 42

F
2551